



WERONIKA
WIERZCHOWSKA

GUWERNANTKA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

WERONIKA
WIERZCHOWSKA
GUWERNANTKA

SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie ani w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych

Anna Damasiewicz

Zdjęcia na okładce

© Kathryn Servian | Depositphotos.com

© Sergey Breev | Depositphotos.com

© Victor Zastolskiy | Depositphotos.com

Redakcja

Marta Jakubowska (Słowa na warsztat)

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz opracowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociak

Korekta

Izabela Pawliczek (Słowa na warsztat)

Elwira Zapałowska (Słowa na warsztat)

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Katowice 2022

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

biuro@szaragodzina.pl

promocja@szaragodzina.pl

www.szaragodzina.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: LIBER S.A.

ul. Zorzy 4, 05-080 Klauzyna

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

dystrybucja@liber.pl

www.dystrybucja.liber.pl

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina s.c., 2021

ISBN 978-83-67102-38-4

Rozdział 1

*Różne miłości bywają dzieje,
Różne też drogi, no i koleje.
A więc, tak mówiąc tu między nami,
Różnemi miłość chodzi torami.*

Ballada podwórkowa z XIX wieku, autor nieznan

Wczesnym rankiem 1 kwietnia 1880 roku Aldona Burzyk wsiadła do pociągu na Dworcu Wiedeńskim w Warszawie, by wyruszyć w drogę do swojej pierwszej pracy. Ada, jak mawiał na nią zmarły tydzień wcześniej papa, miała dwadzieścia jeden lat i raptem zdała egzamin w Wyższej Szkole Żeńskiej Rządowej, który uprawniał ją do legalnego nauczania i promował na stopień starszej guwernantki. Podeszło do niego sto pięćdziesiąt dziewcząt, z czego połowa odpadła już na części pisemnej. Jej udało się przebrnąć przez zadania matematyczne i gramatyczne niemal bezbłędnie. Egzamin ustny panna Burzyk zaczęła o godzinie dwudziestej drugiej, a skończyła o drugiej w nocy, ledwie żywa z nerwów i wyczerpania umysłowego. Komisja, złożona z wąsatych kuratorów, srogich i ponurych, przemaglowała ją z gramatyki języka polskiego, lektury tekstu po rosyjsku i jego streszczenia, analizy gramatycznej i logicznej zdania złożonego oraz historii literatury rosyjskiej, łącznie ze współczesną. Ada zdała jako jedna z pięciu szczęśliwych dziewcząt i teraz w podróźnej torbie spoczywał jej bezcenny dyplom nauczycielki opatrzony pieczęcią z dwugłowym carskim orłem.

Na podróż założyła czarną suknię, nosiła bowiem żałobę po zmarłym niespodziewanie ojcu. Pan Burzyk prowadził zakład krawiecki na Nowym Świecie, sercowo nie wytrzymał jednak presji konkurencji i podwyżki czynszu zarządzanej przez kamienicznika. I tak z dnia na dzień Ada stała się sierotą, która musiała opuścić mieszkanie nad zakładem. Sprzedała narzędzia i materiały zalegające w warsztacie pewnemu żydowskiemu handlarzowi, który kupił je bez przebierania i targów, właściwie z litości nad nieszczęśnicą, za okrągłą kwotę dwustu rubli. Tyle jej zostało z majątku po rodzicach. Trochę od razu wydała na zakup prenumerat pism branżowych skierowanych do nauczycielek i studentek. Dziewczyna była ambitna i zamierzała cały czas się doszkalać, by wyjechać na studia, kiedy tylko na nie zarobi.

Teraz jednak potrzebowała pracy, ale mimo presji podejmowała ją z entuzjazmem i poczuciem misji. Najchętniej udałaby się do jakiejś szkoły gminnej, gdzie uczyłaby czeredy dzieciątek, ale przyjaciółka poradziła jej poszukać zatrudnienia w prywatnym domu, najlepiej arystokratycznym. Chodziło rzecz jasna o uposażenie, znacznie różniące się wysokością od tych oferowanych przez szkoły elementarne. Nie dotarła jednak do Kantoru Stręczenia Nauczycielek, ofertę pracy przedstawiono jej w Szkole Żeńskiej, kiedy odbierała dyplom. Klient sam się do nich zgłosił w poszukiwaniu guwernantki dla swoich dzieci. Nie był to co prawda arystokrata, ale ziemianin z Mazowsza, który oferował naprawdę przyzwoitą pensyjke za opiekę pedagogiczną nad trójką pociech.

I tak, spakowawszy cały swój majątek do torby, Ada wyruszyła w podróż do nieznanych ludzi, nie wiedząc nawet, kim są ani gdzie dokładnie mieszkają. Była pewna tylko tego, że jechała na wieś, małą polską wioskę na końcu świata, prawdopodobnie błotnistą, śmierdzącą zwierzęcym nawozem i przaśną, jak wiejskie baby, które widywała na targowiskach. Ona, dziewczyna z miasta, znała życie prowincjonalne jedynie z opowieści, niezbyt pochlebnych, właściwie ponurych. Słyszała o nauczycielkach, które trafiały w nędzę i beznadzieję, zaharowywały się w pocie czoła i kończyły z gruźlicą w zagrzybionym mieszkanku lub rozpadającej się chałupie, gdzie umierały z głodu i wyczerpania. Ada jednak była dobrej myśli, musiała tylko zarobić na studia i czym prędzej uciec w wielki świat. To powinno się udać.

Jechała w wagonie trzeciej klasy, pozbawionym przedziałów, za to wypełnionym podwójnymi ławami. Było dość tłoczno, panował hałas, ludzie gadali, kłócili się, jacyś najemni robotnicy grali w karty, popijając gorzałkę, kilku oczywiście kurzyło skręty z taniego tytoniu. Adę szczypało w oczy, ale siedziała sztywno w swojej czarnej kiece, patrząc w okno z niezmiennym wyrazem twarzy. Nikt jej nie zaczepiał, bo wyglądała ponuro i smutno. Widok za szybą co parę chwil zasłaniał dym z komina lokomotywy. Zresztą przesuwały się za nią jednakowe kwadraty pól, zagajniki i lasy, typowo polskie krajobrazy. Pociąg stukotał, kiwał się, skrzypiał i zgrzytał. Mimo to dziewczyna poczuła się senna i kiedy skład wjeżdżał na stację Łowicz Aleksandrowski, zamykały się jej oczy. Oprzytomniała, widząc napis na murowanym białym gmachu dworca, i poderwała się, by dołączyć do wysiadających z tobołami wieśniaczek.

Znalazła się na peronie przed długim piętrowym budynkiem dworca świadczącym o tym, że stacja jest ważna i należy do porządnego miasta. Czowała treść i strach. Co, jeśli pracodawca się rozmyślił i nawet nikogo po nią nie przysłał? Depeszowała, podając datę i godzinę przyjazdu. Spodziewała się, że nowy szef wyśle po nią parobka z dwukólką. Rozglądała się zatem, wypatrując kogoś, kto jej szuka. Peron szybko się wyludniał i już po chwili została na nim sama.

– Tak łatwo się mnie nie pozbędą – szepnęła do siebie. – Idę, popytam o drogę i dojdę do chałupy pryncypała piechotą.

Strach i treść zniknęły bez śladu, zepchnęła je w głąb serca tak samo jak smutek po stracie ojca. W ten sposób rozprawiała się ze złymi emocjami, z bólem i żalem, odpychała je od siebie i starała się o nich nie myśleć, za to skupić się na dniu dzisiejszym, na tym, co przed nią. Jęknąwszy z wysiłku, zarzuciła wielką podróżną torbę na ramię i dziarskim krokiem ruszyła przed siebie. Młodość dudniła w jej żyłach energią i ochotą, świat stał przed nią otworem. Niczego się nie bała i przed niczym nie wahała, właściwie to chciało jej się śpiewać. Tyle że to rzecz jasna nie wypadało statecznej guwernantce, w dodatku noszącej żalobną sukienkę. Maszerowała zatem, milcząc.

* * *

Krzysztof Kęszycki był tytułowany dziedzicem, przynajmniej przez okolicznych chłopów, zarówno tych z małych siól, jak i z Bolimowa, skąd pochodziła jego rodzina. Ojciec Krzysztofa, czyli stary dziedzic, nazywany też dziadkiem Dominikiem, utrzymywał, że ich ród zamieszkiwał w Bolimowie w czasach piastowskich i pełnił zaszczytną służbę rycerską oraz władał okolicą w imieniu książąt mazowieckich. Dziadek opowiadał nie tylko o świetności przodków, ale i chwale Bolimowa, które było wówczas królewskim miastem, bogatym i warownym. Tyle że on lubił dużo gadać i zmyślać, nigdy nie było wiadomo, które z jego opowieści są prawdziwe, a które jedynie w pewnym stopniu lub całkiem wysane z palca.

Krzysztof nie interesował się historią rodu ani regionu, właściwie niespecjalnie przepadał za ludźmi. Wolał las i zwierzęta, wymykał się z domu często jeszcze przed świtem, by – z dwururką na ramieniu i w kapelusiku z piórkiem – wędrować po dziurach i ostępach. Czasem

upolował bązanta lub zająca, odstrzelił lisa czy kunę, ale najczęściej po prostu się włóczył, oddychał puszcza i stapał z nią w jedno. Sprawował też troskliwie pieczę nad trzema tartakami doń należącymi, z których czerpał intratę pozwalającą rodzinie żyć na przyzwoitym poziomie. Zainwestował w maszyny parowe napędzające piły do cięcia drzew na deski, pobudował wiaty do suszenia tychże desek oraz belek i krokwi, po czym sprzedawał gotowy materiał budowlany, a nie surowe drewno, jak jego poprzednicy. Był z siebie dumny z tego powodu, dotrzymywał kroku postępowi, nie zostawał w tyle jak wielu innych ziemian, którym się wydawało, że XIX wiek trwał będzie wiecznie i nic się nie zmieni. Świat jednak kroczył naprzód, i to szybko. Rozpoczęła się era wielkiego przemysłu, wielkich zmian, wszystko przyspieszyło. Rzeczywistość zaczęła pędzić z gwizdem lokomotyw i łomotem tłoków w parowych maszynach. Żeby nie wpaść pod jej miażdżące koła lub po prostu nie zostać w tyle, trzeba było się dostosować. Krzysztof, choć kochał las i przyrodę, zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje, i robił, co mógł, by nie przepaść i by nadążyć za postępem. Mimo romantycznej duszy był pragmatykiem twardo stąpającym po ziemi. Miał na utrzymaniu rodzinę i gospodarstwo, nigdy o tym nie zapominał, nawet kiedy ganiał za zającami.

Lubił wszystkiego dopilnować samodzielnie, mieć nad wszystkim kontrolę. To on zlecił swojemu plenipotentowi w Warszawie wystąpienie się o nową guwernantkę dla dzieci i pierwszego dnia kwietnia sam po nią pojechał. Zaprzągnął do czterokołowej bryczki dwa konie, po czym wyruszył w drogę do Łowicza oddalonego od dworu o jakieś dwadzieścia wiorst. Mógłby posłać po dziewczynę parobka, Poldek się najlepiej do tego nadawał, miał łeb na karku i nie zameczyłby koni, ale Krzysztof miał ochotę się przejechać i osobiście na miejscu obejrzeć nauczycielkę. Gdyby mu się nie spodobała, po prostu odstawi ją z powrotem do pociągu i zaoszczędzi wszystkim kłopotu.

Zostawił powóz na placu przed dworcem, powierzając opiekę nad nim kolejowemu bagażowemu, który akurat nie miał nic do roboty. Sam udał się do wnętrza budynku, kupił gazetę i usiadł przy stoliku w dworcowej knajpie. Rozczytał się o walcu parowym, który sprowadzono do Warszawy do wyrównywania bruków, i uznał, że przydałoby się coś takiego i w Łowiczu, bo całą drogę przez miasto trzęsło bryczką, jakby jechał po wertepach. Potem zagłębił się w wiadomości „Znad Bzury”. Rychło też węs

mu się zjeżył, bo wyczytał z nich, że ziemianie sarkający na kiepskie ubiegłoroczne zbiory i warszawskie ceny są sami winni swojej niegospodarności. Już on by powiedział do słuchu pismakowi, który wypocił takie mądrości. Jak tu gospodarzyć, kiedy deszcze ulewne poniszczyły zboża, zamieniły pola w trzęsawiska? Cholerni dziennikarze, nadawali się tylko do płodzenia chwytliwych tytułów i wypisywania bzdur, byle przypodobać się władzy. Pojęcia nie mieli o tym, jak w ubiegłym sezonie pogoda dała się we znaki rolnikom. Całe szczęście, że Kęszyccy utrzymywali się z lasów, a nie z upraw, bo i im bieda zajrzałaby do dworu.

Z tego wszystkiego nie zwrócił uwagi na wjeżdżający z sykiem i gwizdem pociąg, właściwie siedział odwrócony plecami do okna i rozmyślał nad gazetą. Zszedł na ziemię, dopiero kiedy skończył artykuł. Spostrzegł, że w hali dworca przybyło ludzi z bagażami. Zerwał się od stolika i wyjrzał na zewnątrz. Na peronie stała samotnie smutna panna ubrana cała na czarno. To ma być guwernantka? Długie krucze włosy, ciemny kapelusik i jasna cera, a do tego ponura mina sprawiały, że dziewczyna wydawała się rozczarowana życiem i pogrążona w rozpacz. Wrona w żałobie, dzieci będą się jej bały – pomyślał, szarpiąc się za wąsa. Może od razu ją odprawić? Choć wszak nie wypada odrzucać kogoś jedynie z powodu wyglądu, trzeba sprawdzić, z kim mamy do czynienia.

Ruszyła po peronie, taszcząc ciężką torbę. Krzysztof poszedł jej śladem i przez parę chwil obserwował ją, gryząc się z myślami. Poprzednia guwernantka dała im się we znaki, okazała się melancholiczką ze skłonnościami do ciągłego płaczu i roztaczania wizji rychłej śmierci, chorób i zniszczenia. Na domiar złego kilka tygodni temu została znaleziona w swoim pokoju przez najstarszą córkę Krzysztofa, Annę, martwa. Lekarz stwierdził, że zażyła rycynę. Zostawiła nawet list pożegnalny w postaci wiersza o beznadziei i bezsensie istnienia. Co, jeśli ta nowa też okaże się smutną wariatką? Ta melancholijność to jakaś zaraza wśród młodych kobiet. Może to przez nadmierne ślęczenie nad książkami w półmroku, zbyt mało kontaktu z przyrodą, ze słońcem? Jemu smutek nigdy nie doskwierał, bo nie dawał mu na to szans.

– Panienska pozwoli, jestem Krzysztof Kęszycki. – Podbiegł do niej, bo przecież nie wypadało, by błąkała się z tobołem na plecach. – Czy mam przyjemność z Aldoną Burzyk?

– We własnej osobie – odparła i uśmiechnęła się lekko, wyciągając dłoń do powitania.

Głosik miała nader przyjemny, a kiedy się uśmiechała, okazała się nawet ładna. Może jednak nie jest ponurą sową? Odebrał od niej torbę i zataszczył ją do bryczki. Dziewczyna rażno wskoczyła na kozioł obok woźnicy, nie zamierzała jechać na wygodnym siedzeniu dla pasażerów. Trochę go to zdziwiło, zakrawało to na przesadną poufałość, szczególnie że był teraz jej pryncypałem. Powstrzymał się jednak od uwag, usiadł obok niej i zaciął konie. Bryczka potoczyła się po nierównym bruku.

– Proszę mi opowiedzieć coś o sobie i naszym drogim jaśnie państwie. Kim pan jest we dworze, panie Krzysztofie? Jaką pan pełni funkcję, hę? – spytała.

Domyślił się, że nie dosłyszała, kiedy się przedstawiał, lub nawet nie znała nazwiska swoich nowych pracodawców. Było to niewykluczone, szczególnie że wyprawiono ją w dużym pośpiechu, sam wszak na to nalegał.

– A jak panienka myśli, kim jestem w Chojniakach?

– Chojniakach? Ach, tak się nazywa ta posiadłość, prawda? Ale wracając do rzeczy, to wygląda mi pan co najmniej na rządcę. Albo ekonoma – powiedziała z uśmiechem. – Ale może być też koniuszym, choć strój świadczy o urzędniczej funkcji. Surdut i kamizelka to obowiązkowy uniform oficjalisty.

– Trafne spostrzeżenie, panno Aldono. Poniekąd zgadła panna. To teraz proszę opowiedzieć mi co nieco o sobie.

Wzruszyła ramionami.

– Wiele do opowiadania to nie mam. Jestem sierotą, mama zmarła osiem lat temu, na suchoty. Papa odszedł bardzo niedawno, o czym mówi choćby żałoba, którą noszę, i moja kwaśna mina. Jestem córką niezamożnego rzemieślnika z Warszawy, ojciec jednak zadbał o moje wykształcenie. Uczyłam się na pensji, potem w Liceum Żeńskim z klasą pedagogiczną, w końcu zaliczyłam szkolenie nauczycielskie i egzamin w Wyższej Szkole Rządowej. Chciałabym przejść praktykę z prawdziwymi uczniami i wyjechać na uczelnię, może do Francji lub Szwajcarii, bo u nas kobiety nie mogą studiować. W wykształceniu osiągnęłam już wszystko, co jest możliwe, ale w dalekim cywilizowanym świecie jeszcze wiele mam do zdobycia. Chcę skończyć studia pedagogiczne, zostać profesorką, wrócić do

Polski i uczyć dziewczęta w jakimś gimnazjum lub liceum. Napiszę książkę o pedagogice, zajmę się działalnością charytatywną, będę uczyła sieroty i ubogie dzieci, zostanę uznaną i zasłużoną działaczką społeczną. Dadzą moje nazwisko jakiejś niewielkiej uliczce lub szkółce dla ubogich dzieci. Taki mam plan.

– Bardzo panienka zdecydowana i konkretna. A gdzie w tym planie miłość, małżeństwo, własne dzieci?

– Na razie nie ma na to miejsca w moim życiu. – Znów wzruszyła ramionami. – Nie rozglądam się za mężem, chcę być kobietą samodzielną, która sama o sobie decyduje i sama na siebie zarabia. Ale, panie Krzysztofie, niczego mi pan nie opowiedział o domownikach Chojniaków. Jacy są państwo, a jakie ich dzieci?

Dotarli do opłotków Łowicza i brukowana droga nagle się skończyła. Znaleźli się na polnym dukcie, zrytym kołami wozów i mocno błotnistym. Na szczęście dziś nie padało i bryczka poruszała się bez przeszkód. Mijali ostatnie drewniane chałupy, z zagrody czekały na nich psy.

– Państwo, jak to państwo, typowa wiejska szlachta. Tacy jak oni powoli stają się przestarzali, żyją we dworze jak ziemianie w siedemnastym wieku. To już nie te czasy, nadchodzi era przemysłu i wielkich miast, ech... Dziedzic jest wąsaty i najchętniej siedzi w tartaku lub włóczy się po lesie. Jego żona, Eufemia, lubi przesiadywać z nosem w książkach, najchętniej w powieściach francuskich. Takich o miłości w pięknych okolicznościach, gdzieś na dworze Marii Antoniny najlepiej. Dzieciaków jest trójka. Najstarsza, Ania, ma dziesięć lat i chce zostać amazonką. Lubi konie i zdarza się jej wbrew woli rodziców jeździć na oklep. Piotrek, lat osiem, szykuje się na żołnierza. Nasłuchał się opowieści dziadka Dominika i planuje karierę generała, musi mu to panienka wybić z głowy, zanim pójdzie do gimnazjum. Ostatnie dzieciątko to Jadzia, lat sześć. Kocha motylki i mazać kredkami po wszystkim, co się da. Słodkie dziecko o wielkich oczach i ogromnym sercu. Niestety niesforne, trzeba je trochę utemperować i zmusić do systematycznej pracy, szczególnie nad kaligrafią.

– Dziadkiem Dominikiem chyba nie będę się musiała zajmować?

– Och, zdecydowanie nie. Za to dziadek będzie się z pewnością chciał zajmować panienką. Proszę go nie dopuszczać do siebie, bo mimo wieku jest nad wyraz... chutliwy – ostrzegł ją z całkiem poważną miną. – I to cała nasza rodzina...

– Nie brzmi strasznie, chyba jakoś dam sobie radę. – Wystawiła twarz na wiatr pachnący wiosną i ciepły.

– Nie zjedzą panienki, nie ma obawy.

Krzysztof uśmiechnął się pod wąsem. Polubił tę czarną wronę, okazała się sympatyczna, choć chyba nieco oderwana od rzeczywistości lub nieprzesadnie inteligentna. Nadal nie zdawała sobie sprawy z tego, że to on jest dziedzicem. Trzasnął mocniej lejcami w końskie zady, chciałby dotrzeć do domu o rozsądnej porze, zdecydowanie zbyt dużo czasu poświęcił tej dziewczynie. Bryczka zakołysała się na wybojach i panienka omal nie zleciała w błoto. Złapał ją w ostatniej chwili za ramię i przyciągnął do siebie, tak że wpadła mu w ramiona.

– Pan wybaczy, panie Krzysztofie – powiedziała, odsuwając się od niego, jakby parzył. Na jej bladej twarzy pojawiły się rumieńce, a właściwie wypieki. – Nie mam eksperyencji w jeździe po wiejskich duktach. Będę mocniej się trzymała.

Była zupełnie niewinna i bez doświadczenia z mężczyznami. Przynajmniej tyle dobrego, nie było niebezpieczeństwa, że doprowadzi do jakiegoś miłosnego skandalu. Eufemia też powinna ją polubić, o ile guwernantka będzie chciała z nią dyskutować o książkach. On w każdym razie nie zamierzał odwozić jej od razu na dworzec, przynajmniej nie dzisiaj. Właściwie ostateczną decyzję i tak pewnie podejmą dzieci.

* * *

Eufemia najbardziej lubiła przesiadywać w buduarze, żeńskim pokoiku przylegającym do salonu. Nie gromadziła tu bibelotów, jak miały w zwyczaju inne panie domu, za to zagrabiła go półeczkami i regałami w całości wypełnionymi książkami oraz czasopismami kobiecymi, które namiętnie prenumerowała. Znajdował się tu też wygodny szeslong, na którym polegiwała, oddając się lekturom. Przynajmniej wówczas, gdy nie wzywały domowe obowiązki. Na szczęście te w większości już dawno przejęła od niej gospodyni, Lucyna Wąsikowska. Pani Kęszycka mogła zatem w otoczeniu kwiatów i roślin w doniczkach, przy świetle lamp naftowych, oddawać się pasji czytelniczej. Czasem zasiadała do biurka i pisała listy do przyjaciółek, rodziny i redakcji gazet, które zdarzało się, że drukowały jej spostrzeżenia.

Czekając na powrót męża, wczytywała się w ostatni numer „Ateneum”, pisma niezwykle ambitnego, poświęconego literaturze, filozofii i sztuce. Właśnie rozkoszowała się kolejną częścią najnowszej powieści Kraszewskiego. *Szalona* opowiadała o losach emancypantki Zoni, buntowniczej sieroty, która oddaje się bez reszty rewolucyjnym nastrojom. Odrzuca patriarchalny system tradycyjnych wartości i postanawia się usamodzielnic, odsuwając od siebie wszelkie erotyczne uczucia i oddając jedynie racjonalnym związkom intelektualnym i duchowym. Eufemię niezwykle poruszały jej burzliwe losy. Początkowo nie wiedziała, czy powinna dziewczynie kibicować, czy oburzać się na jej rewolucyjną postawę. W końcu zdecydowała się, że będzie za nią trzymała kciuki, niech sobie Zonia żyje nowocześnie i wbrew regułom społecznego współżycia ugruntowanym na przestrzeni wieków. Niestety niemal pewne było to, że bohaterka zostanie za swój bunt ukarana, a czytelnik nauczony, że rzekomy postęp może zwieść młodzież na manowce i doprowadzić do zguby.

– Jada! – huknął dziadek Dominik, który przesiadywał na ganku mimo chłodnych jeszcze dni.

Wścibski staruszek lubił mieć na wszystko baczenie. Po jego okrzyku rozległy się piski dziewczynek i tupot stóp dzieci ciekawych nowej nauczycielki. Wprawdzie ledwie co były wstrząśnięte tragiczną śmiercią poprzedniej guwernantki, ale dość szybko przeszły nad jej odejściem do porządku dziennego. Nic dziwnego, nikt specjalnie nie lubił tamtej smutnej jak grób panny.

Wrona – pomyślała Eufemia, przyglądając się dziewczynie, która na dziedzińcu przed dworem witała się z domownikami. Dziewczyna była czarnowłosa, czarnooka i do tego ubrana cała na czarno. Na szczęście na widok dzieci uśmiechnęła się szeroko i zaczęła witać, potrząsała ich rękami i przedstawiała się każdemu z osobna. Wypytywała ich o wiek, znane piosenki i tańce, Annę o preferowane umaszczenie i rasy koni, Jadzię o ulubione kolory, motyle i kwiaty, a Piotra o broń i najsłynniejsze bitwy, o których słyszał. Była dobrze przygotowana, widocznie wypytała Krzysztofa po drodze o preferencje dzieci. Od razu zdobyła u Eufemii punkty za inicjatywę i umiejętność odnalezienia się w sytuacji. Mało tego, dziadkowi tylko dygnęła i właściwie ignorowała jego nieustanne głędzenie, skupiając się wyłącznie na dzieciach. To świadczyło o tym, że jest profesjonalistką i w dodatku dzieci po prostu lubi. Kogoś takiego było im

trzeba, oby tylko nie okazała się melancholiczką jak ta poprzednia. Ukłoniła się głęboko Eufemii, ale kiedy Krzysztof podszedł do żony i pocałował ją w policzek, po czym objął w pasie, Wrona omal nie zemdląca. W każdym razie zrobiła się jeszcze bledsza i otworzyła szeroko oczy.

– Panie Krzysztofie, pan jesteś dziedzicem, a nie rządcą – powiedziała w końcu.

– Dworował sobie, co? On już tak ma, czasem zachowuje się jak sztubak.
– Eufemia domyśliła się, w czym rzecz, złapała dziewczynę za dłoń i potrząsnęła nią mocno. – Witaj w Chojniakach, panno Aldono. Czuj się u nas jak u siebie w domu.

– Wystarczy Ado, będzie mi miło. Mam coś dla pani – bąknęła Aldona i sięgnęła do swojej wielkiej torby.

Grzebała w niej przez chwilę, na szczęście prezent, który dostała od przyjaciółki ze szkoły, znajdował się na wierzchu. Córka księgarza podarowała jej rzecz jasna książkę, a jako że była dość roztrzepana, nawet nie wpisała do niej dedykacji. Ada wręczyła ją pani Eufemii, która natychmiast rozkwitła w uśmiechu.

– Och, Orzeszkowa, jak miło! To *Meir Ezofowicz*, piękne dzieło etnograficzne o polskich Żydach. Wychodziło w odcinkach w „Kłosach”, ale nie czytałam wszystkich części, bo prenumerata nie zawsze tu trafia, czasem ginie po drodze. Teraz będę miała zbiorcze wydanie z ilustracjami. Patrz, Krzysiu.

– Tak, coś pięknego – mruknął dziedzic i szerokim gestem wskazał dziewczynie wejście. – Zapraszam. Mam nadzieję, że jest dla nas wieczerza, bom zgłodniał niczym wilk. Kilka godzin kołysałem się bryczką w tę i z powrotem. Poza tym panna Ada z pewnością też by się posiliła.

– Pewnie, że na was czeka, synku – oznajmił dziadek Dominik. Ujął dziewczynę pod ramię i poprowadził ją do dworu, gadając nieustannie. – Kazałem Ali odłożyć z obiadu po sztuce mięsa z sosikiem chrzanowym dla was, do tego zaraz wam nagotuje kluseczków. Jest też kompucik z suszu owocowego zaprawiony miodkiem, palce lizać. U nas dobrze się jada, panienko. Nie to co u was w mieście. Na śniadanie zawsze jest miód z naszej pasieki i mleko od naszych krów. Ala piecze chleb dwa razy w tygodniu, znaczy zawsze jest świeży i pachnący. Do tego mamy twaróg, tak – dużo twarogu i śmietany, oczywiście jaja, kasze, słoninę i kaszanki,

wszystko własne. My samowystarczalni, tak nas polskie losy nauczyły, by liczyć tylko na siebie. Poza tym ze trzy razy w tygodniu jemy mięso, nie licząc kur, bo kurę można częściej, jak kto chce. Z moimi zębami najbardziej lubię taką rozgotowaną w rosole lub bulioniku. A co się dziś jada w Warszawie? Dalej tylko raki i flaczki po warsiasku?

– Też, ale nie tylko. Znamy już nawet twaróg i miód, zdarza się także sztukamięś – odparła bez zastanowienia.

– Dawno nie byłem w stolicy, jeszcze przed powstaniem, tym styczniowym. Miazmaty z rynsztoków były takie, że oczy łzawiły. Gdzie się nie okręcisz, to żebrak siedzi i rękę wyciąga lub końskie łajno się wala nieuprzątnięte, do tego wszędzie pełno Moskali. Tfu, pies z nimi tańcował, nie lubię Moskali. U nas ani jednego nie uświadczysz.

– Starynkiewicz obiecał budowę filtrów i kanalizacji, rynsztoki już zasypują i lada dzień powietrze ma być jak na wsi. Tyle że coraz więcej fabryk, które czadzą kominami od rana do wieczora. Jeden smród zastąpi drugi, jak to w mieście. Za to mamy piękne tramwaje konne, dużo drzew i zadbanych parków, eleganckie pałace, teatry, muzea i Dolinę Szwajcarską. Lubię moje miasto, mimo pewnych niedostatków.

– Zabierze nas panna Ada na wycieczkę do Warszawy? – spytała Ania. – Musimy poznawać świat, bo tu tylko las i pola. Nuda przeokropna.

– Człowiek inteligentny nigdy się nie nudzi – wtrąciła pani Eufemia. – A teraz odstępście, musicie wszyscy iść krok w krok za Adą? Oto pokój panienki, tu jest łóżko, kominek, za zasłoną przebieralnia i umywalnia. Niezbyt wytwornie, ale przytulnie i wygodnie.

– Pięknie – przyznała szczerze dziewczyna.

Mieszkanko w kamienicy, gdzie się wychowała, było wilgotne i ponure, bo gmach naprzeciw zabierał całe światło. Tu miała duży pokój pachnący suszonymi ziołami, z dwoma oknami wychodzącymi na zielony ogród. Pełno było słońca i świeżości, aż usta same składały się do uśmiechu.

– Odświeżę się po podróży i natychmiast do państwa wrócę – powiedziała.

Eufemia wypchnęła za drzwi całą czeredę, na czele ze stawiającym opór dziadkiem, który zaczął właśnie wygłaszać mowę o wyższości wsi mazowieckiej nad śmierdzącymi miastami. Uśmiechnęła się jeszcze raz do panienki, która wzbudziła jej sympatię, i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Aldona rozłożyła ręce i z westchnieniem padła twarzą na łóżko. Zaczynała właśnie nowe życie.

* * *

Pierwsze dni były dla niej nieco trudne, musiała wejść w rytm, którym toczyło się życie w Chojniakach. Szybko też uświadomiła sobie, że jej praca, mimo iż tyczy tylko trójki dzieci, wcale nie jest łatwa ani lekka. Zaczynała się rankiem, państwo jedli śniadanie razem, czasem nawet w sypialni, chyba że Krzysztof wyrwał się do lasu jeszcze przed świtem, wówczas pani śniadała sama w swoim buduarze. W tym czasie Ada musiała pobudzić dzieci i dopilnować, by się umyły, ubrały, pościeliły łóżka i zasiadły razem z nią do posiłku. Niestety często do kuchni, gdzie się zbierali, przychodził wówczas dziadek Dominik, by zjeść razem z wnuczetami. Zazwyczaj wszyscy, łącznie z Adą, pałaszowali owsiankę na mleku, ale do wyboru był także chleb z twarogiem i miodem, a do popicia zagrzane mleko dopiero co wydojone od krowy. Dziadek gadał nawet z pełnymi ustami, a zawsze miał coś do powiedzenia właściwie na każdy temat. Aldona musiała zwracać uwagę, czy pan Dominik coś w ogóle je, i postarać się, by nie skończył jedynie na mówieniu.

Okazało się bowiem, że taka dyskretna opieka nad staruszką także należy do jej zadań. Zakres obowiązków pani Eufemia przedstawiła jej już pierwszego dnia:

– Przypilnujesz, Ado słodka, by dziatwa dbała o higienę i porządek, będziesz strzegła pór posiłku i miała baczenie, by zjadły tyle, ile należy. Mają po sobie sprzątać, zarówno pokoje, jak i naczynia po posiłku. Zadbasz o ich schludną odzież i w razie potrzeby sama dokonasz stosownych reperacji. Chyba na pensji uczyli cię posługiwania się igłą, prawda? Zerkniesz też na mojego teścia, bo chudy jest jak kij, zapomina czasem zjeść. Podsuń mu miskę lub kromkę z masłem, ucieszy się, przy okazji poprawi swój dobrostan. – Eufemia przemawiała, przechadzając się po salonie i gestykułując prawą dłonią, w której trzymała książkę. –

Po śniadaniu zaczniesz lekcje, dzieci mamy naszykować, by kiedy wyruszą do szkół, były doskonale przygotowane intelektualnie. Konieczne są zatem dla całej trójki lekcje kaligrafii, arytmetyki, gramatyki polskiego i rosyjskiego, podstaw literatury, historii ojczystej i Imperium Rosyjskiego, także podstaw geografii i nauk o przyrodzie. Chcemy zatrzymać przy sobie

dzieci jak najdłużej, ale kiedy Ania skończy czternaście lat, pojedzie do liceum z internatem. Po niej reszta ptaszków wyfrunie z gniazda. Liczymy na to, że będą już wówczas świetnie umiały latać. Zadbaj o to, Ado. Stworzymy ci do tego jak najlepsze warunki.

Zaraz, muszę tu siedzieć, dopóki Ania nie wyfrunie, czyli aż cztery lata?! – wrzasnęła Aldona w myślach. Poczowała grozę. Cztery lata wydały się jej szmatem czasu. A co, jeśli państwo zażyczą sobie, by dopilnowała także wyfrunięcia Piotra i Jadzi? Najmłodszej córce czternastka stuknie dopiero za osiem lat, o nie, to stanowczo za długo jak na pobyt na wsi, gdzieś na końcu świata. Nie ma mowy, ucieknie stąd znacznie wcześniej, przecież i tak nie zatrzymają jej siłą.

Tymczasem po śniadaniu musiała rozpocząć lekcje. Te odbywały się w jednym z dostosowanych do tego pokoi. Jako że każde dziecko było w innym wieku, Ada musiała dosłownie się troić. Zadawała Ani przykłady do rozwiązania z arytmetyki, Piotrowi fragment książki do przeczytania, po czym siadała do kaligrafii z najmłodszą, Jadzią. Następnie kazała małej rysować, a w tym czasie sprawdzała zadania Ani i omawiała z nią błędy, po czym wręczała jej książkę z fragmentem do lektury i sama siadała z Piotrem, by przepytac go z tego, co w tym czasie przeczytał. I tak rotacyjnie obskakiwała każde z dzieci. Niestety te szybko zaczynały się nudzić nauką i szukały rozrywek. Pierwsza narozrabiała Jadzia, która usiadła z kredkami w kącie i namalowała na białej ścianie motyla siedzącego na kwiatku. Ada złapała się za głowę, po czym zabrała małej kredki i kazała jej wracać do stolika.

– Ale nie będziemy bić, prawda? Obiecuję, że zmyję tego motylka – powiedziała Jadzia strasznie skruszona, z oczami szklącymi się od łez i trzęsącą się brodą.

– Bić? O czym ty mówisz? – spytała czujnie guwernantka.

– O różgach na gołą pupę. Tak robiła nam panna Joanna, zanim łyknęła trutkę i odleciała do aniołków – odparła dziewczynka. – Tam się zwykle moczyły różgi, w wiaderku w kącie, ale Piotruś zabrał i schował wiaderko, by nowa panna nie miała gdzie różg moczyć.

– Nie będzie żadnego bicia, dopóki ja tu uczę – odparła chłodno Ada.

Sama oczywiście doświadczyła w szkolnych czasach prania linijką po łapach i targania za uszy, ale uważała takie metody za skandaliczne, a nauczycieli się nimi parających za nieudaczników, którzy minęli się

z powołaniem. Ludziom bijącym dzieci nie powierzyłaby nawet pasania świń, ale zdawała sobie sprawę z tego, że kary cielesne są powszechne i akceptowane. Ona jednak szła z postępem: do dzieci tylko z otwartym sercem, żadnej chłosty ani cięgów.

Kilka dni później musiała zrewidować swoją postawę, bo miała ochotę nie tylko sprać, ale wytargać za uszy Piotrka, a potem jeszcze raz go zbić, i to najlepiej tęgim kijem. Chłopak miał chyba gorszy dzień, bo najpierw cały czas się wiercił, wchodził jej w słowo i przedrzeźniał złośliwie siostry, aż w końcu prasnął książką w okno, aż szyba pękła i rozpadła się z brzękiem. Twierdził, że mierzył w gza, który ciągle mu przeszkadzał, i zupełnie niechcący cisnął za mocno. Jeszcze tego samego dnia Jadzia pomazała kredkami blat swego stolika, zamieniając go w ukwieconą łąkę, a kolejnego Ania wymknęła się do stajni i po powrocie śmierdziała końskim potem jak jakiś stajenny.

Mimo wszystko Ada zapanowała nad sobą, nie wprowadziła też drakońskich metod ani spartańskiego wychowania. Starła się tłumaczyć, upominać i surowo wymagać, ale bez użycia siły. Dzieciaki jednak i tak rozrabiały, kiedy tylko zanadto im się nudziło, a ona nie miała ich na oku.

W południe siadali wszyscy do obiadu w jadalni, Ada musiała przypilnować, by jej wychowankowie umyli ręce i twarze, do tego wyglądali schludnie. Krzysztof wracał na posiłek do domu, chyba że coś zatrzymało go w tartaku. Guwernantka zasiadała razem z państwem i dziećmi, dołączał dziadek i gospodyni Lucyna, która pełniła właściwie funkcję ochmistrzyni. Po obiedzie nadchodził czas odpoczynku, dzieci mogły przez dwie godziny się bawić, po czym Ada zwoływała je na popołudniowe lekcje, które trwały do osiemnastej. Wieczorem zarówno jej podopieczni, jak i ona mieli wolne, ale tylko teoretycznie. Eufemia nalegała, by pod wieczór Ada prowadziła luźne lekcje muzyki. Nie było sensu zatrudniać do tego metronoma, jak czyniono we dworach w dawnych czasach. Umiejętności Aldony, które wyniosła z pensji, powinny wystarczyć. Umiała grać na pianinie i śpiewać, bo tego nadal uczono panny w żeńskich szkołach, wieczorami urządziła zatem z dziećmi muzykowanie i wspólne śpiewy. Nie musiała nawet sprowadzać nut, bo okazało się, że w swoich zbiorach Eufemia ma kilka śpiewników i wydawnictw z nutami. Nie dało się zatem wymigać i zajęcia prowadzone były do wieczora, po czym znów trzeba było dopilnować higieny dzieci i tego, by położyły się

spać o rozsądnej porze. W końcu nadchodził czas wolny także dla Ady, ale jedyne, na co miała siłę, to doczołganie się do łóżka.

Przynajmniej spała jak zabita, we dworze panowała bowiem niebiańska cisza. Żadnego brzęczenia tramwajów, stukotu kopyt na bruku, syren fabrycznych, krzyków pijaków czy podobnych atrakcji, które w mieście zakłócały jej sen. Tylko cisza, szum wiatru w konarach drzew, czasem dzwonienie deszczu o szyby i parapety. O tak, spało jej się dobrze, jak nigdy wcześniej.

Rozdział 2

*Między nami nic nie było!
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych!
Nic nas z sobą nie łączyło –
Prócz wiosennych marzeń zdradnych...*

Adam Asnyk (1838–1894), *Między nami nic nie było*

Dwa miesiące zleciały jak z bicza strzelił. Nadeszło lato, a wraz z nim przerwa wakacyjna. Ada dostała zalecenie, by zwolnić z nauczaniem i pozwolić dzieciom więcej czasu spędzać na zabawach. Płacono jej nadal pełną stawkę, ciągle oczywiście musiała mieć baczenie na podopiecznych i wymyślać im zajęcia. Nie dręczyła ich jednak kaligrafią ani arytmetyką, prowadziła zabawy, urządzała gry i robótki ręczne, a te ostatnie szczególnie lubiła Jadzia. Poza tym chodziła z nimi na spacerzy do lasu i nad rzeczkę Rawkę. Dała się też namówić Annie na przejażdżkę wierzchem, choć wcześniej tylko ze dwa razy w życiu siedziała na koniu. Przesiadывała z dziećmi w ogrodzie, zwykle pod starą jabłonią, i czytała im na głos książki. Pozwalała malcom ganiać do woli i czasem bawiła się z nimi w berka. Stopniowo ta beztroska i sielankowość ją wypełniały, przesiąkała nimi, przyrodą i oderwaniem od świata, uspokajała się dzięki temu i łagodniała. Zapomniała zupełnie o troskach, biedzie i śmierci ojca, znikły wszelkie ciężary z serca, nawet ambicja, by jak najszybciej wrócić do miasta. Ada coraz bardziej cieszyła się życiem.

Odezwała się w niej młodość. Miała przecież ledwie dwadzieścia jeden lat, jej serce, nieobciążone smutkiem, chciało bić dla kogoś jeszcze. Było otwarte i czekało na to, aż wypełni je uczucie. Nie myślała o tym, nie przyznałaby przed sobą otwarcie, że pragnie ciepła, bliskości, by ktoś się o nią starał i troszczył, wziął w ramiona i ukochał, ale natura okazała się silniejsza niż wszelkie opory. Jej ciało i umysł były gotowe na miłość i czekały na nią niecierpliwie.

Pierwszy zaczął się starać o jej zainteresowanie Poldek, parobek pracujący we dworze. Chłopak pochodził z Bolimowa, był silny i energiczny. Zajmował się końmi, rąbał też drewno na opał i wykonywał wszystkie prace fizyczne. Kiedy robota była ciężka, a słońce prażyło niemiłosiernie, zdejmował koszulę i świecił nagim spoconym torsem. Był ładnie zbudowany i pełny życia, kipiał wprost męskością i Ada złapała się

kilkakrotnie na tym, że gapi się na niego i czuje wówczas coś... jakby gorąco pulsujące w podbrzuszu, a może i wyżej, aż pod sercem. Ciągnęła ją do niego, ale szybko się zorientowała, że chłopak jest bardzo prosty, by nie powiedzieć prostacki, i nie ma z nim o czym rozmawiać. Słownictwo nawet miał ubogie, a wiedzę na jakikolwiek temat inny niż gospodarski zerową. Potrafił tylko prężyć mięśnie i przyjmować pozy, uśmiechać się i rzucać komplementy toporne, jakby były ciosane z kamienia. W końcu zobaczyła go w towarzystwie podkuchennej Kaśki, szli razem roześmiani, a on trzymał dłoń na jej pośladku. Znikli gdzieś za drewnutnią. Pasowali do siebie, dziewczyna była przaśna i rumiana, a w głowie miała równie wielką pustkę co Poldek.

Kolejnym dżentelmenem okazał się rządcą Kęszyckich, pan Popowicz. Pojawiał się we dworze co kilka dni, by dyskutować z dziedzicem o interesach, rozliczać się ze sprzedanego drewna, zysków z dzierżawionych pól i łąk. Był to przystojny jegomość koło trzydziestki, wiecznie ze srogą lub śmiertelnie poważną miną, która jednak łagodniała, kiedy spotykał Adę. Raz nawet dosiadł się do dzieci, kiedy pod jabłonią czytała im bajki Konopnickiej, i gapił się na nią jak na obrazek. Pewnej niedzieli przywiózł jej bukiet kwiatów i zaprosił na przechadzkę, ale akurat Jadzia skaleczyła sobie kolano i guwernantka nie miała czasu dla absztyfikanta. Odmówiła mu zatem, co przyjął ze śmiertelną urazą i porzucił zaloty. Uznała, że w takim wypadku jest człowiekiem nadmiernie dumnym i pozbawionym empatii, skoro nie zrozumiał, że ważniejsze od randki jest cierpiące dziecko. Nie zamierzała zakochiwać się w kimś takim.

Do Chojniaków przyjeżdżał jeszcze w gości przyjaciel Krzysztofa, Andrzej Vogel, szalenie interesujący mężczyzna, inżynier i przemysłowiec z Łodzi. Był piętnaście lat starszy od Ady, ale to nie stanowiło dla niej problemu. Właściwie to wołała starszych, dojrzałych mężczyzn od młodzików, którzy mieli pstro w głowie. Pan Andrzej był wobec niej uprzejmy i szarmancki, poza tym na pierwszy rzut oka widać było, że jest osobą zasobną. W doskonale skrojonym surducie i kamizelce, z kapeluszem i fularem pod szyją wyglądał niczym księżę. Niestety traktował panie, czyli zarówno Adę, jak i Eufemię, protekcyjnie, jakby były nie w pełni sprawne umysłowo. Grzecznie, ale z pobłażaniem starał się nawet upraszczać wypowiedź, choć wiedział, że obie są odcytane i to nie tylko w romansach. Aldona uznała zatem, że jest kryptomizoginem, który

pogardza kobietami i ma je za gorsze albo zwyczajnie głupsze. Może to tłumaczyło, dlaczego mimo trzydziestu sześciu lat na karku nie znalazł sobie jeszcze wybranki. Tak czy inaczej, nie nadawał się na obiekt westchnień, w sercu Ady nie było miejsca dla tego typu jegomościów.

Doszła do wniosku, że ewentualnej miłości poszuka po powrocie do miasta. Kto wie, może na uczelni zakocha się w jakimś przystojnym adiunkcie lub nawet profesorze? Potrzebowała mężczyzny, który będzie ją wspierał w pracy naukowej, jemu pierwszemu da do przeczytania swoją książkę o pedagogice, a on wnikliwie ją oceni i wskaże błędy. Ona z kolei będzie recenzowała i redagowała jego dzieła, stoczą długie dysputy o wychowaniu młodzieży, będą szanowali się nawzajem i wspierali. Natomiast w alkowie oboje zmienią się w parę dzikusów i oddadzą namiętym łóżkowym harcom. Nowocześnie i bez zahamowań. Niestety na takiego wybranka będzie musiała jeszcze poczekać i chyba nie uda się go tak łatwo odnaleźć. Choć, kto wie? Może już tam wygląda jej z utęsknieniem?

* * *

Na początku sierpnia Eufemia zabrała Anię i udała się z nią w odwiedzinach do swoich rodziców mieszkających w Poznaniu. Wiązało się to z koniecznością przekroczenia granicy z Prusami, a zatem wcześniej z załatwieniem formalności. Trzeba było kilkakrotnie odwiedzić Łowicz w celu zdobycia odpowiednich dokumentów. W jedną z tych podróży Krzysztof zabrał ze sobą Aldonę, która chciała przy okazji odwiedzić skład z odzieżą i uzupełnić zapas bielizny, a może kupić ze dwie nowe sukienki. Państwo płacili bowiem dobrze i jej oszczędności szybko rosły. Doszła do wniosku, że nie musi wszystkiego odkładać na studia, nie wypada jej chodzić ciągle w czarnej kiecce, a te dwie uczniowskie, które przywiozła z miasta, stały się już zbyt dziecinne. Powinna zdjąć też żałobę i zacząć się nosić jak młoda, pełna życia kobieta, a nie pensjonarka, w dodatku pogrążona w smutku.

Po drodze do miasta rozprawiali wesoło, ona głównie o dzieciach, Krzysztof o pracownikach z tartaku. Oboje mieli ze swymi podopiecznymi masę kłopotów, ale teraz opowiadali o nich z humorem. Dziedzic często chodził po domu pogrążony w myślach, nieobecny duchem, może nawet zmartwiony, ale tego dnia miał pogodny nastrój i chętnie mówił o swoich

perypetiach. Usłyszała zatem historie o pijanych drwalach, którzy omyłkowo ścięli drzewa z części lasu należącej do sąsiadów, przez co Krzysztof musiał włączyć się po sądach i płacić odszkodowanie. O tym, jak jeden z pracowników zgubił się w puszczy i wyszedł z niej po całej nocy błakania się, myśląc, że jest już w Prusach. Innego gagatka ściagała po lesie porzucona kochanka uzbrojona w nożyce krawieckie i wszyscy drwale przed nią uciekli, przez co zatrzymała na pół dnia prace tartaku. Nie zawsze były to opowieści wesołe, ale Krzysztof przedstawiał je jako anegdoty. Ada spostrzegła wówczas, że jej szef jest optymistą i człowiekiem z natury wesołym. Zrozumiała, że nie tylko go szanuje za pracowitość i obowiązkowość, ale zwyczajnie lubi jako człowieka.

W Łowiczu dziewczyna udała się do sklepów i pracowni krawieckich, dziedzic w tym czasie załatwił formalności paszportowe w ratuszu i powędrował do niedawno otwartego młyna zbożowego, w którym zainstalowano potężną maszynę parową. Interesowały go bardzo takie nowinki techniczne i chciał pogadać sobie z inżynierem opiekującym się owym wynalazkiem. W drodze powrotnej do Chojniaków zatrzymali się w Bolimowie i wspólnie udali do miejscowego kościoła. Krzysztof dał na mszę za duszę swojej zmarłej mamy, a Ada za duszę ojca. Mieli już wychodzić z plebanii, kiedy dziedzic się wrócił i wręczył proboszczowi jeszcze jeden banknot.

– I za chłopców z lasu – powiedział. – Zbliża się rocznica.

– Wiem, pamiętamy o niej. – Ksiądz skinął głową. – Odprawię modły na mogile, nie trzeba mi o tym przypominać.

Wsiedli do bryczki i jechali jakiś czas w milczeniu. Ada wierciła się, bo paliła ją ciekawość, ale nie miała śmiałości, by pytać Krzysztofa, który nagle posmutniał i się zadumał.

– Wiem, że cię to męczy, Ado – odezwał się sam, zupełnie niespodziewanie. – Chodziło mi o pamięć o chłopcach z powstania, moich przyjaciołach, którzy polegli w starciach z Kozakami. Miałem wtedy osiemnaście lat i poszedłem do lasu razem z całą resztą. Wszyscy szliśmy, nie tylko ci, których Wielopolski wytypował do branki. Miałem pstro w głowie, za to swoją ulubioną dwururkę w garści. Wydawało mi się, że jestem nieśmiertelny. Wszyscy młodzi tak mają, kpią sobie z niebezpieczeństw. Przemieszczaliśmy się po okolicy, napadaliśmy na patrole Moskali, strzelaliśmy do konwojów, atakowaliśmy posterunki.

Z myśliwych staliśmy się jednak szybko zwierzyną. Sotnie kozackie zaczęły na nas polować i wybijać jednego po drugim. Każdy, kto wpadł w ich łapy, nie mógł liczyć na litość; miał szczęście, jeśli szybko go powiesili. Zwykle jednak pastwili się nad ofiarą, ciągal ją końmi, chłostali nahajkami, tratowali i siekli szablami. W końcu osaczyli nas nad zalewem, niedaleko stąd. Skoczyliśmy do wody, by się ratować. Zawsze dobrze pływałem, miałem szczęście, przepłynąłem na drugą stronę i zapadłem w las. Dobrze go znałem, a on mnie uchronił przed pościgiem, pomógł się schować, ocalił. Wróciłem do domu, gdzie ukrywałem się aż do amnestii, ale wielu moich kompanów tam zostało. Pochowano ich w jednej zbiorowej mogile. Dziś nie wolno oficjalnie odprawiać za nich mszy ani nawet ich wspominać.

Skręcił niespodziewanie w zarośniętą dróżkę prowadzącą w głąb lasu. Oznajmił, że nadłożą trochę drogi, w tym czasie coś jej pokaże. Domyśliła się, że chodzi o ową mogiłę, zrobiło się jej przykro. Rany Krzysztofa musiały być głębokie, skoro po tylu latach nadal dręczyła go ta tragedia. Ada poczuła się zasmucona, ale jednocześnie podniecona, bo oto dopuszczał ją do swoich tajemnic, bardzo intymnych, bolesnych. Miała ochotę chwycić go za dłoń i ścisnąć krzepiąco, ale to byłoby skandaliczne zachowanie. Milczała zatem i czekała na ową mogiłę.

– Oto i moja Arkadia – oznajmił, gdy niespodziewanie wyjechali na malowniczą polanę.

Była to właściwie ukwiecona łąka, ze wszystkich stron otoczona lasem, bez śladów jakiegokolwiek mogiły. Zresztą, gdyby ta się tu znajdowała, Krzysztof nie uśmiechałby się tak błogo. Zatrzymał bryczkę, zeskoczył i podał Adzie rękę. Schodząc, wpadła w jego objęcia i znów odskoczyła jak oparzona; on się tylko zaśmiał.

– Mój dziadek zbudował tu wiele lat temu domek myśliwski. Jako chłopiec spędzałem na tej polanie ze staruszką całe dnie, a czasem i noc. Tu uczyłem się lasu, życia z przyrodą, tropienia zwierząt. Piękne chwile, cudowne wspomnienia z czasów beztroski i szczęśliwości. Tyle tylko zostało... Chciałem do tego domku zabierać syna i uczyć go tego samego, czego nauczył mnie dziadek. Potem sprowadzałbym tu swoje wnuki...

– Nie ma tu śladu po domku. Coś złego się stało?

– Owszem. Tamten las, naprzeciw polany, należy do naszych sąsiadów, rodziny Klimków. Pewnego razu uznali, że także polana w połowie należy do nich, ale mój dziadek był innego zdania. Idiotyczny zatarg, szczególnie że zasadniczo nasze rody nie konkurowały ze sobą, a nawet się przyjaźniły. My zajmowaliśmy się tartakami, oni hodowlą bydła, które wypasało się także na naszych łąkach. Całe dzieciństwo bawiłem się z Jakubem Klimkiem, który zresztą przychodził także do tego domku. Stało się jednak, Klimkowie się zbiesili, zażądali, byśmy rozebrali ten domek, bo niby znajdował się na ich ziemi.

Rozmawiając, szli przez łąkę, ramię obok ramienia, tak że dziewczyna czuła bliskość dziedzica, miała niemal wrażenie, że ten ją obejmuje. I zrobiło się jej od tego gorąco, chciała, by naprawdę to zrobił, przyciągnął ją do siebie i pocałował.

– To było już po powstaniu. Jakub, który walczył razem ze mną w tej samej powstańczej partii, chował do mnie pretensje. Wojna go zepsuła, zgorzkniał, zmienił się, zrobił gwałtowny i agresywny, nie do życia. Zażądał oddania domku, a kiedy odmówiłem i zaproponowałem rozstrzygnięcie sprawy w sądzie, pewnej nocy po prostu podpalił moją Arkadię, zniszczył raj mego dzieciństwa.

– Teraz możesz odbudować tę myśliwską chatkę, drewna masz pod dostatkiem – zauważyła Ada. – Panie Krzysztofie – dodała poniewczasie.

– Możesz mi mówić po imieniu, tak będzie wygodniej. – Uśmiechnął się. – Jednak nie przy Eufemii, potrafi być bardzo zasadnicza i uznałaby to za nadmierne spoufalanie się z personelem. Ja jednak mam wrażenie, że znamy się od dawna i właściwie jesteś członkiem rodziny.

– Pracuję dla was raptem cztery miesiące – odparła, czując, że rumieńce palą jej policzki. – Miło mi jednak niezmiernie, Krzysztofie, że uważasz mnie za kogoś godnego zaufania.

– Tak, Ado, lubię cię. Widzę, jak ciężko pracujesz i że jesteś dobrym człowiekiem, zresztą wszyscy cię lubią, nawet mój ojciec. Przy tobie tak nie sarka ani nie próbuje wszystkich obrazić. Ach, wracając do myśliwskiej chatki, to nie mogę jej tu postawić bez zgody Klimków. Sąd uznał, że granica między naszymi włościami rzeczywiście przebiega przez środek polany. Proponowałem im, że odkupię tę ziemię, razem z ich lasem. Przydałaby mi się, gotów nawet jestem oddać im łąki, które ciągną się tam

dalej, ale nie chcą się ze mną układać. Jakub ma mnie za wroga. – Machnął ręką, jakby zrezygnowany.

Nie wytrzymała, tak się jej go zrobiło żal, że ujęła jego dłoń i ścisnęła pocieszająco. Stanęli naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy. Drżała, serce jej tłukło się w piersi, odchyliła głowę i lekko uchyliła usta, szykując się na pocałunek. Niech wreszcie to zrobi, na co czekał?

– Musimy już wracać, Eufemia z pewnością się niepokoi. – Delikatnie uwolnił dłoń i cofnął się o krok.

Teraz zalały ją już nie tylko rumieńce, czuła, że cała robi się czerwona jak burak. Co też jej przyszło do głowy, co sobie myślała? Przecież to stateczny, porządny człowiek, ojciec trójki dzieci, kochający mąż. Wybełkotała jakieś nieskładne przeprosiny, ale on jedynie się zaśmiał, chyba ta sytuacja tylko go rozbawiła. Nie uważał jej ani za wariatkę, ani za uwodzicielkę. Zdaje się, że jedynie polecthała jego męską próżność. Pewnie uznał, że nadal jest dla pań atrakcyjny, skoro stateczna guwernantka tak łatwo uległa jego czarowi. Pomógł jej wsiąść na zydel woźnicy, wesoło wskoczył obok i zaciął konie.

Na szczęście już się tak nie smuci ani nie pogrąża w melancholii – pomyślała, kiedy wstyd nieco zelżał. Tyle potrafię zdziałać, rozśmieszyć go i rozweselić. Przynajmniej tyle...

* * *

Zakochała się. Odsuwała od siebie tę myśl przez kilka kolejnych tygodni, wmawiała sobie do znudzenia, że zupełnie nic się nie dzieje, że to wszystko to tylko jej nadmiernie rozbudzona imaginacja. Tyle że jego obraz miała przed oczami, kiedy tylko wstała z łóżka. Gdy coś do niej mówił lub był blisko, serce waliło jej w piersi jak oszalałe, a język zaczynał się plątać. Myślała o nim podczas zabaw z dziećmi, posiłków i codziennej rutyny. Zasypiała, wsłuchując się w jego głos, który rozbrzmiewał w jej głowie. Marzyła o tym, że ją przytula, całuje, trzyma za rękę. Posuwała się w tych marzeniach dalej i dalej. Zdejmował z niej bieliznę i całował całą, centymetr po centymetrze. Oddawała mu się z rozkoszą, czasem się wzbraniała, ale zawsze w tych fantazjach kończyło się to jednak, na gorących zmaganiach.

Co z Eufemią? Lubię ją przecież i nie chcę jej krzywdy – powtarzała w myślach. Najlepiej by było, jakby zachorowała i zmarła. Mogłaby

pośliznąć się na schodach i roztrzaskać głowę lub zatruc sosem grzybowym... Co ja też wygaduję? Nie chcę, by cierpiała. Niech odejdzie we śnie, łagodnie i bez bólu. Wtedy Krzysia trzeba będzie pocieszyć, dzieci też. No i zając się nimi. Czy byłabym w stanie im matkować? Ha, dobre sobie, przecież robię przy nich bez porównania więcej niż matka. Mam wrażenie, że znam je lepiej niż Eufemia.

Potem jednak przychodził pałący wstyd. Jak mogła myśleć w ten sposób? Jeszcze trochę i zacznie planować pozbycie się rywalki. Obrzydliwe, nie spodziewała się po sobie podobnych emocji i myśli. Uważała się za prawą i przyzwoitą, pozbawioną agresji, zawiści, nic nieznaczących pragnień. Powinna natychmiast wymazać Krzysztofa z serca i z marzeń, nie zapominać o wyznaczonym dawno celu, o powrocie do miasta i karierze naukowej. Najlepiej wcale nie myśleć o tym cholernie przystojnym dziedzicu, każdą myśl o nim zwalczać w zarodku, dusić wszelkie ciepłe uczucie i niweczyć rzewność, kiedy tylko ta się pojawiała. Nie patrzeć w jego stronę, unikać jego uśmiechów. Wybić go sobie z głowy, koniec i kropka.

Łatwo powiedzieć, ale przecież co dzień miała z nim do czynienia. Siadali razem do obiadów, nierzadko przychodził pobawić się z dziećmi lub z nimi porozmawiać albo tylko pobyc. Robił to częściej i chętniej niż Eufemia, więc siłą rzeczy Ada musiała go znosić, patrzeć na niego i myśleć o nim.

Minęły dożynki, nadeszła jesień, a z nią słoty i niepogoda. Domownicy więcej czasu spędzali razem, w salonie, przy rozpalonym kominku, bo w pokojach czuć już było chłód. Dni robiły się coraz krótsze, Ada nie prowadziła lekcji do zmroku, zamiast tego czytała dzieciom na głos. Początkowo w pokoju do nauczania, potem dziadek wymógł na niej, by wszyscy sadowili się w salonie, bo tam było cieplej i milej. Krzysztof zapalał lampy naftowe i świece, Ada czytała, pozostali słuchali. Lektur miała do wyboru całą masę, bo biblioteka Eufemii zdawała się nie mieć końca, poza tym prócz powieści francuskich o miłości zawierała dużo wartościowych pozycji. Właściwie gospodyni na bieżąco śledziła literaturę polską i światową, kupowała książki wysyłkowo i miała założone prenumeraty nie tylko czasopism, ale też wydawnictw literackich.

Kiedy głos Adzie słabł, zastępowała ją w czytaniu Eufemia bądź zajmowali się wspólnym muzykowaniem. Dziadek wyciągał swoją

straszliwie hałasującą harmonijkę ustną, Eufemia zносиła ze strychu niewielką harfę, na której z pasją grała w czasach panińskich. Teraz odświeżała zapomnianą umiejętność. Z Adą przy pianinie i śpiewającymi dziećmi stworzyli małą orkiestrę. Tylko Krzysztof na niczym nie grał. Twierdził, że zupełnie nie ma słuchu, za to klaskał im i się uśmiechał. Aldona starała się nie widzieć tego uśmiechu, ale zrobiłaby wszystko, byle obdarzał ją nim jak najczęściej.

Jesień przeszła niemal niezauważenie w zimę. Pewnego ranka dzieci odkryły, że świat zrobił się biały. Wybiegły lepić bałwana, choć pierwszy śnieg nie leżał długo i szybko zaczął się topić. Tydzień później jednak napadało go już wystarczająco dużo, by dało się ulepić legion bałwanów. Pewnej słonecznej, choć mroźnej niedzieli Krzysztof zarządził kulig. Wyciągnął z powozowni wóz zaopatrzony w płozy i zaprzął do niego dwa konie. Eufemia wolała zostać w domu i czytać, Ada załadowała się do sań razem z dziećmi. Dziedzic uznał, że największa zabawa w kuligu polega na tym, że pędzi się przez zaśnieżony las pełnym galopem, tak by śnieg wzbijał się całymi tumanami i spadał z mijanych gałęzi na jadących. Zaciął konie i zmusił je do wytężonego biegu ku przerażeniu Ady i radości dzieciaków, które darły się wniebogłose.

Pędzili przez zimowy las zastygły pod czapami śniegu, cichy i bajkowy. Adzie udzieliła się radość dziatwy i sama zaczęła się śmiać, głośno, na całe gardło. Ostatnio tak dobrze bawiła się w towarzystwie przyjaciółek, choć przy nich nigdy nie czuła się tak rozanielona jak przy nim. Sprawiał wrażenie nieświadomego tego, że dziewczyna pała do niego uczuciem, ani razu nie okazał jej choćby odrobiny wzajemności, ale teraz to jej nie przeszkadzało. Mogłaby tak pędzić saniami do końca świata, ważne, że razem z nim, wesołym i szczęśliwym.

Zawiózł ich w swoje ulubione miejsce, na polanę, którą nazywał Arkadią. Tu zrobili sobie mały piknik, mieli bowiem ze sobą koszyczek z bułeczkami, które są specjalnością kucharki Ali, powidła i butelkę z herbatą, która dzięki temu, że została wetknięta w futrzaną mufkę, nadal pozostawała ciepła. Dzieci rzuciły się w gonitwę po okolicy, musiały rozładować energię nagromadzoną od długiego siedzenia w saniach. Ada została sama z Krzysztofem, chyba po raz pierwszy, odkąd byli na tej polanie latem. Zrobiło się jej gorąco i to wcale nie od herbaty.

– Rozkwitasz, Ado. Mam wrażenie, że piękniejesz z każdym dniem – powiedział niespodziewanie.

Takie wyznanieomal nie powaliło jej na łopatki. Czuła nadchodzące rumieńce, wiedziała, że ich nie uniknie.

– Podobam ci się, Krzysztofie? – wymamrotała mocno speszona.

– Oczywiście, jesteś cudowna, mądra, opiekuńcza, szalenie ładna i świeża. To od powietrza i zdrowego jedzenia tak ci się poprawiło. Kiedy do nas przyjechałaś, wyglądałaś niczym ponura wrona. Podkrążone oczy, upiornie blada cera, smutek od ciebie aż bił. Zobacz, jaki zbawienny wpływ na urodę i samopoczucie ma życie na wsi. Twoja skóra jest jasna, ale zdrowa, oczy ci błyszczą, są wielkie i głębokie jak otchłań. Mam wrażenie, że nabrałaś też ciała... Och, wybaczone tę uwagę, nie była na miejscu.

– Dobrze karmicie, to prawda, zaokrągliłam się w różnych miejscach. – Zachichotała nerwowo. Co ja wygaduję, na litość boską? – pomyślała z paniką. – Zdrowo się u was żyje – dodała jeszcze.

– Nie opuścisz nas zatem zbyt szybko, prawda? Dobrze cię traktujemy, właściwie jak członka rodziny. Masz tu wszystko, czego trzeba, nie myślisz chyba o powrocie do miasta? Takie odniosłem wrażenie, bo unikasz mnie jak ognia, jakbym ci wadził lub sprawiał przykrość.

– Dobrze wiesz, dlaczego cię unikam. Nie chcę wciskać się między ciebie i Eufemię, nie chcę zakłócać waszej relacji, rozbijać związku. Czuję bowiem do ciebie... coś niepokojącego – odparła. – Wrócę do Warszawy, ale nie teraz. Obiecałam, że przygotuję dzieci do szkoły, potrzeba mi jeszcze do tego czasu.

Pokiwał głową, po czym niespodziewanie dotknął jej dłoni, ujął ją, zbliżył do ust i pocałował. Zadrżała cała, westchnęła, zamiast zabrać rękę, pogładziła go po twarzy.

– Nie wiem, czy wiele to dla ciebie znaczy, ale ja też coś czuję – powiedział. – Nie powinienem, to do niczego dobrego nie doprowadzi. Kocham swoją żonę, ale z każdym dniem coraz bardziej kocham też ciebie, Ado.

Zabrała gwałtownie dłoń.

– Nie mów tak. Tylko mieszasz mi w głowie, zranisz mnie w ten sposób. Dajesz mi bowiem nadzieję, będę marzyła i myślała, że być może kiedyś... Że nam się uda, bo prawdziwa miłość pokona wszak wszelkie przeszkody.

Przynajmniej tak utrzymują w powieściach francuskich, które tak lubi Eufemia.

Uśmiechnął się, ale zanim cokolwiek odpowiedział, rozległ się groźny okrzyk. Dzieci zatrzymały się, przerywając zabawę w obrzucanie się śnieżkami. Z lasu wyszedł wysoki barczysty mężczyzna o groźnej minie. Ubrany w kubrak podszyty futerkiem i przekrzywioną na bakier czerwoną rogatywkę, wyglądał jak zabłąkany w czasie powstaniec. Na domiar złego w garści ścisnął strzelbę.

– Kęszycki! Do ciebie mówię. Nie życzę sobie, by twoje dzieciaki biegały po moim lesie i płoszyły mi zwierzynę! – huknął wielkolud.

Twarz miał kanciastą i niesympatyczną, szczególnie ze wykrzywioną gniewem.

– Witaj, Jakubie – odparł spokojnie Krzysztof. – Wydaje mi się, że grubo przesadzasz. Doprawdy śmiechy dzieci ci szkodzą? Nie pamiętasz, jak sami ganiałiśmy po tej polanie i darliśmy się wniebogłosy?

Ada domyśliła się, że ten drab to ów Jakub Klimek, który spalił chatkę myśliwską i ciągle procesował się z Krzysztofem.

– Proszę natychmiast opuścić broń! – oznajmiła głośno i ruszyła naprzeciw intruza. – Straszy pan dzieci, do diabła! Co za pomysł, by grozić maluchom fuzją? Upadł pan na głowę czy co?

Zagotowała się od gniewu, szczególnie gdy dostrzegła, że Jadzia jest przerażona i chowa się za plecami brata. Szybko podbiegła do dzieci i zasłoniła je sobą. Klimek w jednej chwili spuścił z tonu, chyba zrobiło mu się głupio. Zrzucił dubeltówkę na ramię i podrapał się po czole.

– Panienska wybaczy, nie miałem zamiaru nikomu grozić bronią – powiedział już spokojnie. – Po prostu nie życzę sobie, by Kęszyccy kalali moją ziemię swoimi osobami. Niech wycofają się na swoją stronę lasu, o tu przez środek przebiega granica.

Prychnęła pogardliwie, ujęła Jadzię za rączkę i wskazała dzieciom kierunek, po czym odeszła bez pośpiechu. Właściwie to czuła teraz strach, wyszła przeciw uzbrojonemu draniowi z gołymi rękoma. Nie spodziewała się po sobie, że zdolna jest do takiego wybuchu furii w obronie podopiecznych. Krzysztof podszedł do nich i poprosił, by wsiedli do sań. Zawołał jeszcze do odchodzącego Jakuba.

– Wydaje mi się, że nienawiść, która cię trawi, robi się nieznośna dla wszystkich stron. Może zgodzisz się ze mną porozmawiać? Chciałem się

pogodzić, gotów jestem cię przeprosić za wszystkie winy, te prawdziwe i te przez ciebie urojone.

– Urojone? Jak masz czelność! – wycedził Jakub, odwracając się na pięcie i robiąc groźną minę. – Zostawiłeś mnie wtedy na pewną śmierć. Mnie i chłopaków, którym udało się nie zatonać... Ech, odejdz, nie mamy o czym gadać.

Ach, więc to tak – pomyślała Ada. Uraz z czasów powstania. Obwinia go, że w tragicznym momencie nie przeprowadził ich przez las. To niejasna sytuacja, muszą ją załatwić między sobą, nie ma co się wtrącać.

Nie odezwała się ani słowem, dopilnowała, by dzieci zajęły miejsca i przykryły kocami nogi. Jakub znikł w lesie. Krzysztof, milczący i zadumany, usiadł na koźle. W drodze powrotnej już nie pędził, dzieci nie żartowały ani nie rozrabiały. Jakoś nikomu nie było do śmiechu.

* * *

Do Bożego Narodzenia wszyscy zapomnieli o tym nieprzyjemnym spotkaniu. Tylko Eufemia odnotowała sobie incydent w pamięci i postanowiła odplacić Klimkom przy nadarzającej się okazji. Atak na dzieci uznała bowiem za wypowiedzenie wojny, nie zamierzała czegoś takiego tolerować.

Tymczasem nadeszły święta i wszystkich ogarnęła radosna oraz beztroska atmosfera. Dwór wypełnił się zapachami, kucharka Ala i pani Lucyna uwijały się jak w ukropie, Ada z dziećmi szykowała ozdoby, nawet Eufemia oderwała się od lektur i biegała po domu, dyrygując i doglądając przygotowań. Posiadłość została wysprzątana, przyozdobiona girlandami z kolorowego papieru i stroikami, pachniała świętami i jaśniała.

Na Wigilię przyjechali do nich w odwiedziny Andrzej Vogel, a także rodzice Eufemii, państwo Fiszerowie. Drugi dziadek dzieci, Zygmunt Fiszer, był przeciwieństwem dziadka Dominika, małomówny i zdystansowany, najlepiej się czuł, siedząc w fotelu i paląc fajkę. Babcia Eliza z kolei była małą, pulchną, a właściwie okrągłą kobietą, która w chwilę po przyjeździe przejęła pełną kontrolę nad dziećmi, pozostawiając Adę bezrobotną.

Niedługo przed świąteczną wieczerzą Aldona udała się do swojego pokoiku, by założyć najbardziej elegancki strój. Była to ta sama kiecka, w której zdawała egzamin, granatowa sukienka pensjonarki z białym

koronkowym kołnierzykiem. Nic bardziej wystawnego jednak nie miała. Kiedy zapinała ostatni guzik na karku, drzwi się bezszelestnie otworzyły i do jej pokoju wśliznął się, bez pukania i pytania o zgodę, Krzysztof. Minę miał taką, że w jednej chwili poczuła przypływ gorąca. Doskoczył do niej i wziął ją w ramiona. Tym razem, kiedy nadstawiła ochoczo usta do pocałunku, wpił się w nie łapczywie i bez zahamowań.

– Ale twoja żona... – wydyszała, kiedy odczepili się od siebie.

– Ciii... Teraz zajmuje się rodzicami, mamy chwilę dla siebie – powiedział. – Chciałem ci coś powiedzieć. Zdecydowałem się, że muszę coś z tym zrobić. To nie może dłużej tak trwać, w jakimś zawieszeniu, w niedopowiedzeniach. Spotykamy się wzrokiem, wymieniamy półsłówkami, mijamy jak obcy ludzie, a przecież czuję, że mnie pragniesz. A ja pragnę ciebie, z każdym dniem coraz bardziej, i nie mogę już tak dalej. Jeśli się zgodzisz, zrobię to, wyznam wszystko Eufemii.

– Co ty mówisz?! – Przeraziła się nie na żarty. – Jak mogłabym jej po tym spojrzeć w oczy? Wybuchnie skandal, wszyscy uznają mnie za ladacznicę. Wiesz, jak takie nazywają? Złodziejkami mężów. Nie chcę być jedną z nich. Wstyd potworny, poza tym miałabym zamkniętą drogę na uczelnię, zrujnowaną reputację i zniweczoną karierę. Nikt by mnie już nie zatrudnił, wszystkie drzwi byłyby przede mną zamknięte.

– Nie będziesz musiała pracować. Rozwiódę się z Eufemią i wezmę cię za żonę. Zostaniesz panią na Chojniakach, nikt nie będzie miał czelności zwrócić ci uwagi czy nazwać złodziejką. Nie będziesz musiała wracać do Warszawy ani na uczelnię...

Odsunęła się od niego ze srogą miną. Pokręciła głową.

– Kiedy ja chcę wrócić do miasta i na uczelnię. Nie zamierzam rezygnować z nauki czy kariery pedagogicznej, wymarzyłam ją sobie. Chcesz pozbyć się starej żony i zrobić ze mnie jej lepszą, nowszą wersję. Nie interesują cię moje marzenia ani pragnienia. Wszyscy mężczyźni jesteście tacy sami. Wydaje się wam, że szczytem naszych marzeń jest złapać któregoś za męża. Uch! – prychnęła z irytacją. – Cholerny patriarchy.

– Ach, nie to miałem na myśli. Nie zamierzam cię tu więzić, chciałem cię uszczęśliwić, kochać, tulić, dzielić się z tobą wszystkim, co mam.

Odetchnęła, uspokajając się szybko.

– Dobrze, rozumiem. I cieszę się, że wyznajesz mi uczucie, ale nie chcę załatwiać tego w ten sposób. Nie zamierzam krzywdzić twojej żony ani dzieci, rozbijać rodziny, pakować się do dworu z buciorami. Powinnam odejść, wypowiedzieć pracę, bo to się źle skończy dla nas wszystkich.

Znów wziął ją w ramiona i spojrzał głęboko w oczy.

– Nie rób tego, nie odchodź. Zrobię, jak chcesz, nikomu nie powiem, powstrzymam się. Dajmy sobie zatem czas, sytuacja sama się z pewnością ułoży. Może nasza miłość dojrzeje, by wybuchnąć płomieniem, a może sama wygaśnie? Poczekajmy.

Pokiwała głową, spuszczać wzrok.

– Dobrze, a teraz wyjdź, proszę, zanim ktoś spostrzeże, że cię nie ma.

Przez ten incydent całą wieczność siedziała jak na szpilkach. Nie czuła się dobrze, sytuacja zaczęła być dla niej niewygodna. Dzieci dostały drobne prezenty, Krzysztof ofiarował także podarunek żonie, paczkę książek, jakieś rzadkie woluminy, które sprowadził w tajemnicy. Dał też drobny upominek Adzie. Przeraziła się nie na żarty, bo wszyscy z ciekawością patrzyli, co takiego dostała od szefa. Okazało się, że to skórkowe delikatne rękawiczki, bardzo eleganckie i modne. Musiały kosztować naprawdę sporo, co wprowadziło ją w zakłopotanie. Podziękowała, uśmiechając się z zawstydzeniem.

Wieczorem cała rodzina udała się do Bolimowa na pasterkę, Ada także, by opiekować się dziećmi. Usiadła z nimi w drugich saniach, by nie jechać z Eufemią i Krzysztofem. Założyła jednak nowe rękawiczki, pasowały, jakby były uszyte na miarę. Podobały się jej, miała wrażenie, że pachną Krzysiem. Ale to musiało być tylko złudzenie.

* * *

Krzysztof zaczął wymykać się z domu, choć zimą tartaki nie prowadziły wycinek. Te miały zacząć się po roztopach, ale był dopiero luty i mróz jeszcze mocno trzymał. Dziedzic miał jednak dosyć siedzenia w domu i odbijania się pomiędzy Eufemią a Aldoną. Uświadomił sobie, że żona w końcu zaczęła dostrzegać, iż coś się dzieje. Nie była przecież głupia, pokochał ją między innymi z powodu jej bystrego, żywego umysłu. Zmieniła się z upływem lat, to prawda. Z czasem powoli przestawała interesować się najbliższym otoczeniem i pogrążała coraz głębiej w książkach, popadła w formę melancholii i zubożenia. Domyślał się

dłaczego. Dla niej życie w Chojniakach było monotonna wegetacją na odludziu, z dala od miasta, przyjaciół, życia towarzyskiego. Eugenia pochodziła z Łodzi, rosnącej aglomeracji przemysłowej, wychowała się w środowisku miejskich intelektualistów, chodziła ruchliwymi ulicami, bywała w modnych kawiarniach i sklepach, zawsze otoczona grupą przyjaciółek. Krzyś przywiózł ją na wieś, spłodził kolejne dzieci, zanedbując jej potrzeby intelektualne i towarzyskie. Może to on ją zamienił w znużoną i nieciekawą otoczenia, przedwcześnie starzejącą się kobietę? Wieś jej nie służyła, nużyła ją i nie była dla niej ciekawa. Stopniowo jego żona przeobrażała się w ponurą, pogrążoną w myślach melancholiczkę. Skutek jednak był taki, że i on tracił zainteresowanie jej osobą i wdziękami.

Czasem mimo wszystko Eufemia schodziła na ziemię i w końcu oprzytomniała na tyle, by wyczuć, że dzieje się coś bardzo niepokojącego. Atmosfera we dworze zrobiła się duszna i ciężka, w powietrzu wisiało napięcie, między Krzysztofem a Aldoną iskrzyło tak mocno, że kwestią czasu było, kiedy wszystko wybuchnie. Eufemia widziała to, jak na siebie zerkali, jak szeptali do siebie za jej plecami, ocierali się, mijając na korytarzu. Gesty, słowa, spojrzenia. To był taniec godowy, którego nie dało się nie dostrzec. Zrozumiała, że pożądamy się tak bardzo, iż ledwo trzymają swoje chucie na wodzy. Jeszcze chwila i rzucą się na siebie, nawet w jej obecności.

Krzysztof z kolei poczuł, że żona zaczyna traktować go ozięble, a wręcz złowrogo. Kilka razy zorientował się, że patrzy na niego znad książki, a spojrzenie miała wówczas chłodne, może nawet lodowate. Wiedział, że nadchodzi rozstrzygnięcie, to było nieuniknione, musi dojść do konfrontacji. Zapewne zażąda natychmiastowego pozbycia się Ady, wygna ją ze dworu. I co wówczas?

Szedł przez las, wystawiając twarz na podmuchy zimnego wiatru. Uciekał, włóczył się po ostępach, krążył między drzewami i dumał, co zrobić, ale nie miał odwagi rozstrzygnąć tego jedną zdecydowaną rozmową. Ogarniały go pełzający wstyd, poczucie winy i przekonanie o własnej małości. Zwodził je obie, pozostawał nie w porządku zarówno wobec żony, jak i kochanki. Nadeszła pora, by to zmienić. Wóz albo przewóz, nie mógł jednak mieć ich obu.

– Może lepiej zapomnieć o Adzie? – mamrotał, przeskakując nad zamarznętym strumykiem. – Jeśli wyrzucę Eufemię z domu i ta wróci do

rodziców, dojdzie do potwornego skandalu. A co, jeśli zapragnie zabrać dzieci ze sobą?

Nie zamierzał się z nimi rozstawać, dojdzie zatem do sporu, skończy się w sądzie, pewnie nie na jednej rozprawie. Opinia publiczna go rozszarpie, nikt nie lubił niewiernych mężów biorących sobie młode kochanice.

– Tyle że miłość Ady zrekompensuje mi wszystkie cierpienia i niedogodności. Jakoś przeżyjemy zawiść i pogardę, odsądzenie od czci i wiary przez tych wszystkich kabotyńców, drobnomieszczaństwo hołdujące tradycyjnym wartościom. Szczególnie że ta ich moralność jest wszak tylko na pokaz, a tak naprawdę grubymi nićmi szyta. Sami też zdradzają, łążą po burdelach i zarażają swoje małżonki syfilisem. Myślą jednak, że jeśli wyszydzą kogoś, kto w ich mniemaniu uderza w instytucję rodziny, to zasłużą na odpuszczenie win i od razu miejsce w niebie. Niech ich wszystkich piekło pochłonie, nie będę się nimi przejmował! W nosie mam dobre imię i szacunek ich wszystkich.

Aż się zatrzymał i odetchnął głęboko. Podjął decyzję, w ciągu tygodnia załatwi tę sprawę. Zacznie nowe życie razem z Adą, zawalczy o ich szczęście. Zaryzykuje reputację, szacunek ludzi, może nawet powodzenie w interesach. Niech się dzieje, co chce. Paliło go poczucie winy i żal z tego powodu, że skrzywdzi Eufemię, ale nie miał wyjścia. Musiał coś z tym zrobić.

Trzasnęły łamane gałęzie, coś zaszeleściło w chaszczach, w gąszczu patyków okrytych czapami śniegu, które osypały się z nich na ziemię. Krzysztof natychmiast odzyskał poczucie rzeczywistości, ściągnął strzelbę z pleców i klęknął na jedno kolano, dopiero wówczas rozejrzał się wokół. Gdzie ja właściwie zawędrowałem? – pomyślał ze złością na siebie. Nie pilnował w zamyśleniu drogi, tylko laź przed siebie jak ciele.

Nie minął jednak Rawki, chyba nie wszedł do lasu Klimków. Musiał raczej minąć bokiem Budy Grabskie, maleńkie leśne sioło, i dotrzeć na tereny nadleśnictwa. Jeszcze kawałek do drogi i wyszedłby z lasu na przedmieściach Skierniewic. Opuścił odciągnięte kurki w dwururce. To nie jego las, tylko rządowy, nie można tu polować. Poza tym nie będzie przecież targał ustrzelonego dzika taki szmat drogi do domu. Wstał i stuknął kolbą w pień drzewa, by wypłoszyć zwierzę.

– A pójdiesz, kabanie! – rzucił.

Zamiast dzika z krzaków wyskoczyła ludzka, bez wątpienia, postać. Krzysztof zobaczył czarny wylot lufy, który w tej samej chwili rozbłysnął ogniem. Huknął strzał. Wrony z krakaniem poderwały się z pobliskich drzew, grom przetoczył się w cichym lesie zwielokrotniony echem i umilkł w oddali. Dziedzic zamrugał zaskoczony. Siedział plecami oparty o pień, cały kubrak na piersi miał mokry, lepki od gęstej cieczy. Było mu zimno i słabo jednocześnie. Dotknął piersi i uniósł do twarzy dłonie w rękawiczkach umazanych krwią. Zrozumiał, że to jego krew. Ledwo mógł oddychać, coś ciążyło mu i ciągnęło go w dół, ku ziemi.

Spojrzał w niebo przez pozbawione liści konary drzew. Nie czuł bólu ani zimna, tylko żal.

Rozdział 3

*Ja jestem wiatrem, który wiecznie wieje,
Ty jesteś pewnym łądem w pełnym blasku;
Ja jestem cieniem, który się przesuwa
Po syrkim piasku.*

*Ja jestem liściem, który drży w powietrzu,
Ty jesteś drzewem, wiatr cię zgiąć nie może;
Jesteś jak gwiazdy trwałe i niezmienny,
Ja jestem morzem.*

Zoe Akins (1886–1958), *Ja jestem wiatrem* (tłum. Wiktor J. Darasz)

Nikt się nie zaniepokoił, gdy dziadek nie wrócił na obiad. Od pewnego czasu zdarzało mu się to dość często i wszyscy już wiedzieli dlaczego. Dziadek Dominik planował nawet zamienić parę słów z synem i jakoś zażegnać kryzys w rodzinie, ale nijak się im na rozmowę nie składało. Eufemia nie mogła się ostatnio porządnie skupić na czytaniu, palił ją niepokój, rosnący gniew i niechęć, szczególnie do Ady. Z tego wszystkiego przerywała lekturę i podchodziła do okna, by sprawdzić, czy mąż nie wraca. Zostawiony dla niego obiad dawno wystygł, nadszedł zmrok, a Krzysztof nie wrócił ze swojego codziennego spaceru. Szukać go po lesie nie było sensu, ten ciągnął się wszak wiele wiorst we wszystkich kierunkach.

– A co, jeśli wpakował się we wnyki i gdzieś tam leży? – marudził dziadek.

– Poradziłby sobie z wnykami i dzikimi zwierzętami. To wytrawny myśliwy, poza tym dawny partyzant – zauważyła Aldona.

– A co ty o nim właściwie wiesz? – prychnęła Eufemia. – I co wiesz o leśnych niebezpieczeństwach? Znalazła się znawczyni puszczy i partyzantów, panienska z Warszawy.

Ada skuliła się, wbiła głowę w ramiona. Nigdy wcześniej Eufemia bezpośrednio jej nie zaatakowała. Ona wie o nas – pomyślała guwernantka.

Milczeli wszyscy dłuższą chwilę.

– Zawsze wracał – mruknął dziadek. – Noc już ciemna, idzie siarczysty mróz. Jeśli złamał sobie nogę w jakim wykrocie, to do rana całkiem ostygnie. Trza nam coś zrobić. Każę Poldkowi przygotować konie, pojedziemy z lampionami. Wyślę jeszcze stajennego, Lolka, do Bolimowa,

by wezwał do pomocy chłopaków z tartaku. Las nie jest wcale taki wielki, w tuzin chłopów przetrząśniemy całą okolicę w kilka godzin.

Mężczyźni wyruszyli na poszukiwania, Ada zajęła się przypilnowaniem, by dzieci położyły się spać, potem wróciła do salonu. Eufemia nie zamierzała się, rzecz jasna, kłaść. Siedziała w fotelu przed kominkiem z książką w ręku, ale nie czytała, tylko patrzyła w płomienie.

– Polubiłam cię, Ado. Wydawałaś mi się taką cudowną dziewczyną – powiedziała cicho. – Uwiodłaś go. Nie zaprzeczaj, nie jestem ślepa ani głupia.

Aldona stanęła w miejscu, znów czuła się jak pensjonarka, która dostaje burę od dyrektorki.

– Namieszałaś mu w głowie, nie wiedział, co ma zrobić. Chodził do lasu, by uciec przed wyborem, by dumać i drapać się po tym pustym łbie... Nigdy nie był dobry w podejmowaniu decyzji. Zanim mi się oświadczył, myślał nad tym chyba pół roku. Bałwan skończony. Och, jestem wściekła na niego, na ciebie, ale powinnam być i na siebie. Trzeba było to załatwić od razu, kiedy tylko spostrzegłam, co się święci. Tyle że tak byłam zajęta sobą, uzalaniem się nad własną samotnością, znużeniem, poczuciem bezsensu żywota, że umknęło mi, iż pod moim nosem mąż zakochuje się w niewinnej panience.

– Nie chciałam...

– Pewnie, że nie przyjechałaś tu łowić męża. Po prostu jesteś młoda i pełna życia, a on jest nadal cholernie przystojny. Widocznie też miał pustkę w sercu, nie kocha mnie, bo i za co? Odsunęłam się od niego i od dzieci, a oto skutki. Polazł gdzieś, pewnie znów głowić się nad tym, jak zgrabnie to rozegrać. Tylko czemu tak długo nie wraca? To nie w jego stylu. No, nie stój tam tak, usiądź obok. Nie będziemy skakały sobie do oczu, nie jesteśmy dzikuskami. Podejrzewam, że zrobił to celowo, może powędrował do Bolimowa porozmawiać z proboszczem? Zdarzało mu się już zasięgać jego porady. Podejrzewam, że wróci tu lada chwila, stanie w drzwiach i oświadczy nam, co postanowił.

– Lubi takie dramatyczne sceny i teatralne gesty? Nie znałam go z tej strony – powiedziała Ada i ostrożnie, jakby bała się pułapki lub podstępu, usiadła w sąsiednim fotelu.

– Nie znasz go z innych stron. Właściwie to wiesz o nim niewiele, tak to zwykle jest. Jeśli zdecydował się na ciebie, mogę pokrótce omówić jego

wady, byś potem nie była zaskoczona.

Ada patrzyła na nią z rosnącym podziwem. Nie znała dobrze Krzysia, to prawda, ale właśnie zrozumiała, że pani Eufemii nie znała niemal w ogóle. Zawsze nie do końca obecna, pogrążona w swoich myślach i książkach, nagle oprzytomniała i skupiła się na tym, co wokół. I okazało się, że jest inną osobą niż ta, którą dotychczas znała guwernantka.

– Zamierza pani tak po prostu przyjąć jego decyzję do wiadomości i zrobić, co rozkaże? – spytała, patrząc na gospodynię podejrzliwie. – Nie przeciwstawi się pani, jeśli mąż wygna panią ze dworu i weźmie sobie młodszą?

– A ty, co wówczas zrobisz? Co zrobisz, jeśli powie, że mam się pakować, zabierać dzieciaki i wynosić do rodziców?

– Nie zgodzę się, nie chcę, by dzieci spotkało coś tak okropnego, nie chcę rozbijać wam rodziny. Kocham Krzysia, tak go kocham... – Czują, że głos jej się łamie. Odetchnęła i zapanowała nad sobą. Wyprostowała plecy, uniosła brodę, spojrzała Eufemii prosto w oczy. – Odchodzę, wyjadę jak najszybciej, rankiem. Przykro mi, że sprawiłam pani tyle przykrości, wcale tego nie planowałam. Chciałam tylko trochę dorobić, by wrócić na studia, żadnych romansów, żadnego uwodzenia mężów. Jutro wyjeżdżam.

Eufemia pokiwała głową.

– Widzę, że masz kręgosłup, jesteś odważna i zdecydowana. Nadal cię lubię, ale rzeczywiście, nie możemy mieszkać we trójkę pod jednym dachem. Gdyby nie dzieci, to ja bym się zadeklarowała, że wyjeżdżam, i już zaczęła pakować walizki. Tyle że zrobiłabym w ten sposób krzywdę maluchom. Sama wiesz, jak to by się na nich odbiło, byłyby wytykane palcami i wyszydzane, napiętnowałyby je to na całe lata, może nawet na dorosłe życie. Zostanę zatem. Zacisnę zęby i zostanę, ale obawiam się, że nigdy już nie będzie między mną a Krzyśkiem tak jak kiedyś, coś właśnie przepadło na zawsze.

Siedziały tak przy ogniu i czekały, ale bynajmniej nie w milczeniu, po raz pierwszy naprawdę rozmawiały. Wcześniej im się to nie zdarzyło, Eufemia była zbyt zamknięta i niezainteresowana tym, co ma do powiedzenia guwernantka, o ile nie chodziło o dzieci. Teraz to się zmieniło, toczyły zwykłą konwersację, jak równe sobie. Po raz pierwszy się poznawały i zaczynały rozumieć.

Mijały godziny, zegar stojący na kominku wybił północ, a potem pierwszą i wreszcie drugą w nocy. Wtedy rozległo się parskanie koni, obie wybiegły na ganek, ale to był tylko dziadek w towarzystwie Poldka i Lolka. Staruszek jakoś nabrał dziarskości, nie przypominał już rozgadanego piernika pogrążającego się w demencji. Rozłożył ręce, razem z grupą drwali zjeździli całą okolicę, dotarli aż do zalewu i na południe, do Bud Grabskich, nie znaleźli go jednak, choć nawoływali i wypłoszyli chyba wszystkie zwierzęta z lasu. Krzysztof znikł bez śladu.

* * *

Ada nie położyła się tej nocy, razem z Eufemią nadal czekały przy kominku, cierpliwie niczym dwie sowy. Tematy do rozmowy im się wyczerpały, tak samo jak chęci na nią, zegar tykał monotonnie, odmierzając czas, w kominku dogasało, obie zaczęły przysypiać na siedząco. Koło szóstej rano Aldona wstała i ziewnęła rozdzierająco, po czym oświadczyła, że idzie się pakować. Jeśli gospodyni nie ma nic przeciw temu, to poprosi Poldka, by odwiózł ją choć do Bolimowa. Słowo się rzekło, obiecała, że odejdzie, i musi to zrobić, czuje się bowiem w tym domu jak intruz i szkodnik.

– Nie ma mowy – rzuciła Eufemia. – Nie zostawisz mnie w takiej sytuacji, potrzebuję cię teraz. Obie jesteśmy winne tego, co zaszło. Gdyby nie ta fatalna sytuacja, do której doprowadziłyśmy, Krzysiek nie włóczyłby się całymi dniami po lesie. Nigdzie nie jedziesz, masz wobec mnie dług do spłacenia, uwiodłaś mi męża, może nawet nieświadomie i niezamierzenie, ale to cię nie usprawiedliwia. Zostajesz i nadal zajmujesz się dziećmi, przynajmniej dopóki Krzysztof nie wróci. Niedługo zacznę się zbierać, pojedę do Bolimowa lub nawet do Łowicza. Trzeba powiadomić policję, niech wyślą ludzi do lasu i go szukają. Może uda mi się nakłonić do pomocy leśników, Krzysztof zawsze pozostawał z nimi w dobrych stosunkach. Podczas mojej nieobecności ty tu rządysz. Powiem Lucynie, że mnie zastępujesz, a teraz idź się odśwież, niedługo przyjdzie pora, by budzić dzieci. Niech zajmą się nauką, jakby nic złego się nie działo.

Eufemia mówiła takim tonem, że Adzie nawet do głowy nie przyszło, by się nie zgodzić. Zwykle znudzona i błędząca gdzieś myślami pani Kęszycka tej nocy zamieniła się w zdecydowaną i energiczną dziedziczkę. Pozostało jedynie stanąć przed nią na baczność i obiecać, że pod jej nieobecność

wszystko będzie chodziło jak w zegarku. Guwernantka w jednej chwili znów poczuła się nie tylko potrzebna, ale i pożądana w tym domu. Kiedy tylko Krzyś się odnajdzie, zakończy tu swoją misję, ale do tej pory rzeczywiście nie uchodzi, by zostawiać panią Eufemię samą z całym gospodarstwem na głowie.

Poszły razem do kuchni i naparzyły sobie kawy z ziaren, które zapobiegliwa kucharka Ala upaliła wieczorem. Zostało jeszcze kilka słodkich bułeczek z poprzedniego dnia, ale żadna z pań nie miała ochoty na jedzenie. Eufemia, choć nigdy nie miała tego w zwyczaju, sypnęła im obu do kawy cukru i naląła szczodłą porcję tłustej śmietanki.

– Musimy oprzytomnieć i nabrać trochę sił – wyjaśniła. – Czeka nas długi i pracowity dzień.

– Powinna pani odpocząć, policja i tak nie kiwnie palcem tak wcześnie rano...

– Odpocznę, kiedy znajdę męża – ucięła krótko. – Tych dwóch cymbałów, którzy siedzą w posterunku w Bolimowie, oczywiście nie kiwnie palcem, ale zmuszę ich, by wysłali telegram do Łowicza. Carska policja zasadniczo się do niczego nie nadaje, chyba że chodzi o bicie nieposłusznych władzy buntowników lub biednych robotników. Może jednak uda się zmusić ją do jakiegokolwiek wysiłku, nawet mimo że nikt nie obraża tu jęwo wieliczestwa ani nie podnosi ręki na władzę cara, zobaczymy.

Potem Eufemia ubrała się w kożuszek i futrzaną czapę, po czym ruszyła do wyjścia, bo Poldek czekał już przy powozowni z bryczką gotową do jazdy. Zanim jednak wyszła, Ada doskoczyła do niej i złapała ją za ręce, po czym je uścisnęła.

– Bądźmy dobrej myśli, Krzyś z pewnością się znajdzie, cały i zdrowy – powiedziała. – Będę się za to modliła.

– Modlitwy zostawmy księdzu, tak samo jak wiarę w cuda – odparła chłodno Eufemia, ale nie odtrąciła rąk dziewczyny. – Teraz trzeba twardo stąpać po ziemi i działać. Ja zajmę się poszukiwaniami, ty pilnuj domu i dzieci. Pa!

Znikła na cały dzień, a w tym czasie Aldona przejęła komendę nad gospodarką. W pierwszej kolejności skonfrontowała się z gospożą, czy właściwie ochmistrzynią, jakby ją kiedyś nazwano. Pani Lucyna, kobieta z pozoru prosta i pochodząca z gminu, wcale nie czuła się gorsza od Ady,

wręcz przeciwnie, miała ją za miastową dziewczkę, która tylko namieszała obu państwu w głowach. Jej wykształcenie i dyplomy wiele nie znaczyły i nijak się miały do życiowej mądrości i doświadczenia, którym dysponowała pani Lucyna. To właśnie powiedziała dziewczynie, kiedy usłyszała, że to ona ma kierować domem. Stała przy tym z rękoma opartymi o biodra, w swoim fartuchu z głębokimi kieszeniami, w których brzęczały klucze, nożyczki, przybory do szycia i pewnie cała masa innych przydatnych drobiazgów. Ada czuła się przy tej dużej kobiecie mała i krucha, ale nie uważała za stosowne ulegać jej dominacji. Zrobiła wyniosłą minę, podpatrzoną u dyrektorki Liceum Żeńskiego, która choć niska i drobna, potrafiła patrzeć na ludzi z góry w każdej sytuacji.

– Obie wykonujemy polecenia pani Kęszyckiej, a jej życzeniem było, bym to ja przejęła komendę. Proszę zachować uwagi i opinie o mojej osobie dla siebie, z łaski swojej, i skupić się na pracy. Niech Ala przygotuje śniadanie dla dzieci, przyprowadzę je za dwa kwadransy, tylko się obudzą, umyją i posprzątają pokoje. We dworze ma być porządnie napalone, szczególnie w sypialni państwa. Nie wiadomo, czy jak dziedzic wróci, nie będzie mocno wychłodzony. Niech Ala zagrzeje porządny gar wody, może potrzebna będzie gorąca kąpiel.

– Pfff – wyszczała jak lokomotywa gosposia i poszła.

Z tą się udało, ciekawe, czy stary dziedzic nie będzie mi przeszkadzał – pomyślała guwernantka i czym prędzej poszła do dzieci.

Dziadek Dominik jednak spał jak zabity po nocnej wyprawie, a kiedy wylazł ze swojej gawry, Ada była już zajęta lekcjami z dziećmi i nie miała dla niego czasu. Zresztą wcale jej nie kłopotał, osiodłał konia, ściągnął ze ściany swoją starą fuzję i pojechał w las. Pewnie szukać syna lub po pomoc w jego poszukiwaniach, nie wyjaśnił. Dzień mijał wolno, jak nigdy dotychczas. Aldona nie czuła senności, ale zmęczenie dawało się jej we znaki. Spoglądała to na zegar, to za okno. Nie mogła zapomnieć o tym, że Krzyś być może jest tam na mrozie i każda chwila oczekiwania na ratunek może oznaczać dla niego żyć albo nie żyć. Mróz na szczęście mocno zelżał, wyszło słońce, które topiło śnieg na dachu. Krople zaczęły bębnić o parapet, woda spływać strumykami po szybie. Niczym łyż, jakby cały dwór płakał.

W końcu Lucyna oświadczyła, że ktoś przyjechał. Wszyscy, dzieci pierwsze, dopadli do okien. To był jednak samotny jeździec, młody

mężczyzna w zielonej kurtce leśnika i z dwururką na plecach. Ada wyszła na ganek, by go powitać, jak przystało na gospodynię. Zdjął czapkę, stając przed nią, i palcami przeczesał blond włosy.

– Pani Kęszycka, jak mniemam? Jestem Tomasz Bobrowski, pobereźnik z nadleśnictwa – przedstawił się krótko.

– Nie jestem dziedziczką. Aldona Burzyk, starsza guwernantka – oświadczyła.

– Doszły nas słuchy, że w lesie zaginął właściciel majątku. Wszyscy leśni poszliśmy się rozejrzeć w swoich rewirach i tak się złożyło, że znalazłem coś ważnego. Muszę jednak rozmawiać z żoną zaginionego...

Ada aż zdębiała ze zgrozy, takie oznajmienie mogło świadczyć tylko o jednym – znaleźli go, ale martwego. Zrobiło się jej gorąco, po chwili słabo, zachwiała się, a wtedy leśnik doskoczył do niej i ją podtrzymał. Uczępiła się jego ramienia, mocno wbiła w nie palce, z bliska patrząc pobereźnikowi prosto w oczy.

– Niech pan mówi, natychmiast – wycedziła. – Znaleźliście go?

– Nie, jeszcze nie. Znalazłem ślady krwi i wydeptane tropy. Ktoś ciągnął po śniegu krwawiącą ofiarę, ale nie wiem, czy człowieka, czy zwierzę. W każdym razie ciągnący lub ciągnięty zgubił to. – Bobrowski sięgnął do skórzanej torby, którą miał przewieszoną przez ramię. Wyciągnął niewielką, czarną lornetkę i wręczył ją Adzie. – Czy to mogło należeć do zaginionego?

Lornetka miała zerwany pasek i szkła uwalane błotem. Krzysztof nosił coś takiego, to była część jego myśliwskiego wyposażenia, ale czy zabrał ją na swoją ostatnią wyprawę? Ada chwyciła lornetkę i pognała z nią w głąb dworu. Dotarła szybko do pokojów jaśnie państwa i bez zastanowienia weszła do gabinetu Krzysztofa. Wcześniej była tu może dwa razy z dziećmi, które przyprowadziła, bo coś chciały od ojca. Zasadniczo dziedzic miał tu swój azyl, gdzie pracował lub po prostu siedział, kiedy chciał mieć święty spokój. Ściany zdobiło tu kilka trofeów myśliwskich, ale pomieszczenie nie było zagracone wypchanymi zwłokami czy porożami. Ważne, że w kącie tkwił wieszak, na którym kołysał się pasek z myśliwskim nożem w pochewce, był też kapelusz z piórkiem, który Krzys nosił w cieplejsze dni. Znikł pas z ładownicą i lornetka. Ada czuła, że nabiera pewności, przedmiot znaleziony przez leśnika należał do zaginionego. W lesie zatem stało się coś bardzo złego, doszło do jakichś

dramatycznych wydarzeń. Znów zrobiło się jej słabo i ciemno przed oczami. Osunęła się po ścianie i usiadła na podłodze.

Chwilę później znalazła ją tak pani Lucyna. Kucnęła przy omdlałej i prasnęła ją w policzek tak, że Adzie głowa odskoczyła. Gospościa zamachnęła się do kolejnego ciosu, ale guwernantka wrzasnęła i zasłoniła się rękoma przed tą brutalną reanimacją. Rzeczywiście szybko jednak oprzytomniała. Musiała się doprowadzić nieco do ładu, bo połowę twarzy miała czerwoną od siarczystego ciosu. Leśnika znalazła siedzącego w kuchni z kubkiem gorącej herbaty w dłoniach i relacjonującego sprawę kucharce Ali.

– Tak myślałem, że to lornetka Kęszyckiego. Spotkałem dziedzica kilka razy, nosił ją zawsze przy sobie, szwajcarską, ze szklami Carla Zeissa – powiedział spokojnie. – Nie znalazłem w śniegu nic ponadto. Szlak z krwi ciągnął się kilkadziesiąt kroków, potem szedłem po śladach połamanych gałęzi i tropów w śniegu. Ktoś niósł ciężar przez las aż do Rawki. Na rzeczce tropy się urywają, szukałem na drugim brzegu, ale nic nie znalazłem. Podejrzewam, że dalej poszukiwany lub ktoś, kto go niósł, poszedł po lodzie. Nie wiem niestety, w którą stronę, możemy jednak dość szybko sobie z tym poradzić, potrzebuję tylko jakiejś części garderoby noszonej niedawno przez dziedzica.

– Dla psa tropiącego – zgadła Ada. – Zaraz coś przyniosę.

Wróciła na pokoje państwa, do obszaru pozostającego ich prywatną sferą, gdzie zwykle się nie wchodziło. Przeszła przez buduar Eufemii i zajrzała do sypialni. Tego pomieszczenia nie oglądała nigdy wcześniej, nie było takiej potrzeby. Poczula się nagle, jakby robiła coś bardzo niestosownego, czytała komuś prywatną korespondencję lub wręcz go podglądała. Nie miała jednak czasu na rozterki, Krzysztof był prawdopodobnie ranny, do tego został uprowadzony przez jakiegoś drania. Trzeba działać szybko.

Otworzyła kuferek stojący przy łóżku, wewnątrz znajdowała się czysta pościel, zajrzała zatem za parawanik. Wisiała tu nocna halka Eufemii i piżama Krzysztofa. Złapała ją i zanurzyła w niej twarz. Tak, pachniała nim, poczuła się przez chwilę, jakby znów trzymał ją w ramionach. Zachciało się jej płakać.

Wróciła do kuchni i dała górną część piżamy leśnikowi. Ten skinął głową, dopił herbatę, po czym podziękował kucharce za poczęstunek i ruszył dziarskim krokiem do drzwi. Ada wyszła z nim na ganek.

– Jak pan myśli: czy dziedzic żyje? – spytała.

Bobrowski wzruszył ramionami, robiąc kwaśną minę.

– Jeśli to jego krew była na śniegu, stracił jej naprawdę dużo. Zawsze jednak są jakieś szanse.

– I nadzieja – dodała Ada.

– Tak, zdarza się, że jedynie ona pozostaje.

Skinął jej głową, po czym wskoczył na konia i odjechał, nie oglądając się za siebie.

* * *

Słoneczne promienie wpadające przez kuchenne okno ślizgały się po wypolerowanych miedzianych garnkach, rondlach, sagankach i kociołkach. Te wisały rzędami na haczykach nad kuchennym stołem służącym do przygotowywania posiłków. Ada wodziła po nich wzrokiem, pijąc dla rozgrzewki gorącą herbatę z miodem. Wyglądały ładnie, ale kucharka mówiła, że ostały się tu głównie dla ozdoby, bo stary dziedzic zabronił je wyrzucać. Część tych naczyń została kupiona jeszcze przez ojca dziadka, Dionizego, a reszta przez niego samego. Ala wolą używać do gotowania garnków emaliowanych, które nie dość, że nie przypalały tak łatwo zawartości, to nie było zachodu z ich czyszczeniem. Miedziane naczynia musiały czekać na wędrownego kotlarza, który co jakiś czas je bielił, by zapobiec tworzeniu się grynszpanu, czyli brzydkiego zielonego nalotu. Tak czy inaczej, wyglądały najlepiej, po prostu wisząc na ścianie i udając przed dziadkiem Dominikiem, że są do czegoś potrzebne. Mieniły się w słońcu i rzucały złote refleksy na całą kuchnię.

Kucharka krzątała się przy garnkach, a Ada słuchała jej głośno, uśmiechała się i przytakiwała. Lubiła tu przesiadywać, choć zwykle miała na to czas tylko, zanim dzieci się obudziły i kiedy już poszły spać. Często zatem Ali nie przeszkadzała, ta za to chętnie jej podsuwała przysmaki, bo mogła się przed nią wygadać, ponarzekać na wszystko, co się da, najchętniej na swego męża pijaka, doskwierające jej żylaki łydek, Cyganów sprzedających polutowane garnki i kradnących kury, kolej żelazną, którą co prawda nigdy nie jechała, ale która z pewnością sprowadzi na ludzkość liczne nieszczęścia.

– Bo gdyby Bóg chciał, by człowiek przemieszczał się tak szybko, dałby mu nogi takie jak koniowi – głądziła. – Powariowali z tym postępem. Kuma

moja gadała, że pływają już nawet statkami pod wodą i do tego napędzanymi węglem jak te lokomotywy. W Warszawie zakładają ponoć aparaty do rozmowy po kablu. Nie widzisz człeka, ale gadać z nim możesz, choć jest bodaj i sto wiorst od ciebie, w innym mieście. To wbrew boskiemu planowi, bo w Biblii o tym nie ma ani słowa!

Aldona próbowała jej tłumaczyć ideę postępu, zmian, rozwoju, ale mogłaby mówić równie dobrze do ściany. Kucharki nie interesowały powody ani zyski wynikłe z nadejścia nowej ery, epoki techniki i przemysłu.

– Najgorsi to jednak ci Moskale. Są jak kleszcze, mają nas za nic, tylko ssą z nas krew. Wiem, wiem, tak lepiej nie gadać, bo jak kto niepowołany usłyszy i doniesie, to mogą być kłopoty. Ale my tu same swoje przecież, to mogę mówić, co chcę. Co nie, panienko? Najbardziej mnie rozsierdziło, że palcem nie kiwnęli w sprawie pana dziedzica. Ile to już? Tydzień minął od jego zaginięcia, a Ruskie nie przysłali tu nawet policji. Bo nie ma ciała, znaczy nieboszczyka. No, nie mogę! Toć przecie policja od tego jest, by tego nieboszczyka znalazła! – Ze złości Ala grzmotnęła tasakiem do mięsa w deskę do krojenia, aż ostrze wbiło się z trzaskiem.

– To już tydzień... – Aldona wyrwała się z zamyślenia i apatii.

Tydzień, jak go nie ma, a my jeszcze pełne nadziei – pomyślała. Prawda jest taka, że on nie żyje. Przecież by wrócił, nawet Eufemia mówiła, że nigdy nie zdarzyło mu się wyjechać gdziekolwiek bez jej wiedzy, a tym bardziej zniknąć z domu na tak długo. Ktoś go zamordował i zaciągnął do jakiejś dziury. Może leśnicy kiedyś znajdą jego szczątki...

Poszukiwania z psem tropiącym na nic się zdały. Bobrowski twierdził, że jego ogar łapał trop i prowadził go w dół rzeczki, ale po dwóch lub trzech wiorstach gubił ślad. Policja nawet się nie pojawiła na miejscu, dopiero kiedy dziedziczka wręczyła łapówkę komendantowi z Łowicza, ten uznał Krzysztofa za zaginionego, ale nie ukrywał, że pewnie panicz po prostu ruszył w tany i szaleje po burdelach. Dopóki nie znajdą się jego zwłoki, nie było sprawy, policja nie zamierzała niczego szukać. Łapówka jednak działała tyle, że komendant wystosował list gończy, który umieszczono w prasie lokalnej, łódzkiej i skierniewickiej. Eufemia zadeszowała też do „Gazety Warszawskiej”, by opłacić i tu prywatne ogłoszenie. Wierzyła, że Krzysztof gdzieś tam może jest, uprowadzony siłą dla okupu.

Aldona podziękowała kucharce za herbatę i wymknęła się w głąb dworu. Nie udała się jednak do sypialni dzieci, choć powinna je już budzić, zamiast tego zapukała do buduaru dziedziczki. Ta zwykle o tej godzinie jeszcze snuła się w podomce, potargana i zaspana, z książką w ręku. To się jednak zmieniło. Kiedy Ada uchyliła drzwi i zajrzała do środka, zobaczyła Eufemię w pełni ubraną i uczesaną, do tego siedzącą przy biurku i piszącą jakiś list lub pismo.

– Wejdz, Ada – rzuciła, nie unosząc nawet oczu znad papierów.

Guwernantka przyjrzała się jej uważnie. Usta zaciśnięte w wąską szparkę, zawziętość wymalowana na twarzy, a może skupienie. Lewa ręka nerwowo stuka palcami o blat, czyli z trudem tłumione nerwy. Niby silna, niezależna dziedziczka, ale Ada ujrzała w niej kruchość, ledwie trzymane na wodzy rozpacz i smutek. Zrobiło się jej żal tej kobiety, skrzywdzonej niejako w dwójnasób. Mąż pokazał, że już jej nie kocha, znalazł sobie młodszą sympatię, po czym zaginął i zostawił samą bez słowa, bez pożegnania. Nie mogła się z nim normalnie rozstać, wykrzyzczyć mu w twarz złości i rozczarowania. Nie mogła też z nim się pogodzić. Jakiś kaprys losu uniemożliwił to im obojgu.

Ten sam kaprys losu odebrał mi moją jedyną miłość. Kto wie, może miłość mego życia – pomyślała Ada, podchodząc do biurka.

– Piszę do generała-gubernatora Piotra Pawłowicza Albiedynskiego – oświadczyła dziedziczka. – Niech przyśle tu żandarmerię i przetrząsną ten cholerny las. Czy w Imperium Rosyjskim panuje porządek, czy obywatele mogą zniknąć bez śladu i nikt nie kiwnie palcem, by ich szukać? Jeśli to nie pomoże, będę pisała do Petersburga albo od razu pojedę do Carskiego Sioła...

– Przestań już, to nie ma sensu. – Aldona starała się mówić łagodnym tonem. – Minał dziś tydzień. Wie pani, co to znaczy. Krzysztof nie żyje. Gdyby żył, wróciłby do domu, do pani, do mnie, do dzieci. Gdyby tylko tliły się w nim iskierki żywota, doczołgałby się tu do nas. Został zabity, a jego ciało ukryte. Pora się z tym pogodzić. Odnalezienie zwłok niczego nie zmieni, za to uporczywe awanturowanie się z władzami spowoduje, że wezmą panią za wariatkę.

Eufemia odłożyła pióro i spojrzała na guwernantkę chłodno.

– Odnajdę go zatem martwego i pochowam, jak należy, w poświęconej ziemi, w rodzinnym grobowcu – oznajmiła. – Miałam wrażenie, że mnie

wspierasz. Co mają znaczyć te uwagi o wariactwie?

– Widzę, że popada pani w niebezpieczną manię. Myśli wyłącznie o tym, zapętała się w rozpacz i bólu coraz bardziej, a to może prowadzić do obłądzenia. Kiedy ostatnio czytała pani książki? Nie dotknęłaś ich od tamtego dnia, mam rację? Rozumiem, to żal, strach, tęsknota, wszystko naraz. Kto by miał głowę do książek? Ale teraz pora się pogodzić ze stratą i wrócić do porządku. Musi pani zająć się dziećmi, ułożyć sprawy i przejąć kontrolę nad gospodarstwem, dopilnować formalności, by uznano Krzysztofa za zmarłego i by przejęła pani całość spadku po nim. Potem trzeba zacząć rządzić lub dogadać się z rządcą i powierzyć mu wszystkie sprawy związane z prowadzeniem tartaków oraz dzierżawą pól i łąk.

Eufemia zamrugnęła, jakby budziła się z głębokiego snu. Przechyliła głowę i marszcząc czoło, patrzyła na guwernantkę. Ta oparła się obiema dłońmi o blat biurka i pochyliła nad nią.

– Wiem, że moja osoba jest dla pani nie do zniesienia. Będę sobą ciągle przypominała o tym, co zaszło, że omal nie rozbiłam waszego małżeństwa. Powinnam zniknąć, zresztą sama obiecałam, że wyniosę się natychmiast, gdy Krzyś wróci – mówiła, patrząc swoimi wielkimi, czarnymi oczami na dziedziczkę, która czuła się coraz bardziej nieswojo. – Mam jednak propozycję. Niech pani pohamuje niechęć i pozwoli mi tu zostać jeszcze jakiś czas, aż wszystko się ułoży, w przeciwnym razie będę miała poczucie, że uciekłam, porzucając tonący okręt jak jakiś szczur.

Eufemia odchyliła się na krześle do tyłu i splótła ręce na piersiach.

– Dlaczego? – spytała. – Tylko nie mów, że z przyzwoitości lub poczucia winy. Nie wierzę też, że pokochałaś moje dzieci i nie możesz się z nimi rozstać. Nie wierzę także w etykę twego zawodu i potrzebę dokończenia edukacji maluchów. Masz w tym jakiś interes. Jaki?

Ada przestała napierać na biurko, cofnęła się i westchnęła.

– Chcę tę sprawę dociągnąć do końca. Gdybym teraz odjechała, to tak jakbym przerwała pisanie książki w połowie, nie dokończywszy kluczowych rozdziałów. Czuję, że muszę to przeżyć, muszę pozamykać wszystkie wątki i napisać zakończenie. Chcę, by było dobre, niech zmyje ze mnie wszystkie winy i złe czyny, którymi napiętnowałam tę historię...

Eufemia patrzyła na nią dłuższą chwilę, mrugając z niedowierzaniem, w końcu parsknęła śmiechem. Wstała i wyciągnęła rękę do guwernantki.

– Kupiłaś mnie tym literackim porównaniem. Zostań zatem, jak długo chcesz, ale mam jeden warunek.

– Jaki?

– Od dziś żadnych tajemnic przede mną, planów i intryg za moimi plecami. Chcę w tobie mieć w pełni lojalną powierniczkę, współpracowniczkę i... przyjaciółkę.

Ada uścisnęła jej dłoń i pokiwała głową, po czym po raz pierwszy od tygodnia się uśmiechnęła.

* * *

Pobereźnik Bobrowski odwiedzał dwór co kilka dni, nie pchał się jednak z oficjalnymi wizytami. Pukał w boczne drzwi dla służby prowadzące do kuchni i najczęściej rozmawiał z kucharką Alą. Nie przywoził bowiem żadnych wieści, którymi można by zawracać głowę pani dziedzicze. Zawsze jednak rozglądał się i wypytywał o Aldonę, więc ta szybko zrozumiała, że przystojny leśnik smali do niej cholewki. Niestety kojarzył się jej jak dotąd z nieszczęściem, które dotknęło całą rodzinę. Ból po stracie Krzysztofa jeszcze nie osłabł i nie w głowie jej były jakiegokolwiek miłości. Przychodziła jednak z grzeczności, by rozmawiać z leśnikiem. Jego pies tropiący nie znalazł więcej śladów po Krzysztofie, nie mówiąc już o nim samym, ale Tomasz utrzymywał, że do incydentu doszło w jego rewirze patrolowym i czuje się zobowiązany, by przeszukać każdy kawałek tego lasu krok po kroku. Zrobi to, choćby miał poświęcić na to miesiące i choćby musiał zajrzeć pod każdą kępę mchu i pod każdy kamień. Sprawdzał na razie wykroty i podejrzane miejsca, ale bez rezultatu.

Minął miesiąc, nadeszły też roztopy i drogi prowadzące do Chojniaków stały się niemal nieprzejezdne. Na szczęście w okolicy nie było dużych rzek, Rawka zamieniła się w rwący potok, a kawałek dalej Bzura wystąpiła z brzegów i zalała pola oraz łąki, zniszczyła drogi i podeszła pod sioła. We dworze mówiło się głównie o powodzi, choć w rejonie nie przybrała ona akurat niszczycielskich rozmiarów. Pojawiła się jednak okazja do wieczornych wspominek przy kominku, które najbardziej lubił dziadek Dominik. Wcześniej Adę te jego bajdurzenia raczej irytowały, ale teraz dostrzegła, że kiedy staruszek opowiada, dzieci słuchają go z ochotą, a także pani Eufemia zdaje się wówczas zapominać o troskach i tęsknocie za mężem. Gawędy miały zatem działanie terapeutyczne dla wszystkich,

pozwalają im odpłynąć w niepamięć i nie dręczyć się tragedią choć przez parę chwil.

Pewnego popołudnia do dworu dojechał przez błota rządcą Popowicz, by omówić nadchodzące wycinki, ale Eufemia jeszcze nie była gotowa, by zająć się gospodarką, i powierzyła to teściowi, który wszak prowadził tartaki długie lata, zanim przekazał interes synowi. Dziadek posiedział z rządcą nad mapami, potem zaprosił go na podwieczorek. Wówczas przyjechał także Bobrowski, bardziej by popatrzeć na Aldonę niż zdać raport z wyników kolejnych kilku dni poszukiwań. Wiadomo bowiem było, że ze względu na błota i stojącą wszędzie wodę dużo nie działał. Ada w końcu poczuła do niego załóżki sympatii, bo wszak naprawdę się starał, i zaprosiła go po raz pierwszy do salonu. Nie pytała o zgodę Eufemii, ale dostrzegła, że ta jest zadowolona, bo oto nagle zrobiło się dość gwarno i pojawili się ludzie, którzy pozwalali zająć czymś myśli. Kiedyś tak bardzo lubiła towarzystwo, wrzawę, szum i zamieszanie. Była dziewczyną z wielkiego miasta, przywykłą do ruchu i hałasu.

Ala przyniosła ciasto i powidła, a potem przytąszczyła samowar, by było dużo gorącej herbaty dla rozmawiających. Popowicz usiadł w ulubionym fotelu Krzysztofa, a wówczas zarówno Eufemia, jak i Ada aż westchnęły ze zgrozy, ale zanim któraś zaprotestowała, dziadek przysunął się do rządcy ze swoim stołkiem i zaczął mu klarować o stosowanych dawniej piłach przy wycinie i ile one kosztowały za cara Aleksandra I. Nie wypadało zatem przesadzać gościom, obie musiały się pogodzić z tym, że Krzysztofa już nie ma, a fotel nie powinien stać pusty jak pomnik, smutne memento. Salon to nie cmentarz.

– Ta obecna powódź to nic. – Dziadek Dominik machnął ręką. – Kiedyś to były powodzie! Nigdy nie było wiadomo, co woda może zabrać, a co przynieść.

– Dziadku, dziadek opowie nam o niedźwiedziu? – spytała Ania, od razu sadowiąc się na wilczej skórce leżącej u stóp staruszka.

Jadzia z kolei wlaźła mu na kolana i spojrzała na niego wielkimi z ciekawości oczami. Piotrek czuł, że jemu takie poufałości już nie wypadają, zasiadł zatem po turecku na podłodze i wpatrywał się wyczekująco w twarz dziadka. Dzieci znały tę historię, ale za każdym razem zdawała się nieco zmieniać, warto było zatem się w nią wsłuchać.

– To było w roku dwudziestym trzecim, miałem ja wtedy osiem lat, tyle co teraz Piotruś. Zima była ciężka, choć może nie tak jak w pamiętnym roku dwunastym, kiedy mój ojczulek poszedł z Napoleonem na Moskwę, ale o tym kiedy indziej opowiem. Ciekawe to są historie, choćby o tym, jak żołnierze, by nie zamarznąć, palili ogniska z nieboszczyków lub rozpruwali koniom brzuchy i chowali się do...

– Tato – syknęła Eufemia, przewracając oczami. – To nie są opowieści dla dzieci.

– Oj tam, teraz dzieciaki pod kloszem są chowane, nic im nie można powiedzieć. No dobrze, to wracając do tamtej zimy, otóż śniegu nawaliło tyle, że sięgał po dach dworu. By dojsć do stajni albo obory i nakarmić zwierzęta, musieliśmy kopać tunele jak jakieś krety. Cały świat przykryła biała pierzyna, my, dzieciaki, mieliśmy masę zabawy, bo drążyliśmy w śniegu jak dzikie świnie w żołądziach. Po zimie nadeszły roztopy marcowe, wyszło słońce, zawiął ciepły wiosenny wiatr i cały ten śnieg stopił się w kilka dni. Nagle wszędzie stała lub płynęła woda, dróżki zmieniły się w rwące potoki, drogi w rzeki, pola i łąki w morza i jeziora. Wleźliśmy z siostrą na dach dworu i patrzyliśmy, jak świat zmienił się w ten z czasów biblijnego potopu. Nic, tylko woda i wystające z niej drzewa lub dachy chałup.

Dziadek sięgnął po kieliszek naleweczki przyniesionej przez panią Lucynę. Kluczyk do apteczki z mocnym alkoholem, cukrem i lekami miała bowiem jedynie gosposia oraz Eufemia. Pan Dominik wysiorbał zdrowotny owocowy kordiał i oblizał się ze smakiem.

– Siedzieliśmy na dachu i pokazywaliśmy sobie palcami, co też ciekawego spływa Rawką w kierunku Bzury, która wpada do Wisły, a ta zanieśie porwane cuda prosto do morza. Wtedy też moja siostra, Konstancja, dostrzegła, jak z naszych chlewików wypływają jedna po drugiej świnie. Otóż musicie wiedzieć, moje dzieci, że świnie świetnie potrafią pływać, chyba nawet lepiej niż psy. Patrzyliśmy zatem, jak nasza trzoda chlewna odpływa w siną dal. Kto wie, może dopłynęły do mórz południowych i zostały piratami, a teraz ich potomstwo na Karaibach łupi brytyjskie okręty? Tak czy inaczej, żadnej z nich już nie ujrzeliśmy.

Piotruś tylko się zaśmiał, ale mała Jadzia gapiała się na dziadka wielkimi jak spodki oczami. Z pewnością w myślach rysowała przygody świnek na odległych lądach.

– Niestety, niedługo później przepłynął przed naszymi oczyma chłopak ze wsi, Jaśko. Twarzą do dołu, z rozrzuconymi rękoma. Za nim utopiona krowa, jakieś drewniane sprzęty gospodarskie, kawałki chałupy pogruchotane przez krę, więc zrobiło się nam nie do śmiechu. Siedzieliśmy tak i patrzyliśmy na ten obraz zniszczenia, na potęgę natury, która zniweczyła cały człowieczy wysiłek, budynki, ba, całe wioski, jakby to były tylko mrowiska splukane przez deszcz. Bóg wskazał nam nasze miejsce, przypomniał o swojej potędze i małości człowieka. Tak, ale o czym ja to miałem... ach, wspinaliśmy się tak na dach co dzień, bo woda płynęła i płynęła, niosła nie tylko martwe zwierzęta, połamane gałęzie, ale też trumny wypłukane z cmentarza, czasem żywych ludzi, których ojciec i czeladź wyławiali, bo udało się doprowadzić do dworu łódkę. Wielce się ona nam wówczas przydała.

– Gdzie niedźwiędź? – dopytywała Jadzia.

– Przypłynął, siedząc na drzwiach, które wyrwało z jakiejś chałupy – kontynuował dziadek. – Dotarł w pobliże dworu i utkwiał w błocie, woda bowiem już zaczęła opadać. Niedźwiadek był młody, ale przynajmniej jednoroczny. Spędził pierwszą zimę w gawrze, z której dosłownie wypłukały go roztopy. Kiedy do nas dotarł, był wyczerpany i wygłodzony, chudy jak kij, po prostu kępy mokrych kłaków. Nie było sensu go ubijać na łój, który od zawsze w Polsce uważano za leczniczy, bo tego łoju na naszym niedźwiadku nie było w ogóle. Ojciec zgodził się nam go podarować do zabawy, jakby to był psiak. Karmiliśmy go zatem z siostrą mlekiem, twarogiem i chlebem posmarowanym miodem, który rychło stał się jego ulubioną potrawą. Daliśmy mu na imię Korbinian, na cześć świętego, którego atrybutem jest ujarzmiony przez niego niedźwiędź. Korbinian rósł szybko i nabierał sił, jego sierść zrobiła się gęsta i błyszcząca, pazury długie i ostre jak sztylety, a zębiska w wielkiej paszczy długie jak mój palec.

– Nie bałeś się go, dziadku? – spytała Anna z delikatną nutką ironii w głosie.

– A gdzie tam, był dla mnie jak ulubiony psiak. Pozwalałem, by spał ze mną w łóżku, jeździłem na nim, siedząc mu na karku. Stał się jednak postrachem całej okolicy, bo cały czas rósł i wkrótce przestaliśmy się mieścić w łóżku, trzeba było zrobić mu legowisko w szopie. Zaczął rozrabiać, poprzewalał kilka uli w naszej pasiece i nazał się tyle miodu, że

mu odbiło. Biegał po okolicy i ryczał: „Miodu, chamy! Chcę jeść miód! Dajcie więcej zreć!” – tak tłumaczyliśmy sobie jego ryki. Na szczęście dał się udobruchać i zaprowadzić do szopy, ale ojciec był zły przez kilka tygodni. Dopiero kiedy niedźwiedź przyszedł do niego i uwalił się mu u stóp, prosząc o łaskę, wasz pradziadek mu wybaczył.

Ada złapała się na tym, że nawet ona się uśmiecha. Spozstrzegła, że Tomasz gapi się na nią z błogą miną pełną uwielbienia. Kiedy na niego spojrzała, zmieszany odwrócił wzrok, jak przyłapany na czymś niestosownym. A więc to tak – pomyślała dziwnie poruszona. Zakochał się czy co?

– Korbinian dał popis męstwa i wierności, kiedy pewnej zimy przegonił sforę wygłodniałych wilków, co podeszła pod dwór. Odstraszał też wszelkich włóczęgów i kłusowników, przestały się zdarzać nawet drobne kradzieże, a bydło sąsiadów nie wchodziło w szkodę, bo było pilnowane, by niedźwiedź go nie rozszarpał. Ech, dziś już w naszych lasach nie ma wilków ani niedźwiedzi, a i włóczędzy już nie tacy groźni. Wszystko się zmienia, czas płynie, po niedźwiedziu zostało jeno wspomnienie. Pamiętam, jakby to było dziś, jak leżał przed kominkiem, tam, gdzie teraz siedzi Piotruś, u stóp mego ojca, który palił fajkę i patrzył w płomienie. Polubili się bowiem z misiem. Ani się obejrzałem i zwierzak przestał być mój, a łąził jeno za mym papą.

– I co się stało z misiem, dziadku? – spytała Jadzia.

– Żył z nami długo i szczęśliwie, znany się stał w całym województwie. Przez niego nasza rodzina zaczęła uchodzić za dziwaków i do dziś w okolicy chłopci trochę nas się boją i mają za szaleńców. Ojciec nauczył miśka kilku sztuczek, chodzenia na dwóch łapach i przenoszenia bel siana. Korbinian jeździł też z moim papą bryczką, choć konie zawsze się go bały i były niespokojne, gdy się zbliżał. Miś włąził na wóz i sadowił się na zydlu woźnicy, ledwie wasz pradziadek mógł się wcisnąć, by usiąść obok. Niedźwiedź siedział przygarbiony niczym jakaś wielka baba, raz nawet założyłem mu chustę na łeb, śmiechu było co niemiara. Papa jeździł z nim po naszych włościach, a czasem do Bolimowa, gdzie miś wzbudzał wielką sensację. Kiedy zmrużę oczy, znów ich widzę: roześmianego ojca i ogromnego, zadumanego niedźwiedzia, który siedzi razem z nim na wozie. Miś, jeżdżąc wokół rynku Bolimowa, miał w zwyczaju ryczeć swoje: „Miodu! Miodu i piwa, chamy! Dajcie mi szybko zreć, bo ja was

zeżrę!”. Baby uciekały, dzieciaki płakały, a my się śmialiśmy do rozpuku. Ech... To było tak dawno... Mój ociec to był człowiek twardy i mocny jak rzemień. Służył w armii Księstwa Warszawskiego, pod Raszynem bił się u boku samego księcia Poniatowskiego, potem poszedł z nim na Moskwę. Widział rzeczy straszne, tysiące śmierci, sam się o nią wiele razy otarł. Te przeżycia zamieniły mu serce w kamień, nigdy nie widziałem, by płakał, aż do dnia, w którym musiał pomóc misiowi rozstać się z życiem. Korbinian się zestarzał, zaczął chorować, leżał już tylko i mruczał: „Nie chcę już miodu, brzuch mnie boli, tatku, zrób coś”. Ojciec więc zrobił. Zabrał go do lasu, pomógł mu odejść, a ciało pochował. Nie było mowy, by brał niedźwiedzi łój. Nie z przyjaciela.

Zapadła cisza, Jadzia pociągnęła nosem i pogładziła zasmuconego dziadka po rękę. Nagle Tomasz chrząknął znacząco i wstał, po czym ukłonił się Eufemii.

– Dziękuję za gościnę i poczęstunek, ale muszę wracać do pracy. Właśnie coś mi przyszło do głowy. Opowieść pana Kęszyckiego podsunęła mi rzecz, którą muszę natychmiast sprawdzić. Jeszcze dość wcześnie. Zanim się ściemni, zdążę coś zrobić. Państwo wybaczą, miłego wieczoru życzę.

Ada wstała, by odprowadzić go na ganek. Nie wiedziała nawet, dlaczego to robi, nic mu nie powiedziała, a on się nie odzywał, za to zatrzymał się po wyjściu na schodki, zaczął ścisnąć czapkę, zamiast ją założyć. Spojrzała na niego pytająco.

– Chciałem tylko panience powiedzieć, że niezwykle się cieszę, że nasze życiowe ścieżki się skrzyżowały. Choć na chwilę. Rad byłbym, gdyby krzyżowały się częściej, a może kiedyś nawet połączyły w jedną...

– To brzmi niemal jak oświadczyzny – parsknęła śmiechem. – Ledwie się znamy, panie Tomaszu, a ja męża jeszcze nie szukam.

Zrobił się czerwony jak burak, aż zaczął mrugać z zawstydzenia. Chyba nie miał doświadczenia w uwodzeniu dziewcząt, ale to akurat uznała za zaletę.

– Proszę się nie gniewać za moje śmiechy – powiedziała. – Nie mam nic przeciw temu, by nasze ścieżki się krzyżowały. Do następnego razu zatem.

Zamknęła drzwi, oparła się o nie plecami i aż wetknęła sobie w usta zaciśniętą pięść, by nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

* * *

Jeszcze tego samego wieczoru, kiedy rządcą Popowicz sobie poszedł, Eufemia po raz pierwszy odwiedziła Adę w jej pokoiku. Zapukała i zajrzała przez uchylone drzwi.

– Nie śpisz jeszcze? Dzieci już w łóżkach, co? Może powinnam je czasem przytulić przed snem na dobranoc? Jak myślisz?

– Myślę, że sprawiłyby im tym pani wiele radości. Szczególnie że czym młodsze, tym więcej potrzebują ciepła i czułości. Teraz już śpią, ale jutro z pewnością bardzo się ucieszą. Przechodzą teraz trudny okres, były bardzo związane z ojcem... Proszę wejść i usiąść.

Aldona była w koszuli nocnej, tej samej, którą nosiła w bursie, już tyle razy wypranej, że szarej i niemal przezroczystej. Eufemia obrzuciła jej strój wymownym spojrzeniem, marszcząc brwi, ale oczywiście go nie skomentowała.

– Skończ z tym mówieniem mi per pani, miałyśmy zostać przyjaciółkami – powiedziała tylko i usiadła na jedynym w pokoju krześle, potarła czoło, sprawiała wrażenie zmęczonej. – Ale mnie Popowicz umordował. Obsypał setkami komplementów i rękę tak wyczałował, że czułam się, jakby wylizał mnie pies.

– Przyzwyczajaj się do adoratorów, pani... Eufemio. Niech tylko urzędowo uznają cię za wdowę, a nie opędzisz się od chętnych, by zaopiekować się młodą wdówką. Wiesz, że głównym magnesem będzie twój majątek.

– Celnie i szczerze, lubię szczerść. Dobrze, że to mówisz, bo już myślałam, że za to zainteresowanie odpowiada moja niezwykła uroda – odparła i parsknęła. – Ale nie z tym do ciebie przychodzę, po prostu muszę się wygadać. Jak wiesz, zniknięcie Krzysztofa męczy mnie jak diabli. Przestałam już się łudzić, że któregoś dnia stanie w drzwiach cały i zdrowy. Wiem, że nie żyje, że został zamordowany. Dopuściłam w końcu do siebie tę myśl i teraz głowię się nad tym, kto mógł to zrobić. Ilu Krzysiek miał wrogów?

– Nie wiem ilu, myślę, że raczej nielicznych. Na pewno rodzina Klimków miała z nim na pieńku. Z pewnością pomyślałaś o Jakubie Klimku, wielkim draniu łązącym po lesie z fuzją i straszącym dzieci. – Ada przytaknęła głową. – Sama o tym myślałam. Może tego feralnego dnia Krzysiek w zamyśleniu wszedł do jego lasu, doszło do kłótni, która zakończyła się strzałem?

– Tylko śladów krwi nie znaleziono w lesie Klimków, a w rządowym – mruknęła Eufemia. – Masz jednak rację, to mogła być zemsta Jakuba. Wiesz, o co im poszło?

– Nie do końca, tyle że o jakieś wydarzenie z czasów powstania.

– To opowiem ci, jak to było – rzekła i założyła nogę na nogę, co znaczyło, że poczuła się bardzo swojsko.

Ada nie przypominała sobie, by dziedziczka kiedykolwiek w jej obecności przyjęła tak swobodną, wręcz frywolną pozę. Zwykle siedziała sztywno, zakleszczona w swoim gorsecie, ze stykającymi się kolanami. Może widok rozmówczyni ubranej jedynie w starą halkę pozwolił jej na pobłażanie samej sobie i poluzowanie domowej etykiety? Nie zwracała nawet większej uwagi na to, że laczek zsunął się jej ze stopy i spadł na podłogę.

– Krzysiek jest... był dwa lata starszy od Jakuba, a jak to zwykle bywa, przynajmniej u chłopców, ten najstarszy w kompanii staje się przywódcą. To on wybiera zabawy i dyryguje młodszymi kolegami, tak też było w ich przypadku. Jakub ponoć wpatrzony był w Krzyśka jak w obrazek i choć szybko go przerósł i zamienił się w byczka, zawsze robił grzecznie, co każe starszy kolega, i słuchał go bardziej niż własnego ojca. Nic się nie zmieniło nawet wówczas, gdy z dzieci wyrosli na młodzieńców. Kiedy Krzysiek zdecydował, że idzie do powstania, Jakub, wbrew woli swojej rodziny, poszedł w las razem z nim. W ich partii znalazło się więcej młodzieży z okolicy, także z Łowicza i Skierniewic. Krzysiek górował nad nimi powagą i rozsądkiem, dowódca uczynił go zatem szefem kompanii złożonej z młodzików. Jakub stał się natychmiast jego adiutantem, razem prowadzili bandę gówniarzy przez las i brali udział w operacjach partyzanckich na równi ze starymi kosynierami. To nie trwało długo, może dwa lub trzy miesiące. Szybko zaczęli tracić przewagę zaskoczenia, Rosjanie coraz częściej czekali na ich ataki gotowi do boju. Rychło też przysłali do zwalczania buntowszczyków Kozaków dońskich, oddziały przeznaczone do najcięższych zadań, złożone z bardzo brutalnych i bezwzględnych drani.

– Och, Krzyś nie mówił mi, że był dowódcą – mruknęła Ada.

– Kierował tylko szczeniakami w swoim wieku, miał ich pod komendą początkowo dwa tuziny. Potem kilku zostało rannych, kilku straciło zapas i wróciło do domu. Feralnego dnia zostało mu tylko dziesięciu chłopców pod komendą. Dowódca partii zdecydował, że pora zakopać broń

i rozpuścić ludzi do domów, bo dalsza walka nie ma sensu. Skończyła się amunicja, coraz trudniej było o żywność i przeżycie kolejnego dnia. Krzysiek zaprotestował, doszło do ostrej wymiany słów z dowódcą. Poszło też o to, co ma się stać z kasą pułkową, czy jak to zwał. Powstańcy zgarnęli bowiem podczas jednej akcji pieniądze przewożone na żołąd do jednego z rosyjskich pułków. Krzysiek chciał ją rozdać między rodziny poległych powstańców; dowódca, nie pamiętam, jak się nazywał, wolał to złoto zagarnąć. Doszło do awantury i szarpaniny. W końcu Krzysiek po prostu odszedł w las, Jakub ruszył za nim, namówił też pozostałych chłopców i tak w jedenastu utworzyli bandę. Krzysiek uznał, że potrzebują jakiegoś sukcesu, by podnieść morale i może przyciągnąć do siebie kolejnych ochotników. Nad zalewem ostrzelali przejeżdżający patrol kozacki, po prostu dali ognia, siedząc w krzakach. Strącili z koni kilku Kozaków, ale przynajmniej dwóch zwiąło i pognało po pomoc. Zapadała już noc i Krzysiek nie spostrzegł uciekinierów. Zanim chłopcy ograbili ciała i się ulotnili, wróciła ze wsparciem cała sotnia Dońców.

– Jediną drogą ucieczki był zalew? Musieli go przepłynąć? – zgađła Ada.

Nie chciała przerywać Eufemii uwagą, że w opowieści Krzysia te wydarzenia wyglądały nieco inaczej.

– Porzucili broń, plecaki i wszystko co ciężkie, po czym wskoczyli do wody. Krzysiek płynął pierwszy, słyszał strzały i krzyki, nie oglądał się za siebie, zdążył do drugiego brzegu. Poza tym była już noc, pochmurna, bezgwiezdna. Myślał, że nigdy nie dopłynie do lądu. Kiedy na niego wyszedł i leżał, by złapać oddech, nasłuchiwał płynących kolegów, ale panowała cisza. Uznał, że wszyscy zostali zastrzeleni lub się potopili. Zapłakał nad nimi, ale nie czekał dłużej, bo wiedział, że Kozacy objadą zalew wokół i wkrótce się pojawią. Uciekał leśnym gąszczem i klucząc, wrócił do domu.

– Ale nie wszyscy zginęli, Jakub przeżył.

– Na drugi brzeg dopłynęła cała dziesiątka. Kilku było rannych, ale żaden nie utonął. Tak przynajmniej utrzymywał Jakub, kiedy jakiś miesiąc po tych wydarzeniach przyszedł wypowiedzieć Krzyśkowi wojnę. Otóż Krzysiek miał ich przeprowadzić bezpiecznie przez las, tak przynajmniej obiecał. On zaś uciekł, zostawiając ich na pastwę Kozaków. Ci rychło się pojawili i wymordowali całą wyczerpaną przeprawą kompanię. Dońcy wysiekli ich szablami i dobili pchnięciami bagnetów. Jakub przeżył, bo udał zabitego,

który wpadł do zalewu po ciosie szablą. Odpłynął w ciemność, leżąc nieruchomo w wodzie z raną ciętą na piersi. Potem wylazł na brzeg i jakoś doczłapał do domu.

– Dziwna historia – mruknęła Ada. – Rozumiem, że Jakub miał pretensje, ale czemu te przerodziły się w tak zapiekłą nienawiść? Coś mi tu nie pasuje... Nie wiem co, ale ta opowieść jest wątpliwa albo przekłamana.

– Tak wyglądała według Krzyśka. Zarzucasz mojemu mężowi kłamstwo? – spytała Eufemia z pokerową miną. – Nie obawiaj się, śmiało. Wiesz, że cenię szczerość, nie musisz mi się podlizywać. Mów, co myślisz.

Ada przełknęła ślinę. Siedziała na łóżku, nieświadomie drapiąc się w kolano.

– Może nie tyle kłamstwo, co fantazjowanie, wygładzanie pewnych niewygodnych wydarzeń – powiedziała. – Niewykluczone, że to rodzinne, przecież opowieści dziadka Dominika też trudno uznać za autentyczne, szczególnie że za każdym razem nieco się różnią. Słyszałam od Krzysia tę historię o mordzie powstańców i jego ucieczce, ale w nieco innej wersji. Kto wie, może są jeszcze jakieś? Trzeba by popytać jego znajomych, może udałoby się odtworzyć prawdziwy przebieg tych wydarzeń? Nie wiem tylko po co, jakie to ma znaczenie?

– Bo gdybyśmy wiedziały, co tam naprawdę zaszło, może poznałybyśmy motyw morderstwa – odparła Eufemia chłodno. – Tak, uważam, że Krzyśka zastrzelił Jakub. Ciało zaś ukrył, by nie było *corpus delicti*, przedmiotu przestępstwa... Nie wiemy tylko, czemu aż tak bardzo go nienawidził, o co faktycznie im poszło.

– Chcesz przeprowadzić śledztwo? – Ada zrobiła wielkie oczy.

– Z twoją pomocą. Bo jeśli nie my, to kto odkryje, co naprawdę zaszło? Nikt inny się tym nie zajmie. Pytanie tylko, czy chcesz wziąć w tym udział?

– Eufemia nagle pochyliła się w przód i chwyciła dziewczynę za rękę. Patrzyła jej wyczekująco prosto w źrenice, nie zwalniając uścisku.

Guwernantka pokiwała twierdząco głową.

– Dobrze, podejmę to wyzwanie. Trzeba odkryć niezapisane karty tej historii lub znaleźć to, co zostało zamazane.

Eufemia pochyliła się jeszcze bliżej, po czym nagle złapała twarz Ady oburącz i pocałowała ją w usta. Mocno i długo, aż obu zabrakło tchu. W taki właśnie sposób przypieczętowała ich przymierze. Po tym wstała i wyszła bez słowa.

Rozdział 4

*Wybudowałam dom, gdzie wróżki mogłyby gnieździć się, kochanie,
I zasadziłam obok niego mirt, dziką różę i winorośl,
Ale ta willa mi klasztorną celą wydaje się, kochanie,
I kwiaty nędzne się wydają, ponieważ nie dla ciebie rosną.
Kupiłam pierścień szczerozłoty, w niego wpatruję się samotna,
Pytając ciągle siebie samą, dlaczego ty się tego lękasz,
By wypowiedzieć jedno słowo, żebym nie była już markotna,
Dlatego nie powtarzaj świata, że to ty ciągle na mnie czekasz.*

Eliza Cook (1818–1889), *Nie powtarzaj świata* (tłum. Wiktor J. Darasz)

Kiedy Tomasz wjechał na dziedziniec dworu w towarzystwie konnego w mundurze oficera żandarmerii, domownicy od razu zrozumieli, że wydarzyło się coś ważnego. Eufemia wyszła na ganek, Ada stanęła krok za nią, przy jej prawym boku, jak przystało na wiernego adiutanta. Żandarm zeskoczył z konia i ukłonił się szybko, a nawet zasalutował.

– Porucznik Żewłakow, z Samodzielnego Korpusu Żandarmów – przedstawił się, patrząc na obie kobiety uważnie. Nie zareagował nawet mrugnięciem, kiedy z lewej strony Eufemii pojawił się dziadek Dominik z dwururką w garści i marsową miną sugerującą, że niczego tak nie cierpi jak Moskali. – Pani Kęszycka? Mam dla pani przykrą wiadomość, leśnik Bobrowski odnalazł ciało, prawdopodobnie waszego męża. Będzie pani potrzebna, by zidentyfikować zwłoki. Dopiero wówczas lekarz będzie mógł przeprowadzić sekcję w celu ustalenia przyczyny śmierci, a my podjąć czynności śledcze.

Nie bawił się w gładkie słówka czy przesadne grzeczności, by nie urazić uczuć rodziny. Widać było, że ma to w nosie. Eufemia spazmatycznie wciągnęła powietrze, Ada natychmiast złapała ją za dłoń i ścisnęła mocno, krzepiąco. Spojrzały na siebie, obie przerażone, poblądłe. Stało się to, czego właściwie się spodziewały, ale mimo wszystko było to dla każdej wstrząsem.

– Pojadę z tobą – oświadczyła Ada trochę wbrew sobie.

Czuła grozę na myśl, że ma oglądać martwego Krzysztofa, który w jej wyobraźni nadal był pełny życia, gorący i pachnący. Z drugiej strony po prostu musiała go zobaczyć ostatni raz, by zamknąć ten rozdział. Kazały Poldkowi czym prędzej zaprząć bryczkę, chciał też jechać z nimi jako

woźnica, ale Eufemia niespodziewanie oświadczyła, że to ona będzie powozić. Ada była szczerze zaskoczona, nie miała pojęcia, że dziedziczka posiada takie umiejętności, w jej głowie nadal tkwił obraz oderwanej od rzeczywistości, nałogowej czytelniczki romansów. Powożenie bryczką zupełnie do niej nie pasowało.

Od razu ostro zacięła konie, pojechały z łomotem kół za prowadzącym Tomaszem, który razem z żandarmem wskazywał drogę. Niestety podróż nie była lekka, ale wówczas Eufemia znów pokazała swoje oblicze. Kiedy koła grzęzły w błocie i wóz zaczynał tonąć, stawała na koźle i trzaskała biczem, wrzeszcząc głośno na konie. Widać było, że kipi w niej gniew i byle roztopy oraz błota nie są w stanie jej zatrzymać. Ada odnotowała w myślach, że ma do czynienia z silną kobietą, która latami przygasala i ukrywała swoje prawdziwe ja. Teraz nie dość, że to się uwolniło, to właściwie wybuchło płomieniem.

Dotarły do leśniczówki, przed którą stała kibitka i kilku żandarmów. Bobrowski w pierwszej kolejności powiadomił i ściągnął na miejsce władze, Ada nie spodziewała się, że jest tak zorganizowany i poukładany. Do tej pory narysowała sobie jego oblicze jako trochę romantycznego, nieśmiałego młodzieńca, który lubi przyrodę, ale nie radzi sobie za dobrze z ludźmi ani rzeczywistością. Myliła się, po raz kolejny.

Tworzę sobie w głowie obrazy, które nie istnieją – pomyślała. A może to ludzie budują iluzje, za którymi się ukrywają i którymi mamią innych? Nie było czasu na rozterki, zaprowadzono je do szopy, w której na ziemi stała skrzynia, proste pudło z sosnowych desek. Żewłakow klęknął przy niej i odstawił wieko. Obie panie westchnęły jednym głosem, a potem załkały i wpadły sobie w ramiona. Obie musiały się podtrzymać, by nie zemdlec i nie runąć na ziemię. Ciało w skrzyni miało zmasakrowaną twarz, ale bez wątpienia był to Krzysztof; ubranie, wzrost, wszystko się zgadzało.

– Od zaginięcia i prawdopodobnie śmierci denata minął co najmniej miesiąc – powiedział żandarm, wyciągając z kieszeni notatnik i ołówki.

– Sześć tygodni i cztery dni – sprecyzowała Eufemia, oddychając ciężko jak po biegu. Trzymała się i nie wybuchła płaczem ani nie wpadła w histerię.

– Przez większość tego czasu panował siarczysty mróz, dzięki czemu proces rozkładu został zatrzymany, do ciała nie dobrały się też owady. Zwłoki znajdowały się pod lodem lub w zamrożonej rzeczce Rawce.

Zostały wyrzucone wraz z roztopami i utkwily na łące, wówczas dobrały się do nich ptaki, najpewniej kruki i wrony. Zdążyły tylko uszkodzić twarz, reszta nadaje się jeszcze do autopsji. Czy denat miał jakieś znaki szczególne, po których z pewnością go panie rozpoznają? Blizny, tatuaże, znamiona?

Ada nie mogła w tym pomóc, nie skonsumowali z Krzysiem swej krótkiej miłości, nie знаła jego ciała tak, jakby chciała. Eufemia nie mogła sobie w tej chwili przypomnieć o jakichś nietypowych brodawkach, blizn żadnych nie miała. Wszystko jednak się zgadzało, kolor włosów, strój i rozmiar ciała nie budziły wątpliwości. Wyszły z szopy, podtrzymując się nawzajem. Tomasz powiedział im jeszcze, że kiedy usłyszał od dziadka opowieść o ciałach niesionych przez powódź i wypłukanych z cmentarzy trumnach, pomyślał, że jeśli ciało zostało ukryte, to też może wypłynąć i trzeba sprawdzić rozlewiska.

– Znalazłem go jakieś trzy wiorsty od miejsca, gdzie został postrzelony – mówił, prowadząc je z powrotem do bryczki. – Oberwał prosto w pierś z myśliwskiej broni, zginął szybko i bez cierpień. Zabójca zaniósł ciało do rzeczki i ukrył je gdzieś w jej pobliżu. Może liczył na to, że po roztopach zostanie porwane przez wodę i trafi do Bzury, po czym zniknie w odmętach. Ciało nie zostało ograbione, znaleźliśmy przy nim nóż i trochę osobistych drobiazgów, które zwrócimy rodzinie po śledztwie.

Zostawił je w końcu, Eufemia nie chciała, by asystował im w drodze powrotnej. Dostały jeszcze polecenie od żandarma, by czekać na przesłuchanie, bo z pewnością będzie miał pytania o wrogów Krzysztofa.

– W nosie mam śledztwo prowadzone przez Moskali – powiedziała Eufemia, kiedy jechały do domu. – Od jutra zaczynamy swoje. Pojedziesz do Klimków i zaczniesz ich badać.

– Ja? Ale pod jakim pretekstem mam ich nawiedzić? Nie znają mnie, nie mieliśmy żadnych kontaktów – bąkała Ada, która oczami wyobraźni ujrzała rozszoszczonego, wielkiego jak góra Jakuba. Nie chciała mieć z nim do czynienia, szczególnie sam na sam.

– Chciałaś poznać wszystkie rozdziały tej historii, to proszę, pora coś zrobić w tym kierunku. – Eufemia wcale nie sprawiała wrażenia zdruzgotanej, raczej rozsierdzonej. – Czemu masz takie wielkie oczy? Chyba się nie boisz? Nie wysyłam cię przecież do jaskini niedźwiedzia, coś wymyślimy...

Aldona jednak nie czuła się pokrzepiona. Bała się. Widok ciała Krzysztofa nie przyniósł ulgi, nie zamknął rozdziału w jej życiu. Uświadomił tylko, do czego mogą być zdolni ludzie i że Eufemia właśnie wysyłała ją do najgorszego ich typu. Odetchnęła, wzięła się w garść. Pójdzie choćby i do zbójeckiej jaskini, była to winna swojej nowej przyjaciółce.

* * *

Pogrzeb, który odbył się w Bolimowie, przyciągnął tłum ludzi. Wieść o tajemniczym zaginięciu dziedzica i jego równie tajemniczej śmierci od tygodni rozpaliała wyobraźnię w całej okolicy, od Łowicza po Skierniewice. Na nabożeństwo przyszło chyba całe miasteczko, chłopci z pobliskich siół i wiosek, drwale z rodzinami, leśnicy i sąsiedzi. Przyjechała rodzina Eufemii, kilku kolegów Krzysztofa, na czele z Andrzejem Voglem. Po mszy tłum odprowadził dziedzica w ostatnią drogę na cmentarz przy akompaniamencie bijących dzwonów.

Ada musiała się skupić na dzieciach, szczególnie na Jadzi, która była przerażona i zagubiona. Anna pociągała nosem, ale trzymała się prosto i zachowywała pełną powagę. Piotr też oczywiście nie histeryzował, ale i tak guwernantka całą trójkę miała nieustannie na oku. Przez obowiązki i napierający tłum zupełnie zapomniała o swoim żalu i tęsknocie za zmarłym. Atmosfera nie sprzyjała przeżywaniu żałoby ani smuceniu się; trzeba było przetrwać te męczące modlitwy, śpiewy, marsze i przemowy. Potem jeszcze czekała ich wszystkich stypa, na szczęście urządzona we dworze wyłącznie dla członków rodziny i najbliższych przyjaciół. Przy obiedzie rządcą Popowicz zabiegał, jak mógł, o uwagę dziedziczki, aż zaczął irytować zarówno ją, jak i Adę. Sprawę rozwiązał Andrzej Vogel, który zajął go rozmową i zmusił do tego, by dał spokój Eufemii. Ta podziękowała przemysłowcowi uśmiechem i skinieniem głowy. Ada spostrzegła, że i Vogel ostrzy sobie zęby na atrakcyjną wdówkę. Tyle że on na razie nie naciskał ani nie czynił podchodów, zachowywał przyzwoitość i umiar, widać, że miał klasę i szacunek dla zmarłego przyjaciela. Wyjeżdżając, poprosił dziedziczkę o chwilę rozmowy, podczas której zaoferował swoje wsparcie we wszystkim, szczególnie w prowadzeniu interesu. Pozostawał też gotów o każdej porze dnia i nocy nieść jej pomoc duchową i towarzyską. Grzecznie i z uśmiechem mu podziękowała, a do

Ady mrugnęła porozumiewawczo. Nie zamierzała dopuszczać do siebie ani do Chojniaków żadnych absztyfikantów. Przynajmniej nie w najbliższym czasie.

– I co, dostrzegłaś w tłumie Klimka? Ten drań przyszedł? – spytała, kiedy zostały w salonie same.

Ada przecząco pokręciła głową. Nie pomyślała o tym, by się rozglądać w poszukiwaniu potencjalnego mordercy. Dlaczego miałby przyjść na pogrzeb ofiary? By się napawać? Jeszcze raz pokręciła głową, to było dla niej niezrozumiałe.

– Przyszedł – rozległ się lekko zachrypnięty głos dziadka Dominika.

Obie omal nie krzyknęły ze strachu. W salonie panował mrok, źródłem światła była jedna lampa naftowa trzymana w ręku przez Eufemię. Staruszek siedział niezauważony w fotelu przed wygasłym kominkiem, ze szklaneczką kordiału w ręku. Zachichotał, widząc przestraszone miny obu pań.

– Nie tylko on, stary Klimek też. Nie widziałem Heńka chyba z dekadę, ale drań nic się nie zmienił, tyle że teraz już ledwie powłóczy nogami. Przyłazł, podpierając się dwoma łaskami. Stał razem z synem przed kościołem, gdy szedł pochód za trumną. Ale nie obawiajcie się, nie szydzili ani nie napawali się zwycięstwem. Heniek nawet się przeżegnał, a jego synalek zdjął czapkę z tego wielkiego jak sagan łba.

– Hm... – mruknęła Eufemia. – Nie kryją się jak szczury, są pewni siebie. Przyszli się napatrzyć na nasze nieszczęście.

– Gdybym ich podejrzewał, pierwszy wywarłbym pomstę za śmierć syna – oznajmił dziadek. – Nie lubię ich, całe to plemię to banda szajbusów, ale nie sądzę, by posunęli się do czegoś takiego. Morderstwo? I to lata po jakiejś urojonej urazie? To nie ta klasa, nie ten styl. Słuchajcie, opowiem wam historię o tej rodzinie. No, chodźcie, jeszcze nie tak późno, napijemy się dla zdrowotności po maluchu.

Zabrzączał butelką o kieliszki na stoliku. Eufemia przewróciła oczami i zerknęła na Adę, która wzruszyła ramionami. Usiadły w sąsiednich fotelach, a dziadek każdej podał po porcji nalewki.

– Klimkowie zawsze będą dla mnie nietutejsze. Nie pochodzą stąd, ojciec Heńka kupił lasy i łąki na wschód od naszych włości, gdzieś tak po utworzeniu Księstwa Warszawskiego, czyli koło tysiąc osiemset ósmego

roku, i dopiero wówczas ta rodzina się tu sprowadziła. Nietutejsze, mówię wam...

– Mieszkają tu ponad siedemdziesiąt lat, rzeczywiście nietutejsi – z ironią zauważyła Eufemia.

Ada zachichotała, a Dominik spojrzął na synową przez pełen kieliszek i cmoknął z niesmakiem.

– My mieszkamy tu co najmniej osiemset lat, wrosliśmy w tę ziemię tak głęboko, że nie da się sięgnąć do korzeni, wyrwać ich ani wyplenić. Oni są tylko przyjezdnymi, ale mniejsza z tym, nie o tym chciałem. Miałem wam opowiadać o starym Klimku. Dziećmi byliśmy, kiedy natknąłem się na niego pierwszy raz. Wybrałem się ze swoją siostrą, Konstancją, na wycieczkę do lasu, by sprawdzić, czy już pojawiły się grzyby. Doszliśmy tak do opłotków Ziemiarów, wcale niedaleko. Mieszkała tam wówczas pewna babulina zwana babcią Maćkową. Chałupę miała pod lasem, równie starą jak ona sama, zgarbioną, przechyloną, z częściowo zerwanym dachem i całą porośniętą bluszczem, że nie wiadomo było, czy to chałupa, czy ziemna nora. Sama babulina też była pomarszczona jak suszona śliwka, zawsze w chuście, z pypciami na nosie i otoczona kilkoma ocierającymi się kotami. Zajmowała się zbieraniem i suszeniem ziół, robiła z nich odwary i maści, którymi handlowała na targowisku. Kiedy wyszliśmy z lasu w pobliżu jej domu, ten otoczyła właśnie rozwrzeszczana hałastrą dzieciaków ze wsi. Wrzeszczeli, że trzeba spalić wiedźmę, i obrzucali ją i jej chałupkę kamieniami oraz nieczystościami. Dowodził nimi, ubrany w elegancki surducik i białe spodenki, Henryk Klimek. Otoczony zasmarkanymi gówniarzami z wiochy, bosymi i w łachmanach, wyglądał niczym udzielny książę. Dobrze się bawił, wydając polecenia swoim poddanym i podjudzając ich do ataków na bezbronną babulinę. Moja siostra, Konstancja, starsza ode mnie i Heńka o dwa lata, jak to zobaczyła, zapłonęła ogniem oburzenia. Złapała za jakiś spróchniały konar i rozgoniła hołotę, nie żałując razów. Heniek stanął jej na drodze i spytał, czy jest uczennicą czarownicy i nocami lata na świni. To był błąd, na Konstancji nie robiły wrażenia jego pozy, wtrącanie łacińskich i francuskich słówek, eleganckie fatałaszkę. Prasnęła go tym konarem w głowę tak, że tylko fiknęła nogami w powietrzu i bachnął plecami w błoto. Stracił przytomność, przy okazji Konstancja złamała mu nos. Ocknął się, kiedy Maćkowa nastawiała

mu kinol. Narobił wówczas w gacie z bólu i ze strachu, popłakał się i uciekł.

– Już rozumiem powody niechęci tej rodziny – powiedziała Aldona. – Musiał was wówczas zniechęcić.

– A skąd! Zakochał się w Konstancji na zabój. – Dominik zaśmiał się szyderczo. – Sam do nas przylazł, by przeprosić. Moja siostra wyleczyła go skutecznie z udawania księcia, był potulny, skromny i grzeczny. Tęgi kij potrafi zdziałać cuda i naprostować człowieka, taka jest prawda. Choć może to nie kij, ale urok młodej, pięknej dziewczyny? Kto wie?

– Przyjaźniliście się w dzieciństwie, tak? I dlatego uważasz, że jego syn nie mógł zabić Krzysztofa? – spytała Eufemia.

– Nie powiedziałem, że nie mógł. Utrzymuję, że to ekscentryczna rodzina, ale nie posunęliby się tak daleko w swoich dziwactwach. Heniek, kiedy się zakochał w mojej siostrze, starał się do nas zbliżyć i często u nas bywał. Zaprzyjaźnił się ze mną, ćwiczyliśmy razem szermierkę i strzelectwo, dogadał się nawet z misiem Korbinianem, ujarzmił go chlebem z miodem. Zaczęliśmy dorastać i dziwaczność Klimków stopniowo budziła się i w tym chłopaku. Heniek jeździł na czarnej kobyle, którą nazwał Marą. Utrzymywał, że jego wierzchowiec nocami podróżuje we snach i sprowadza koszmary na jego nieprzyjaciół. Lubił czarne peleryny i kapelusze z szerokim rondem, jakie kiedyś nosili muszkietery. Rzekłybyście – typowy dandys, co wtedy było powszechne wśród bogatej młodzieży. Czytał dużo poezji romantycznej, wówczas niezwykle modnej. Konstancja nie mogła już bawić się z chłopcami, stała się panną z dobrego domu, skończył się dla niej czas łażenia po drzewach i włóczenia się po lasach z chłopakami. W oczach Heńka zdawała się przez to jeszcze bardziej niedostępna, a jego miłość bardziej wzniosła i romantycznie tragiczna. Heniek przeczytał balladę Heinego *Lore-Ley* o rusałce mieszkającej nad brzegiem Renu i wabiącej kochanków do wody. Zaczął nazywać Konstancję swoją *Lore-Ley*, czasem była też *Świtezianką*, ale zdaje się, że wolał romantyzm niemiecki od słowiańskiego. Szczytem wszystkiego było, kiedy przybył do nas w środku nocy, w pełni Księżyca, jako Albericht, król duch, władca elfów, by uprowadzić Konstancję do swego widmowego pałacu w środku lasu. Pechowo wystraszył misia Korbiniana, który z kolei rykiem spłoszył Marę, a ta zrzuciła króla prosto do zagrody dla kur. Albericht wyskoczył zatem na wybrankę, wyrwaną z łóżka w samej halce,

w swoim romantycznym płaszczu, tyle że uwalanym końskim łajnem. Wyznał jej wówczas miłość, skąpany w księżycowym blasku, przy akompaniamencie porykującego z niezadowolenia niedźwiedzia, gdakania przerażonych kur i parskania spłoszonej Mary. Kiedy zamykam oczy, widzę tę parę. Widzę ich, jakby teraz to się działo, w dzisiejszą noc. Zdumioną i rozbawioną do łez Konstancję, klęczącego w gnoju Heńka z rozanieloną miną... Byliśmy młodzi, naiwni, trochę narwani i nazbyt beztroscy, ale szczęśliwi. Król duch dostał swój pocałunek, ale nie wywalczył ręki mojej siostry, kazała mu iść się umyć. To nie był bynajmniej ostatni z jego wybryków...

– Dziadku, ale z tej opowieści nic nie wynika. – Westchnęła Eufemia.

– Jak to nic? Wynika tyle, że Heniek w głębi duszy jest nadal czułym i wrażliwym chłopcem, który stanie na głowie, by uszczęśliwić damę. Nie skrzywdzi kogoś z powodu głupiej urazy i to samo z pewnością wpoił synowi. To nadal natchniony rycerz, romantyk i król duch. Pamiętam jeszcze jedną historię. Kiedy w ostatnie powstanie trzeba było pomóc naszym chłopcom, stawił się u mnie ubrany w pelerynę udekorowaną gałęziami i liśćmi, na głowie miał kapelusz z ptasim gniazdem, jakąś płataninę patyków i kęp trawy. Oznajmił, że znów jest królem elfem i idzie w las odciągnąć Kozaków kaszających naszych chłopaków. Nie mogłem mu towarzyszyć, miałem wówczas w piwnicach poukrywaną amunicję i broń dla powstańców, musiałem tego pilnować, tak jak całego domostwa. Obraził się i poszedł sam, ponoć w pojedynkę zaatakował patrol, który prowadził pojmane baby noszące powstańcom żarcie ze wsi. Mieliśmy wówczas ponad pięćdziesiąt lat na karku, a on nie wahał się walczyć o wolność dręczonych kobiet, nieważne, że z przeważającą siłą wroga i bez szans na powodzenie. Nigdy nie przeszedłby obojętnie obok krzywdzonej niewiasty, moja siostra go tego nauczyła, najpierw kijem, potem sercem. Nie wyobrażam sobie, że mógłby przyjść na pogrzeb, by napawać się śmiercią Krzysia i cieszyć oczy bólem jego kobiet. Myślę, że cierpiał razem z wami i gdyby mógł, walczyłby o życie Krzyśka, nie przejmując się zaszłościami, które nas podzieliły.

– Aha – mruknęła bez przekonania Eufemia.

– Nie opowiedział pan, jak się rozwinęła miłosna historia między Henrykiem a Konstancją.

– Nijak, Konstancja młodo zmarła – odpowiedział nietypowo dla siebie krótko i nie rozwijając tematu. – To już nie wróci, przeminęło wszystko, nasza młodość odeszła w dal z jesiennymi wiatrami, miłości wymarły wraz z kolejnymi zimami, zostały nam tylko wspomnienia, echa dni minionych. Niedługo i one znikną, rozplyną się w czasie jak kry w trakcie wiosennych roztopów...

Ada uśmiechnęła się do niego, ujęła dłoń staruszka i pogładziła ją krzepiąco. Kiedy ja będę w tym wieku, z pewnością nie popadnę w taką melancholię wspomnień – pomyślała. I na pewno nie będę ich ubarwiała.

– Wiem! – nagle oświadczyła Eufemia. – Wymyśliłam, jak to rozegramy, Donia! Dziękuję, tatku, podsunąłeś mi pewien pomysł.

Dziadek spojrział na Adę i mrugnął porozumiewawczo.

– Udała mi się synowa, zawsze miała główkę nie od parady, choć ostatnimi czasy się rozleniwiła. Widzę, że jednak wraca do formy. – Zachichotał, w jednej chwili zapominając o smutnych wspomnieniach.

* * *

Sercem planu Eufemii była inna opowieść dziadka Dominika, traktująca o słynnej w okolicy kałuży, a właściwie bajorze, które pojawiało się zawsze po deszczach na drodze prowadzącej do dworzyszczka Klimków. W dawnej Polsce takie duże kałuże dostawały nawet swoje nazwy i wszyscy je znali. Potrafiły występować na uczęszczanych traktach i siały grozę wśród podróżników, a szczególnie obcokrajowców. Francuscy oficerowie Napoleona wspominali je ze zgrozą w pamiętnikach, przekazywali potomnym, że w polskim błocie może w mgnieniu oka utonąć cała karetą, łącznie z końmi i woźnicą. Przekonał się o tym sam cesarz, który stracił w kałuży w okolicach Sochaczewa swoją karetę i do Warszawy musiał jechać konno.

Na drodze Klimków nie było może aż tak słynne ani głębokie bajoro, ale z biegiem lat dorobiło się swojej nazwy – Żółtaszka, ze względu na kolor wody, jaka w nim stała, zabarwionej specyficzną gliną występującą w tym miejscu. Ono miało stać się wabikiem na Klimków, a konkretnie na Henryka.

Ada została przez Eufemię przeskolona w powożeniu końmi, a właściwie jednym. Kierować miała bowiem dwukółką, zaprzęgniętą jedynie do leciwej kobyły. Nie musiała zatem się bać, że klacz poniesie, ani

kłopotać zapanowaniem nad kilkoma zwierzętami. Opanowała tę sztukę na tyle, że poczuła się wręcz naturalnie z lejcami w rękach. Mniej pewna była, kiedy szykowała się do wyjazdu. Pożegnała się z dziećmi, jakby miała ich nie widzieć długie lata, ukłoniła się nawet kucharce Ali i skinęła głową pani Lucynie. Dziadek uścisnął ją i wsunął w dłoń srebrny krzyżyk na łańcuszku.

– Nie wręczam ci broni, bo jestem pewien, że nie będziesz jej potrzebować. Weź ten łańcuszek na szczęście, należał do mojej żony, matki Krzysia. Uchronił ją od porażenia piorunem w czasie pamiętnej burzy w czterdziestym piątym. Ech, kiedyś to były burze! Raz rozwalilo nam szopę w drobny mak, na szczęście deszcz lał sakramencki i nie wybuchł pożar...

Eufemia najpierw ją uścisnęła, poleciała chłodno myśleć i być śmiałą, niczego się nie bać, nie wahać ani nie płakać, a kiedy Ada wsiadała do dwukółki, dała jej siarczystego klapsa w pośladek na szczęście. Guwernantka ruszyła w zapadający mrok. Jechała z duszą na ramieniu, coraz bardziej stremowana. Wkrótce dotarła do rozjazdu drózek, jedna prowadziła do Bolimowa, druga do włości Klimków.

Ach, może by tak rzucić to wszystko w cholerę i wrócić do Warszawy? – przemknęło jej przez myśl, ale odsunęła ją z pogardą dla siebie, że tak tchórzliwe wyjście w ogóle przyszło jej do głowy. Skręciła na teren nieprzyjaciela i zagłębiła się w niego pośród zapadającej nocy. Jechała tak, mijając łąki, jeszcze bezlistne sady i rzecz jasna las, o tej porze upiornie czarny, nieprzystępny, przerażający. Nawet nie spostrzegła owej legendarnej Żółtaszki, kałuży, po której, wedle słów dziadka, za młodu pływał on tratwą. Woda zachlupotała, kiedy koń zapadał się coraz bardziej, koła grzęzły, aż wreszcie stanęły. Szkap, zanurzywszy się po brzuch, prychnęła, nie mogąc wyciągnąć kopyt z błota. Na szczęście dwukółka miała duże wysokie koła, przez co Ada na razie nie ucierpiała. Odetchnęła głęboko, po czym zaczęła drzeć się o pomoc.

– Ludzieeee! Raaatunku! – ryczała ile tchu.

Jeśli po mnie nie przyjdą, zostanę tu do rana – pomyślała i dreszcz przebiegł jej po ciele. Było chłodno, zapowiadało się, że nocą nadejdą przymrozki, mogła się tu wyziębic na śmierć. Darła się zatem dalej, aż zaczęła chrypnąć.

– No i po co te krzyki? – rozległo się wołanie w ciemności.

Zamarła ze zgrozy. Wielka czarna postać na tle nocnego nieba zdawała się iście gargantuiczna, ogromna, potworna. Wielkolud zbliżał się niczym upiór, aż dech jej zapało ze strachu. Nagle za jego plecami błysnęło światło.

– No co tam nam wpadło do kałuży, synek? – zaskrzeczał głos starca.

– Jestem Aldona Burzyk, starsza guwernantka! Zgubiłam drogę, wracając z Bolimowa. Do Chojniaków jadę, dzieci uczyć!

Henryk Klimek miał w ręce latarenkę, którą uniósł wysoko. Był jednak zbyt daleko, by zbliżyć się i dokładnie obejrzeć Adę. Jego syn mamrotał coś o zimnej wodzie i cholernych intruzach, oby wszyscy się potopili, ale ponaglany przez ojca wszedł do wody i cmokając butami w coraz głębszym błocie, ruszył na pomoc uwięzionej. Po chwili dotarł do niej i wyciągnął rękę.

– Śmiało, zanim całkiem tu zamarznię. Skacz panna, złapię ją.

Nie pozostało jej nic innego, jak pozwolić wziąć się na rękę. Wstrzymała oddech i runęła w jego ramiona. Nie puścił. Objęła wielkoluda za szyję, ze strachu napinając wszystkie mięśnie.

– Panna się tak nie napręza, bo czuję się, jakbym taszczył kłodę drewna – powiedział.

– Jak mam się rozluźnić, jeśli niesie mnie drab, który ma w zwyczaju ganiać dzieci po lesie? – odgryzła się natychmiast.

– Słuchaj, przemądrzała damulko, lepiej przemyśl swoje słowa, bo nie wiem, co mnie jeszcze powstrzymuje, by nie zrzucić cię do tego bajora.

Wstrzymała powietrze, wyobrażając sobie uderzenie o wodę i tonięcie w błocie.

– Przepraszam – powiedziała szybko. – Zasadniczo bardzo pan uprzejmy, uznajmy tamten incydent za nieporozumienie.

Stała przed starym Klimkiem, który podpierał się jedną laską, wysoko unosząc lampę nad głową. Dygnęła przed nim grzecznie i podziękowała z kolei jemu za błyskawiczną pomoc.

– Teraz synek pójdzie po nasze konie i wyciągnie twoją kobyłkę, panienko. W przeciwnym razie zwierzak skapieje do rana – powiedział pan Henryk, nadstawiając jej ramię. – A my pójdziemy do domu, napijemy się ciepłej herbatki i napalimy w kominku. No, ruszaj się, Kuba! Bo jeszcze zmarzniesz!

– Już zmarłem, jest zimno jak diabli – mruknął Jakub, ale szybko pomaszerował po konie.

Ada zaś ujęła pod ramię pana Henryka i pozwoliła się zaprowadzić do dworu. Właściwie to całą drogę podtrzymywała staruszka, który ledwie lazał i mamrotał coś pod nosem. Nijak nie przypominał młodego zakochanego romantyka z opowieści dziadka Dominika. Czas widocznie naprawdę wiele zmienił.

* * *

Dworzyszcze nie było tak imponujące ani zadbane jak dwór Kęszyckich. Przypominało raczej ponure stare domostwo z gotyckich historii, które znaleźć można było w biblioteczce Eufemii. Ale może to przez noc, posępną i ciemną, tak tylko się Adzie wydało? Tyle że w środku nadal pulsowała grobowa ciemność, a w powietrzu wisiała lepkość niewietrzonych tygodniami pomieszczeń. W dodatku cuchnęło kuchennymi wyziewami, jakby gotowanym długo mięsem. Podłoga w sieni, pokryta wyschniętym błotem, chrzęściła pod stopami, dalej przynajmniej leżały dywany. Dopiero w salonie, kiedy Henryk zapalił kilka świec, dziewczyna ujrzała przebłyski dawnej świetności i namiastki piękna – wiszące na ścianie obrazy, głównie pejzaże z romantycznymi ruinami, szalejącym morzem lub groźnymi górami. Kominiek – masywny i ciężki, w stylu empirowym – wykonano z kamienia, jego gzyms podtrzymywały dwie nagie gracje z marmuru.

– Narobię nam ciepłego naparu – oświadczył Henryk. – Nie mieszka z nami żaden lokaj, zatrudniam tylko babę, by nam gotowała, przychodzi co dzień ze wsi, czasem też sprząta. Poza tym najmujemy na stałe kilku parobków do roboty przy bydle i koniach, ale też żaden z nimi nie mieszka, przychodzą co rano. Musimy zatem sami sobie poradzić, ale tak jest od lat, już przywykłem.

– Pomogę panu – oznajmiła i poszła z nim do kuchni, o dziwo porządnie wysprzątanej, pełnej wyszorowanych do połysku naczyń i garów. Widocznie kucharka przynajmniej dbała o swoje miejsce pracy.

Henryk zajął się rozpalaniem pod kuchnią, ona nabrała wody i odszukała słoik z herbatą. Krzątając się, zaczęli rozmawiać, oczywiście wspólnie narzekali na drożyznę, pogodę, fatalny stan dróg. Szybko staruszek zaczął

ją wypytywać najpierw o Warszawę, potem o życie u Kęszyckich. Zaraz też zeszło na dziadka Dominika.

– Ten stary grzyb za bardzo panienki nie męczy swoimi bajdurzeniami? Zawsze miał zacięcie do wymyślania historyjek i opowiadania bzdur. –

Henryk westchnął i pokręcił głową. – Utrapienie było z tym chłopakiem, więcej bujał w obłokach, niż stąpał po ziemi. Jakiś taki rozmemłany, jeśli wiesz, co mam na myśli. Przesadnie czuły, wrażliwy i melancholijny. Wzruszał się z byle powodu, do tego pisał wiersze. Kiepskie rymowanki, nazbyt egzaltowane, a przez to raczej śmieszne niż wzruszające. Jego ojciec, stary żołnierz, był na to wściekły, chciał zmusić syna do wstąpienia do wojska, ale wybuchło powstanie listopadowe, a po nim polska armia została ostatecznie zlikwidowana. Ja i tak nie wierzę, że wojsko zrobiłoby z tego poety srogiego i poważnego męża.

– Coś takiego, wedle jego słów to pan był romantyczną duszą. Przynajmniej od czasu, kiedy Konstancja złamała panu nos. To prawda, że stało się to przy pierwszym spotkaniu? – Ada postawiła imbryczek na kuchennej płycie.

– Złamała nos? Nic takiego nie miało miejsca. Owszem, posprzeczailiśmy się za pierwszym razem, poszło o taką starą jędzę, która mieszkała pod lasem. Dzieciaki ze wsi uważały ją za czarownicę i dręczyły czasem, jak to smarkacze. Stałem w jej obronie, kazałem hołocie iść precz, wówczas pojawiła się Konstancja, a była to dziewczyna ognista, w gorącej wodzie kąpana, istny żywioł, nieujarzmiony i gorący. Uznała, że jestem zagrożeniem dla staruchy, i zdzieliła mnie kijem po łbie. Zaraz sobie wyjaśniliśmy nieporozumienie, to znaczy zaraz po tym, jak doszedłem do siebie. Tak się zaczęła nasza przyjaźń. Zaś co do wiedzy, to potem wyszło na jaw, że pomagała babom spędzać płody, kiedy te zachodziły w niechciane ciąży. Proboszcz ją za to wyklął, co kobiety i tak miały w nosie i dalej jej płaciły, ale carskie zamknęli starowinkę w celi, gdzie biedaczka szybko skapiała i zmarła. Smutna historia? A widzisz, panienko, w opowieściach, szczególnie tych lubianych przez Dominika, zwykle rzecz się ładnie kończy, ale w rzeczywistości, w prawdziwym życiu, ech, wcale nie jest romantycznie.

– Ale opowieść o misiu Korbinianie jest urocza...

– Co w tym uroczego? Dręczenie zwierząt? Wszyscy mieli ojca Dominika za wariata, bo woził tego niedźwiedzia na wozie i straszył nim

ludzi. Głupie bydlę, pazerne na słodkie zarcie i w zasadzie niegroźne, bo stary Kęszycki wyrwał mu pazury. Misiek był trzymany krótko i ostro tresowany, szkoda mi go było, miałem wrażenie, że się biedne zwierzę męczy. Stary się nim chełpił i traktował go jak żywą zabawkę, a kiedy zwierzak zaczął słabować na zdrowiu, po prostu go zastrzelił i wrzucił do dołu z wapnem. Też mi urokliwa opowieść.

Ada zmarszczyła nos i podrapała się po nim.

– Dziadek Dominik trochę inaczej tę historię odmalował.

– Bajarz. Co ci jeszcze nagadał?

– No, choćby o pańskim upodobaniu do niemieckiego romantyzmu, że kochał się pan w Konstancji, którą nazywał Lore-Ley...

Pokiwał głową.

– Prawda, raz się tak do niej zwróciłem. Głupi szczeniak byłem i tyle. Adorowałem tę dziewczynę jak wszyscy kawalerowie z okolicy. I nic dziwnego, bo była śliczna jak z obrazka, do tego mądra i ognista, ale o tym chyba wspomniałem. Podaj, panienko, tę herbatkę, chyba już się zaparzyła, i usiądźmy w saloniku. Konstancja mnie lubiła. Kto wie, co by z tego wynikło? Może zostałaby moją żoną? Zależało mi na niej, to prawda. Tyle że była tak samo szalona jak cała rodzina Kęszyckich. Ojciec brutal i okrutnik, spaczony przez wojenne przeżycia, brat marzyciel, a córka nieokiełznana i żywiołowa jak dzika kotka. Zakochałem się szczeniacką czystą miłością, byłem już tak blisko celu, już sięgałem po ten owoc, niewiele brakowało, a zerwałbym jej wianek, ale życie sprowadziło nas wszystkich na ziemię. Rzeczywistość jest inna niż bajki i romanse z powieści francuskich. Jest okrutniejsza i pozbawiona sentymentów. Konstancja miała w zwyczaju wariować, łązić po drzewach, ścigać się z chłopakami i brykać w podobny sposób. Kiedy jej już nie wypadało, zabawiała się konnymi przejażdżkami. Zamiast statecznie kroczyć stępą w damskim siodle, galopowała jak opętana po łąkach i drogach, wzbijając tumany piachu, wrzeszcząc i śmiejąc się wniebogłoso. Trzeba przyznać, że wyglądała wówczas pięknie, tak, że ach, nic, tylko ściągnąć ją z tego konia, wziąć w ramiona, wycalować i zedrzeć ubranie... Ach, co ja gadam, nie mam już piętnastu lat, he, he. Dobra ta herbatka, prawda? Od Żyda z Łowicza. Twierdzi, że to naprawdę chińska, ale kto go tam wie. – Henryk pociągnął łyk, po czym westchnął ciężko. – W czasie jednej z galopad jej wierzchowiec trafił nogą w lisią norę i runął, łamiąc sobie kulasy.

Konstancja spadła i skręciła kark. Pamiętam to jak dziś. Leżała na trawie, jakby spała, spokojna, z lekko rozchyłonymi ustami. Żadnej krwi, czysta i piękna...

– Och, to okropne – szepnęła poruszona Ada. – Fatalny wypadek i to w tak młodym wieku.

– I tak głupio rozstać się z życiem, to coś w stylu Kęszyckich – mruknął nagle zirytowany Henryk. – Całe życie było przed nią! Czekala na nią miłość, kochający mężczyzna, małżeństwo, dzieci, szczęście i mnóstwo radości. Zaprzepaściła to przez głupią zabawę. Gdzie sens w tak niepotrzebnej śmierci? Czemu Bóg mi ją zabrał? Ech, tego się nie dowiem. Nieważne, to było dziesiątki lat temu, zmieniłem się, świat się zmienił. Poezja niemieckiego romantyzmu szybko mi wywietrzała z głowy, tak samo jak ochota na młodzieńcze wygłupy...

Aldona pokiwała głową. Zamiast skupić się na wybadaniu rodziny w sprawie Krzysztofa, wetknęła nos w przeszłość i rozdrapała stare rany. Zagryzła wargę, zastanawiając się, jak rozweselić staruszka. Na szczęście ten sam zmienił temat, zaczął gadać o sprawach gospodarskich, najwięcej o swoich koniach. Ada dowiedziała się, że miał ich w stajniach aż dwa tuziny i uważał, że hodowla koni to przyszłość. Zwierzęta pociągowe nadal są podporą gospodarki, szczególnie rolnictwa. Bez nich świat nie ma przyszłości.

– Mój synalek gada inaczej – mruknął. – Klepie, że przyszłość należy do maszyn parowych, węgla, elektryczności i magnetyzmu. Myślę, że nadal jest zapatrzony w Krzysztofa, choć ten już przecież nie żyje. I na co mu się zdała ta cała nowoczesność, he?

– Jakub jest zapatrzony w Krzysztofa? Mimo że był z nim śmiertelnie skłócony i nie chciał nawet rozmawiać?

– Tak, łączyła ich braterska więź, pewnie dlatego że nie mieli rodzeństwa. Mama Kuby zmarła na ospę, gdy ten miał kilka lat, zostawiła nas samych w tym dużym domu. Za dużym dla tylko dwóch mężczyzn. Jakub szukał bliskości i przyjaźni, nic dziwnego, że trochę starszy Krzysztof mu zaimponował, a że miał silną osobowość, szybko nad nim zaczął dominować. Nie wiem, może to i lepiej, że się poróżnili?

– Poróżnili? Słyszałam, że poszło o niefortunne wydarzenie w czasie powstania. Ale kiedy jakiś czas temu przypadkiem natknęliśmy się w lesie

na Jakuba, ten nie sprawiał wrażenia poróżnionego, tylko wściekłego i kipiącego nienawiścią wobec Krzysztofa.

– Gdyby go nienawidził, już dawno ukręciłby mu łeb. – Henryk pokiwał głową. – O nie, to nie była nienawiść. Mój syn jest gburem, nieokrzesanym i topornym jak głaz narzutowy, a do tego dumnym i wrażliwym. Może sprawiać wrażenie groźnego, bo do tego jest wielki i paskudny, ale tak naprawdę ma łagodne serce. Do Krzyśka czuł przede wszystkim żal, miał do niego pretensje i czekał na okazję, by z podniesionym czołem przyjąć przeprosiny. Myślę, że teraz bardzo żałuje, że już dawno nie uścisnął jego wyciągniętej ręki. Można w tym wszystkim znaleźć pewną cenną naukę.

– Tak, a jaką?

– Nie powinno się odkładać na później miłości, przyjaźni czy choćby zwykłej zgody. Życie nie trwa wiecznie, może skończyć się gwałtownie i w sposób nieprzewidziany. Miałem Konstancję na wyciągnięcie ręki, a ślimaczyłem się, układałem wiersze i jak idiota nawiedzałem ją przy świetle księżycy. Trzeba było po prostu wyznać jej miłość, szybko i bez wahania. Mój Jakub tłamsił w sobie latami urazy, zamiast dać Krzyśkowi po gębę i zaraz po tym się z nim pogodzić. Czekaliśmy obaj na to, aż życie za nas załatwi, podsunie nam pod nos rozwiązanie. A ono z nas zakpiło i odebrało nam to, czego pragnęliśmy, zostawiając z poczuciem niespełnienia i pustką.

Aldona tylko pokiwała głową. Rozumiała, co staruszek miał na myśli, ona też się spóźniła z miłością.

* * *

Jakub wrócił po godzinie, przemoczony do suchej nitki i uwalany w błocie jak prosiak. Do tego aż dzwonił zębami z zimna. Ada zerwała się na równe nogi. Widząc stan swego wybawcy, poczuła wstyd. Fortel, by mogła się tu dostać, mógł kosztować go zdrowie, a nawet życie. Pobiegła do kuchni i dorzuciła drewno, po czym postawiła na płycie gar wody.

– Musi się pan wymoczyć w gorącej wodzie – powiedziała tonem nauczycielki wydającej polecenie uczniowi. – Proszę natychmiast zdjąć to przemoczone ubranie i usiąść przy kominku. Zaraz dorzucę do ognia.

– Eee... – wydusił z siebie wielkolud, po czym potarł się po brodzie.

– Wyziębienie może być przyczyną osłabienia organizmu i wielu groźnych chorób, łącznie z kokluszem, gruźlicą i błonicą. Musiał się pan

rzucać w to błoto i zanurzać w nim po szyję?

– Konie się spłoszyły, szarpnęły mocno i mnie przewróciły – bąknął bardziej zaskoczony tą dominacją małej panienki niż oburzony. – Ale udało się wyratować zarówno kobyłkę, jak i wyciągnąć bryczkę. Jutro rano może panna wracać do Chojniaków.

– Dziękuję, bardzo pan uprzejmy. Teraz jednak proszę wykonać moje polecenie.

Kiedy wróciła do salonu, by oznajmić Jakubowi, że woda już się zagrzała, ten siedział jedynie w samych gaciach przed kominkiem i wyciągał do niego ręce oraz wielkie stopy. Henryk spał w najlepsze w swoim fotelu, cicho pochrapując.

– Och, proszę wybaczyć, nie wiedziałam, że jest pan nagi.

– Nie jestem. Poza tym miałem przecież zdjąć ubranie, prawda? Dobrze, zaraz się owinę jakim kocem. Proszę wejść i usiąść, pewnie panna zmęczona. Przygotuję jej zaraz posłanie w pokoju gościnnym.

– Macie tu pokój gościnny? Jestem zaskoczona, nie widać w tym domu kobiecej ręki.

– Owszem, od lat żadna kobieta z nami nie mieszka, ale to nie czyni z tej chałupy jakiejś nory. Nie jesteśmy dzikusami z puszczy. Ojciec studiował swego czasu w Wilnie, na Akademii Medyko-Chirurgicznej, ja wylądowałem na Cesarskim Uniwersytecie w Sankt Petersburgu. Ale nie skończyłem, wydalono mnie za nieprawomyślność... Otarliśmy się jednak obaj o wielki świat, nie zesliśmy przed chwilą z drzewa, choć pewnie myśli panienka, że ja to akurat mogłem wyleźć z niedźwiedziej gawry.

– Pozory mylą, tyle zdążyłam się nauczyć w Chojniakach, czasem nawet bardzo mylą. Co pan studiował, panie Jakubie?

– Matematykę. Ponoć mam analityczny umysł. – Wzruszył wielkimi owłosionymi ramionami.

Po raz kolejny przyjrzała mu się i to nieco uważniej. Jego postura rzeczywiście nie wskazywała, że może być człowiekiem wykształconym i inteligentnym. Jego obraz zmieniał się w jej oczach, coraz trudniej było uwierzyć, że ktoś taki mógłby po prostu zastrzelić dawnego przyjaciela, a jego zwłoki cisnąć do rzeki. Teraz wydał się jej zadumanym niedźwiedziem, wielkim, ale łagodnym.

– I mój analityczny umysł podsuwa mi rozwiązanie dzisiejszej łamigłówki – odezwał się, okręcając kocem, który starczył na okrycie tylko

jego torsu. – Nie wpakowała się panna w naszą kałużę przypadkiem ani przez pomyłkę. Nie wierzę, że w taką pogodę, kiedy ciągle woda stoi po roztopach, we dworze nie ostrzegli panny przed jedyną pułapką czekającą na drodze. Poza tym widywałem pannę niejedną raz, ale nigdy samej, nigdy powożącej zaprzęgiem. Co więcej, pogubienie drogi i wpakowanie się w to bajoro zdarzyło się chyba pierwszy raz od dwudziestu lat. Nigdy też nie przytrafiło się to domownikom Chojniaków ani ich znajomym.

– Raczy pan żartować, panie Jakubie – prychnęła niedbale, choć w głowie zabił jej dzwon alarmowy. – Po prostu po śmierci Krzysztofa, my, kobiety z Chojniaków, musiałyśmy stać się bardziej samodzielne. To dlatego nauczyłam się powozić i sama wybrałam do miasteczka. O kałuży Żółtaszce owszem, dziadek opowiadał, ale nie miałam pojęcia, że właśnie na nią się natknę. Jako matematyk z pewnością zna pan probabilistykę, naukę o prawdopodobieństwie, prawda? Przypadek, nawet mało prawdopodobny, może się zdarzyć, i tak też było w moim wypadku. Skąd ta podejrzliwość, czemu ma mnie pan za wroga?

– W Bolimowie gadają, że dziedziczka nie rozstaje się z guwernantką, że jest dla niej panna jak adiutant. Biorąc pod uwagę jej niechęć do mnie i prawdopodobnie to, że oskarża mnie o śmierć Krzyśka, podejrzewam, że wysłała tu pannę na przeszpiegi. Nie mam, rzecz jasna, dowodów, to tylko hipoteza, ale bardziej prawdziwa niż to, że wjedzie panna w największą kałużę w promieniu pięćdziesięciu wiorst.

Ada pokiwała głową, uśmiechając się głupio. Na chwilę zabrakło jej języka w gębie. Akurat tego się po tym drabie nie spodziewała. Raczej gburowatości, milczenia, ponurych spojrzeń i grózb śmierci, ale nie tego, że natychmiast ją rozgryzie i zaszachuje w rozmowie. Nagle dotarło do niej, że to niby gniewne spojrzenie jasnych oczu, którym ją obrzuca, wcale nie jest gniewne, tylko przenikliwe i piekielnie inteligentne. To ona myślała, że pożongluje sobie słowami i otumani dwóch zaściankowych ziemian, a zamiast tego przyszło jej rozgrywać potwornie trudną partię szachów, bo właśnie z czymś takim zaczęła jej się kojarzyć ta rozmowa.

– Czy oskarżenia Eufemii są rzeczywiście bezpodstawne? – spytała po dłuższej chwili milczenia.

– A panna co uważa? Zabiłem Krzyśka?

– Pańskie zachowanie w czasie naszego spotkania w lesie może podsuwać mi takie właśnie podejrzenie. Był pan agresywny i nerwowy

właściwie bez powodu – powiedziała, przyszpilając go głębokim spojrzeniem czarnych oczu. Miała wrażenie, że to działa, wielkolud jakby nieco się skurczył. – Dlaczego nie chciał pan nawet rozmawiać z Krzysztofem, choć proponował panu przeprosiny i zgodę? Słyszałam co nieco o tej historii sprzed siedemnastu lat i nie widzę powodu, by tak długo chować urazę. Chyba że jest pan człowiekiem pamiętliwym, mściwym i złym.

– Co oni właściwie pani opowiedzieli? – prychnął z irytacją. – Ach, chwilę, muszę się uspokoić, bo jestem porywczy.

Wstał gwałtownie, aż Ada drgnęła ze strachu. On jednak podszedł do regału i zabrał z niego butelkę, wyciągnął korek zębami i napił się wprost z flaszki. Zerknął na guwernantkę i chyba dojrzał niesmak w jej spojrzeniu, bo odstawił naczynie i otarł usta wierzchem dłoni.

– Proszę wybaczyć moje zachowanie, zupełnie zdziczałem ostatnimi laty. Nie przywykłem do podejmowania gości, a już szczególnie egzaltowanych, a do tego podstępnych i przekonanych o własnej wyższości pańienek. Raczy panna skosztować wina z porzeczek naszego domowego wyrobu? Oczywiście znajdę stosowne naczynie.

– Dziękuję, jest zbyt późno na trunki – odparła. – Ale proszę się nie krępować, jak dla mnie może pan pić prosto z wiadra.

Mierzyli się przez chwilę wzrokiem, w końcu Jakub parsknął śmiechem. Sięgnął po szklanicę i nalał do niej wina, po czym usiadł na swoim miejscu.

– Już dobrze, nie będę się wściekał. Prawda jest taka, że opowieści z czasem ewoluują, zmieniają się, przepoczwarzają, zniekształcane przez ludzką pamięć i osobowość opowiadającego. Przedstawię zatem swoją wersję tamtych wydarzeń, o ile nie ma panna nic przeciw temu. Nie będzie to długa opowieść. Przyjaźniłem się z Krzyśkiem, odkąd pamiętam, nasze rodziny pozostawały bowiem w dobrych relacjach od momentu, gdy tatko jako dziecko zaprzyjaźnił się z rodzeństwem Kęszyckich. Krzysztof był ode mnie starszy, uległem jego wpływowi, bo zawsze imponował mi wyobraźnią, mądrością i dojrzałością. Nie brakowało mu również fantazji, zabawy zawsze wymyślał szalone, gonitwy po lesie, pływanie rzeczką i po zalewie na tratwach, łażenie po drzewach i rzucanie kamieniami w kłusowników. Mniejsza z tym, szczęśliwe lata dzieciństwa szybko przemieły. Ani się obejrzelśmy, a doszło do pamiętnych wystąpień patriotycznych w Warszawie. Ośmiu poległych, potem masakra na Starym

Mieście i w końcu ogłoszenie branki do wojska, by upokorzyć i ujarzmić młodzież. Ruszyliśmy do lasu, ja za Krzyśkiem, rzecz jasna, niczym jego cień. Dołączyliśmy do powstańczej partii dowodzonej przez jednego ziemianina z okolicy. Od początku mi się nie podobał, jakiś był nazbyt ostrożny, wycofany, bez jajec, jak to się mówi na wsi. Nam, młodym, zupełnie nie po drodze było z dowódcą pozbawionym wyobraźni, który tylko czekał na kolejne ustawy Rządu Narodowego. Krzysiek za to pokazywał, co potrafi. Zjednął sobie wszystkich młodych z naszej kompanii i ogłosił się ich dowódcą i porucznikiem. To był samozwańczy awans, który oczywiście w pełni poparłem. Bez wiedzy dowódcy przeprowadziliśmy kilka akcji, głównie ataki na carskie posterunki. Raz wmaszerowaliśmy do Bolimowa. W niedzielę, jak gdyby nigdy nic, przyszliśmy na mszę, pod bronią, z biało-czerwonymi kotylionami. Ludzie płakali, dotykali nas, jakby chcieli sprawdzić, czy jesteśmy prawdziwi, czy to nie sen. To było szaleństwo, bo Moskale tylko czekali na podobne wybryki, ale jednocześnie tak bardzo w stylu Kęszyckich. Krzysztof niczym nie różnił się od swego ojca i dziadka, wszyscy lubili błyszczeć. Czy to oswojonym niedźwiedziem, czy prowadząc leśną armię. Fantazja, tak to nazywał. Teraz widzę, że była to po prostu brawura. Kilka dni później w równie brawurowej akcji uderzyliśmy na konwój jadący do Łowicza. Jakimś szczęśliwym przypadkiem wystrzelaliśmy zbrojną obsadę i przepłoszyliśmy resztę ochrony. W pancernej kibitce trafiła nam się skrzynia z żołdem dla żołdatów z całego garnizonu. Kilka tysięcy rubli, spora część w monetach. To był dopiero sukces, kompletnie szajba nam odbiła. Czuliśmy się jak młodzi bogowie, nieśmiertelni, niezwyciężeni. Wróciliśmy do obozu, gdzie dowódca wraz z resztą niewielkiego sztabu właśnie zdecydowali o rozwiązaniu partii i rozpuszczeniu ludzi do domów. Zbyt dużo kozactwa zjechało, by nas wytrzebić, i lepiej było zapaść w mateczniki, zniknąć, rozpląnąć się w lesie bez strat. Oczywiście nie chcieliśmy o tym słyszeć, choć część starych buntowników już zakopała broń i powędrowała duktami do swoich wiosek. Z dowódcą została grupka sztabowców i kilku maruderów. Kiedy major zobaczył forszę, na chwilę zapomniał o planach ucieczki. Krzysiek, jak to Krzysiek, zarządził, że pieniądze pójdą dla wdów poległych powstańców, a reszta na broń i mundury dla nas. Zażądał, by major awansował go na kapitana i przekazał mu dowództwo nad całą partią. – Pokręcił głową i wychylił duszkiem całą szklanicę. – Dowódca tylko go

wyśmiał, położył łapę na szkatule i oświadczył, że rekwiruje ją w imieniu Rządu Narodowego. Krzysztof, jak przystało na Kęszyckiego z krwi i kości, też się zaśmiał i oznajmił, że odbiera majorowi komendę i degraduje go oraz wyklucza z armii, za to w swoim własnym imieniu. Sztabowcy sięgnęli po broń. Strzeliłem jako pierwszy i rozwaliłem jednemu łeb z kilku kroków. Krzysiek wyciągnął szablę i zarąbał majora dwoma cięciami na krzyż. Wybiliśmy ich w kilka uderzeń serca, ale sami też ponieśliśmy straty, zostałem ja, Krzysiek i dziesięciu chłopaków...

– O rety, bratobójcza walka – szepnęła Ada. O tym nie było mowy we wcześniejszych wersjach tej historii.

– To nie mogło się wydać, przysięgliśmy, że nikomu nie powiemy. Minęło jednak tyle czasu, że uważam tę obietnicę za nieobowiązującą, poza tym zostałem już tylko ja z naszej bandy. Reszta nie żyje. – Wzniósł szklanicę i wypił milczący toast za poległych. – Nasze samodzielne wojowanie nie trwało długo. Krzysiek miał wielkie plany, chciał przyciągnąć do nas ochotników i najechać Łowicz, wybić rosyjską załogę i zatknąć chorągiew na ratuszu. Tyle że chorągwi nie mieliśmy, ale to nie było problemem. Kłopoty nadal związane były z pieniędzmi. Te tysiące rubli kusily naszych chłopców, trzeba było szybko je rozdysponować, zamienić na broń lub rozdać rodzinom poległych. Niestety nie było na to czasu, bo w okolicy pojawiło się kilka kozackich sotni, które urządziły na nas polowanie. Krzysiek zdecydował zakopać tę skrzynię, zrobiliśmy to razem, całą naszą kompanią. Kilka godzin później starliśmy się z niewielkim patrolem i wybiliśmy go, ale nie do końca. Ocalali Kozacy wezwali swoich i nagle nad brzegiem zalewu otoczyła nas cała czereda Dońców. Krzysiek kazał porzucić broń i się ratować, musieliśmy nocą przepłynąć zalew...

– Wiem, co było dalej – wtrąciła Ada. – Przepłynął jako pierwszy, myślał, że was wybili i potopili, po czym uciekł do lasu, nie czekając...

– Niezupełnie tak się to potoczyło. – Jakub pokręcił głową. – Czekał na nas, pomógł każdemu wyjść na brzeg. Ja przypląnąłem jako ostatni, pamiętam, że ciągnął mnie za koszulę. I wtedy nadjechali Dońcy. Krzysiek stchórzył, krzyknął tylko, żeby uciekać, i jako pierwszy rzucił się w chaszczę. Zostawił mnie tam, na brzegu, stojącego po kolana w wodzie. Nie miałem sił się ruszyć, byłem wyczerpany, bo niezbyt dobrze pływam. Najechał mnie jeden z Kozaków i w przelocie chlasnął szablą. Pamiętkę

mam do dzisiaj. – Rozchylił koc i pokazał Adzie obnażony tors przecięty różową blizną. – Udałem nieboszczyka, leżąc w wodzie. Reszta chłopców była równie zmęczona i bezbronna, Dońcy dopadli ich jednego po drugim i pozabijali. Krzysiek nie wrócił po mnie, stchórzył, zwyczajnie stchórzył. Uznał, że nie ma po kogo wracać, bo z pewnością jesteśmy martwi, ale nie sprawdził, nie zadbał nawet o pochówek zamordowanych. Ja wylazłem na brzeg po jakichś dwóch godzinach i ruszyłem do domu zgięty wpół, krwawiąc jak postrzelony niedźwiedź. Kawałkami się czołgałem, na jakiś czas straciłem przytomność, wypłynęło ze mnie chyba wiadro krwi, ale przeżyłem. Byłem silnym młodzieńcem, dotarłem do domu, gdzie zaległem w łóżku na jakieś dwa tygodnie. Leżałem w gorączce, śniłem koszmary, ból i maligna sprowadziły na mnie nienawiść. Nie na Moskali, ale na Krzyśka, który nas porzucił i uciekł...

– Rzeczywiście miał pan powód do złości, ale przecież, gdyby Krzysztof został, niczego by to nie zmieniło, najwyżej poległby razem z tamtymi chłopakami – zauważyła Ada.

– Pełnił funkcję naszego dowódcy, wszyscy mu ufaliśmy, a ja najbardziej. Byłem w niego zapatrzony jak w obrazek, miałem go za starszego brata. I zostawił mnie tam, bezradnego, stojącego w wodzie. Powinien zostać do samego końca, tego oczekiwaliśmy. Ale to nie wszystko, jakiś czas po tym pojawił się u nas w odwiedzinach. Jeszcze odzyskiwałem siły, ale czułem się słabowicie, może tylko dlatego go nie udusiłem. Pierwsze, o co spytał, to co się stało z forszą.

– Jaką? Tą zakopaną?

– Zniknęła. Zamiast pojawić się w pierwszej kolejności u mnie, pojechał wykopać skrzynkę z rublami. Tego się po nim nie spodziewałem, nigdy jednak nie był chytry czy interesowny. On jednak potrzebował tej forsy, bo na rodzinę spadły kłopoty. Moskale obłożyli kontrybucją wojenną wszystkich ziemian w regionie, za karę, bo sprzyjali buntowszczykom. To był początek represji popowstaniowych. Krzysiek przeszedł wtedy przemianę, znikł gdzieś pełen fantazji i polotu dowódca bandy, a pojawił się odpowiedzialny i poukładany mężczyzna przejmujący od ojca rodzinny interes. Nie poznawałem go, szczególnie że w nerwach oskarżył mnie o kradzież. Rozumiesz? Nie błagał mnie o przebaczenie za to, że porzucił, tylko żądał wydania gotówki. Nie uścisnął na powitanie, nie dbał o moje boleści ani słabość, chciał tylko cholernych rubli. Wszyscy zginęli prócz

nas dwóch, tylko ja i on wiedzieliśmy, gdzie jest zakopana ta forsa. Skoro znikła, uznał, że to ja ją zabrałem. Kazałem mu się wynosić i obiecałem, że jeśli jego noga postanie na naszej ziemi, zabiję go jak złodzieja. I stąd złość, która z czasem u mnie tylko się powiększała, zamiast słabnąć.

Aldona słuchała tego, bezwiednie zaciskając pięści. Jak to możliwe, że jej Krzyś, taki szlachetny i wspianiały, zrobił coś takiego? Może Jakub kłamał? Nie, wystarczyło spojrzeć mu w oczy. Wielkolud był prostolinijny i szczery aż do bólu. On nie koloryzował ani nie zmyślał, opowiadał wyłącznie prawdę.

– Nie zabił go pan jednak – wymamrotała tylko.

– Nie, to nie ja go skrzywdziłem – przyznał, a ona mu uwierzyła.

* * *

W świetle poranka dwór nie wyglądał już tak ponuro i okazało się, że wcale nie jest w nim bardzo brudno. Pokój, który dostała Ada, przed laty należał do pani domu i od tego czasu wiele w nim nie zmieniano. Lekkie mebelki w stylu biedermeierowskim, okrągłe lustro nad gotownią, wygodne łóżko z różową pościelą – tego się po tej niedźwiedziej jamie Aldona nie spodziewała. Salon rankiem też zyskał na uroku, a zdobiące go obrazy na kolorach. Nawet pan Henryk w świetle dnia stał się świeższy i bardziej żwawy. Zaprosił ją na śniadanie do jadalni, chyba też bardzo rzadko używanej. Zrozumiała, że gospodarze traktują ją jak honorowego gościa, co znaczyło, że naprawdę nikt ich nie odwiedza. Świadczyła o tym porcelanowa zastawa, która prawdopodobnie dopiero co została wyjęta z kredensu, gdzie czekała na wielce specjalne okazje. Szczytem wszystkiego okazała się chwila, w której do pomieszczenia wszedł Jakub ubrany w odświętną, białą koszulę, wykrochmaloną na sztywno, i kwiecisty fartuszek kuchenny, ledwo opinający jego tułów.

– *Bon appétit!* – oświadczył, stawiając na stole półmisek pełen parującej jajecznicy. – Z jajek od naszych kur, z naszą śmietaną i na boczku z naszych świnek. Ale pewnie w Chojniakach jedzą podobnie, więc panny nie zaskoczę.

– Pan gotuje? Tylko jajecznica jest pana specjalnością czy ma pan inne ukryte zdolności? – spytała Ada z uśmiechem.

– Mam książkę pani Ćwierczakiewiczowej i umiem odtworzyć większość jej przepisów – oznajmił lekko Jakub i zasiadł do stołu. – Gotowanie to po

prostu wykonywanie prostych czynności wedle receptury: odważyć ingrediencje, zmieszać, podgrzać na wyznaczony czas i to właściwie wszystko. Wielkich tajemnic ani filozofii w tym nie ma. Każdy o analitycznym umyśle poradzi sobie bez problemu.

– Och, zdaje się, że upraszcza pan to zagadnienie jak równanie matematyczne – odparła. – Ale życie nie polega na sprowadzaniu wszystkiego do najprostszej postaci. Nie jesteśmy sumą znaków, a jedzenie nie jest jakimś wielomianem do rozwiązania. Żeby zrobić je dobrze, potrzebny jest talent, wyczucie, coś więcej niż pilnowanie przepisu.

– Dusza – wtrącił Henryk. – Do wszystkiego, co się robi, trzeba wkładać serce. Metaforyczne serce, rzecz jasna. Nawet przyrządzane jedzenie można natchnąć czymś więcej, dać mu odrobinę ciepła z siebie. Dopiero wówczas jest naprawdę smaczne.

– Aha – mruknął Jakub bez entuzjazmu. – Skosztujcie zatem i powiedzcie, czy włożyłem odpowiednio dużą część duszy do tych jajek.

Henryk przewrócił oczami. Syn nie wdał się w ojca, który w jego wieku był jeszcze romantykiem zakochanym w poezji. Jakub był do bólu pragmatyczny i pozbawiony choćby cienia wrażliwości. Okazało się jednak, że jajecznicę zrobił wspaniałą. Ada jeszcze nigdy takiej nie jadła, puszystej i aromatycznej. Złapała się na tym, że uśmiecha się, jedząc. Czują też na sobie uważne spojrzenie Jakuba. Domyśliła się, że czekał na ocenę, i – jak tylko mogła – obsypała go komplementami. Wielkolud zaczął rosnać w oczach z dumy, a jego twarz rozpogodziła się po raz pierwszy. Nagle okazało się, że to całkiem przystojny mężczyzna i wcale nie taki brzydki, szczególnie kiedy nie ma gniewnej miny.

Aldona uznała swą misję za zakończoną, podziękowała wylewnie za gościnę i oznajmiła, że musi wracać do dworu, bo z pewnością się o nią martwią. Jakub wsiadł z nią do bryczki, by wskazać drogę, dzięki której ominie błotniste pułapki i wróci bez kłopotów do Chojniaków. Jadąc, rozmawiali, czyniąc sobie uszczypliwości, co chyba obojgu weszło w zwyczaj. Ada spostrzegła, że dobrze się bawi i że w ogóle polubiła obu Klimków. Kiedy Jakub wyskoczył z dwukółki, spytała go, czy będzie mogła ich kiedyś jeszcze odwiedzić. Wyglądał na autentycznie zakłopotanego, aż w końcu wydusił, że uczyni zarówno jego, jak i ojca szczęśliwymi, jeśli jeszcze kiedyś odważy się do nich przyjechać.

Ledwie Jakub zniknął w oddali, a ona pogoniła lejcami kobyłkę, gdy na drodze, jak spod ziemi, pojawił się mężczyzna w myśliwskim stroju. Ściągnęła wodze i zatrzymała konia, ale na szczęście to był tylko pobereznik Bobrowski. Uchylił kapelusza w ukłonie i spytał, czy nie potrzebna jej jakaś pomoc.

– Nie wiedziałem, że panna umie powozić – oznajmił z podziwem. – Ile jeszcze niespodzianek kryje najpiękniejsza w województwie guwernantka?

– Wiele, jak każda kobieta. A co do piękności, to skąd pan wie, czy inne guwernantki w województwie nie są ładniejsze? Znasz je wszystkie, Tomaszu?

Lubiła tego leśnika, który adorował ją w sposób dość nieśmiały, w każdym razie mile to łechtало jej próżność. Nie zamierzała się jeszcze zakochiwać, rana po Krzysztofie nadal była świeża, ale przyjemnie było mieć absztyfikanta. Tylko czy ja go naprawdę znałam? – pomyślała o Krzysztofie. Kim on właściwie był? Ile o sobie nawymyślał? Czy kochałam prawdziwego Krzysztofa, czy tylko ułudę, obraz, jaki sam stworzył?

Zaprosiła Tomasza do bryczki, a co za tym idzie – także do Chojniaków, ale nie czuła żadnego wahania, z pewnością wszak będzie we dworze mile widziany.

– Och, jakże się cieszę, że nasze życiowe ścieżki znów się skrzyżowały – powiedział, kiedy kobyłka niespiesznie ruszyła, niezadowolona z tego dodatkowego obciążenia. – Robiłem, co w mojej mocy, by znów do tego doszło.

– Czyli co, czatowałeś na mnie w krzakach? – parsknęła.

– Niemalże. Kręciłem się po okolicy, ale z innego powodu – spoważniał nagle. – Odkryłem coś w części lasu, w której został zastrzelony Kęszycki. Znów się tam wybrałem, bo dręczyło mnie jakieś poczucie niespełnienia, jakbym coś przegapił lub nie dokończył zaczętej roboty. Tego nie lubię.

– Co tam znalazłeś, Tomaszu?

– Wnyki, stare zapomniane wnyki z żelaznego drutu, już nieco skorodowanego. Nic dziwnego. Leżały całą zimę w wodzie. – Wykrzywił usta, robiąc w swoim mniemaniu tajemniczą minę. – Rozumiesz, co to znaczy? Podejrzewam, że feralnego dnia Krzysztof, w czasie spaceru po lesie, natknął się na kłusownika. Niewykluczone, że go rozpoznał, to mógł być któryś z włościan, nawet z jego dziedziny. Kłusownik się wystraszył,

pewnie nie przemyślał tego, co robi, a może wizja spędzenia kilku latek za kratami wydała mu się przerażająca. Wypalił z obu luf, z bliska, prosto w pierś Kęszyckiego. Był na tyle spanikowany, że postanowił ukryć ciało. Zaniósł je spory kawałek, wyłamał lód na rzeczce tam, gdzie ten był cienki, i wrzucił ciało do przerębla. Z tego wszystkiego zapomniał o wnykach lub bał się po nie wrócić. Sprawcą jest lokalny kłusownik, a ja myślę, że mogę go odnaleźć i zidentyfikować. Taką zresztą mam pracę, strzegę lasu przed tymi kreaturami. Wiem, że każdy z nich ma własny styl budowania pułapek na zwierzęta i zidentyfikuję na ich podstawie tego, który to zrobił...

– Och, jakiś ty dzielny. I dociekliwy – powiedziała z przekąsem, ale wzięła to za dobrą monetę i wyszczerzył się do niej w szerokim uśmiechu.

Trzasnęła nieco mocniej lejcami, pora już było wracać do domu. Do domu! Nazwałam Chojniaki swoim domem – pomyślała z zaskoczeniem. Kiedy to się stało? Kiedy poczułam się tam u siebie? Na to pytanie nie potrafiła odpowiedzieć, ale fakt był faktem, uznała dwór za swój dom i cieszyła się, że do niego wraca.

Rozdział 5

Dusza w porze wieczornej, o dniu przeminionym dumająca, widzi godziny złote i godziny miedziane, i godziny bez obliczy, z wnętrzem pustem. Płyną przed nią sznurem, płyną przed nią falami godziny błękitne i godziny czerwone, godziny wesołości pustych i godziny smutków próżnych.

Rozważa dusza i nie wie, po której stronie stał Anioł dobry, gdyż bywa pracowitość grzeszniejsza od lenistwa i bywają smutki próżne, gorsze od wesołości pustych. Zwodniejszym bywa błękit słodczy, spokój lubiącej, i czerwono goreją niekiedy oblicza gniewów świętych.

Eliza Orzeszkowa (1841–1910), *Któż się przed Tobą ostoi?*

Wiosna nadeszła z pełną mocą, znikły ślady po roztopach, rzeczka Rawka znów wróciła do swoich zwyczajowych rozmiarów. Łąki pokryły się dywanami kwiatów, pszczoły z pasieki w Chojniakach pracowały przez to pełną parą, życie kwitło, gdzie nie spojrzeć. Ada ledwie spostrzegła, że minęła pierwsza rocznica jej przyjazdu do pracy. Zajęta była dziećmi, nie miała nawet czasu, by pomyśleć o powrocie do miasta, właściwie nawet jej tam nie ciągnęło. Jako że pogoda była coraz cieplejsza, zabierała dzieci na lekcje do ogrodu, pod chmurką – jak mawiała Jadzia, ulubiona podopieczna Ady. Dziewczynka pokrywała kolejne kartki malunkami przedstawiającymi motyle i inne owady, poza tym nauką niespecjalnie była zainteresowana, szczególnie czuła wstręt do arytmetyki i ortografii języka polskiego oraz rosyjskiego. Za to Piotrek skupił się na przedmiotach ścisłych. Aldona spostrzegła, że chłopak ma predyspozycje w tym kierunku, i zaczęła kłaść nacisk w jego nauce właśnie na matematykę i fizykę. Niestety czuła, że szybko jej wiedza z tych zagadnień się wyczerpie, potrzebowała zatem wsparcia merytorycznego. Na początek udała się do Eufemii, by powiedzieć jej, że trzeba dla chłopaka kupić dodatkowe podręczniki.

– Dobrze, podaj jakie – rzuciła dziedziczka siedząca za biurkiem. –

Właśnie szykuję zamówienie dla znajomego księgarza. Upatrzyłam sobie wszystkie tomy *Leśnictwa polskiego* autorstwa niejakiego Połujańskiego. Słynne dzieło, jest w nim wszystko, czego potrzebuję: botanika leśna, hodowla lasów, urządzenie lasów, użytkowanie lasów i tak dalej. Będę się szkoliła, by przejąć interes od teścia. Nie jestem pewna, czy on dobrze kieruje tartakami. Gadał coś o powrocie do tradycji, do korzeni, chyba maszyny parowe do cięcia drewna trochę go przerażają. Tylko patrzeć, jak

zabierze drwalom piły i każe ciąć drewno siekierkami. Mówiąc wprost, dziadek Dominik jest z innej epoki, a my musimy działać nowocześniej, tak jak planował i robił Krzysztof. W przeciwnym razie świat nas wyprzedzi, zostawi w tyle, a na to nie możemy sobie pozwolić.

– Będziesz kierowała tartakami? Kobieta przemysłowcem leśnym? – Ada uniosła brwi.

– A co w tym takiego strasznego? Poza tym liczyłam na to, że mi pomożesz. – Eufemia oderwała się od papierów. Wstała i przeciągnęła się z westchnieniem. – Zostałam sama, Donia. Mam na głowie całe gospodarstwo, dzieci i rodzinny interes, potrzebuję twojego wsparcia.

– Masz je przecież. Trwam przy tobie, szefowo – odparła Ada, która czuła się w towarzystwie Eufemii coraz swobodniej.

Jeszcze kilka miesięcy temu do głowy by jej nie przyszło, by zwrócić się do dziedziczki tak familiarnie. Ta podeszła do niej i po prostu uwiesiła się guwernantce na szyi. Westchnęła przy tym ze zmęczenia, a może z ulgi. Ada poklepała ją krzepiąco po plecach. Zaczynała już przywykać do zaskakujących zachowań Eufemii. Pocałunki, klapsy ani przytulenia nie przystały komuś z jej pozycją czy w jej wieku, ale dziedziczka chyba miała to w nosie. Najwyraźniej potrzebowała bliskości i sama ją sobie brała.

– Pojedziemy z gospodarską wizytą do tartaku – oznajmiła nagle.

– Ale jeszcze popołudniowe lekcje...

– Dziś niech sobie dzieci zrobią wolne, Lucyna ich przypilnuje. Zresztą Annę możemy zabrać ze sobą, niech się czegoś nauczy.

Ada posłusznie udała się do zabudowań gospodarczych i poprosiła Poldka, by zaprzągnął konie do bryczki, potem wróciła do pokoju, by przebrać się w coś wygodnego. Ani się obejrzała, a z Anią siedziała w powozie, Eufemia natomiast wymachiwała bacikiem z siedzenia woźnicy. Pierwszy raz Ada miała okazję rozeznać się w rozmiarach majątku Kęszyckich. Jechali bowiem przez ich włości, łąki i las. Pomyślała, że nawet jakby dziadek źle zarządzał tartakami, to zasadniczo bieda i głód nigdy nie zajrzą im do misek. Takie hektary ziemi musiały przecież robić intratę choćby z racji swoich rozmiarów. Jeśli z jakiegoś powodu to się nie działo, zawsze można trochę sprzedać lub wydzierżawić. Eufemia nie musiała się bać o to, że nie będzie miała z czego żyć.

– Czemu się uparłaś, by sama rządzić? – Guwernantka spytała na głos. – Dlaczego nie zostawisz interesów w rękach rządcy Popowicza? Przecież to

uczciwy człowiek, Krzysztof mu ufał i zezwalał na sporą swobodę.

– Śmierć Krzyśka wstrząsnęła mną na tyle, że nagle się przebudziłam i spostrzegłam, że życie przecieka mi przez palce, a ja nie mam na nic wpływu. Muszę nadać mu jakiś sens, odłożyć czcze romanse i wziąć się w karby. Będę wyznaczała sobie kolejne cele do osiągnięcia i dążyła ku nim, ile sił – odparła Eufemia i trzasnęła biczem, by podkreślić wagę wypowiedzi. Konie przyspieszyły wystraszone. – Na początek zapanuję nad tym, co zostawił Krzysztof. Potem się zobaczy!

Tartak składał się z kilku długich wiat, pod którymi suszyło się pocięte na deski i bale drewno. Znajdowało się tu też zabudowanie z kominem, gdzie pracował silnik parowy napędzający krajzegę, wielkie obracające się koło z ostrzami. Urządzenie wyglądało groźnie i Ada wyobraziła sobie, że chwila nieuwagi i może przeciąć któregoś pracownika na pół, zanim ktokolwiek zdąży zareagować. Drwale przerwali pracę i gapili się na dziedziczkę i jej towarzyszkę z rozdziawionymi gębami. Odwiedziny damulek zdarzyły się tu po raz pierwszy w historii, najstarsi z nich nie pamiętali podobnego wydarzenia. Nawet kiedy przyjechał proboszcz, by poświęcić silnik parowy, nie czuli się równie onieśmieleni.

Najbardziej się spocił brygadzysta, niejaki Kowalski. Starszy jegomość, ale niezwykle krzepki i mocno umięśniony, zginał się w ukłonach, choć wyraźnie nie przywykł, by tłumaczyć się kobiecie. Musiał dłuższą chwilę zbierać się w sobie, by w ogóle zacząć oprowadzanie dziedziczki po jej włościach. Pokazał im silnik parowy zaopatrzony w stalowy kocioł, manometry i zawory.

– Zostaje nam dużo ścinek, wiórów, gałęzi i nimi palimy pod kotłem. Dzięki temu mamy zupełnie darmowe paliwo napędzające maszynę. To świętej pamięci pan dziedzic tak wymyślił. Ech, to był łebski chłop... O, przepraszam, mądry pan, tak chciałem powiedzieć – plątał się brygadzysta.

Ada czuła na sobie spojrzenia spoconych, rozebranych do pasa drwali. Odpowiadała śmiałym spojrzeniem, bez cienia zażenowania czy zakłopotania. Jej czarne oczy chyba peszyły osiłków, bo odwracali wzrok, wyraźnie zawstydzeni. Tylko jeden gapił się wprost na nią, ciągle z uchylonymi lekko ustami. Pomyślała, że to pewnie idiota. No cóż, ta praca nie wymagała wybitnych zdolności intelektualnych. Trzeba było mieć silne mięśnie i tyle.

– A jak badacie giętkość, twardość i ciągliwość drewna? – spytała Eufemia, udając rozeznaną w temacie.

Kowalskiemu znów języka zabrakło w gębie. Podrapał się po głowie, w końcu wzruszył ramionami.

– My nic nie badamy. Tylko odkładamy na bok drewno chore i z wadami, takie, które ma brzydki flader, pasiak lub błyszcz – odpowiedział.

Eufemia pokiwała głową, choć nie rozumiała ani słowa. Książki o drewnie jeszcze nie przyszły, musiała sporo poczytać, jeśli chciałyby zadać więcej pytań.

– Czego wam trzeba, czego brakuje? – dopytywała. – Czy coś utrudnia wam pracę?

– Niczego nam nie brakuje, mamy wszystko, co trza, o to dba pan Popowicz. Nic roboty nie utrudnia, jeśli nie liczyć tego wścibskiego gajowego, który tu się ostatnio kręci i wypytuje ludzi, odciągając ich od pracy.

– Co robi gajowy w moim prywatnym lesie? Ja to załatwię, zaraz pojedę do nadleśnictwa i im powiem, co myślę o wścibstwie ich ludzi. Czego on tu szuka, do diaska? – zirytowała się dziedziczka.

– Chyba tropi kłusowników. – Brygadzysta wzruszył ramionami.

Kiedy wsiadły do wozu, by pojechać do drugiego tartaku, Ada opowiedziała Eufemii o podejrzeniach Bobrowskiego i prowadzonym przez niego śledztwie.

– Od dawna o tym wiesz? Od dwóch miesięcy i nic nie mówiłaś? – prychnęła dziedziczka. – Przecież wiesz, jaka jestem wściekła i że ciągle męczy mnie sprawa śmierci Krzyśka. Zaś co do Klimków...

– Ręczę za nich, tak jak ci mówiłam, jestem przekonana, że nie mają nic wspólnego ze śmiercią twego męża – odparła Ada.

– Wierzę ci, dam tym ludziom spokój. Ale gdybym wiedziała, że to zrobił kłusownik, który nadal działa w moim lesie, już ja bym zastawiła na niego pułapkę... – Eufemia zagryzła wargę, planując w myślach zasadzkę na mordercę.

– Zostawmy to fachowcowi – rzuciła Aldona bez przekonania. – Tomasz jest świetnym leśnikiem, z pewnością wytropi tego bandytę. Nie wolno mu przeszkadzać ani psuć roboty jakimiś zasadzkami. Niech sobie wypytuje drwali i węszy we wszystkich leśnych zakamarkach.

– Mamo, nie złość się tak – wtrąciła Anna – bo się ciebie boję. Robisz się taka straszna, kiedy mówisz o śmierci papy...

Eufemia wyraźnie się speszyła, odetchnęła głęboko. Uspokoila się, ściągnęła lejce, zawracając konie.

– Dobrze, nie wtrącę się w śledztwo Bobrowskiego, ale pod warunkiem że wkrótce przyniesie ono rezultat. Donio, przyślij do mnie tego młodzieńca, kiedy po raz kolejny przyjdzie do ciebie w odwiedziny. Porozmawiam z nim sobie...

Ada czuła, że na jej policzkach wykwita rumieniec. Tomasz przychodził średnio dwa razy w tygodniu, raz nawet przyniósł jej samodzielnie narwanych kwiatków, innym razem wręczył dwa upolowane zające. Starał się ją adorować, przynajmniej tak, jak umiał. Stopniowo coraz bardziej się do niego przyzwyczajała i zaczynała go wyglądać, niepokoiła się, kiedy spóźniał się dzień lub dwa. Nadal jednak nie była przekonana, czy jest w stanie poczuć do niego coś takiego, co żywiła wobec Krzysia.

– Powinien pojawić się jutro, najdalej pojutrze – powiedziała. – Przyprawdzą go do ciebie, jak sobie życzysz.

* * *

Tomasz zjawił się szybciej, niż się go Ada spodziewała, zupełnie jakby słyszał jej rozmowę z dziedziczką. Przyjechał jeszcze tego samego dnia po południu, w dodatku nie sam, ale w towarzystwie znajomego już paniom żandarma Żewłakowa. Przybyli policyjną kibitką aresztancką, co wywołało mały popłoch we dworze. Dziadek sięgnął po dwururkę znad kominka i oświadczył, że jeśli zechcą go aresztować, będzie się bronił do upadłego. Również Poldek pobladł i chciał już ewakuować się oknem, a zatrzymany przez Eufemię wyznał jej, że od kilku miesięcy się ukrywa, bo dostał wezwanie do wojska. Służba w carskiej armii trwa piętnaście lat, a on nie zamierza stracić młodości w kamaszach. Dziedziczka go uspokoiła i obiecała, że załatwi jego zwolnienie, to nie jest wielki problem. Znała carat na tyle dobrze, że wiedziała, iż wystarczy łapówka, by chłopak został uznany za jedyne żywiela rodziny i zwolniony. Poza tym było mało prawdopodobne, by żandarmi fatygowali się w poszukiwaniu jednego poborowego. I rzeczywiście, okazało się, że Żewłakow nie przyjechał nikogo aresztować, więzień już siedział w kibitce, ta zajechała do dworu niejako po drodze do Łowicza.

– Wytropiłem go, tak jak obiecałem – oznajmił zadowolony z siebie Tomasz. Uśmiechnął się przy tym porozumiewawczo do Ady. – Kłusownik, który zakładał wnyki w miejscu, gdzie zastrzelono pana Kęszyckiego. Właściwie już przyznał się do winy.

– Co takiego? – Eufemia aż cała się zjeżyła. – Do czego się przyznał?

– Proszę się nie unosić, pani Kęszycka – wtrącił żandarm. – Podejrzany przyznał, że zastrzelił pani męża. Właściwie nie powiedział ani słowa, jest, zdaje się, niemową, ale przytakiwał wypytywany. To nie było zaplanowane morderstwo, raczej wypadek. Pani mąż natknął się na niego, gdy ten sprawdzał wnyki. Wystraszył się, że pójdzie siedzieć jako kłusownik, prawdopodobnie wziął Kęszyckiego za leśniczego z powodu myśliwskiej czapki. Wystrzelił ze strachu, potem ukrył ciało, by się nie wydało.

– Tak po prostu? Zastrzelił go ze strachu, w dodatku przez pomyłkę? –

Eufemia pobladła. – Zatem to właściwie był wypadek. Pozwólcie mi na niego spojrzeć, chcę popatrzeć mu w oczy, zobaczyć, czy jest w nich zło.

Żewłakow skinął głową. Ada ujęła dziedziczkę pod ramię, czuła, że powinna dodać jej sił i pokrzepić swoją bliskością. Podeszły do kibitki i zajrzały przez zakratowane okienko do środka. Na ławeczce kulił się chudy wystraszony osobnik w łachmanach. Oczy miał wielkie i wytrzeszczone, patrzył na nie ze strachem jak zaszczute zwierzę. Ada od razu go rozpoznała, to był drwał, który w tartaku gapił się na nią, nie odwracając wzroku, do tego z otwartymi ustami. Idiota zatrudniony do drobnych prac pomocniczych.

– Dość – szepnęła Eufemia.

Nie czuła strachu ani ulgi, właściwie zrobiło się jej nieswojo. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć, podziękowała żandarmowi i leśnikowi, ale nie zaprosiła ich na poczęstunek czy herbatę.

– Zabierzcie go, panowie, jak najszybciej – powiedziała tylko. – Zabierzcie go stąd.

* * *

Nadeszło lato, upalne i duszne. Na nocnym niebie najmocniej jaśniał Syriusz znany jako Psia Gwiazda, ponieważ leżał w gwiazdozbiórze Wielkiego Psa. To dlatego najbardziej upalne letnie dni już starożytni nazywali psimi. Starano się wówczas odpoczywać, unikać wzmożonego wysiłku, po prostu leżeć w cieniu i się nie przemęczać. Oczywiście mogli

sobie na to pozwolić jedynie ci, którzy nie musieli pracować, by zarobić na chleb. Tartaki w okolicach Chojniaków nadal działały, produkując sosnowe deski i bale. Harowali w pocie czoła włościanie na polach, nadeszły bowiem żniwa, pora zbiorów, czyli największego wysiłku. Tylko dzieci ze dworu celebrowały swój najbardziej beztroski czas, który mogły spędzić na zabawie. Czyniły to zatem, ile sił, od rana do wieczora.

Ada chadzała z nimi nad rzeczkę lub zalew, dzieciaki pluskały się w wodzie, a ona siadała w cieniu i jednym okiem czytała książkę, drugim obserwowała podopiecznych. Ania, która skończyła jedenaście lat, powoli zaczęła przeistaczać się z dziecka w panienkę. Akurat tego lata oświadczyła, że pluskanie się z siostrą i bratem trochę jej już nie przystoi. Siadała razem z guwernantką i rozmawiały. Mała wypytywała ją o życie w mieście, szczególnie to, jak mieszka się na pensji, u obcych ludzi. Aldona zrozumiała, że Ania obawia się dnia, kiedy będzie musiała wyjechać z domu do liceum i zamieszkać w bursie. Miało to nastąpić dopiero za trzy lata, ale dziewczynka sprawiała wrażenie, jakby już nie mogła się doczekać chwili, w której wyrwie się w świat.

– Chciałabym podróżować, zobaczyć Paryż, Sankt Petersburg, Warszawę i Wiedeń, zwiedzić słynne budowle, popatrzeć na ważnych ludzi. Chcę chodzić do teatru i na koncerty, zaprzyjaźnić się z jakąś dziewczyną w moim wieku, chcę zacząć naprawdę żyć – mówiła. – W domu jest przyjemnie, ale ile można siedzieć na tym pustkowiu? Nie chcę spędzić najpiękniejszych lat, łażąc po lesie, już mi się przejadł. Pragnę pojechać do ludzi, do świata!

– Zdążysz, jesteś jeszcze bardzo młoda i w gorącej wodzie kąpana. Przyjdzie twój czas, zobaczysz. Wyjedziesz, ale rychło zatęsknisz za domem, za rodzeństwem i mamą. Ten czas, który wydaje ci się nużącym i nieciekawym, będziesz kiedyś wspominała z rozrzewnieniem i nostalgią. We wspomnieniach wyda ci się wspaniałym okresem i zapragniesz do niego wrócić. Nigdy już owoce nie będą ci smakowały tak jak tego lata, słońce nie będzie grzało tak przyjemnie, a woda nie będzie tak rozkosznie chłodna. Korzystaj z tych chwil, by wydobyć z nich co najlepsze. We wspomnieniach zawsze będą piękne, pełne złotego słońca i radości.

Ada mówiła, uśmiechając się błogo. Wiedziała, że ona też zapamięta to lato jako jedno z najpiękniejszych w życiu. Dziewczynka oczywiście nie wydała się przekonana, oznajmiła jednak, że pójdzie po swoją ulubioną

klacz, Wiktorię, i przyjedzie nią nad zalew. Konika trzeba bowiem od czasu do czasu wykąpać, jemu też należy się nieco przyjemności w taki upał. Guwernantka zgodziła się, poleciła tylko dziewczynce założyć kieckę odpowiednią do pluskania się w wodzie. Już to przerabiały. Wiadome było, że dziewczyna po prostu pogna na swoim wierzchowcu, siedząc na oklep, i wjedzie razem z nim do wody.

Ledwie Ania pobiegła w podskokach do stajni, z lasu wyłoniła się postać mężczyzny. Aldona odłożyła książkę i czujnie zmierzyła intruza wzrokiem. Natychmiast jednak poznała niedźwiedzią sylwetkę Jakuba Klimka i odetchnęła z ulgą. Wiedziała, że jego nie musi się obawiać. Niestety nie miała okazji, by zgodnie z obietnicą odwiedzić sąsiadów, więc aż poczuła teraz zmieszanie i coś w rodzaju wstydu. Wielkolud nie wyglądał jednak na zagniewanego, z daleka zdjął czapkę i ukłonił się jej zamasyście. Tym razem nie nosił myśliwskiej broni, ubrany był odświętnie i elegancko, w koszulę i kamizelkę z dewizką, a surdut niósł w ręku. Nie wyglądał już jak zbój, teraz z łatwością mogła uwierzyć, że studiował w Petersburgu, bo prezentował się niemal jak arystokrata.

– Panie Jakubie, po stroju wnoszę, że to oficjalna wizyta – powiedziała. – Chyba że ma pan w zwyczaju chadzać po lesie w najbardziej szykownym uniformie?

– Ach, nie ma przecież znaczenia, gdzie się idzie, ale do kogo – odparł niespeszony. – Jeśli nasz rozmówca zasługuje na szacunek, gotów jestem odwiedzić go nawet w smokingu.

– To czymże ja sobie zasłużyłam na szacunek, skoro przychodzisz do mnie w surducie i kamizeli?

– Właściwie to byłem w tym stroju w mieście załatwić kilka urzędowych spraw. Założyłem to zatem nie dla ciebie, ale dla radcy stanu z magistratu – odparł z uśmiechem. – Nad zalew zajrzałem, bo z daleka dobiegły mnie wrzaski dzieci...

– I znów zaburzyły twój spokój?

– Nie tym razem. Jest lato, niech się bawią, w niczym mi nie przeszkadzają – odparł. – Nie pytasz, co takiego załatwiałem w magistracie?

– Nie jestem wścibska, choć pewnie za taką mnie uważasz – odparła z przekąsem. – Nie stercz nade mną jak góra, usiądź, proszę.

Przesunęła się na kocu rozłożonym na trawie i wskazała mu miejsce obok. Kłapnął posłusznie, trochę niezgrabnie, bo starał się nie wygnieść swoich eleganckich, wyprasowanych w kant spodni. Poczula od niego wodę kolońską i to wcale nie ordynarną, ale zaskakująco przyjemną. Zdaje się, że nawet użył pomady fryzjerskiej, by ujarzmić niesforną grzywę.

– Zatem byłem załatwić formalności przekazania pewnego kawałka ziemi – powiedział i sięgnął za pazuchę, po czym wydobył złożony dokument opatrzony pieczęciami i podpisami. – To pół łąki i fragment lasu otaczający tę polanę, którą Krzysiek nazywał Arkadią. Chcę go wręczyć wdowie po nim w ramach wyciągnięcia ręki do zgody. Myślisz, że to dobry pomysł? Ty ją lepiej znasz...

– Eufemia raczej nie czuje żadnego sentymentu do tego miejsca, ale myślę, że zrozumie twoje intencje. Najlepiej samemu się przekonać, niech no dzieciaki wyjdą z wody i możemy iść do dworu...

– Jak to, dziś, teraz? Nie wiem, czy jestem gotowy – otworzył szeroko oczy ze strachu.

Parsknęła śmiechem, wydał się jej teraz bezradny i zabawny. Jak mogła się go wcześniej bać? Widocznie pierwsze wrażenie jest dość kluczowe i może wypaczyć prawdziwy obraz człowieka. Zgodził się w końcu pójść z nią, tyle że musieli poczekać, bo właśnie pojawiła się Anna jadąca na oklep na Wiktorii. Dziewczyna zmusiła zwierzę do galopu i z krzykiem, w pełnym pędzie wjechała do wody ku radości Piotra i Jadzi, na których chlusnęła potężna fontanna. Dzieci bawiły się świetnie, ale Ada wiedziała, że nie potrwa to długo, bo zbliżała się pora obiadu i zwyczajnie zrobią się głodne. Tak też się w istocie stało i po paru chwilach cała trójka stawiała się przy guwernantce, by się wytrzeć i zbierać do domu.

Trochę obawiały się wielkoluda, pamiętały, jak na nie nakrzyczał, ale szybko rozumiały, że olbrzym jest łagodny i przyjacielsko nastawiony. Posadził Jadzię na grzbiecie Wiktorii i wszyscy pomaszrowali do dworu.

* * *

Eufemia przyjęła go w salonie i na początku zachowywała się raczej chłodno. Zanim łaskawie przyszła do gościa, kazała mu czekać. Na szczęście Ada dotrzymywała Jakubowi towarzystwa i zabawiała go rozmową. W końcu pani domu zjawiała się ubrana w zwyczajowy gorset pod sukienką, czyli wyprostowana jak struna, z uniesioną głową, by móc

patrzeć z wyższością na intruza i wroga swojego nieżyjącego męża. Podała mu dłoń wierzchem do góry, ale wycofała ją, zanim zdążył pocałować. Nie zaprosiła, by usiadł, nie rozpoczęła od zwyczajowej czczej rozmowy o pogodzie i urodzaju, tylko od razu przeszła do rzeczy i zapytała o powód wizyty. Ada podziwiała Jakuba, który nawet przez chwilę nie wyglądał na speszzonego, choć przecież pokazał, że obawia się Eufemii i jej reakcji. Widocznie potrafił utrzymać twarz pokerzysty i nie zdradzać emocji.

– Nie dane mi było pogodzić się z Krzyśkiem i przyznać, że stało się to z mojej winy. Byłem pełen złości i pychy. Tak – pychy, żyłem bowiem przez lata przekonaniem, że mój gniew jest słuszny, święty i nikt nie ma prawa mi go odebrać. Żałuję tych zmarnowanych lat, zaprzepaszczonej przyjaźni. Żałuję, ale wiem, że tego nie da się naprawić, że się spóźniłem. –

Sięgnął do kieszeni surduta i wydobyl dokument, który pokazywał Adzie. – Już dawno powinienem to zrobić. To akt własności części Krzyśkowej Arkadii i sąsiedniego lasu, które należały do mojej rodziny. Myślę, że Krzysztof ucieszyłby się, wiedząc, że te ziemie się zespoliły i teraz będą już należały wyłącznie do was. Pewnie odbudowałby domek myśliwski, który przez lata tam stał...

– I który został spalony przez nieznanego sprawcę – oznajmiła Eufemia. Jakub pokiwał głową.

– Wcale nie nieznanego, ja to zrobiłem – powiedział. – To było niedługo po naszej powstańczej tragedii, byłem wówczas zaślepiony bólem i wściekły na Krzyśka, że mnie odrzucił. Zapragnąłem, by cierpiał. Wiedziałem, że kocha to miejsce, bawiliśmy się tam jako dzieci. Przyszedłem nocą z dwiema butelkami oleju do lamp. Wylałem je na ganek domku i podpaliłem. Niestety żar płonącego budynku nie osuszył moich łez, nie wypalił też mojej złości. To było głupie, ale i ja byłem głupi, młody i głupi.

– Wszyscy popełniamy błędy – wtrąciła Ada szczebiotliwym głosikiem, by nieco załagodzić atmosferę. – Ważne, by potem mieć odwagę się do nich przyznać i wyciągnąć z nich naukę na przyszłość. Myślę, że Krzysztof bardzo by się ucieszył, widząc cię tutaj. Wiele mówił o waszej dawnej przyjaźni i ubolewał, że doszło do... do czego doszło.

Eufemia od początku rozmowy walczyła z sobą, z uprzedzeniami i zapiekłą niechęcią do sąsiadów. Aldona swoim zachowaniem pomogła jej zapanować nad złymi emocjami.

– Zapraszam pana na obiad, nie będziemy tak stali i się przerzucali wyznaniem. Pora już najwyższa, do tego dzieci głodne, z pewnością się niecierpliwią. Ala nagotowała dziś coś dobrego, czuję po zapachu z kuchni, proszę, przejdźmy do jadalni.

Zanim jednak przenieśli się do sąsiedniego pokoju, przez drzwi prowadzące do kuchni zajrzał Tomasz. Leśnik tak często bywał we dworze, że jego widok nikogo nie zaskoczył. Widząc elegancko ubranego gościa, wycofał się, ale Eufemia zawołała go tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Panie Bobrowski, proszę do nas dołączyć. Nalegam!

Kłaniając się w pas, leśnik wyszedł z kuchni. Ada uśmiechnęła się do niego i machnęła ponaglająco. To dodało mu odwagi, podszedł do Jakuba i podał mu rękę, czyniąc grzecznie kolejny ukłon.

– Dziedzic Klimek, mam rację? Miło mi pana poznać – powiedział. – Jestem Tomasz Bobrowski, pobereźnik z nadleśnictwa.

– Kłaniam się – mruknął Jakub. Zmarszczył jednak brwi i jeszcze raz spojrzął Tomaszowi w twarz. – Czy miał pan bliską osobę w rodzinie, która poległa w czasie powstania?

– Tak, ojca – przyznał krótko leśnik. Miałem wówczas sześć lat, ledwie go pamiętam.

– Wydał mi się pan znajomy, a to uderzające podobieństwo rodzinne. Znałem pańskiego ojca, służyłem pod jego rozkazami. Major Bobrowski dowodził całą naszą partią...

Ada aż uchyliła usta ze zdumienia. Tomasz nie wspominał jej ani słowem o swoim ojcu, nie miała pojęcia, że był sierotą tak jak ona. Tak się jakoś złożyło, że nigdy nie opowiadał o swojej rodzinie, a ona nie wypytywała przez grzeczność. Zanim ochłonęła, już usadowiła się przy stole, jak zwykle między najmłodszymi dziećmi, by pomagać im w posiłku. Nie zawsze najmłodszy członek rodziny siadali razem z dorosłymi, ale odkąd Krzysztof zginął, działo się tak codziennie. Eufemia zarządziła, że chce być bliżej swoich pociech.

Ala przyniosła wazę z zupą pachnącą warzywami i gęstą od śmietany, której kucharka nie poskapiła. Jakub początkowo nic nie mówił, po chwili jednak zagadywany przez Eufemię zaczął toczyć z nią rozmowę na temat spraw gospodarczych, szczególnie o zalesianiu nieużytków i sposobach wykorzystania łąk jako pastwisk dla bydła. Aldona przysłuchiwała się tej dyspacji, ale nie miała nic do powiedzenia w temacie, zajęła się zatem

przypominaniem dzieciom, jak powinno się siedzieć przy stole i posługiwać sztućcami. Zorientowała się, że Tomasz nie przygląda się jej, jak to ma w zwyczaju. Był całkowicie skupiony na obserwowaniu Jakuba, właściwie świdrował go wzrokiem i zdawał się uważać na każde jego słowo. Nigdy tak się nie zachowywał, z boku wyglądał wręcz dziwnie, jakby był czymś odurzony.

– Ja nie wiem, czy to po bożemu, by kobieta zajmowała się gospodarzeniem – odezwał się dziadek Dominik. – Za naszych czasów panie znały swoje miejsce i rolę w rodzinie. Nosiliśmy je na rękach, szanowaliśmy i rozpieszczaliśmy, nie dopuszczało się ich do zajmowania się takimi tematami jak hodowla bydła czy zarządzanie tartakiem.

– Czasy się zmieniają. – Jakub wzruszył ramionami. – Poza tym kobiety chętnie podejmowały się gospodarzenia, tylko nie zawsze im pozwalano. Wie pan, że całe Mazowsze było tylko porośniętymi puszcza nieużytkami, z wioskami i ruinami z czasów piastowskich książąt, do czasu, aż dziedzina ta nie została podarowana przez króla Zygmunta Starego jego żonie? Królowa Bona przyjechała tu i zaczęła gospodarować, budować i rządzić jak nikt wcześniej na tych ziemiach. To ona przyczyniła się do rozwoju miast, wytyczyła dukty, kazała stawiać młyny i tartaki, karczować lasy i obsiewać pola. Pilnowała wszystkiego osobiście i znała się na wszystkim, łącznie z hodowlą bydła i trzody chlewnej. To kobieta podźwignęła tę ziemię z niebytu i pchnęła jej rozwój, wzięła w obroty.

– Co pan nie powiesz! Jesteś wyszczekany zupełnie jak Henryk, on też zawsze miał jakieś mądrości w kieszeni i zbijał nimi moje wywody. –

Dominik zaśmiał się chrapliwie. – A co tam u tego starego wierszoklety? Dobrze się trzyma?

– Doskwiera mu kręgosłup, musi poruszać się o dwóch laskach, ale jakoś daje radę. Myślę, że z wielką radością powitałby pana u nas w domu, gdyby, rzecz jasna, zechciał go pan odwiedzić.

Dziadek pokiwał głową i zaczął coś mamrotać pod nosem. Propozycja zrobiła na nim spore wrażenie, skoro zamilkł. Akurat wówczas Ala wniosła danie główne, a były to zrazy zawijane polskie, do tego sos grzybowy i kluski gryczane. Jakub kilka razy pogratulował kucharce umiejętności, jadł z widoczną radością i smakiem. Ala, która zaglądała do jadalni, w jednej chwili go polubiła, tymi grzecznościami podbił jej serce. Ada

miała też wrażenie, że nie tylko jej, Eufemia bowiem wyraźnie spuściła z tonu i zaczęła się nawet uśmiechać do gościa.

– Mam jeszcze jedną propozycję, z którą nieco obawiałem się zdradzić – oświadczył Jakub, kiedy skończyli jeść. – Pozwólcie mi odbudować myśliwski domek w Arkadii. Chciałbym zrobić to sam, niech to będzie mój prezent dla dzieci Krzysztofa. Potrzebuję tego, to będzie dla mnie forma pokuty, ale też zadośćuczynienia. Pani Eufemio, czy zgodzi się pani?

– Pewnie, że się zgodzi! Ten domek zbudował mój ojciec, bardzo dobrze, że chatka wróci na swoje miejsce! – ucieszył się dziadek.

– Ale po co nam domek myśliwski? Nikt od nas nie poluje. – Eufemia nie okazała aż takiego entuzjazmu.

– Chodzi o symbol, o miejsce. – Dziadek aż trzasnął dłonią w stół. – Dzieci będą miały się gdzie bawić. Można tam czasem ulokować jakiegoś gościa, zabrać go na wycieczkę do lasu. Można zamienić go z myśliwskiego w dom pracy twórczej. Zaprosić artystów malarzy i pisarzy, by tam pracowali i sławili nasz region w świecie. To magiczne miejsce, uświęcone licznymi wspomnieniami i przeżyciami. Nie powinno zarastać chaszczami. Teraz korzystają z niego tylko zajęce i jeże, a powinni ludzie!

– Dobrze, już dobrze. – Eufemia machnęła ręką i uśmiechnęła się do Jakuba. – Nie mam nic przeciwko, niech pan buduje, skoro tak panu zależy.

I tak została podjęta decyzja o odbudowie Arkadii.

* * *

Mijały tygodnie, niespiesznie i niepostrzeżenie nadeszła jesień. Drzewa zazłociły się, a potem zbrązowiły, wiewiórki uwijały się, zbierając żołędzie, w liściach przemykały z szelestem jeże, cała przyroda szykowała się do zapadnięcia w zimową drzemkę. W Chojniakach za to robiono kolejne przetwory, zgodnie z rytmem natury, tak jak od wieków. Nie przechowywano już mięsa ani słoniny w solance, jak kiedyś, ale po dawnemu jabłka zasypano drobnym, suchym piaskiem w dołach piwnicznych, suszono śliwki, grzyby i mięso, które dodatkowo wędzono. Ala nastawiła dwie beczki kapusty, którą ubijały gołymi stopami podkuchenne sprowadzone do pomocy ze wsi.

Eufemia, która ostatnio żwawo interesowała się funkcjonowaniem dworu, wprowadziła swoje porządki. Zarządziła, że od tego sezonu będzie się w Chojniakach stosowało najnowocześniejszą technikę zabezpieczania

żywności – pasteryzację. Zbadana i rozpowszechniona przez francuskiego chemika, Ludwika Pasteura, stawała się coraz popularniejsza na świecie, choć zasadniczo w wielu krajach próbowano ją stosować niejako na wyczucie już od wieków. Dziedziczka sprowadziła z Łowicza specjalne słoje zamykane wiekiem dociskany sprężyną zwane wekami. Kazała Ali załadować do nich przetworzone w cukrze owoce, dzemy i powidła, do kolejnych włożono warzywa, do pozostałych mięso z przyprawami. Potem kucharka, niezadowolona i sarkająca na te nowoczesne wymysły, musiała powkładać pojemniki do gara, nalać do niego wody i gotować przez kilka godzin.

– Na co to? Po co tyle roboty? Słoiki gotować, dobre sobie. Ładne słoje, eleganckie, ale chyba wystarczyłoby po prostu włożyć do nich powidła i postawić w piwnicy... – marudziła.

– Nie, bo na produktach znajdują się niewidoczne zarodniki grzybów, pleśnie i różne drobnoustroje powodujące psucie się żywności – wyjaśniła cierpliwie Ada i to po raz kolejny, bo nie za bardzo docierało do kucharki to zagadnienie. – Długie gotowanie w szczelnie zamkniętym naczyniu powoduje, że wszystkie mikroby zostają zniszczone. Bez dostępu powietrza i w sterylnym zamknięciu żywność można przechowywać bardzo długo, nie tracąc jej wartości.

– Mikroby, drobnoustroje – parsknęła kucharka. – Widział je kto kiedy?

– Są tak małe, że dostrzec je można jedynie przez mikroskop, specjalne urządzenie optyczne – powiedziała dziewczyna. – Może kiedyś je sprowadzę jako pomoc naukową dla dzieci, to ci pokażę, co dzieje się w kropli wody lub znajduje na skórze. Wszędzie tętni życie, nawet niewidzialne. Część tych żyjątek to patogeny, które chcą nas zabić.

– Aj tam! Nie wierzę w ich istnienie. W Piśmie Świętym nie ma o nich ani słowa!

– Mędracy, którzy pisali Stary Testament, i apostołowie, którzy przekazywali nauki Chrystusa, nie zdawali sobie sprawy z ich istnienia. Stan wiedzy medycznej nie był wówczas zbyt wysoki. – Ada miała za to świętą cierpliwość, rzecz konieczną dla dobrej nauczycielki. Niestety jej nauki nie docierały do kogoś takiego jak Ala, która była prostą kobieciną bez elementarnej choćby wykształcenia.

Weki zostały jednak przygotowane i umieszczone w piwnicy, wszystko zgodnie z instrukcjami Eufemii, która wyczytała je w jednej ze

sprowadzonych książek. Składzik pękał w szwach od zapasów i Ada mogła z podziwem przyznać, że dwór był zaopatrzony na całą zimę i choćby na pół roku odcięły go od reszty świata śniegi i zawieruchy, głód nie zajrzy do tego domostwa. Pewnej niedzieli pod koniec września, za pozwoleniem Eufemii, zeszła do spiżarni z koszyczkiem i napełniła go słoikami z powidłami, dorzuciła też butelkę soku malinowego. Zarzuciła na ramiona płaszcz, wcisnęła na głowę kapelusik i powędrowała przez las. Nie zmierzała z wiktuałami do Tomasza, ale w przeciwnym kierunku. Dotarła tak na bajkową polanę Arkadii, gdzie od lata trwała budowa. W niedzielę nie było tu cieśli ani parobków, ale spodziewała się zastać Jakuba. I rzeczywiście, wielkolud siedział na poddaszu domku myśliwskiego i stukał młotkiem w deski powstającego dachu.

– Nie przemęczasz się aby, Jakubie? – spytała z dołu.

Domek wcale nie był taki mały, jak sobie początkowo wyobrażała. Powstał na solidnych, murowanych fundamentach i zaopatrzony został w ceglany komin. Na dole znalazło się miejsce na salonik, pokój i kuchnię, do tego na górę miały prowadzić schodki, a tam, pod skosami, znalazło się miejsce jeszcze na dwie sypialnie.

– Nie przemęczam się, ja tu odpoczywam. Lubię fizyczną robotę, moje mięśnie mają wreszcie okazję się poruszać i do czegoś przydać. – Odłożył młotek i zszedł po drabinie. – Cieszę się, że przyszłaś. Bałem się już, że was w Chojniakach nie interesuje, co tu się dzieje. Szkoda, że nie zabrałaś dzieci, bo właściwie to będzie dla nich prezent.

Mówiąc, płukał ręce w wiaderku z wodą. Ada, patrząc na niego, czuła ciepło rozplływające się w piersi. Towarzystwo wielkoluda działało na nią kojąco, aż trudno jej było przed sobą przyznać, że kiedyś miała go za gburę i niebezpiecznego pieniacza. Okazał się troskliwym, pracowitym i pełnym humoru, a do tego wszystkiego jeszcze przystojnym mężczyzną. Szkoda, że był ponad dziesięć lat od niej starszy, a do tego pochodził z innej warstwy społecznej. Gdzie jej, ubogiej córce rzemieślnika, do szlachcica i ziemianina. Za wysokie progi... Pokręciła głową zaskoczona własnymi myślami. Przecież nie jest tu, by szukać męża, tylko by zarobić na studia i życie w mieście.

– Zanim mnie oprowadzisz po tym domku, trzymaj, proszę, przyniosłam ci podarunek z Chojniaków. Najlepsze powidła kucharki Ali i soczek do

picia, bardzo zdrowy, dolewaj go ojcu do herbaty. Ach i pozdrów papę ode mnie.

– Może w końcu przyjdiesz nas odwiedzić? – mruknął. – Może dziś? Zabiorę cię bryczką, a potem odwiozę do Chojniaków.

– Och, nie mogę, powiedziałam, że niedługo wrócę. Eufemia dostałaby globusa, gdybym się rychło nie pojawiła. Pewnie myślałaby, że zabłądziłam w lesie lub skrzywdził mnie jakiś kłusownik albo pijany drwal. Może innym razem, ale obiecuję, że niedługo. Zabrałabym ze sobą dzieci, pora by poznały lepiej sąsiadów.

Pokiwał głową z trochę rozczarowaną miną. W końcu pokazał jej domek, a właściwie całkiem przestronny i solidnie zbudowany dom. Klepał ściany z sosnowych belek, gładził je czule, jakby były ulubionym zwierzakiem, z którego jest bardzo dumny.

– Widzę, że włożyłeś w tę budowę nie tylko dużo pieniędzy, ale i dużo serca – powiedziała.

– Dokładnie. Tak jak mówił mój ojciec, do wszystkiego trzeba wkładać duszę. – Pokiwał głową z uśmiechem.

Mogłaby tak kręcić się z nim po budowie choćby i cały dzień, wzajemne towarzystwo dawało obojgu radość. Sprawiali wrażenie rozbawionych rozmową. Czas jednak płynął i Ada postanowiła wracać. Jakub chciał ją odprowadzić, ale nalegała, by został i się nie kłopotał, i tak zajęła mu masę czasu na czczą gadaninę. Ruszyła lasem w kierunku domu, ale czuła na sobie spojrzenie wielkoluda. Po chwili odnalazła już niemal zupełnie zarośniętą ścieżkę prowadzącą prosto do Chojniaków. Szła nią parę chwil, aż nagle natknęła się na przywiązane do drzewa osiodłanego konia.

– A ty co tu robisz? – spytała stojące spokojnie zwierzę zajęte poszukiwaniem pod kopytami czegoś ciekawego do zjedzenia. – Gdzie się podział twój pan i dlaczego w ogóle cię zostawił w środku lasu?

Koń rzecz jasna nie odpowiedział, ale akurat tego się po nim nie spodziewała. Pytanie zadała głównie sobie. Znała to zwierzę, widywała je dość często, bo to zwykle na nim przyjeżdżał do Chojniaków Tomasz Bobrowski. Leśnik musiał być gdzieś w pobliżu, tylko skoro przywiązał tu konia, to znaczy, że chciał pozostać niezauważony i podejść jakiegoś kłusownika lub zwierzę po cichu. Ale jedynym ciekawym obiektem w okolicy była budowa domku myśliwskiego, a kłusowników w tych lasach

od dawna nie było, znikli, wystraszeni aresztowaniem idioty, który strzelał do Krzysia.

Nagle poczuła dziwny niepokój, jakieś męczące poczucie, że coś przeoczyła. Odetchnęła głęboko, zbierając myśli. Czy Tomasz mógł pojawić się tu, by szpiegować Jakuba? Tak dziwnie na niego patrzył wówczas przy obiedzie. Czego od niego chciał? Obróciła się na pięcie i żwawym krokiem pomaszerowała z powrotem na polanę. Szybko przedostała się przez las i wyszła na Arkadię. Nadstawiła ucha, nie było słyhać stukania młotka. Przyspieszyła kroku jeszcze bardziej, dech zapierał jej rosnący strach, coś bardzo ją niepokoiło, intuicja nakłaniała ją, by rzuciła się biegiem. Powstrzymała jednak emocje i znajdując się przy domku, zaczęła się skradać, po czym przywarła do ściany. Słyszała wzburzony głos Tomasza:

– Wy to zrobiliście, dobrze o tym wiem! Nie zaprzeczaj pan, nie kłam mi w żywe oczy! – Leśnik rzucał słowa z wściekłością. – Zabiliście go wówczas, zdradziliście mojego ojca i jego sztab, wszystkich wymordowaliście!

– Uspokój się, chłopcze. Opuść broń – mówił spokojnie Jakub. – Owszem, doszło do wewnętrznej walki w oddziale. Poszło o pieniądze zdobyte na Moskalach. To było koszarne, niepotrzebne wydarzenie. Puściły nam wszystkim nerwy, złapaliśmy za broń. Byliśmy młodzi i narwani, sytuacja od dawna zaś była nerwowa, co dzień ocieraliśmy się o śmierć, nie baliśmy się jej, a ludzkie życie nie było dla nas wówczas wiele warte. To właściwie wypadek, skutek ciągu fatalnych zdarzeń, złych emocji, źle dobranych słów. Ubolewam, że doszło do tej tragedii, jest ona moim życiowym koszmarem, z którym mierzę się już osiemnaście lat. Uwierz, że często ją przeżywam i nadal czuję się winny.

– To mi nie zwróci ojca – warknął chłopak. – Nadal cięży na was wszystkich odpowiedzialność za to, co się stało. Jesteście winni morderstwa i zdrady, musicie za to zapłacić. Tak się składa, że dziedzic Kęszycki już poniósł karę, zostałeś tylko pan.

– To ty go zastrzeliłeś, a nie jakiś kłusownik – wycedził powoli Jakub.

Ada z trudem powstrzymała się, by nie krzyknąć. Ze zgrozy, zaskoczenia i gniewu. Tomasz, jej Tomasz, którego uważała za bliskiego sobie i w którym już się zaczęła zakochiwać, zabił jej ukochanego. Cały czas ją zwodził i nią manipulował, zwałił winę na jakiegoś niemotę i od początku

planował zemstę. Major Bobrowski to był dowódca, który próbował przywłaszczyć sobie zabrane Moskalom ruble i który zginął z ręki Krzysia. Tylko skąd Tomasz wiedział, że to młodzi powstańcy go zabili? Powszechnie wierzono, że wszyscy polegli w lesie, zginęli z rąk Dońców. Tamten mord był pilnie strzeżoną tajemnicą...

Zajrzała przez otwór okienny, w którym jeszcze nie zamontowano okna z szybami. Tomasz stał do niej tyłem, Jakub dostrzegł ją nad ramieniem uzbrojonego, mierzącego do niego strzelbą leśnika. Nie zareagował, ciągle miał minę pokerzysty, ale w jego oczach dostrzegła nieme błaganie, by odstąpiła i uciekła.

– Zabiłeś Krzysztofa i ukryłeś ciało – mówił dalej wielkolud. – Potem sam je niby znalazłeś, w dodatku upatrzyłeś sobie kozła ofiarnego, idiotę odsiadującego teraz wyrok za morderstwo, które ty popełniłeś.

– Nie zamierzam ponosić odpowiedzialności za to, że wymierzyłem sprawiedliwość mordercy. – Tomasz mówił chrapliwym głosem. – Nie mogłem na niego patrzeć, na to, jak szczęśliwie i w dostatku mu się żyje. Obserwowałem go kilka lat, tropiłem niczym zwierzę. Był dla mnie uosobieniem wszystkiego co złe. Zabrał mi szczęśliwe dzieciństwo, bez ojca popadliśmy w biedę, zdarzało się, że chodziłem głodny. Nie było mowy o nauce, trzeba było pójść do roboty. On zaś miał się świetnie, pan i władca na włościach. Szału dostawałem, gdy tak przechadzał się po lesie. Zaplanowałem zemstę trochę inaczej, chciałem podpalić dwór i ubić go w zamieszaniu, kiedy by patrzył na to, jak jego pałac i wszystko, co zdobył, idzie z dymem. Niestety przydarzyło się, że kiedy śledziłem go w czasie jednego z jego spacerów, po prostu na mnie wszedł. Wypaliłem mu prosto w pierś, niemal z przyłożenia. Nie zdążyłem jednak wykrzyknąć, dlaczego umiera, kim jestem. Nawet na mnie nie spojrzął, po prostu spokojnie umarł.

– Warto było? Czy morderstwo przyniosło ci ulgę? – dociekał Jakub. – Nie sądzę, skoro zacząłeś planować kolejną zbrodnię.

– Tym razem dopilnuję, by wszystko przebiegło, jak trzeba – odparł leśnik.

Ada zsunęła ze stóp botki i na palcach weszła do środka. Modliła się bezgłośnie, by deski podłogowe nie zaczęły skrzypieć pod jej ciężarem. Przesuwała się ostrożnie niczym skradająca się kotka. Nie miała pojęcia, jak rozbroić napastnika, ale nie zamierzała stać z założonymi rękoma.

– Kolejnego morderstwa nie ukryjesz tak łatwo. Żewłakow zacznie węszyć i w końcu dojdzie prawdy. – Jakub przesunął się dwa kroki w bok, by Tomasz podążył za nim i nie dostrzegł Ady.

– Ukryję, nikt się niczego nie dowie. Zabiję cię, panie Klimek, a wówczas zemsta zostanie dopełniona. Potem podpalę ten domek i pańskie ciało obróci się w garstkę prochu. Żandarmi nie będą mieli powodu, by podejrzewać, że zostałeś zastrzelony. Wypadek na budowie i tyle...

Uniósł broń wyżej, przycisnął kolbę do ramienia, wyraźnie szykując się do strzału. Ada spostrzegła, że na podłodze obok niej stoi koszyczek z wiktuałami, który podarowała Jakubowi. Sięgnęła po butelkę soku malinowego, zrobiła dwa szybkie kroki, biorąc zamach, i trzasnęła butelką w tył głowy Tomasza. Wyładowała w tym ciosie całą swoją furię. Grube ciemne szkło nawet nie pękło, za to leśnik poleciał do przodu jak rażony piorunem. Strzelba wypadła mu z rąk, chłopak z łomotem runął na deski pozbawiony przytomności.

– O rety, chyba go nie zabiłam? – Ciągle kurczowo ścisnęła szyjkę butelki.

Jakub klęknął na chwilę przy leżącym, sprawdził mu puls na szyi. Potem podszedł do dziewczyny i wyjął jej butelkę z ręki. Objął ją, po czym pocałował w usta. Poddała się tej pieśszczocie i odpowiedziała gwałtownie. Wczepiła się w wielkoluda, całowała go, ile sił, do utraty oddechu. Kiedy przestali, nadal trzymał ją w ramionach.

– Uratowałaś mi życie – powiedział. – Teraz jestem twój, mój los należy tylko do ciebie. Zrobię, co zechcesz.

– Zatem kochaj mnie – szepnęła mu na ucho.

Rozdział 6

„Na zawsze twoja... na zawsze! na zawsze!”

Nie ciężkie więzy, chociaż najłaskawsze.

Gdy się ma płynąć potrzaskaną łódką,

„Na zawsze” znaczy tyleż, co na krótko.

Wiktor Gomulicki (1848–1919), *Na zawsze*

We Wszystkich Świętych cała rodzina Kęszyckich udała się na mszę do kościoła w Bolimowie. Jak zawsze przy większych uroczystościach świątynia wypełniła się wiernymi po brzegi. Ada trzymała Jadzię za rękę, by dziewczynka się nie zgubiła, ale rozglądała się nieustannie za Jakubem. Wielkolud jednak nie wystawał nad tłum, co obudziło w niej niepokój. Może się rozchorował? Nie widziała go już od tygodnia i zaczynała się martwić. Dotychczas spotykali się na budowie, gdzie przychodziła razem z dziećmi. Nie mieli przez to chwil dla siebie, nigdy nie zostawali sam na sam, zawsze otaczali ich młodzi Kęszyccy. Obecność dzieci peszyła oboje, nie było mowy o czułościach czy choćby swobodnej rozmowie w ich towarzystwie. Przez to wszystko ich romans nie rozwinął się nawet odrobinę. Zaczęło się od pocałunku i, jak dotąd, na nim skończyło. Dziewczynę coraz bardziej to uwierało, chciała więcej, choć oczywiście nadal się wahała.

Ada czuła rosnący pociąg do dziedzica Klimka, coraz bardziej jawił się jej jako łagodny i wrażliwy olbrzym, którym chciała się zajmować. Tak właśnie czuła, że wbrew swoim rozmiarom i fizycznej krzepie Kuba potrzebuje kobiety, która otoczy go opieką, zajmie się domem, pocieszy i w potrzebie przytuli swego niedźwiedzia. Z jednej strony pragnęła się nim zająć, z drugiej wydawało jej się, że to coś niestosownego. Spora różnica wieku i inne pochodzenie społeczne to były poważne bariery na drodze do szczęśliwego związku. Wzięto by ją za wyrachowaną jawnogrzesznicę, która upolowała sobie bogatego męża. Co prawda niezbyt się przejmowała tym, co gadają o niej przekupki na targowisku w Bolimowie czy w dworach i chałupkach rozsianych po mazowieckich równinach, ale z pewnością uderzyłoby to wszystko w rodzinę Klimków. Poza tym jej pierwotny plan się nie zmieniał, pragnęła wyjechać do Warszawy, jak tylko uzbiera wystarczającą kwotę. To trochę kłóciło się z opcją stania się dziedziczką i gospodynią w dużym gospodarstwie.

Po mszy poszli wszyscy na cmentarz, na grób Krzysztofa. Ada odetchnęła z ulgą i zaskoczeniem, Jakub czekał tam na nich w towarzystwie swego ojca. Obaj ukłonili się przybyłym, Dominik i Henryk uścisnęli sobie ręce i pokleпали się po ramionach. Odwiedzali się przynajmniej raz w miesiącu i jeszcze ani razu porządnie nie pokłócili, ku zaskoczeniu obu rodzin. Eufemia zapaliła znicz podany przez Adę, która przyniosła dwa kaganki w torebce. Wcześniej dopilnowały, by na grobie pojawił się odświętny wieniec, teraz tylko zapaliły lampki. Wszyscy milczeli, modlili się dłuższy czas w ciszy. Eufemia wyciągnęła chusteczkę i otarła oczy, wiatr szumiał posepnie w konarach drzew, jego podmuchy podrywały walające się liście. Niebo było ciężkie i ciemne, chmury przesunęły się nisko, szare i ponure. Listopadowy wiatr wdzierał się pod płaszcze i ciskał w twarze kropelki drobnego deszczu. Jadzia zaczęła jako pierwsza tracić cierpliwość, wysunęła rączkę z dłoni Ady i podeszła do Jakuba, by pociągnąć go za nogawkę.

– Panie Jakubie, kiedy będziemy malowali salon w naszym domku? – spytała.

Dzieci już dawno przyzwyczyły się do wielkoluda i polubiły go, z całą pewnością z wzajemnością. Szczególnie Piotr był zachwycony sąsiadem, wyraźnie potrzebował męskiego wzorca, a Jakub miał dla niego więcej czasu i cierpliwości niż kiedyś rodzony ojciec. W ogóle ani razu nie dał się dzieciakom wyprowadzić z równowagi. Pozwalał chłopczykowi używać narzędzi ciesielskich i traktował go z powagą, jak asystenta. Dziewczynki raczej się tylko pętały po chałupce, która otrzymywała już ostatnie szlify wykończeniowe, planowały, jakie meble trzeba kupić i jak ozdobić pomieszczenia. Jadzia koniecznie chciała wziąć udział w malowaniu, wieczorami we dworze projektowała kompozycje, które umieści na ścianach domku, nadzorujący prace Jakub obiecał jej bowiem, że będzie mogła namalować, co tylko zechce. W tym celu nawet sprowadził z Łowicza zestaw kolorowych pigmentów, którymi zabarwił farby do drewna. Ada z przyjemnością obserwowała te relacje i cieszyła się, że dzieci tak dobrze przyjęły sąsiada.

– Będziemy mogli zacząć choćby od poniedziałku – odpowiedział wielkolud. – Farby już na ciebie czekają.

– Jadziu, nieładnie jest się tak narzucać – syknęła Eufemia. – Pan wybaczy, panie Jakubie. Proszę przyjąć zaproszenie na niedzielny obiad

i przyjechać do nas w południe, razem z panem Henrykiem, rzecz jasna.

– Proszony obiad? Ho, bardzo chętnie! Ostatnio jadałem u was chyba jeszcze w czasach, kiedy Konstancja żyła. Prawda, Dominiku? – Ucieszył się staruszek.

– Prawda. Jej tragiczna śmierć wiele między nami zepsuła, właściwie wszystko wywróciła do góry nogami. Pora najwyższa to zmienić i naprawić, ile się da, zanim obaj położymy się na tym cmentarzu – rzekł dziadek Dominik.

– Dziękujemy, stawimy się niezawodnie. – Jakub uklonił się Eufemii, a ona nagrodziła go uśmiechem.

Ada poczuła ukłucie zazdrości, aż drgnęła, widząc ciepłe spojrzenie swojej przyjaciółki, jej wzrok zatrzymujący się na krótkie chwile na wielkoludzie. On jest mój! – krzyknęła Aldona w myślach. Odetchnęła i zapanowała nad sobą. Spojrzała na nich jeszcze raz, nieco przytomniej. Eufemia patrzyła na Jakuba, a on na nią i od razu widać było, że jest między nimi jakieś magnetyczne oddziaływanie. Bardziej do siebie pasowali niż ona do niego, młoda nauczycielka do dojrzałego ziemianina.

– Słyszałem, że Bobrowski został skazany – odezwał się Jakub.

– Piętnaście lat ciężkich robót na Syberii, a po ich odbyciu przymusowe osadnictwo na miejscu – powiedziała Ada. – Zdaje się, że już go wywieźli w głąb Rosji. Właściwie trochę mi go szkoda, bo resztę życia spędzi w koszmarnych warunkach. Zasłużył na zimną celę, ale nie aż tak bardzo zimną.

– Prawo w Imperium jest naprawdę surowe. – Jakub wzruszył ramionami. – Może będzie miał szczęście i obejmie go jakaś amnestia? Ludzie wracają z zesłania, nawet ci, którzy wylądowali w kopalniach i tartakach za kołem podbiegunowym. Żałuję, że nie zdecydował się mówić i nie chciał zeznawać. Dręczy mnie ciągle to, kto mu powiedział o tym, co zaszło w naszym oddziale w sześćdziesiątym trzecim. O tych wydarzeniach wiedział tylko Krzysiek i ja. Podejrzewam, że, choć to mało prawdopodobne, z tych dziesięciu poległych przeżył ktoś jeszcze... Ten ktoś znał nie tylko przebieg zdarzeń, ale też miejsce ukrycia zdobytej przez nas kasy. Wykopał ją i sobie przywłaszczył, po latach zaś opowiedział o wszystkim Tomaszowi. Który to z naszych kompanów? Zastanawiam się od tygodni i nie jestem w stanie dojść z tym do ładu.

– Myślę, że najwyższa pora dać sobie z tą sprawą spokój – powiedziała Eufemia ze stanowczością. – Ostatecznie zapomnieć o koszmarach z przeszłości, o urazach, pretensjach i popełnionych błędach. Pora spojrzeć w przyszłość i na niej się skupić.

Niedźwiedź z powagą pokiwał głową, po czym uśmiechnął się łagodnie do dziedziczki.

– Ma pani rację, już dość rozdrapywania starych ran. Od tej pory myślę wyłącznie o tym, co nas czeka.

Eufemia odpowiedziała ciepłym uśmiechem. Ada natomiast miała wrażenie, że serce jej pęka i rozpada się na kawałki.

* * *

Niedzielny obiad tym razem okazał się dla Ady źródłem cierpień. Jakub, owszem, przywitał się z nią wylewnie i uprzejmie, ale z takim samym entuzjazmem ucałował dłoń Eufemii. Guwernantka doszła do wniosku, że ponownie rywalizuje ze swoją szefową o mężczyznę. I znów czuła się z tego powodu rozdarta i niezdecydowana. Złościła się, smuciła, paliło ją sumienie, chciało się jej płakać i śmiać jednocześnie. Obserwowała siedzących przy stole i oddających się wesołej rozmowie w coraz podlegszym nastroju. Co ja takiego zrobiłam, że los każe mnie w ten sposób? – myślała, niemrawo grzebiąc łyżką w krupniku. Nie mogłabym się po prostu zwyczajnie zakochać w jakimś przyzwoitym chłopaku i żyć z nim szczęśliwie oraz bez udziwnień? Nie, wszystko mi w sprawach sercowych idzie nie tak, jak powinno. Zakochałam się w żonatym dziedzicu, to go zastrzelili. Zakochałam się w przystojnym leśniku, to okazał się mordercą. Zakochałam się w cudownym wielkoludzie, to właśnie on zakochuje się we wdowie po tym pierwszym. Ja chyba zwariuję!

– Donia, czemu trzymasz nos spuszczonego na kwintę, coś ci dolega? – spytała nagle Eufemia. – Myślałam, że lubisz krupnik robiony przez Alę?

– Bardzo lubię, ale chyba dziś mam nieswój dzień...

– Kobiece dolegliwości miesięczne, ja to znam! – zagrział pan Henryk.
– Nie doświadczyłem ich osobiście, co sobie chwale, ale moja świętej pamięci małżonka, mama Kuby, przechodziła je niezwykle dotkliwie. Cierpiała na fatalne bóle, do tego związany z nimi brak apetytu. Trzeba zostawić dziewczynę w spokoju, bo wiele jej nie pomożemy.

– Nie, ja tylko... – bąknęła Ada.

– Może dać jej jakichś ziółek? – zainteresował się dziadek Dominik. – Albo naleweczki? Wszyscy byśmy się przy okazji napili jako mały aperitif przed drugim daniem...

Ada przeprosiła i by nie zrobić zamieszania oraz nie wystawiać się na ostrzał ze strony dwóch staruszków, wyszła z jadalni. I tak nie miała apetytu, nie, kiedy Jakub w najlepsze flirtował z Eufemią, a Adę ignorował. W pokoju starała się zająć lekturą, ale nie mogła się skupić, usiadła zatem do biurka, sięgnęła po pióro i zaczęła pisać. Wyszedł jej wiersz, gniewny i pełen wzniosłych słów o wzgardzonej miłości i odrzuceniu. Przeczytała go kilka razy i doszła do wniosku, że jest koślawy i ogólnie do kitu. Wtedy do jej drzwi ktoś zapukał. Miała przez chwilę płonną, jak się okazało, nadzieję, że to Jakub. To była jednak Anna. Dzieci niepokoiły się niedyspozycją guwernantki i dziewczyna przyszła sprawdzić, co się dzieje z nauczycielką.

– Nic, już mi lepiej. Nie chcę jednak psuć wesołej atmosfery przy obiedzie, dlatego chyba zostanę na razie tutaj. Nie mam coś dziś apetytu...

– Pierwszy raz przytrafiło się pani coś takiego, wszyscy się wystraszyliśmy.

Ada machnęła niecierpliwie ręką, poleciła dziewczynce podejść bliżej i się rozgościć, czyli po prostu usiąść na łóżku.

– Powiedz no, co myślisz o panu Klimku? – spytała.

– Zabawny, łagodny i miły. Pamiętam, jak kiedyś na nas nakrzyczał, ale chyba od tamtego czasu się zmienił. Piotrek jest nim zachwycony, bo pan Jakub traktuje go jak dorosłego.

– Mhm, lubicie go, rozumiem. A co byś powiedziała, jakby kiedyś, kiedy żałoba po waszym tacie minie, mama wyszła za Jakuba i stałby się on waszym ojczymem? – wypaliła prosto z mostu.

Mała zrobiła wielkie oczy, po chwili zmarszczyła brwi i bezwiednie wetknęła palec w usta.

– Cóż to za pomysł, pani Donio? Och, myśli pani, że oni mają się ku sobie?! – Nagle oczy dziewczyny rozbłysły. – Wszyscy ciągle tęsknimy za tatkiem, ale przecież nie może być, by mama już na zawsze została sama. Pan Jakub chyba przyniósłby nam wszystkim wiele radości i szczęścia. No i pomoc, bo dziadek się starzeje, a Piotruś jest za mały, by pełnić obowiązki mężczyzny. Tak, pan domu by nam się bardzo przydał. Mama ostatnio wielce spracowana i zafrasowana, biega po gospodarstwie jak kura z odciętą głową, kłóci się z rządcą, krzyczy na parobków, nawet na panią

Lucynę. Odkąd zaczęła gospodarzyć, nerwy jej się kotłują i pękają jak postronki. Mężczyzna mógłby ją uspokoić. Tak myślę, czytałam coś takiego w jednej książce...

– Podbierasz matce powieści francuskie, tak się domyślałam. – Ada pokiwała głową. – Pamiętaj jednak, że prawdziwe życie nie wygląda jak w romansidle za rubel i trzydzieści kopiejek. Jakub może i przyniesie jej dużo rozrywki i przejmie obowiązki gospodarskie, ale czy da prawdziwe szczęście?

– Odnoszę wrażenie, że pani dzisiejsze bóle mają inne źródło niż niewieście przypadłości – mruknęła dziewczynka zaczepnie. – Czyżby była pani zazdrosna?

Ada spojrzała na nią srogo i już chciała powiedzieć coś ostrego, ale się pohamowała. Mała miała rację, nie dało się tego ukryć, że Adę paliła zazdrość. Nie powinna się nad sobą tak użalać. Skoro Jakub nagle odstawił ją do kąta i skupił się na dziedziczce, to może lepiej, że tak się stało. Widocznie nie zasługiwał na kogoś takiego jak Aldona. Do tego nie był stały w uczuciach. A może od początku traktował ją tylko jako maskotkę, miłe dziewczętko, któremu można ukraść buziaka i złapać go za pupę? Oczywiście było, że jeśli chodziło o poważny związek, Eufemia plasowała się na znacznie bardziej uprzywilejowanej pozycji. Co z tego, że była wdową z trójką dzieci, mającą trzydzieści dwa lata? Miała to, co trzeba, czyli odpowiednie szlacheckie pochodzenie i majątek, do tego nie byle jaki.

– Dobrze, dość tego mazgajenia się – oświadczyła bardziej sobie niż Annie. – Wracamy do jadalni, już czuję się całkiem dobrze.

Weszły do pomieszczenia akurat, gdy Ala podawała ciasto na deser. Aldona uśmiechnęła się do wszystkich i oznajmiła, że nic jej już nie jest i chętnie dołączy do towarzystwa. Przez resztę popołudnia starała się ze wszystkich sił robić dobrą minę, gadała z dwoma dziadkami i próbowała nawet z nimi żartować. W sercu ciągle ją uwierał ciężar, ale przynajmniej potrafiła już nad tym zapanować. Uznała, że niedoszły romans z Jakubem był tylko krotocwilą i trzeba o nim zapomnieć.

* * *

Jesień, ze swoimi krótkimi ponurymi dniami, deszczami i zimnymi wiatrami, nie pomagała Aldonie zapanować nad złymi emocjami i tryskać humorem. Mimo to guwernantka trzymała się dzielnie, a żeby zapomnieć

o Jakubie, skupiła się na dzieciach i nauce. Niestety wielkolud też niczego nie ułatwiał, bo niespodziewanie zaczął pojawiać się w Chojniakach nawet niezapraszany. Wpadał niby przy okazji, w drodze z budowy Arkadii, ale zaskakująco zawsze miał jakiś drobiazg, a to słodycze dla dzieci, a to kwiaty dla pani domu. Eufemia przyjmowała go coraz chętniej, ślepy już by chyba zauważył, że odbywają się tu gody na całego.

Na początku grudnia cała rodzina udała się na sławetną polanę i nastąpiło tam uroczyste przekazanie domu Kęszyckim. Jakub, ubrany w swój odświętny surdut i płaszcz z futrzanym kołnierzem, w którym wyglądał jak prawdziwy niedźwiedź, ceremonialnie wręczył Jadzi klucz do domku. Dziewczynka próbowała nim otworzyć drzwi, ale w końcu Piotrek musiał jej pomóc. Następnie wszyscy weszli do środka, by podziwiać malunki na ścianach i papierowe dekoracje wykonane przez dziewczynki, aż w końcu napalili w kominku i siedzieli przy ogniu do zmroku, najpierw rozmawiając, a potem śpiewając z dziećmi piosenki.

Adzie przyszło do głowy, że już to zna, już to przeżywała. Przecież niewiele ponad rok temu tak samo spędzali wieczory, tyle że razem z Krzysztofem. Wyglądało to bardzo podobnie, tylko Krzyś zwykle przysłuchiwał się rodzinnemu muzykowaniu, nie uczestniczył w nim czynnie, za to Jakub śpiewał głośno swoim niskim głosem niczym mrużący niedźwiedź. Dawało to zabawny efekt i bawiło, szczególnie dzieci. Eufemia też uśmiechała się z rozbawieniem. Tego dnia po raz pierwszy od odnalezienia ciała męża nie założyła żałoby. To był oczywisty symbol, że jest gotowa na nowy związek. Ada zaczynała już się powoli godzić z tym, że kolejna miłość przeszła jej koło nosa. W dodatku nawet nie czuła złości na Eufemię, uznała, że to jej się należy. Guwernantka miała jeszcze czas, by znaleźć sobie wybranka.

Nadeszła pora, by wracać do domu, Jakub oczywiście odprowadził ich, przyświecając sobie lampionem. Eufemia zaproponowała, że każe Poldkowi zaprząć powóz i chłopak odwiezie go do domu, ale niedźwiedź odmówił. Oznajmił, że chodzenie po lesie w ciemnościach to dla niego nie pierwszozna, że nie boi się ani nocy, ani zwierząt, poza tym zna dobrze drogę i trafi choćby po omacku. Ukłonił się w pas, pocałował dziewcziczkę w rękę, mrugnął zawadiacko do Ady i ruszył swoją drogą. Jego lampka migotała jeszcze parę chwil, po czym rozplynęła się w ciemności.

On traktuje mnie jak dobrą przyjaciółkę – tak rozumiała jego uśmiechy i mrugnięcia Ada. – Tamten pocałunek był pomyłką czy może jakąś ulotną chwilą, przypadkowym zdarzeniem. Teraz jestem dla niego miłą osobką, z którą lubi sobie pożartować. Wszystko wskazuje na to, że wkrótce stanę się też jego podwładną.

– Myślisz, że powinnam była zaprosić go na noc? – spytała Eufemia.

Obie stały jeszcze na ganku i patrzyły w ciemność.

– Ale od razu do sypialni?

Obie parsknęły śmiechem. Eufemia czuła gorąco na policzkach, choć noc była chłodna, zanosilo się nawet na przymrozek.

– Nie, na sypialnie jeszcze za wcześnie, chciałam go przenocować w gościnnym. No cóż, może innym razem. Wiesz co? Zamierzam zaprosić go na Wigilię. Tylko trochę się waham, bo to poważna deklaracja. Taki wieczór spędza się zwyczajowo w gronie najbliższych, z rodziną, z ukochanymi...

Ada nabrała powietrza, po czym odetchnęła powoli, wyrzucając z siebie wraz z oddechem całą złość, żal i rozczarowanie.

– Może pora się pogodzić z tym, co nieuchronne? – powiedziała. –

Zakochałaś się w nim i chcesz go tutaj, w Chojniakach. Nie, nie ma sensu się krygować i zaprzeczać, nie jestem ślepa, nikt nie jest, wszyscy to widzą.

– Och, aż tak? No cóż... Od śmierci Krzysztofa czuję się taka samotna. I tak jakoś, niczym zrządnienie niebios, Jakub po prostu pojawił się w odpowiednim czasie i odpowiednim miejscu. Widocznie tak miało być. Co o tym myślisz, nie spieszę się zbytnio? Właściwie ledwo go znam, nie wiem, jakim naprawdę jest człowiekiem, czemu nie znalazł sobie żony ani dłaczego tak nagle zrobił się miły, a wcześniej przez całe lata tylko na nas warczał.

– Jest nieśmiały, a nieśmiałość maskował gniewem. Ten zaś przychodził mu łatwo, bo całe lata Jakub chował urazę do Krzysztofa. Ale sama mówiłaś, że koniec z rozdrapywaniem ran i grzebaniem w przeszłości. Pora patrzeć w przyszłość, dzieci potrzebują ojca, dom – gospodarza, a ty – mężczyny. Bierz, co daje los. Nie ma co czekać na księcia z bajki.

Nie wierzę, że sama jej to radzę – pomyślała Ada z bólem. Uznała jednak, że przyzwoitość jest ważniejsza, powinna się wycofać i nie odmawiać przyjaciółce szczęścia. Od razu jej dzięki temu ulżyło. Eufemia

uścisnęła ją i z głośnym cmoknięciem pocałowała w policzek. Weszły do dworu i zamknęły drzwi, zostawiając za sobą ciemność.

* * *

Jakub niespecjalnie spieszył się z zalotami. Przynajmniej w Wigilię nie ośmielił się nic zrobić w tym kierunku, nawet kiedy Eufemia stanęła pod wiszącą u sufitu jemiołą. Uczyniła to trochę dla żartu, a trochę, by go sprowokować. Przez chwilę myślała, że to robi, weźmie w ramiona i przy wszystkich pocałuje, ale obrócił sprawę w żart i nawet jej nie dotknął. Tym większą niespodziankę sprawił wszystkim w Nowy Rok, kiedy po uroczystym nabożeństwie obie rodziny znów zebrały się na wspólnym obiedzie. Tym razem to Klimkowie podejmowali gości w swoim dworze, który został z tej okazji chyba po raz pierwszy od lat wysprzątany na błysk. Sprowadzili też, z pewnością za sporą opłatą, zawodowego kucharza wraz z trzema pomocnikami, którzy także usługiwali gościom przy posiłku. Nie dość tego, do obiadu przygrywał im skrzypek i bynajmniej nie wiejski grajek, ale muzyk z jakiejś orkiestry. Goście od razu zrozumieli, że gospodarze poszli na całość i coś szykowali.

Ada z rosnącym rozbawieniem obserwowała Eufemię, która sprawiała wrażenie coraz bardziej rozognionej i zniecierpliwionej. Jakub jednak, jak to miał w zwyczaju, nigdzie się nie spieszył i sprawiał wrażenie pozornie rozluźnionego. Aldona spostrzegła jednak, jak nerwowo stuka palcami o blat i poprawia krawat pod szyją. Z trudem się hamował, by go nie zerwać i nie cisnąć w kąt. Ostatecznie przemógł się, wstał od stołu, klęknął przed Eufemią, po czym wyciągnął z kieszeni puzderko ze złotym pierścionkiem i poprosił dziedziczkę o rękę. Wszyscy wstrzymali oddech, zapadła cisza jak makiem zasiał, nawet dzieci milczały jak zakłete. Eufemia trzymała wszystkich przez chwilę w niepewności, po czym przyjęła oświadczenia.

Tak rozpoczął się ich okres narzeczeński. Ślub miał odbyć się dopiero wiosną, po Wielkanocy, kiedy okres żałoby po Krzysztofie ostatecznie będzie można uznać za zakończony. Ada przyjęła to wszystko zaskakująco lekko, pogodziła się z tym, że ta miłość przeszła jej koło nosa. Teraz życzyła narzeczonym jak najlepiej, a sama skupiła się na pracy i dzieciach. Nauczanie trójki w różnym wieku nie sprawiało jej już najmniejszych trudności. Wyrobiła sobie rutynę, łączyła lekcje, potrafiła tak gospodarować

czasem, że miała jeszcze kilka chwil na naukę własną, lekturę czasopism dla nauczycielek i pisanie listów. Po przerwie wróciła bowiem do korespondencji zarówno z koleżankami ze szkoły, jak i z dwiema ulubionymi profesorkami z liceum. Dzięki temu przestało jej doskwierać poczucie osamotnienia i oddzielenia od cywilizacji, od prawdziwego życia, które toczyło się w wielkich miastach.

Czegoś jej jednak brakowało, szczególnie wieczorami, kiedy dwór pogrążał się w ciszy i ciemnościach. Nie mogła zasnąć, zaczęła się wówczas dręczyć poczuciem niespełnienia. Była młoda i pełna energii, skoro nie mogła jej przelać na miłość, musiała ją spożytkować w inny sposób. Przyszedł jej zatem do głowy pewien pomysł, z którym obudziła się w środku nocy. Zerwała się i po omacku zapisała go ołówkiem na kartce. Rankiem okazało się, że notatkę zrobiła na okładce podręcznika do matematyki, ale najważniejsze było to, że pomysł nie rozpułnął się w snach i mogła się podjąć jego realizacji.

– Arkadia stoi właściwie nieużywana – oznajmiła Eufemii, kiedy spotkały się na popołudniowej herbatce w salonie. – Mam pomysł, jak ją wykorzystać przynajmniej dwa, może trzy razy w tygodniu.

Eufemia, ostatnio rozanielona i chyba autentycznie zakochana, tylko uniosła brwi, błogo się przy tym uśmiechając.

– Pozwól założyć mi tam szkółkę elementarną dla dzieci z okolicznych wiosek. W lesie sporo jest maleńkich siół i gospodarstw, często zamieszkałych przez rodziny drwali, którzy dla ciebie pracują. Drwale, jak wiesz, są jurni i mnożą się na potęgę. Ich dzieciaki całe dni snują się po lesie i łobuzują, bo przecież nikt nie wyśle ich do szkoły w Bolimowie. Za daleko, kto by miał czas dwa razy dziennie wozić tam zasmarkane i odrapane berbecie? I tak szerzy się w tych okolicach analfabetyzm, a z nim bieda i zdziczenie. Nic dziwnego, że tak popularne jest tu kłusownictwo. Co mają robić ci ludzie, każde kolejne pokolenie jest bez szans na odbicie się od dna. Myślę, że moglibyśmy im pomóc, zanieść między lud kaganek oświaty...

– Naczytałaś się tych pozytywistycznych bająn, co? – rzucił ze swego fotela dziadek Dominik. – Ja wiem, że to teraz modne. Praca organiczna, u podstaw, jak mówią, by zmienić los ojczyzny bez przelewu krwi, wychować ludzi na świadomych i tak dalej. To utopia, mówię wam. Nawet jak nauczysz wieśniaka czytać, nie będzie od tego mądrzejszy. Dalej będzie

chodził do karczmy chlać wódkę i wierzył, że po pijaku mamuny nie pozwalają mu trafić do domu.

– Tata chyba po prostu zgorzkniał na starość. – Westchnęła Eufemia. – Trzeba wierzyć w ludzkość i dać jej szansę. Poza tym to będzie miły gest dla całej społeczności. Niech się rozniesie, że dziedziczka założyła i sfinansowała szkołę dla dzieci z najbiedniejszych rodzin. W regionie Kęszyccy nadal są postrzegani jako dziwacy, nadal pamięta się starego dziedzica, który jeździł z niedźwiedziem i straszyl nim ludzi. Może pora nieco ocieplić wizerunek rodziny?

– Niech wam będzie. – Dziadek machnął ręką. – Byle się te dzieciaki trzymały z daleka od dworu. I nie proście mnie o pomoc w nauczaniu, nie wezmę w tym udziału!

Aldonie nawet przez myśl nie przeszło, by prosić dziadka o nauczanie wiejskich dzieci, ale zatrzymała tę uwagę dla siebie i tylko pokiwała głową. Od razu też zabrała się za planowanie i wdrażanie pomysłu w życie. Przede wszystkim musiała udać się do Łowicza i w merostwie ubiegać o pozwolenie na otwarcie takiej szkółki. Znając biurokrację panującą w Imperium, spodziewała się, że uzyskanie stosownych zezwoleń może potrwać kilka miesięcy. Nie zamierzała czekać tak długo, szkółka powinna rozpocząć działalność jak najszybciej.

Następnego dnia z pomocą Poldka zaprzęła kobyłkę do dwukółki i wyruszyła w drogę, najpierw za cel wybrała Bolimów. Powędrowała do miejscowego kościoła, po czym zastukała w drzwi plebanii. Otworzyła jej gospodyni, która obrzuciła guwernantkę niechętnym, krytycznym spojrzeniem.

– Proboszcza nie ma, pojechał do wiernego z ostatnim namaszczeniem – burknęła. – Ale jeśli panna chce, to jest wikary, ksiądz Andrzej.

Ada westchnęła. Zdawała sobie bowiem sprawę, że by jej inicjatywa w ogóle ruszyła, musi mieć poparcie proboszcza, który z ambony ogłosi chłopom, że otwiera się szkoła elementarna i mają do niej posłać dzieci. Jeśli tego nie zrobi, nie zgłosi się do niej żaden uczeń. Prawda była taka, że na wsiach liczył się tylko głos kościoła i bez jego pomocy nawet nie miała co próbować.

– Pani Leokadio, o co chodzi? Czemu trzyma pani tę damę na progu? – Za plecami gospodyni pojawił się wikary.

Młody ksiądz był wysoki i szczupły, miał bujną blond grzywę, okulary w cienkich, drucianych oprawkach i łagodny uśmiech. Poleciał Adzie, by weszła, i wprowadził ją do saloniku, gdzie proboszcz przyjmował interesantów. Pachniało tu ziołami, na ścianie wisiał obraz Matki Boskiej otoczony suszącymi się roślinami. Ksiądz wskazał jej krzesło, sam nie zajął miejsca za biurkiem, ale przystawił sobie drugie siedzisko i usiadł tak, by nic ich nie dzieliło. Zrozumiała ten gest, chciał pokazać, że jest otwarty na rozmowę i pomoc. Chrząknęła, zbierając myśli, i zaczęła mówić. Przedstawiła mu swój plan otwarcia małej szkółki dla ubogich dzieci z okolicy. Przy okazji musiała mu opowiedzieć o sobie, kim jest, czym się zajmuje i jak długo tu mieszka. Przerwał jej tylko na chwilę, by zawołać Leokadię i poprosić ją o herbatę dla ich dwojga. Gospościa obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała, po kilku minutach przyniosła jednak imbryczek i dwie filiżanki. Ksiądz nalał im gorącego naparu, Ada spostrzegła, że ma dłonie o długich palcach, jak pianista. Nie wytrzymała i właściwie wbrew sobie natychmiast mu o tym powiedziała.

– Dłonie mam po mamie, zresztą grała na pianinie i nauczyła mnie na tyle, na ile potrafiła. Potem trochę ćwiczyłem w seminarium, ale granie psalmów to jednak nie to samo co granie Chopina. Tu z kolei mamy tylko organy w kościele, więc ostatnio w ogóle porzuciłem tę rozrywkę – wyjaśnił.

– Ja też trochę gram, zresztą we dworze mamy pianino i często muzykujemy z dziećmi. – Uśmiechnęła się, ksiądz wzbudził w niej sympatię.

Była w nim ta umiejętność słuchania ludzi, tak że człowiek aż sam miał ochotę mu się zwierzyć, bowiem czuł autentyczne zainteresowanie i chęć niesienia kapłańskiej posługi. Zrozumiała, że zjednanie go dla sprawy może być drogą do uzyskania przychylności starego proboszcza. Zaczęła więc dalej opowiadać o biedzie, analfabetyzmie i dzieciach pozostawionych samym sobie.

– Jestem zachwycony panny zaangażowaniem i troską o słabszego, potrzebującego pomocy człowieka – powiedział, kiedy udało mu się wbić jej w słowo. – Właśnie kogoś takiego potrzebujemy, takich nauczycieli, z poczuciem misji i pracujących z powołania. Domyślam się też, o co pannie chodzi, czego od nas chce, i obiecuję, że tak urobię proboszcza, że nie tylko poprze tę szkołkę, ale jeszcze ogłosi zbiórkę na jej działanie.

– Nie trzeba pieniędzy. – Pokręciła głową. – Chyba nie trzeba. Znacząca dziedziczka udostępni mi budynek, ale rzeczywiście... Co z pomocami naukowymi, przyborami, podręcznikami, meblami, opałem, oświetleniem i jedzeniem, bo dzieci pewnie będą głodne... Na część tych problemów mam rozwiązanie, ale nie na wszystkie. Hm...

– Ma panna tyle uroku i wdzięku, że jestem przekonany, iż te niedogodności rychło się rozwiążą. – Sam się zmieszał tym komplementem, chyba nie wypadało, by ksiądz tak wychwalał urodę panny. Wstał zatem gwałtownie i przeprosił ją, ale musiał zakończyć rozmowę, bo wzywały go obowiązki.

Odprowadził ją do drzwi, a nawet wyszedł z nią przed plebanię. Poprosił, by wróciła następnego dnia, a sprawa będzie załatwiona. Wskoczyła zatem do dwukółki, zacięła konika i wyruszyła w drogę powrotną do Chojniaków. Zanim dojechała do zakrętu, odwróciła się jeszcze. Ksiądz Andrzej nadal stał przed plebanią i na nią patrzył. Pomachał nawet, widząc, że na niego spogląda.

– Wyglądałby jak anioł, gdyby nie był ubrany na czarno – powiedziała do kobyłki ciągnącej powóz. – A to mi się trafił sojusznik, spadł prosto z nieba...

* * *

Niedługo później udało jej się wygospodarować czas, by pojechać do jednego z rodzinnych tartaków. Jej wizyta, rzecz jasna, wzbudziła konsternację i zamieszanie. Robotnicy pracujący przy maszynie do cięcia wpadli wręcz w panikę, podejrzewali bowiem, że została przysłana przez dziedziczkę na przespiegi lub kontrolę. Na domiar złego jej przybycie zgrało się w czasie z odwiedzinami inżyniera z Łodzi, który przyjechał na konserwację maszyny parowej. Przerazenie biednego brygadzysty było przez to podwójne, choć młody mechanik nie sprawiał wrażenia strasznego. Był wesołym chłopakiem, który zrzucił surdut i w koszuli oraz kamizelce ostukiwał maszynę młoteczką, a nawet wczuł się pod nią i coś przy tym gadał do badanego żelastwa. Na widok panny wkraczającej do pracowni wyskoczył spod syczącego kotła niczym diabeł z pudełka. W dodatku twarz uwalaną miał smarem, tak samo jak dłonie. Mimo to wyciągnął do niej rękę i się przedstawił.

– Krystian Gajewski! Mechanik od Gardnera i Synów, znaczy inspektor inżynieryjny z fabryki maszyn. Dokonuję tu konserwacji urządzenia, a właściwie jego oględzin, a pani?

– A ja nie, wręcz przeciwnie, maszyna nic mnie nie obchodzi – odparła. – Aldona Burzyk, guwernantka z Chojniaków, ale tylko czasowo. Przyjechałam, by pomówić z załogą. Panie brygadzisto, zebrałby pan ludzi dosłownie na pięć minut?

Mężczyzna posłusznie zwołał tych, których miał w pobliżu i nie byli akurat na wycince. W hali obok silnika parowego zebrało się raptem dziesięciu chłopów. Otoczyli dziewczynę i patrzyli na nią jak na niezwykle zjawisko, zupełnie im nie pasowała do tego miejsca. Ada spojrzała śmiało w proste, toporne twarze drabów o szerokich barach i minach, zdawałoby się, niezmaconych myślą. I jak tu do nich przemówić, aby dotarło? – pomyślała coraz bardziej speszona. Nie przywykła do publicznych wystąpień, szczególnie przed taką widownią.

– Kto z was ma dzieci, ręka w górę – rzuciła autorytarnym tonem nauczycielki.

Połowa drwali podniosła ręce.

– A kto ma dzieci w rodzinie, siostrzeńców, bratanków i tak dalej?

Zgłosiło się kilku kolejnych. Nabrała powietrza i spytała, ile z tych dzieci chodzi do szkoły, umie czytać i pisać. Kilku drwali wzruszyło ramionami, jakiś spytał, do czego im to potrzebne.

– Żaden z nas nie posiadał tych umiejętności, a wszystkie żyjem i mamy się dobrze – oświadczył typ o kilka razy połamany, a przez to pokrzywionym na wszystkie strony nosie. – Zawracanie głowy z tą nauką, chleba z czytania książek nie będzie, prawda, chłopcy?

– Prawda – przytaknął brygadzista. – Potrzeba nam silnych rąk do pracy, a nie poetów i nauczycieli.

Praca organiczna to chyba jednak nie dla mnie – pomyślała z rozczarowaniem. Przecież nie zdołam ich przekonać, tylko mnie wyśmieją.

– Wasze dzieciaki mogą harować przez resztę życia w pocie czoła za marny grosz i chylić kark przed panami ze dworu, kierownikami z tartaku, przed księdzem, wójtem, ekonomem, pisarzem z gminy i tak dalej, i tak dalej – rzucił niedbale oparty o maszynę inżynier Gajewski. – Mogą chodzić jak wy w łańchmanach i śmierdzieć wódką, mogą zostać do końca

życia popychadłami, a kiedy zabraknie im sił na robienie siekierą i piłą, po prostu umrą z głodu, bo nikt się o nich nie będzie troszczył. Mogą spędzić całe parszywe i krótkie życie w lesie i niczego nie zobaczyć, niczego się nie nauczyć. Tego dla nich chcecie? By byli takimi jak wy, tanimi robotami, którymi wszyscy pomiatają? Których wszyscy mają za tępe pieńki, głupie i niedorozwinięte?

Drwale poruszyli się niespokojnie, ich pięści zacisnęły się nerwowo. Ada nabrała powietrza, zanosilo się na to, że młody inżynierek zaraz oberwie fangę w nos. Uniosła ręce w uspokajającym geście.

– Chcę pomóc waszym dzieciom i dać im szansę. Jeśli będą umiały liczyć, nie dadzą się oszukać handlarzowi na targowisku czy ekonomowi dającym wypłatę. Jeśli nauczą się czytać i pisać, może w życiu osiągną coś więcej, wyruszą w świat, zobaczą, jak żyją inni ludzie, znajdą swoje miejsce gdzieś, gdzie poczują się szczęśliwe.

– I nie będą musiały znosić upokorzeń, na jakie skazani są biedacy – dodał Krystian. – Dostaną szansę na stanie się kimś i życie w innych warunkach niż wy. Powinniście całować pannę po rękach, zamiast patrzeć na nią wilkiem i szydzić jak banda przygłupów. Dziewczyna chce dać waszym dzieciom szansę na lepsze życie, należy się jej szacunek i pomoc z waszej strony.

Drwale tym razem cofnęli się o krok, przestali zgrzytać zębami, ten i ów ze zmieszeniem podrapał się po głowie lub choć potarł brodę. Wcale nie byli głupi, tylko biedni, całe życie ciężko pracowali, ale i tak balansowali na skraju nędzy. Trudno było nie przyznać inżynierkowi racji, choć nie patyczkował się i mówił wprost. Ta szczerść też zasługiwała na szacunek. Brygadzysta ściągnął czapkę i stanął przed Adą, która aż wstrzymała oddech z napięcia.

– Mam dwójkę, sześć i osiem lat. Nadadzą się jeszcze do nauki? – spytał.

– Są w sam raz – odparła. – To teraz słuchajcie, chcę otworzyć szkołę elementarną w domku myśliwskim w Arkadii, na polanie jakieś dwie wiorsty za dworem. Nauka będzie bezpłatna, przyjmę wszystkie dzieci, jakie się zgłoszą. Potrzebuję jednak pomocy w urządzeniu sali lekcyjnej. Potrzebne mi będą ławki i stoliki szkolne rozmiarem przystosowane do dzieci. Błaty lekko pochyłe, z wycięciami na kałamarz i zagłębieniem na pióro. Czy są wśród was na tyle zdolni stolarze, że potrafiliby to zrobić?

Któryś z drwali prychnął z irytacją.

– Oczywiście sprawa, panienko. Wielu z nas ma fach w rękach, zrobim, co trzeba, bo drewna tu dostatek. Mamy sporo odrzuconych desek, bo są wady we fladrze albo kształcie. Da się z tego zrobić mebelki dla dzieci, prawda, chłopcy?

Chłopcy zgodnie przytaknęły, właściwie wyglądało na to, że zapaliły się do pomysłu posłania dziatwy do szkoły. Wdrożenie ich do pomocy było doskonałym posunięciem, bo poczuli się potrzebni i pożyteczni. Dadzą swoim dzieciom to, co potrafią zrobić pracą własnych rąk. Postarają się im dać lepsze życie na tyle, na ile pozwalają im warunki i możliwości.

– Dziękuję za wsparcie, panie Gajewski – powiedziała, kiedy inżynier wyszedł z nią z hali, by odprowadzić do powozu. – Gdyby nie pana interwencja, chyba zjedliby mnie żywcem.

– Zostałaby po panie ładna kupka ogryzionych kosteczek – przytaknęła. – A tak poważnie, to całkiem nieźle panie szło. Z takimi ludźmi jednak trzeba mocniej, trzeba nimi potrząsnąć, by coś dotarło do tych nierzadko zakutych łbów. Mam doświadczenie, bo całymi dniami kręcę się po fabrykach, w których stoją nasze maszyny. Robotnicy to także bardzo prości i niewykształceni ludzie. Ile ja nerwów straciłem, by im wytłumaczyć, jak pracować, by nie uszkodzić maszyny lub nie spowodować eksplozji kotła.

– Będę pamiętała dzisiejszą lekcję – powiedziała i wspięła się na dwukólkę.

– Spotkam jeszcze kiedy pannę? Nie mają w tych Chojniakach jakiejś maszyny do konserwacji? – spytał z szelmowskim uśmiechem. – A może chce panna w swojej szkółce zainstalować jakiś młot parowy lub piłę tarczową?

– Mało przydatne w edukacji te pańskie maszyny. – Uśmiechnęła się rozbawiona. – Ale jeśli chce pan wygłosić dzieciom jakiś ciekawy wykład o mechanice, to zapraszam serdecznie.

Ruszyła w drogę powrotną, a kiedy obejrzała się przed wjechaniem w las, inżynier ciągle stał i na nią patrzył. Pomachał do niej na pożegnanie.

– Ten też przystojny – zwróciła się na głos do kobyłki. – Ostatnio całkiem sporo ich spotykam. Właściwie to drugi... Pierwszy przystojniak jest księdzem, to ten pewnie okaże się żonaty, znając moje szczęście. Dostyc tego, jedziemy do domu.

* * *

Wystarczył miesiąc energicznych działań Aldony, by domek został zaadaptowany na szkołę, wyposażony i oczekiwał gotowy na przyjęcie uczniów. Guwernantka ciągle jednak wypatrywała pozwolenia z kuratorium, ale mogło ono dotrzeć i za pół roku. Istniała też możliwość, że nie nadejdzie w ogóle, jeśliby okazało się, że szkoła nie spełnia wymogów, które mogły być wyśrubowane jak wobec wszystkich organizacji działających na terenie Imperium. Polakom od czasów powstania nie wolno było się zrzeszać w żadne towarzystwa ani organizacje, nauczanie zaś podlegało szczególnej kontroli. Prowadzono agresywną rusyfikację i zwalczano wszelkie przejawy patriotyzmu, nauczanie po polsku było niemile widziane, zabroniono też wykładania narodowej historii i literatury. Ada liczyła się z tym, że pierwsza kontrola, która ją nawiedzi, będzie składała się z rosyjskich kuratorów, którzy sprawdzą przede wszystkim, czy i jak porządnie uczony jest ich język. Musi zatem w pierwszej kolejności nauczyć dzieci klepania wierszyków na cześć cara i recytowania rosyjskiego alfabetu.

Przez jakiś czas zastanawiała się nawet, czy nie otworzyć szkoły w tajemnicy. Wiedziała, że w dużych miastach prowadzone jest tajne nauczanie, informowały ją o tym przyjaciółki z Warszawy. Było to jednak niebezpieczne i groziło aresztowaniem oraz sądem. Mogłaby przez to skończyć jak entuzjastki, na czele z nauczycielką Narcyzą Żmichowską, która wylądowała w więzieniu na kilka lat za szerzenie patriotyzmu wśród uczonych przez nią dziewcząt. Wahała się zatem z ogłoszeniem otwarcia szkółki, nie chciała też narobić kłopotów Eufemii, bo przecież budynek należał do niej. Depeszowała zatem do kuratorium do Warszawy, napisała pełen uniżonych błagań list do Wydziału Prośb do Jego Ekscelencji Naczelnika Kraju, a nawet do Komitetu Cenzury. Czekwała na odpowiedź, ale z tą nikt się nie kwapił. Z tego, co donosiły przyjaciółki z miasta, w Warszawie pensje dla dziewcząt pojawiały się jak grzyby po deszczu, czyli o pozwolenie na nauczanie nie było aż tak bardzo trudno. Potrzeba było jedynie cierpliwości, ewentualnie kilku łapówek wręczonych, komu trzeba, i można było działać. Tyle że ona nie mogła sobie pozwolić na to, by jechać do Warszawy i rozdawać pieniądze urzędnikom. Nadal marzyła o studiach w Paryżu lub Berlinie, a do tego potrzebny był jej każdy grosz.

Zastanawiała się, co robić, i dręczyła tym, że wszystko czeka gotowe i stoi bezużyteczne, aż tu niespodziewanie nadeszła Wielkanoc. We dworze rozpoczęły się przygotowania do wesela. Zjechali kucharze i dostawcy, przyjechali rodzice Eufemii, a niedługo po nich przyjaciółki dziedziczki z Łodzi z czasów jej młodości. Większość gości zmieściła się we dworze, ale trzeba było udostępnić także domek myśliwski, skutkiem czego wszystkie, pieczołowicie zrobione przez drwali mebelki trafiły do szopy. Zamieszanie trwało kilka dni, aż ostatecznie doszło do ślubu, rzecz jasna, w kościele w Bolimowie. Następnie odbyło się huczne wesele we dworze, ze ściągniętą z Łodzi orkiestrą, a nawet fajerwerkami, których odpalenia pilnował Andrzej Vogel. Niebo nad dworem rozbłysło zatem fontannami barwnych iskier, w akompaniamencie huków i śmiechów. Zwierzęta w oborze i stajni nieco to zdenerwowało, psy zaczęły wyć, a kury gdakać, ale nikomu to nie przeszkadzało.

Aldona, choć jej serce już zdążyło wystygnać i nie czuła nawet żalu po Jakubie, nie bawiła się zbyt dobrze. Pilnowała dzieci, nie tylko swojej trójki, ale też dzieci przyjaciółek Eufemii, które te przywiozły ze sobą. Guwernantka miała zatem pod opieką piętnaścioro pociech w różnym wieku, a co się z tym łączyło – ręce pełne roboty. Na szczęście po północy pierwsze maluchy zaczęły tracić siły i kolejno łądowały na posłaniach w wydzielonym pokoju dziecięcym. Jako ostatnia położyła się spać Anna i guwernantka miała w końcu czas dla siebie, mogłaby tańczyć i opić się wina, ale ani na jedno, ani na drugie nie miała ochoty. Zbyła kolejno odmowami rządcę Popowicza i przemysłowca Vogla, którzy prosili ją do tańca. Muzykanci rznęli od ucha, zatem o położeniu się spać nie myślała, bo hałas i tak nie pozwoliłby jej zasnąć. Niespodziewanie pojawiła się przed nią postać cała odziana na czarno, która dosłownie wynurzyła się z ciemności.

– Ksiądz Andrzej? Nie wiedziałam, że ksiądz jest na weselu – powiedziała na widok uśmiechniętego blondyna.

– Nie uczestniczyłem w tej zabawie, dopiero co przyjechałem bryczką po proboszcza.

Stary ksiądz siedział razem z nowożeńcami przy ich stole na jednym z honorowych miejsc. Chyba dobrze się bawił, ciągle z kimś rozmawiał, kiwając siwą głową, i nie wyglądał nawet na znużonego.

– Nie miałam okazji księdzu podziękować za pomoc – powiedziała. – Proboszcz ponoć kilka razy z ambony wspominał o mojej szkółce i zachęcał wiernych, by posłali do mnie dzieci. Zdaje się, że to przede wszystkim księdza zasługa.

– Nie tylko moja, choć trochę musiałem nawijać mu watę na uszy, by się przekonał do tego pomysłu. Zgłosiło się wielu chętnych, tak? To czemu panna jeszcze nie otwiera?

Opowiedziała mu o kłopotach z formalnościami, a on pokiwał głową z uwagą.

– Myślę, że możemy obejść ten problem, tyle że znów będziemy potrzebowali zgody proboszcza. Możemy udawać, że to szkółka przyparafialna do nauki religii – powiedział. – Nie potrzebujemy do tego specjalnych pozwoleń, proboszcz może zarządzić coś takiego w swojej parafii, nawet nie pytając kurii o pozwolenie. Uczyłaby panna tego, co trzeba, a ja przychodziłbym na koniec dnia i robił lekcję religii. Moglibyśmy działać pod taką przykrywką do czasu otrzymania zgody z kuratorium.

– Och, zgodziłby się ksiądz na taką mistyfikację? To działanie wbrew prawu – syknęła, pochylając się do niego, by nikt nie usłyszał. – Moglibyśmy za to oboje pójść do więzienia.

– Boi się panna? Nie wydaje mi się. Mało tego, dodatkowo jestem gotów podjąć się nauczania dzieci historii Polski – dorzucił z błyskiem w oku. –

Okazję mamy ku temu świetną. Domek stoi głęboko w lesie, wystawi się chłopaka, by pilnował, czy nikt się nie zbliża. Nie byłoby obawy, że najdą nas szpicle, którzy znieścacka najeżdżają szkoły w miastach. Moim zdaniem warto zaryzykować dla przyszłych pokoleń, dla sprawy.

Ada poczuła uniesienie i poruszenie, zupełnie jak w dniu, w którym skończyła szkołę i zdała egzamin. To było dwa lata temu, jej zapał pedagogiczny zdążył nieco ostygnąć, a teraz znów wybuchnął płomieniem. Miała ochotę cmoknąć Andrzeja w policzek, ale powstrzymał ją jego strój, sutanna i koloratka pod szyją. Ucisnęła mu więc rękę i potrząsnęła nią energicznie.

– Zatem zróbmy to dla przyszłych pokoleń i dla sprawy!

Rozdział 7

*I śpiewaj dzieciom – Niech choć, jedno wzrośnie
Zdrowe, w tém piekle fałszów, zdrad, omawień;
Śpiewaj im hymny by „w przyszłości wiośnie;
W piersiach swych czuli, serce a nie kamień”.*

Aleksander Michaux (1839–1895), *Do poetów*

Leśna Szkoła, bo tak zaczęto po wsiach mówić o dziele Ady, zaczęła działalność bez pompy, przemówień czy kolejnych ogłoszeń z ambony. Guwernantka tylko rozpuściła wici, że zaczynają od początku maja i rankiem koło ósmej chętni mają się stawić w Arkadii. Czeką na nich razem z trójką młodych Kęszyckich. Udało się jej przekonać Eufemię, że jeśli przyszli dziedzice wystąpią jako jej asystenci i pomogą w nauczaniu początkowym, to świetnie to wpłynie także na ich edukację i nauczy wiele dobrego. Nie tylko pomagania słabszym, ale wyćwiczy umysł w organizowaniu pracy, wpoi cierpliwość i rozwinię inne cnoty przydatne kulturalnym ludziom. Eufemia zgodziła się choćby po to, by pozbyć się dzieci z domu i móc cały dzień cieszyć się swoim nowym małżonkiem. Od rana zatem Ada czekała z Anną na ganku, a Piotrek i Jadzia biegali wokół domku, ganiając motyle.

– Co będzie, jak nikt nie przyjdzie? – Denerwowała się Ania.

– Wtedy wy zasiądziecie w ławach i zaczniemy zwyczajne codzienne lekcje.

– Błę – mruknęła dziewczynka. – Niech już lepiej się zjawią jakieś dzieci, bo mam dziś nastawienie pedagogiczne, a nie uczniowskie.

Jak na zawołanie z lasu wyszła kobieta prowadząca czwórkę dzieci zebranych z pobliskiego sioła. Po paru chwilach zaczęli dołączać następni, najczęściej bez żadnego towarzystwa dorosłych. Zebrało się aż dwadzieścioro uczniów, w tym siedem dziewczynek. Ada zrobiła ich listę, przy okazji spostrzegła, że połowa przylazła przez las boso, wszystkie zaś mają ubranka w żalonym stanie, odziedziczone po starszych braciach, za małe lub zbyt duże i w najlepszym razie jedynie podniszczone. Niektóre dzieciaki były do tego zwyczajnie brudne lub niedomyte. Zgodnie zatem z założeniem Ady, po pomoc rękę wyciągnęła największa biedota. Poza tym najstarsze dziecko miało dziesięć lat, było w wieku Piotra, zapewne dlatego, że wszystkie starsze już pracowały i potrzebne były

w gospodarstwie. Niewykluczone też, że uznały, iż są na naukę zwyczajnie za stare. Biedota żyła szybciej, prędzej dojrzewała i prędzej się starzała. Głód i ciężka praca wykańczały ludzi i mało kto dożywał tu późnego wieku.

Ada usadziła dzieci przy stoliczkach, rozdała przybory, kajety, pióra i kałamarze, po czym omówiła zasady panujące w jej szkole. Kiedy pierwsze niesforne chłopaki, nieprzyzwyczajone do siedzenia w bezruchu, zaczęły się wiercić i szemrać, natychmiast ich uciszyła i ustawiła do pionu samą groźną miną oraz ostrym tonem. Nie zamierzała terroryzować dzieci biciem, do tego nigdy by się nie zniżyła, ale wymagała całkowitego posłuszeństwa i wprowadziła niemal wojskową dyscyplinę. Atmosfera rozluźniła się jednak przy pierwszych lekcjach pisania, kiedy razem z młodymi Kęszyckimi uczyła dzieci trzymania pióra i stawiania znaków na papierze, tak by nie uwalić wszystkiego atramentem. Trójka młodocianych dziedziców dosiadała się do uczniów i pokazywała z zaangażowaniem co i jak. Skończyło się na tym, że wszyscy upaprali się atramentem i było mnóstwo śmiechu, choć chyba co nieco udało się przy okazji maluchom wpoić. Do brudu na ubrankach dołączyły kleksy, co zasadniczo nikomu nie przeszkadzało.

W południe przyjechał, i to konno, ksiądz Andrzej. Wszyscy wylegli przed szkołę, kiedy któreś dziecko dostrzegło go przez okno i podniosło alarm. Nawet Ada wyszła na ganek, by podziwiać mężczyznę w sutannie siedzącego w siodle. Widok był niespotykany, szczególnie że ksiądz musiał w tym celu podciągnąć sutannę niemal do pasa. Na szczęście miał pod spodem zwykłe spodnie i nie siał zgorszenia gołymi nogami. Pomachał wszystkim z daleka i zwinnie zeskoczył z wierzchowca, po czym poprawił swój kapłański uniform. W jednej chwili zaczął wzbudzać odpowiedni respekt.

Przeprowadził, zgodnie z ustaleniami, lekcję religii, a w tym czasie Ada pojechała dwukółką do dworu, by odebrać od kucharki Ali naszykowany przez nią garnek zupy, gęstej i warzywnej, do tego z mięsem. Kiedy wróciła do szkoły, dziatki już czekały w kolejce z blaszanymi miskami rozdanyymi przez Anię i Jadzię. Dzieci ze dworu usiadły z potomstwem drwali i zjadły razem. Wszyscy zachowywali się naturalnie, jakby nie działo się nic niezwykłego, ale Aldona zdawała sobie sprawę z tego, że dokonano się coś nowego. Wcześniej nie zdarzała się w tych okolicach aż tak duża

konfidencja między dworem i wsią. Owszem, dzieciaki często bawiły się razem, ale wspólna nauka i posiłki to była niemal rewolucyjna nowość.

– Robimy dobrą robotę – szepnęła do księdza. – Choć nie wiem, czy Kościół pochwała aż tak duże zbratanie stanów, czy to nie zaburzy odwiecznej równowagi...

– Wielu kościelnych hierarchów byłoby oburzonych, ale ja nie jestem konserwatystą. Zacznijmy od tego, że w oczach Boga wszyscy jesteśmy równi. Niezależnie od tego, gdzie przyszliśmy na świat, jak jesteśmy bogaci i wykształceni. Te dzieci niczym się zatem nie różnią i nie ma nic złego w tym, że razem się uczą i jedzą. Wszystkim może to wyjść jedynie na dobre. Młodym dziedzicom dzięki temu w przyszłości może nie przyjdzie do głowy, by pogardzać biednymi. Ci drudzy zaś może zrozumieją, że jaśnie państwo to nie tylko krwiopijcy i można żyć obok nich z podniesioną głową.

– Zobaczymy, co z tego wyniknie... – Ada zmarszczyła nosek, robiąc zadumaną minę.

Widząc ten komiczny grymas, ksiądz Andrzej parsknął śmiechem, który ona z zadowoleniem uznała za miły dla ucha. Zauważyła też, że młody wikary bardzo atrakcyjnie wygląda, kiedy się uśmiecha. Po raz kolejny pożałowała, że taki przystojny i mądry młodzieniec złożył kapłańskie śluby. No cóż, musiała poczekać na inny obiekt westchnień. Oby tylko nie był to kolejny dziedzic, tych już miała dosyć.

Pierwszy dzień minął, Ada poleciła dzieciom przyjść pojutrze. Ostatecznie ustaliła, że szkoła pracowała trzy razy w tygodniu, w poniedziałki, środy i piątki. Eufemia zgodziła się finansować na dni nauki gotowanie zupy, dostawę atramentu, papieru i piór. Jak na razie nic więcej nie było im trzeba. Mijały tygodnie i wszyscy wbili się w nowy rytm, maj przeszedł w czerwiec, a wraz z jego schyłkiem skończył się także rok szkolny. Dla wiejskich dzieci nie nadszedł wcale czas odpoczynku, wręcz przeciwnie, teraz były najbardziej potrzebne w domu. Aż do zakończenia żniw, bo w gospodarstwach był huk roboty i każde ręce się liczyły. Ubodzy uczniowie, po okresie bratania się z dziećmi dziedziców, wrócili zatem do codziennego znoju, nieco mądrzejsi, ale nadal biedni jak kościelne myszy. Ada zamknęła Arkadię na klucz aż do września z mieszanymi uczuciami. Niby czuła, że zrobiła coś dobrego, ale zdecydowanie czegoś jej jeszcze brakowało.

Dziedziców oraz ich potomstwo czekał raczej czas sielanki i słodkiego lenistwa jak co roku w największe upały. Jakub uparł się jednak, że właśnie teraz zmodernizuje tartaki, nad którymi przejął władzę. Postanowił zakupić dodatkowe urządzenie, maszynę do mielenia odpadów drzewnych, czyli głównie gałęzi, na wióry. Do Chojniaków zawitał zatem znajomy Adzie inżynier, Krystian Gajewski. Przyjechał ubrany jak zwykle w elegancki surdut, ale tym razem nie umazał się smarem, w czasie bowiem pierwszej wizyty tylko przywiózł dokumenty do podpisu i miał wykonać stosowne pomiary w tartaku. Jakub zaprosił go, rzecz jasna, na obiad i tak inżynier ponownie zobaczył się z Adą.

– Cieszę się niezmiernie, że znów pannę spotykam. – Ukłonił się i pocałował ją w rękę. – Może ma panna ochotę wybrać się na przejażdżkę do tartaku i mi potowarzyszyć w czasie pomiarów?

Pewnie, że miałyby ochotę, po pierwszym tygodniu wakacji zaczynała nudzić się we dworze. Czy wypadało jednak, by udawała się w las właściwie z niemal nieznanym tylko w cztery oczy? Jakub wyrósł za plecami inżyniera i położył mu wielkie łapsko na ramieniu.

– Panna Aldona z pewnością ma ciekawsze zajęcia niż mierzenie pomieszczenia pod nową maszynę – mruknął. – Dzieci...

– Dzieci świetnie się bawią bez mojej ciągłej asysty – prychnęła. Nie wiedziała dlaczego, ale to dysponowanie jej osobą w wykonaniu Jakuba nagle ją rozżłościło. Była wolnym człowiekiem i mogła robić, co chciała. –

Z chęcią pojedę z panem inżynierem, wskażę drogę przez piękną łąkę. Nicco nadłożymy, ale będzie warto.

– Nie wątpię! – wypalił Krystian z entuzjazmem.

Zmierzyła się rozżłoszczonym spojrzeniem z Jakubem, ale żadne nie powiedziało ani słowa. Niedźwiedź jednak groźnie zmarszczył brwi, wiedziała, że potrafi się wściec, choć w Chojniakach jeszcze ani razu nie wybuchł gniewem. Miała ochotę pokazać mu język, zamiast tego ujęła inżyniera pod nadstawione ramię i pozwoliła zaprowadzić się do jego powozu.

Przejechali, tak jak obiecała, przez Arkadię. Ku jej rozczarowaniu Krystian jednak nie sprawiał wrażenia zachwyconego urokami przyrody i malowniczymi widokami. Kiwał tylko głową, ale gadał ciągle o mieście. Ewidentnie był zakochany w rosnących wciąż coraz wyżej i wyżej kamienicach, pnących się w niebo kominach fabryk, huku maszyn, zapachu

dymu i gorącej stali. Wolałby jechać tramwajem przez przemysłową dzielnicę, do wtóru dzwonek, zgrzytów i okrzyków woźniców. Jazda przez rozświetlony słońcem las, przy szczebiocie ptaków i bzyczeniu owadów, zupełnie na niego nie działała. Już tęsknił za swoimi fabrykami i maszynami.

Starał się jednak zabawić ją rozmową, gadał o urokach rozbudowującej się Łodzi i powtarzał, że chętnie zabrałby Adę do teatru, restauracji, pokazał swoją pracownię w zakładach żelaznych. Czym więcej o tym opowiadał, tym bardziej ją zniechęcał i to zarówno do siebie, jak i do miast. Nie tęskniła za teatrami, bo jako uczennica była w nich może trzy razy w życiu. Nie tęskniła też za restauracjami, bo nigdy w nich nie bywała, nie mieli z papą na to pieniędzy. Z kolei pracownie rzemieślnicze przypomniały jej o warsztacie ojca w zimnej zagrzybionej suterenie kamienicy. Było tam wiecznie ciemno i ponuro, nie przepadała za tym miejscem i wolała bawić się na podwórku z dziećmi z sąsiedztwa.

Po powrocie do dworu wcale nie czuła się uradowana przejażdżką i towarzystwem adorującego ją młodzieńca. Coś ją jednak dręczyło, gadanina o wielkomiejskim życiu poruszyła pewną strunę w jej sercu. Zajrzała do salonu, gdzie Eufemia przekomarzała się z mężem. Spierali się o to, komu należy sprzedać drewno leżakujące od ubiegłego sezonu. Jakub chciał puścić je jak najszybciej w Łowiczu, a dziedziczka wyszukiwała klientów w Łodzi, gdzie budowały się kolejne fabryki i drewno było cennym oraz pożądanym budulcem.

– Moja szczebiocząca, rozskakana pliszko, zadziobiesz mnie zaraz – burczał niedźwiedź, gdy Eufemia bombardowała go argumentami. – Nie zapominaj, że to ja jestem mężczyzną i panem tego domu. Wiem, co robię, zaufaj mi, sprzedajmy to drewno teraz. Liczy się szybki zysk i obracanie pieniędzmi, które nie powinny tkwić zamrożone w towarze. Za zysk kupimy nowe maszyny, będziemy ciąć drewno szybciej i więcej.

– Mój ty mrużący, pazerny na miodek misiu – odparła dziedziczka. – To prawda, że jesteś moim mężulkiem, ale ja nie jestem byle trzpiotką, też wiem, co robię. Przystudiowałam tyle książek o zarządzaniu lasami i drewnem, że powinnam dostać tytuł nadleśniczego. Vogel radzi sprzedawać partiami w Łodzi i ma rację. Koszty transportu są nieistotne, bo przebiecie będzie ogromne. Może nawet sam Izrael Poznański kupi od nas

ten towar na przebudowę swego pałacu? Widziałeś rezydencję tego przemysłowca? Łódzki Luwr, tak ją nazywają...

– Dobra, dobra, co mnie tam jakieś Luwry obchodzą. – Jakub objął ją w pól, przyciągnął do siebie i pocałował.

Kątem oka spostrzegł przesuającą się cicho, by im nie przeszkadzać, Adę. Odstawił żonę i skinął na guwernantkę, przywołując ją do siebie niczym służkę.

– Nasza panna czuje się nad wyraz pewnie. Zapominalska coś ta nasza wrona, wyleciało jej z głowy, że jest tu pracownicą zatrudnioną za pieniądze i ma wykonywać polecenia państwa – powiedział powoli. Uśmiechał się, ale Ada czuła w jego głosie złowrogą nutę. – Nie życzę sobie, byś romansowała z każdym mężczyzną, który przestępuje próg tego domu. To może mieć zły wpływ na dzieci.

– Ja romansuję? – Ada aż położyła dłoń na piersi. – Tylko wybrałam się na przejażdżkę...

– Zamiast wykonać moje polecenie i zająć się dziećmi. – Jakub przestał się uśmiechać. – Nie jesteś członkiem rodziny, a nawet jakbyś była, wymagałbym posłuszeństwa.

– Kubuś, co cię ugryzło? – parsknęła Eufemia. – Donia jest jak członek rodziny i nic złego nie zrobiła. Dziewczynie należy się coś z życia, od trzech lat nie brała wolnego, zawsze jest na moje zawołanie.

– Ach właśnie, pani Kęszy... Ech, pani Klimek, mam prośbę o wolne. Dzieci i tak mają czas kanikuły, nie jestem już latem tak bardzo potrzebna jak wcześniej. Chciałabym pojechać do Warszawy załatwić kilka spraw.

– No pewnie, czemu nie? – Eufemia wzruszyła ramionami. – Liczę tylko, że rychło wrócisz. Tęskniłabym do ciebie, Donio. Zresztą nie tylko ja, dzieci także.

Jakub nic nie powiedział, ale mierzył guwernantkę przenikliwym spojrzeniem. Ukłoniła się dziedzicznie i wyszła z salonu. W pokoju spostrzegła, że ręce się jej trzęsą. Atak Jakuba był tak niespodziewany, że autentycznie się wystraszyła. Co też go ugryzło? Zachowywał się jak wtedy, kiedy wybiegł na nich z lasu z dwururką w garści. I pomyśleć, że jakiś czas temu wyznał jej miłość, a ona mu uwierzyła. Czy to może było na odwrót, to ona mu wyznała? Zaczynało się jej już mieszać. Naprawdę pora wziąć wolne.

* * *

W południe 15 lipca 1883 roku, po trzech latach i trzech miesiącach nieobecności, Aldona Burzyk wróciła do Warszawy. Wsiadła na Dworcu Wiedeńskim z tą samą torbą na ramieniu, z którą opuszczała miasto, i pomaszerowała rażno w kierunku Alej Jerozolimskich. Zamierzała wsiąść do tramwaju konnego i pojechać do domu swojej przyjaciółki z czasów szkoły, Jadzi Szczawińskiej. Ta jednak czekała na nią przy wyjściu z dworca, trwały bowiem wakacje i jako nauczycielka nie prowadziła zajęć, za to dysponowała sporą ilością wolnego czasu. Jadzia była jedną z pięciu dziewcząt, które razem z Adą zdały pamiętnego dnia egzamin nauczycielski. Od tamtej pory pracowała w II Gimnazjum Żeńskim jako pedagog i Ada była przekonana, że o tej godzinie powinna być jeszcze w pracy, bo dyrekcja z pewnością coś wymyśliła dla podwładnych nawet w czasie przerwy wakacyjnej.

– Wywalili mnie! – oznajmiła Jadzia z uśmiechem.

Dziewczyna była trochę młodsza od Ady, do tego śliczna jak z obrazka. Nosila elegancką kieckę z falbankami i niewielką turniurą, czyli lekko wypchanym kuperkiem, czego kiedyś, jako pensjonarkom, nie było im wolno oczywiście zakładać. Na głowie miała śmieszny kapelusik w kształcie męskiego melonika, tyle że udekorowany kwiatkiem.

– Przyłapali mnie, że uczę młodzież nieprawomyślnych idei. Wiesz, szacowne grono nauczycielskie uznało mnie za socjalistkę, emancypantkę i tak dalej, bo gadałam o potrzebie zrównania praw kobiet, powszechnym i bezpłatnym kształceniu, prawach ludzi do godnego życia i wszystkim innym, co konieczne jest, by zmienić świat na lepsze. Wywalili mnie zatem na pysk. Ale nic to! Pracuję po domach prywatnych, trochę tak jak ty.

Machnęła niedbale ręką. Pomaszerowały piechotą, klucząc ulicami, bo Jadzia chciała pokazać przyjaciółce, co nowego pojawiło się na mieście. Przede wszystkim wyrosły nowe fabryki, w niebo wspinały się kolejne kominy, które kopciły niemiłosiernie całe dnie i noce. Zakłady otaczały wysokie mury, które optycznie ścieśniały ulice i rzucały długie cienie. Poza tym zrobiło się jakby ludniej, ponoć aglomeracja powiększała się w błyskawicznym tempie. Zasilała ją uboga ludność wiejska, która uciekała z nędzy na wsi, by popaść w jeszcze gorszą i harować jako tania siła robocza w fabrykach. Poza tym miasto nadal było pełne drzew i zieleni,

Ada zaczęła się uśmiechać, widząc znajome miejsca, które pozostały takie same jak za czasów jej dzieciństwa.

Dotarły na obiad do mieszkania Jadzi, która nadal żyła u rodziców, choć od dawna planowała się usamodzielnic. Nikt w przyzwoitych okolicach nie kwapił się jednak, by wynająć pokoił samotnej dziewczynie, bo obawiano się, że jest ładacznicą i zacznie przyjmować klientów. Zaś w tych rejonach, gdzie wynajmowano takie mieszkania, Jadzia wolała nie mieszkać. Siedziała zatem u rodziców, którzy mieli na szczęście duże mieszkanie zajmujące niemal całe pierwsze piętrow w kamienicy. Mieszkała tam jeszcze trójka młodszego rodzeństwa, pokojówka i gosposia, która pełniła także funkcję kucharki. Ojciec Jadzi był bowiem przedstawicielem osiadłej w mieście szlachty i dysponował pewnym majątkiem. Pracował jako urzędnik kolejowy, a wszelka praca w transporcie szynowym była niezwykle intratna. Kolejowy oficjalista cieszył się zatem poważaniem i przede wszystkim niezłymi dochodami. To głównie dlatego mógł pozwolić sobie na to, by wykształcić całą czwórkę dzieci i żyć na przyzwoitym poziomie.

Pan Szczawiński przyszedł na przerwę obiadową do domu, zasiadł z całą rodziną i niezwykle uprzejmie wypytywał Adę o to, jak się jej żyje. Wiedział doskonale, że jest ubogą sierotą i chyba naprawdę współczuł jej ciężkiego położenia. Oznajmił, że może u nich mieszkać, jak długo zechce, bo pokój gościnny i tak stoi pusty i nieużywany.

– Tylko kilka dni, aż załatwię sprawy w kuratorium – oznajmiła lekkim tonem, jakby to był drobiazg.

Tego wieczoru poszła jednak z całym rodzeństwem Szczawińskich na przedstawienie w teatrzyku ogródkowym, które zamieniło się w tańce i dziką zabawę do rana przy skocznej muzyce wygrywanej przez orkiestrę. Następnego dnia obie dziewczyny czuły się przez to mocno niedysponowane, bolały je głowy i poobcierane stopy. Leżały w poprzek łóżka, w pokoju Jadzi, i rozmawiały o życiu oraz przyszłości, z nogami opartymi wysoko o ścianę.

– Zakochałam się przynajmniej dwa, a może nawet trzy razy, jak już ci opowiadałam – mamrotała leniwie Ada. – Nie nadaję się jednak do tego, chcę na poważnie zająć się edukacją, swoją i cudzych dzieci.

Przewalały się po łóżku, ubrane jedynie w halki, choć zbliżało się już południe. Rozczochrana Jadzia wstała wreszcie, przeciągnęła się

i otworzyła na oścież okno, po czym wyjęła papierośnicę. Zapaliły obie po aromatyzowanym papierosku, ale Adzie niemal od razu zrobiło się niedobrze i przewiesiła się przez parapet, by złapać trochę powietrza.

– Chodzę na tajne komplety – oznajmiła jej przyjaciółka. – Nie mogłam o tym pisać w listach, bo wiesz, cenzura wszystko otwiera i czyta. Lotne wykłady odbywają się to tu, to tam, w największej tajemnicy, rzecz jasna. Zajęcia prowadzą profesorowie wyrzuceni z Uniwersytetu Warszawskiego, publicyści, najważniejsi ludzie nauki. Zostań w Warszawie, znajdziemy ci robotę, taką jak ja mam, u kogoś w domu. A wieczorami będziemy chodziły na komplety, poznasz wybitne osobistości ze świata nauki i kultury, będziemy czerpały ze studni wiedzy, ile wlezie, na złość caratowi i wszystkim mizoginom.

– Chciałam wyjechać na studia za granicę...

– Czemu nie, ale tak bez przygotowania? Jak chcesz zdać egzaminy wstępne? Trzeba doszkolić się na miejscu, to konieczność – odparła Jadzia.

– Przyłącz się do mnie. Pomogłabyś mi, zamierzam zorganizować te chaotycznie odbywające się lekcje, założyć tajną bibliotekę, zbierać składki na pomoce naukowe i profesorów, usystematyzować komplety, zamienić je w tajną uczelnię z prawdziwego zdarzenia. Mam już nawet nazwę, trzymaj się – Latający Uniwersytet!

Ada uśmiechnęła się blado. Było jej niedobrze i nie mogła się skupić na tych mrzonkach i planach. Latający Uniwersytet? Właściwie to czemu nie?

– Chętnie – powiedziała ochryple. – Ale nie teraz. Mam zobowiązania na wsi, otwieram szkołę.

Jadzia prychnęła, ale nie nalegała. Były właściwie do siebie podobne, obie uparte i pracowite, w potrzebie oddania się sprawie bez reszty. Panna Szczawińska zrozumiała, że nie przekona jej i Ada wróci dopiero, kiedy uzna to za stosowne. Machnęła zatem ręką i oznajmiła, że dziś pójdą na jeden z wykładów, to sobie sama zobaczy.

Udały się tam wieczorem, niby na spacer do parku, z parasolkami na wypadek deszczu, a tak naprawdę, by bronić się nimi przed andrusami, gdy będą wracały po zmroku. Przeszły tak aż na Nowe Miasto i weszły przez odrapaną, śmierdzącą moczem bramę w mroczne czeluści ponurej kamienicy, która najlepsze lata miała dawno za sobą. Jadzia zastukała parasolką w drzwi opatrzone tabliczką informującą, że znajduje się tu

zakład introligatorski. Otworzył im karzeł z krzywo zrośniętym po złamaniu nosem i miną ponuraka.

– Serwus wam, szanowna zgrajo, jakże się też państwo mają? – spytała Jadzia konspiracyjnym szeptem.

– Serwus, serwus, cna dziewczeczko, wypijemy czasem deczko – odparł karzeł i wpuścił je do środka, po czym z marsową miną poprowadził przez pogrążony w półmroku warsztat.

– To było tajne hasło i odzew – szeptem wyjaśniła Adzie przyjaciółka.

Ada pokiwała głową ze śmiertelną powagą. Od razu widać było, że tęgie umysły opracowały te tajemne sposoby nauki i konspiracji. Ku jej zaskoczeniu nagle znalazły się w przestronnym salonie oświetlonym kilkoma lampionami. Siedziało tu już parę młodych kobiet z kajecikami w rękach. Ada rozpoznała wśród nich dwie koleżanki z pensji, ale zanim zdążyła je powitać, przedstawił się jej dzisiejszy wykładowca. Był to znany w Warszawie pisarz i publicysta, a do tego wybitny filolog, Piotr Chmielowski. Ada była oszołomiona.

– Czytałam pańskie artykuły, zarówno w „Przeglądzie Pedagogicznym”, jak i w „Niwie”. Znam pana jeszcze z „Przeglądu Tygodniowego” i „Biblioteki Warszawskiej”. Jestem zaszczycona!

O ja cię, pierun! – pomyślała w wiejskiej gwarze. Jak opowiem Eufemii, kogo poznałam, to jej oczy wyjdą z orbit.

– Zapewniam pannę, że na żadne zaszczycenia nie zasłużyłem, jestem zwykłym nauczycielem polskiego z gimnazjum – odparł i szybko cmoknął ją w rękę.

Wygłosił w jej mniemaniu arcyciekawym wykład o metodach pedagogicznych, którego w najwyższym skupieniu wysłuchało tuzin osób, bo prócz młodych guwernantek przyszło też kilku panów. Wszyscy przechodzili koedukacyjną szkołę pierwszy raz w życiu i atmosfera była przez to gęsta i iskrząca od wymienianych spojrzeń. Panny udawały, że nie dostrzegają łypnięć studentów, a ci, że się nimi zupełnie nie interesują. Potem odbyła się jeszcze dyskusja, w której głos zabrała oczywiście Jadzia. Ada była zbyt speszona i tylko słuchała, ale musiała przyznać, że wielce jej się podobają te komplety.

Następnego dnia miała jednak umówioną wizytę w kuratorium. Musiała zejść na ziemię i skupić się na tym, po co przyjechała do miasta. Ubrała się w swoją pogrzebowo-żałobną kieckę, przyczesła włosy na gładko i znów

zamieniła w ponurą wronę, ze wszech miar poukładaną i godną szacunku. W urzędzie znajdującym się w Pałacu Saskim przesiedziała na korytarzu chyba dwa kwadranse, aż w końcu łaskawie przyjął ją jakiś naczelnik wydziału, asesor kolegialny tkwiący za ogromnym biurkiem zawalonym papierami. Zza jego pleców patrzył na Adę srogim spojrzeniem brodaty łysol, cesarz Aleksander III. Monarcha z wyglądu przypominał goryla lub ruskiego chłopca, srogi wielkolud, powszechnie wiadomo było, że ponadto z natury jest okrutnikiem i pijakiem, do tego antypolonusem i antysemitą. Ada czuła jego niechęć, choć był tylko obrazem.

– Pani podanie zostaje rozpatrzone odmownie – oznajmił asesor, nawet na nią nie patrząc. Zerkał zza swoich pince-nez tylko na dokumenty. – Szkoła musi spełniać wymogi, między innymi takie, że powinna zatrudniać minimum trzech dyplomowanych nauczycieli, dyrektora mianowanego przez kuratorium i znajdować się na tyle blisko terenów miejskich, by umożliwić wygodne kontrole lotne – dodał jeszcze. – Wiejskie szkółki to przeżytek, poza tym wylęgarnia nieprawomyślnych, często rewolucyjnych idei. Obecnie, zgodnie z carskimi ukazami, dążymy do centralizacji szkolnictwa i zwiększenia kontroli nad tym, co dzieje się w klasach. Szkoła powinna uczyć stosownych wartości, by kształcić obywateli posłusznych i wiernych.

– Ale ja przecież jestem dyplomowaną...

Kurator westchnął boleśnie, jakby sprawiała mu koszmarne męczarnie. Cmoknął, zaszeleścił papierami, siorbnął zimnej herbaty ze szklanki i w końcu spojrzał na Adę ponad szklami pince-nez.

– Radzę nawet nie próbować uczenia wiejskich dzieci czytania i pisania ani czegokolwiek innego – powiedział. – Nielegalne nauczanie jest ścigane z urzędu i bardzo surowo karane. Nie chce chyba panna wylądować na kilka lat w kolonii karnej głęboko w Rosji?

– Nie chcę – mruknęła z wysiłkiem.

Podziękował jej za przyjście i skinieniem wskazał drzwi. Wyszła zatem, po czym mamrocząc pod nosem klątwy, zeszła po schodach. Dopiero kiedy usiadła przy fontannie w Ogrodzie Saskim i popatrzyła na bawiące się dzieci, przeszedł jej minorowy nastrój. Mało tego, coś w niej stwardniało. Nie zamierzała się tak po prostu poddać. Wstała gwałtownie z ławki i pomaszerowała energicznie, stukając obcasami o warszawski bruk.

* * *

Ksiądz Andrzej od czasów seminarium, gdzie uczono także filozofii, w tym klasycznej, zafascynowany był stoicyzmem. Ta antyczna doktryna głosiła, że szczęście można osiągnąć poprzez zachowanie wewnętrznej dyscypliny moralnej, sumienne wypełnianie obowiązków przypisanych człowiekowi przez Boga oraz wygaszenie gwałtownych emocji i zachowanie spokoju w każdych okolicznościach. Wikary przeczytał prace stoików, te, które były dostępne po łacinie w bibliotece, i po cichu uznał się za kontynuatora tej postawy etycznej. Kiedy jednak gospodyni zwana starą Maćkową zaczynała się drzeć na Bogu ducha winnych interesantów, przechodniów i na kogo popadnie, młodemu wikaremu zaczynała drgać powieka, a jego stoicka postawa sypać się w gruzy. Tego dnia siedział nad księgami rachunkowymi parafii i liczył wydatki, jakie poniesie ona do końca roku, gdy ta okropna baba znów zaczęła kogoś sztorcować.

– Nawet Chryzyp z Soloj i Seneka Młodszy wpadliby w szal, gdyby musieli żyć z tym babonem pod jednym dachem. – Westchnął i odłożył pióro.

Wyszedł przed plebanię i aż wciągnął powietrze. Gospodyni próbowała właśnie przegonić nikogo innego jak Aldonę Burzyk. Andrzejowi śniła się ostatnio ta panienka, myślał o niej często, a na jej widok poczuł, że serce zaczyna mu przyspieszać. Ada stała w wojowniczej pozycji, z rękoma opartymi o biodra, ewidentnie walczyła z wrzaskliwą kobietą i nie zamierzała się wycofać poza furtkę. Wikary jednym susem znalazł się między dziewczyną a gospodynią, ujął panienkę pod ramię i zaprowadził na plebanię, ignorując rozzłoszczoną babę.

Ada była spocona, czerwona od gorąca i wysiłku, czarne buciki miała zaś kompletnie zakurzone, tak jak cały dół sukienki. Andrzej bez słowa podał jej szklanekę wody, którą wypila duszkiem. Usiadła na podsuniętym krześle i zaczęła się wachlować zdjętym kapelusikiem. Okazało się, że przyjechała pociągiem do Łowicza, ale nie powiadomiła wcześniej Kęszyckich i nikt na nią nie czekał. Zapłaciła więc jakiemuś chłopu za podwiezienie, ale ten dojechał do jednej ze wsi po drodze i zatrzymał się przy karczmie. Musiał się napić i nie zamierzał nigdzie jechać na trzeźwo. Szła więc dalej piechotą, kawałek znów ktoś ją podwiózł i tak w upał dotarła do Bolimowa. W pierwszej kolejności pomaszerowała, by porozmawiać właśnie z nim.

Poruszył się niespokojnie, te czarne oczy zawsze na niego działały, teraz ich spojrzenie paliło go do żywego.

Naprawdę pędziła tak do mnie? – zdumiał się, ale i zachwyił jednocześnie.

– Carscy urzędnicy zabronili mi prowadzenia szkółki! – wypaliła. – Zagrozili więzieniem i zesłaniem, jeśli będę próbowała uczyć wiejskie dzieci. I co teraz zrobimy? Wszystko pójdzie na marne? Tak się cieszyłam na tę szkołę, miałam takie plany, chciałam uczynić tyle dobrego...

Miał ochotę ją przytulić, ale tak daleko nie mógł się posunąć. Pozwolił sobie jednak na to, by ująć jej dłonie i spojrzeć głęboko w oczy, które zrobiły się wtedy jeszcze większe. Drgnęła w pierwszej chwili, a rumieniec na policzkach zrobił się intensywniejszy, ale nie zabrała rąk.

– Nie możemy się lękać, przecież już zaczęliśmy i łamaliśmy prawo przez dwa miesiące. Jestem gotów cię wesprzeć i podjąć to ryzyko. Niech nauka religii będzie przykrywką, w razie czego Kęszyccy udzielają lokalu jedynie Kościołowi, a ja prowadzę tam działalność ewangelizacyjną. To jeszcze wolno.

– I dalej byśmy uczyli dzieci tego co dotychczas? – upewniła się.

– Tak, ja religii i historii, ty pisania, czytania i arytmetyki. Możemy dalej uczyć, choć oczywiście będzie to wymagało od nas wielu wyrzeczeń. Musimy przygotować się na niedogodności i pracę w konspiracji, poza tym będą nami targały wątpliwości. Czy to ma jakikolwiek sens, czy nasz wysiłek coś zmieni? Czy warto ryzykować? Lepiej od razu odpowiedzieć sobie na pytania. Jak myślisz: czy warto?

– Warto – odparła bez wahania. – Każda godzina nauki to mały kamyczek, który położymy na rosnącej górze. Kiedyś będzie ich tak wiele, że spowodują lawinę, która zmiecie stary świat. Wierzę, że nasz wysiłek jest bardzo ważny.

Patrzyli na siebie i się uśmiechali, trzymając za ręce. Dopiero kiedy usłyszeli mamrotanie zbliżającej się gospodyni, odsunęli się gwałtownie. Andrzej sprawiał wrażenie jeszcze bardziej speszonego od Ady. Ta przez kolejne dni nie wiedziała, co ma myśleć o jego zachowaniu i łączącej ich znajomości, która przeszła płynnie w zażyłość. Doszła do wniosku, że powinna traktować go jak przyjaciela, nic więcej i nic mniej.

* * *

Jesienią zaczęli nauczanie zgodnie z podjętym wobec siebie i Boga zobowiązaniem. Andrzej robił to poza wiedzą proboszcza, wmawiał staruszkowi, że chodzi ewangelizować biedotę i uczy dzieci wyłącznie paciorków, po prostu głosi Słowo Boże. Aldona z kolei skłamała Eufemii, że ma pozwolenie z urzędu na prowadzenie małej szkółki i wszystko odbywa się zupełnie legalnie. Paliło ją przez to sumienie, okłamała właściwie nie tylko swoją pracodawczynię, ale przede wszystkim przyjaciółkę. Na szczęście ta nie miała czasu ani ochoty bliżej się przyjrzeć działalności guwernantki. Dziedziczka zajęta była sporami z mężem, oboje bowiem próbowali wyrwać sobie stery w rządach nad rodzinnymi interesami. Eufemia wdrożyła się w kierowanie tartakami na tyle, że nie chciała teraz się wycofać. Obliczanie, planowanie, handel drewnem, umowy z klientami, wyjazdy w teren, a nawet do siedzib przemysłowców kupujących od niej towar niezwykle przypadły jej do gustu. Wreszcie po latach wyzwoliła się z marazmu i zanudzania na śmierć, złapała wiatr w żagle. Znow zaczęła żyć.

Niestety do Jakuba jakoś to nie docierało, jej rzutkość i samodzielność zaczęły go uwierać. Wolał kierować wszystkim sam, kobiecego wyczucia w interesach nie traktował poważnie. Dopóki brał jej zaangażowanie za zabawę znudzonej kobiety, wszystko było dobrze, ale powoli docierało do niego, że Eufemia uważa się za szefową całego interesu i nie zamierza ustępować ze stanowiska. Była przekonana, że mąż może zajmować się tym, czym zajmował się dotychczas, hodowlą bydła i stadniną, nic mu do jej tartaków. Zaczęło narastać między nimi napięcie. Nie chodziło o pieniądze, ale o ambicje i poczucie własnej wartości. Stały się bowiem dwa silne charaktery. Żaden nie zamierzał się wycofać czy ustąpić choćby na krok.

Dotychczas spierali się uroczo, przerzucając słodkimi epitetami, w których Jakub nazywał żonę rozskakaną pliszką, turkaweczką, szczebioczącym wróbelkiem, jemiółuszką i kokoszką na złotych jajkach. Ona zaś jego misiem z brzuszkiem pełnym miodku, kudłatym dziczkiem, mrużącym łosiaczkiem i zaspanym borsuczkiem. Spory początkowo kończyły się całusami i przytuleniami. W końcu jednak doszło do poważniejszej różnicy zdań i słodkości nagle się skończyły. Ada obserwowała to z rosnącym niepokojem. Widziała, jak Jakub zaciska wielkie łapy w pięści i marszczy brwi. Wyczerpywały się pokłady jego

cierpliwości i bezgranicznej ślepej miłości, to się musiało prędzej czy później skończyć awanturą.

– Eufemio, dziecko, może lepiej zostaw w spokoju te tartaki i wróć do lektur – zaproponował zatroskany dziadek Dominik, który również widział, co się dzieje.

– Ani mi się śni. – Eufemia ucięła wszelkie próby odesłania jej do babinca.

Ada nie miała czasu ani ochoty ingerować w narastający konflikt małżonków. Zdawała sobie sprawę z tego, że źle się dzieje, ale co innego zaprzętało jej teraz głowę. Co drugi dzień razem z młodymi Kęszyckimi prowadziła lekcje w Arkadii i przynajmniej wówczas nie widziała tego, co się dzieje we dworze. Tymczasem przybyło dzieci chętnych do nauki, było ich już trzydzieścioro. O dziwo, bez problemu panowała nad całą tą, czasem rozwrzeszczaną, czeredą. Okazało się, że potrafi wytworzyć wokół siebie aurę siły i zdecydowania, która ujarzmiła nawet najbardziej niesforne chłopaczyska.

Ksiądz Andrzej przyjeżdżał konno koło południa, a wówczas Adzie robiło się ciepło na sercu. Rozmawiali przed lekcjami, a potem jeszcze, kiedy skończył swoją działkę. Czasem zostawali dłużej, by posprzątać. Wikary nie miał nic przeciw temu, by zakasać rękawy i szorować miski, z których dzieciaki jadły obiad, lub złapać za miotłę i zamieść podłogę. To robiło na Adzie wrażenie, szczególnie że zamiatając lub szorując, potrafił z nią toczyć rozmowę o tym, co wyczytał w ostatnim numerze „Rodziny i Szkoły” lub „Bibliotece Literatury”. Okazało się, że ksiądz czuje zarówno powołanie pedagogiczne, jak i literackie. W końcu zdradził jej, że od czasów seminarium próbuje pisać poezję, ale nikomu jej nie pokazuje.

Wyznała mu, że ona również, choć jak dotychczas to właściwie napisała tylko jeden wiersz. Umówili się, że każde przeczyta drugiemu swój utwór, a potem wysłucha konstruktywnej krytyki. Jakoś jednak nie zbierało się im na wieczorek poetycki, bo w szkole mieli i tak masę roboty. Kiedy nadciągnął październik i zrobiło się chłodno, Andrzej po lekcjach zdejmował sutannę, łapał za siekierę i rąbał drwa na opał, by następnym razem Ada mogła prowadzić lekcje w ciepłym pomieszczeniu. Nawet wówczas lubiła mu towarzyszyć, zbierała do koszyka porąbane szczapy

i wносиła je do domku lub układała w drewnitni. Gadali coraz swobodniej, dawno też przeszli na mówienie sobie po imieniu.

– Zaczynasz się robić barczysty od tego machania siekierą. Czy to uchodzi, by duchowny wyglądał jak kowal? – spytała, gdy któregoś dnia rozebrał się do samej koszuli. – Co powie stara Maćkowa?

– Nie interesuje mnie opinia tej damy, ale myślę, że Chrystus nie miałby nic przeciw temu, by jego kapłan miał spracowane ręce. Jezus przecież sam pracował jako cieśla. Do tego dbanie o ciało i sprawność fizyczną to też forma oddawania czci Stwórcy, okazanie troski o jego dar.

– Zdziwiasz mnie tą umiejętnością zonglowania słowami. Wyczuwam tu pewne zdolności do manipulowania, jesteś dobrym mówcą i byłbyś niezgorszym adwokatem.

– Kto wie, czy kiedyś mi się to nie przyda? – Rozłożył ręce.

Pogaduszki upływały im raczej na przekomarzaniu się, zadziornym, ale zawsze jednak z uśmiechem i życzliwością. Ada czuła się dobrze w towarzystwie wikarego, choć czasem mroziło ją, kiedy uświadamiała sobie, że to mimo wszystko duchowny i nie powinna aż tak bardzo się do niego zbliżać. Zdarzało się jednak, że ocierali się o siebie, podając coś, dotykali swoich dłoni i Ada spostrzegła, że te muśnięcia sprawiają jej przyjemność. Drażnią, wywołują niebezpieczne żądze, ale najgorsze, że nie miała nic przeciw nim.

Dotrwali tak aż do grudnia, kiedy to z dziećmi urządzili Jasełka. W roli Najświętszej Paniienki miała wystąpić Ania Kęszycka, w roli Józefa najstarszy z wiejskich chłopców. Wszystkie dzieci brały udział w przygotowaniach i zostały obsadzone w jakichś rolach. Ada zatem wpadła na pomysł, by wystawić przedstawienie we dworze i sprosić na niego rodziców uczniów, czyli drwali i chłopów z okolicy. Byłoby to piękne zjednanie się dworu z włościanami, idealne w porze bożonarodzeniowej. Pierwszy jednak zaczął sarkać dziadek Dominik, który nie chciał wpuszczać chamskiej hołoty za próg dworu. Eufemia była nawet chętna, ale sprawę ostatecznie uciął Jakub.

– Z jednania się stanów nic dobrego nigdy nie wyszło – oznajmił. –

W powstanie też próbowaliśmy wciągnąć wieś do boju, ale wiele z niej pożytku nie było. Od tamtej pory władze niechętnie patrzą na takie rzeczy, bo podejrzewają, że Polacy znów szykują jakąś rewolucję. Nie chcę

wpuszczać polityki do domu i zwracać na nas uwagi Ochrony. Niech dzieci odegrają Jasełka w kościele, koniec i kropka.

Ada czuła na sobie ciężkie spojrzenie niedźwiedzia. Z jakiegoś powodu okazywał jej często niechęć i torpedował wszelkie jej pomysły oraz inicjatywy. Nie wiedziała, dlaczego jego słabość wobec niej zmieniła się niemal w nienawiść. Co go ugryzło?

Skończyło się tym, że Jasełka odbyły się w Arkadii. Zeszły się na nie wszystkie chłopskie rodziny z okolicy, nie tylko te, które posłały dzieci do szkoły. Domek myśliwski pękał przez to w szwach. Dzieci dziedziców wystąpiły w przedstawieniu, ale samo jaśnie państwo się nie pojawiło. Eufemia przesłała tylko kosz słodczy do rozdania wśród dzieci. Rolę gospodarzy odegrała zatem Ada z księdzem Andrzejem. Oni też odebrali od włościan gratulacje i podziękowania za wszystko, co robią dla pociech. Ada czuła się tak dumna i wzruszona, aż łzy jej stanęły w oczach. Kiedy jej rąk dotykały twarde jak kamień łapy drwali, gdy patrzyła w ich wzruszone twarze i słuchała niezgrabnych podziękowań oraz życzeń świątecznych, wiedziała, że robią z wikarym coś dobrego dla całej społeczności. Wówczas nie żałowała, że wróciła na wieś, miała tu misję do wypełnienia i nie zamierzała z niej rezygnować.

* * *

Nadszedł karnawał roku 1884, z hukiem zawitał także do Chojniaków. Eufemia wpadła na pomysł, że urządzi we dworze bal dla przyjaciół i współpracowników. Jakub kręcił nosem, nie przepadał za przyjęciami, ale dziedziczka się uparła. Znow przyjechały jej przyjaciółki z Łodzi ze swoimi dziećmi i małżonkami, do tego zaprosiła kilku kontrahentów, przemysłowców zarabiających na drewnie. Dwór zapełnił się ludźmi i wszyscy mieli ręce pełne roboty, łącznie z Adą, która po raz kolejny musiała mieć baczenie na wszystkie dzieci. Niezbyt się jej udzielił klimat zabawy, ale starała się zachować dobry humor i udawać choć przed dziatwą, że jest zachwycona. W głębi serca jednak zaczęło ją irytować to jaśnie pańskie rozpasanie, blichtr i przepych.

Eufemia nie żałowała rubli na sprowadzenie frykasów i skrzyń francuskiego wina, szampana i koniaku, na wynajęcie orkiestry, kucharzy ani odświętną iluminację całego dworu. Nawet jej powieka nie drgnęła, gdy za to płaciła, bo uważała, że doskonale wpłynie to na wizerunek jej rodziny,

a także biznesu, który prowadzi. Ada zaś, trochę wbrew sobie, zaczęła przeliczać to na posiłki dla ubogich dzieci. Ilu uczniów udałoby się nakarmić i ubrać w coś ciepłego? Ile kupiłaby przyborów, papieru, stalówek, atramentu i tak dalej? Wiedziała jednak, że dobroczynność jest trochę bardziej skomplikowana i nie polega na rozdawaniu pieniędzy ubogim. Ale sfinansowanie im wykształcenia to już co innego. To była realna, rzeczowa pomoc.

Tymczasem impreza zaczęła się na całego. Pierwszy niespodziewanie upił się dziadek Dominik. Nikt nie upilnował staruszka i ten wychylił kilka koniacków za dużo. Złapał starą szablę wiszącą nad kominkiem i uparł się, że będzie pokazywał dzieciom, jak walczył w powstaniu listopadowym z Moskalami. Ku przerażeniu Ady wykonał kilka młynków, ściał przy tym świecznik stojący na stole i rozpołowił zasłonę w oknie. Poldek z Lolkiem zaszli go od tyłu i udało się staruszka rozbroić, zanim pokroił dzieci i siebie.

– A tam, stary szajbus. – Machnął ręką dziadek Henryk. – Nie bił się w powstaniu, bo kiedy wybuchło, miał piętnaście lat. Stary Kęszycki by go nie puścił. Dręczyły go demony z czasów wojen napoleońskich i trzymał syna z dala od wojska, broni i tego tam...

Nie był to jednak koniec atrakcji, bo kiedy zrobiło się grubo po północy, okazało się, że stroniący od gości, niezbyt towarzyski Jakub jest pijany w pestkę. Stanął za Eufemią, która tańczyła walca z Andrzejem Voglem i kiwał się jak wielki, cyrkowy niedźwiedź. W końcu złapał przemysłowca za kark, podniósł nad podłogę i przestawił, jakby ten był meblem. Wymierzył palec w żonę.

– Dobrze się bawisz, kokietując tych wszystkich dusigroszy, cwaniaków i złodziei? Wydaje ci się, że jesteś ich królową, co? Kręcisz kuperkiem i wdzięczysz się, ale oni i tak cię wykorzystają i ograbiają. Gdyby nie ja, rozgrabiliby te twoje tartaki. Za kogo ty się masz? Przeczytałaś kilka książek i zdaje ci się, że pozjadałaś wszystkie rozumy? Miejsce kobiety jest w domu, przy pilnowaniu domowego ogniska, a nie przy załatwianiu interesów! – dudnił niczym młot parowy. – Dość tego, od dziś zabraniam ci zajmować się interesami. Teraz ja będę panem domu, do diabła!

Nikt nie odważył się go odciągnąć od Eufemii, która jednak nie okazała strachu, choć Jakub górował nad nią niczym dąb. Odtrąciła jego rękę,

pchnęła go palcem w brzuch i kazała natychmiast iść położyć się spać. Złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie, aż uderzyła o jego pierś jak o mur.

– Nie będziesz mi rozkazywał, w dodatku w moim domu – wycedziła mu prosto w twarz. – Puść mnie natychmiast, bo pożałujesz!

Henryk pojawił się koło syna i szturchnął go laską w czoło. Dopiero wówczas ten skupił na nim wzrok.

– Uspokój się natychmiast, Kuba – ofuknął go staruszek. – Marsz do swego pokoju, już!

Niedźwiedź oklapł i posłusznie powlekł się do sypialni. Eufemia próbowała wszystko obrócić w żart, ale zabawa już się zupełnie nie kleiła. Rodzinna kłótnia stała się jednak pożywką do plotek i kilka dni później gadano o tej awanturze w Łowiczu, Łodzi i Skierniewicach. Dziedziczka była wściekła, bo jej wizerunek silnej, ale tajemniczej kobiety mocno ucierpiał. Teraz jej kontrahenci wiedzieli, że jest osłabiona, bo w interesach musi walczyć z własnym mężem.

Nie odzywali się z Jakubem do siebie przez cały tydzień, dopiero wówczas niedźwiedź zdecydował się na błaganie jej na kolanach o przebaczenie. Ada jednak przeczuwała, że to nie jest pierwszy problem z wielkoludem, który ma jej przyjaciółka. To mógł być dopiero początek.

* * *

Atmosfera we dworze gęstniała i tężała, nie mogły jej rozluźnić nawet wiosenne roztopy. Jakub coraz częściej znikał i wracał śmierzdzący wódką, a do tego ponury niczym zły, stary niedźwiedź. Poldek doniósł, że któregoś dnia dziedzic urznął się w karczmie przed Bolimowem, po czym obił czterech węglarzy i to tak, że jednego wyrzucił przez okno razem z szybami i ościeżnicą. Skończyło się szczebiotanie i słodkie przepychanki z żoną, teraz z Eufemią raczej na siebie warczeli. Kiedy zaś doszło do ustalania obszarów pod wiosenne wycinki lasów razem z rządcą Popowiczem, wybuchła awantura, bo Jakub miał zupełnie inne pomysły niż żona. W końcu wielkolud grzmotnął pięścią w stół i to tak, że ten złamał się na pół. Jedna z drzazg rozcięła Eufemii policzek. Kobieta, blada jak ściana, z krwawiącą twarzą wyszła z salonu i na tym awantura się skończyła.

Jakub chodził skruszony i ciągle żonę przeproszał. Na jakiś czas spotulniał i zgadzał się na wszystko. Zdawało się, że niesnaski między nimi powoli odchodzą w przeszłość. Do maja atmosfera w domu się poprawiła,

znów było czym oddychać, rozbrzmiewały śmiechy dzieci, a nawet Eufemii. Ada ponownie miała warunki do pracy, bo wcześniejsze kłótnie ją rozpraszały i przeszkadzały w wypełnianiu obowiązków. Skupienie było jej obecnie potrzebne, przygotowywała bowiem Annę do egzaminów wstępnych do Liceum Żeńskiego.

– Kiedy ta dziewczynka tak wyrosła i jakim cudem tak prędko zamieniła się w młodą kobietę? – Guwernantka szepnęła do kucharki Ali.

– Cztery lata temu, kiedyście tu panienko przyjechały, nasza Ania była jeszcze bobasem, to prawda. Ale na dniach skończy czternaście lat! Ja w jej wieku miałam już męża i zajmowałam się ciężką robotą na roli – odparła Ala.

– Dzieci tak szybko rosną i dorastają. Niebywałe... – dziwiła się Aldona.

Obie z Anią ustaliły, że porządnie przyłożą się do egzaminów. Byłoby niesłychaną hańbą dla jednej i drugiej, gdyby dziewczyna zawałiła i nie została przyjęta. Przy każdej zatem okazji guwernantka przepytывała ją z deklinacji, zasad gramatyki języka rosyjskiego, zadawała jej równania do rozwiązania i zadania geometryczne. Jedna i druga czuła rosnącą presję oraz tremę. Ania nie mogła z tego wszystkiego spać po nocach i brzuch ją bolał, aż pani Lucyna zaczęła parzyć jej ziółka, melisę na uspokojenie i miętę na żołądek.

Minął maj i na dniach guwernantka z podopieczną miały pojechać do Warszawy na egzaminy. Ada spotkała się z Andrzejem na ostatnich lekcjach, w których mogła uczestniczyć. Dzieci zostały wcześniej powiadomione, że zobaczą się z nią dopiero od września, przyniosły jej zatem, w ramach podziękowań za cały rok szkolny, prezenty. Były to najczęściej bukiety polnych kwiatów, ale otrzymała też kilka króliczych i lisich futerek, słoik powideł, haftowaną chusteczkę i konika wystruganego z kawałka korzenia. Jednym słowem to, co mogły jej podarować z serca dzieci, które faktycznie nie miały niczego. Wzruszyła się do łez i dziękowała za każdy dar, całując podopiecznego w czoło. Znała doskonale wszystkich uczniów i to nie tylko z imienia, ale i z rodzinnej sytuacji.

Jasiek, którego ojcu drzewo zmiażdżyło nogę w czasie wycinki, wyznał, że to dla niego pierwszy i ostatni rok nauki, bo musi się zabrać za robotę i lada dzień pójdzie do pracy w tartaku. Chłopiec miał jedenaście lat i właśnie wkraczał w dorosłe życie, Ada mogła tylko zacisnąć zęby i życzyć mu szczęścia. Kolejne dziecko zmuszone do harówki ponad siły w wieku,

kiedy powinno się uczyć i bawić. Z kolei ośmioletnia Frania powiedziała, że też odchodzi, bo jej matka lada dzień urodzi kolejne dziecko i będzie potrzebowała pomocy w gospodarstwie. Ktoś musiał pomóc jej ogarnąć chałupę i szóstkę małych dzieci. Adzie też pozostało jedynie pogłodzić dziewczynkę po głowie i westchnąć nad jej losem. Aż traciła siły i chęci, kiedy uświadamiała sobie, że jej wysiłek w wielu wypadkach nic nie zmieni, bo dzieci i tak ułożą sobie życie identycznie jak ich rodzice.

– Może jednak niektórym się uda? – powiedział Andrzej, kiedy wyznała mu swoje rozterki. – Może nie wszystkie z tych dzieci skazane są na niewolniczy los biedoty. Każdemu z nich otworzyłaś oczy i umysł, pokazałaś, że poza tym lasem jest jeszcze coś innego. Ziarno zostało zasiane. One będą pamiętać, więc jeśli nie to pokolenie, to następne podniesie się i ruszy ten świat odkrywać i zdobywać. Musimy wierzyć, że tak się stanie, że nasz wysiłek przyniesie owoce. Może my ich nie zobaczymy, nie doświadczymy, ale z pewnością coś się zmieni.

Uśmiechnęła się do niego, a potem – pchnięta jakimś impulsem – oparła głowę o pierś księdza i przytuliła się do niego. Zesztywniał na chwilę, po czym objął ją i uściśnął mocno. Uniosła głowę i pocałowała go w usta. Tym razem się nie wahał, odpowiedział na pocałunek. Stali tak w opuszczonej już szkole, tulili się i pieścili, a za oknem zaczął kropić deszcz. Oboje nie potrzebowali słów, nie musieli sobie niczego obiecywać ani o niczym się przekonywać. Ada złapała go za dłoń i pociągnęła po schodach na górę, gdzie w gościnnej sypialni stało łóżko.

Nie dało się szybko rozebrać z sukni i gorsetu, rozpiąć wszystkich guziczków w sutannie, ale nigdzie się nie spieszyli. W milczeniu zdjęli z siebie nawzajem ubranie i spełnili to, o czym oboje od dawna marzyli i czego potrzebowali. To musiało się zdarzyć, musiało się w końcu rozładować napięcie, które rosło między nimi przez cały rok szkolny. Żadnych wyznań, słodkich kłamstw, przysięg czy wspólnych planów. Tylko miłość, choćby przez tę chwilę.

Kiedy było po wszystkim, Ada ubrała się i wybiegła. Andrzej jej nie zatrzymywał, patrzył tylko przez okno, jak dziewczyna pędzi przez ukwieconą łąkę, tyle że nad jej głową nie latały motyle, za to padał deszcz, a niebo co chwila przecinały pioruny. Grzmiało basowo i wikary pomyślał, że to chyba zły znak.

Rozdział 8

*Gdym w świat znów poszedł i w dal znów spojrzałem,
Nic nie dostrzegłem, już nic, w świecie całym.
Tylko czczość jeno i próżnię grobową,
Dawne mi dziwy znikły gdzieś sprzed wzroku.
Ziemię zaległy puszcze i cmentarze,
A zamiast ludzi, tylko jakieś twarze,
Blade i trupie, snuły się po mroku.*

Bogumił Aspis (1842–1898), *Sen odrodzenia*

Eufemia wyposażyła je szczerze na drogę i nalegała, by nie gnieździły się w jakichś odrapanych pensjonatach. Ada wynajęła zatem pokój w Hotelu Francuskim na placu Zielonym. Cieszył się on opinią pierwszorzędnego i dlatego musiały zapłacić dwa ruble za dobę, co dla guwernantki było kwotą naprawdę wysoką. W zamian cieszyć się mogły z dwóch wygodnych łóżek, pachnącej pościeli, wykwintnego wystroju i wszelkich wygód, łącznie z łazienką do wyłącznej dyspozycji, w której na dodatek znajdowały się dwa krany i z jednego leciała gorąca woda! Niesamowity luksus, prawdziwie wielkoświatowy. Ania była zachwycona i to nawet nie ciepłym strumieniem w wannie, ale miastem. Warszawa wydała się dziewczynce bardzo duża, wręcz ogromna, pełna ludzi, hałasów i zapachów, jakich nie uświadczyło się w Chojniakach.

– Chodzi ci o walające się wszędzie końskie łajno, miazmaty z rynsztoków i dym fabryczny? – Ada przewróciła oczami. – Zaprawdę niezwykła wielkowiejska perfuma. Gwarantuję ci jednak, że szybko ci spowszednieje i rychło zacznie przyprawiać o ból głowy, a nie o zachwyty.

Ania jednak była pełna entuzjazmu i pragnęła czerpać pełnymi garściami z wszystkiego, co oferuje wielkie miasto. Chciała jednocześnie do teatru, na spacer, do domu mody, na potańcówkę, przejechać się omnibusem i tramwajem, pójść nad Wisłę i na Zamek, napić się kawy w cukierni i orszady w miejskiej mleczarni. Ada uznała, że to niegłupi pomysł, bo rozrywki pozwolą dziewczynie zapomnieć o nerwach i złagodzą napięcie. Mała ostatnimi tygodniami zarywała bowiem noce, uczyła się przy świecy, snuła po domu i dosłownie rwała włosy z głowy. Była ambitna i pragnęła zdać egzamin ze wszystkich sił, nic innego się nie liczyło. Jeśli się zmęczy,

to może w końcu porządnie się wyśpi? – pomyślała Ada i zabrała ją na miasto.

Dała jej wszystko to, czego dziewczyna sobie życzyła. Poszły nad rzekę, a po drodze obejrzały Stare Miasto i Mariensztat, gdzie trafiły na targ. Ania podziwiała warszawskie przekupki w akcji i nasłuchiwała się tyłu barwnych przekleństw, że uszy zrobiły się jej czerwone. W drodze powrotnej obejrzały kamienice i kościoły na Krakowskim Przedmieściu, zjadły po ciastku z kremem w cukierni Bott i Clotin, dotarły na plac Saski i do ogrodów, gdzie w mleczarni przy Wodach Mineralnych napiły się orszady z lodem. Usiadły koło słynnych wodotrysków i podziwiała spacerujących, damy z pieskami, wytwornych dżentelmenów i podejrzane „niebieskie ptaki” podrywające panienki. Ada spławiła dwóch takich kawalerów i to bez mrugnięcia okiem. Okazało się, że jej czarne przenikliwe oczy w połączeniu ze srogim tonem nauczycielki potrafią wywierać odpowiednie wrażenie nie tylko na dzieciach ze szkółki.

– Musisz uważać na takich typów, ale nie tylko na nich – ostrzegła dziewczynę. – Jest nawet taka piosenka, słuchaj, będę śpiewała:

W Saskim Ogrodzie koło fontanny, jakiś się frajer przysiadł do panny.

Była niewinna jak wonna lilia, na imię miała panna Cecylia.

Tak z nią flirtował, aż przebrał miarę.

Skradł jej całusa, ona mu zegarek...

Ania roześmiała się szczerze i głośno. Wstały i w podskokach pognały dalej. Skończyło się tak, jak przewidziała guwernantka, dziewczynka tak się zmęczyła, że padła na łóżko i spała jak zabita całą noc. Rankiem Ada włożyła ją do wanny, a potem porządnie wyszczotkowała jej włosy. Zaczynał się pierwszy dzień egzaminów. Obie wystrojone skromnie i grzecznie w sukienki zapinane na guziczki pod samą szyję stawily się o wyznaczonej godzinie w Liceum Żeńskim. Kłębił się tu tłum ludzi, cała masa dziewczynek, w większości bladych ze strachu. Ada zarejestrowała podopieczną, a potem wskazała jej drzwi sali egzaminacyjnej i klepnęła w tyłek na szczęście.

Przez kolejne dwa dni trwały egzaminy pisemne, potem mogły dzień odpocząć w oczekiwaniu na wyniki. Emocje sięgnęły szczytu, kiedy wąsaty, wielki jak dąb woźny wywieszał listę z wynikami. Dziewczęta

pchały się, jakby od tego zależało ich życie. Ania w niczym nie ustępowała pannom z miasta, wbiła się w ich tłum, jakby robiła to setki razy.

– Jestem! Zdałam pisemne! – krzyknęła do Ady, unosząc pięść w górę.

Zdała i to z drugą notą punktową. Guwernantka czuła, że puchnie z dumy. Spojrzała na nobliwą damę stojącą obok i z uśmiechem oznajmiła:

– Moja uczennica. Ja ją przygotowywałam!

Dama zmierzyła guwernantkę lodowatym spojrzeniem i wzruszyła ramionami, a właściwie tylko jednym, taka była sztywna.

Czekała je następna przerwa na ustalanie kolejności egzaminów ustnych i karuzela zaczęła kręcić się dalej. Mijały dni, Ania była maglowana przez komisję z polskiego, rosyjskiego, matematyki, geografii i historii Rosji. Ostatecznie szef komisji, pan dyrektor, pogratulował jej zdania egzaminów z najwyższą notą. Oznajmiła to Adzie na korytarzu, po czym obie zaczęły pisać i podskakiwać jak dwie trzpiotki niespełna rozumu. Ada wyczuła jednak na sobie spojrzenia pań, które czekały na wyniki córek, i natychmiast się uspokoiła, po czym wyprostowała jak struna. Nie wiadomo skąd, pojawiła się przy niej ta sama wyniosła dama co poprzednio.

– Gertruda Plater – przedstawiła się krótko i wetknęła w dłoń Ady bilecik z adresem, a nawet numerem telefonu. – Mam jeszcze dwie córki, które potrzebowałyby pomocy w nauce. Gdyby panna szukała zajęcia pedagogicznego, proszę się zgłosić.

Aldona dygnęła jak pensjonarka i schowała bilecik. Potem złapała Anię pod rękę i obie pobiegły się zabawić, czyli kupić na dzisiejszy wieczór bilety na spektakl. Udało im się dostać je w Teatrze Nowym na *Wesele Olivetty*, operę komiczną w trzech aktach. Wystroiły się w sukienki mniej oficjalne, do tego wcześniej poszły na zakupy i Ania nabyła dla siebie kapelusik. Operetka była dość głupawa, ale pełna świateł, kolorów i głośnej muzyki, bawiły się zatem świetnie. Następnego dnia odwiedziły jeszcze liceum, by wystarać się o miejsca w bursie dla dziewczynki. Okazało się, że przysługuje jej ona jak wszystkim pannom z prowincji. Teraz, po ponad tygodniu walki, mogły wracać do Chojniaków. Jeszcze tego samego dnia wsiadły zatem w pociąg, choć Ania była skłonna zostać i kolejny tydzień, po czym pojechały do Łowicza.

* * *

Na stacji czekał na niego Poldek, stał przy powozie za dworcem, palił papierosa, przestępując z nogi na nogę, i sprawiał wrażenie wyraźnie podenerwowanego. Złapał bagaże i szybko wrzucił je do bryczki, po czym wskoczył na zydeł woźnicy i od razu zaczął się niespokojnie wiercić. Ada początkowo nie reagowała, ale szybko wyprowadziło ją to z równowagi:

– Powiesz wreszcie, co się dzieje? – wypaliła. – Gadajże, człowieku! Komuś stało się coś złego?

– Niezupełnie, jeszcze nie, chyba nie – wymamrotał, nie patrząc na guwernantkę. – W tamtym tygodniu to było, do Arkadii podkradli się żandarmi i kurator szkolny. Przeprowadził ich przez gaj któryś leśnik, tak że nikt nie ostrzegł księdza Andrzeja. Przydybali go z podręcznikiem języka polskiego w ręku, do tego dzieciaki miały pióra ze stalówkami, kajeciki i tak dalej. Jednym słowem, złapali ich z ręką w nocniku. Mieli przy sobie wszystko, co zabronione.

– O jasna cholera! – wyrwało się Adzie. – Ktoś na nas doniósł! I co było dalej?

– Żandarmi przyjechali do dworu i zabrali dziedzica na przesłuchanie. Nielegalna szkoła działała na włościach, to i dziedzic musiał się gęsto tłumaczyć. Zeznał, że nic nie wiedział, że użyczył domku parafii na naukę religii. Kiedy wrócił, był wściekły jak diabeł...

Ada zagryzła wargę. Ciarki przebiegły jej po grzbiecie. Wyobraziła sobie wściekłość Jakuba i rozczarowanie Eufemii. Wpakowała swoich dobrodziejów w niemałe kłopoty, teraz władza może się dobrać do ich interesów i uprzykrzyć życie. Z caratem lepiej było nie zadzierać.

– Co z Andrzejem? Co z księdzem? – spytała.

– Zabrali go do aresztu w Łowiczu. Siedzi w pudle...

– Zawracaj! Muszę się z nim zobaczyć i porozmawiać! – Aż wstała z siedzenia i złapała Poldka za ramię.

– I tak panny do niego nie dopuszczą – mruknął parobek. – Mam was czym prędzej przywieźć do dworu, ksiądz nigdzie nie ucieknie, jeszcze zdążycie porozmawiać.

Ania złapała ją za dłoń i zmusiła do ponownego zajęcia miejsca. Jechały dalej w atmosferze rosnącego niepokoju, nawet dziewczynce się ona udzieliła. Ada zastanawiała się, co powie Eufemii i jak właściwie spojrzeć jej w oczy. Miała wrażenie, że na samą myśl o tym spali się ze wstydu. No cóż, stało się, musiała teraz ponieść konsekwencje swoich czynów. Jej

szkółka właśnie przestała istnieć, raptem po roku działalności, Andrzej siedział w areszcie, cały świat się walił. Czy właściwie było warto? Nie wiedziała nawet, co sobie odpowiedzieć na to pytanie. Ręce zaczęły się jej trząść, a w gardle rosła dławiąca gula.

Droga wlokła się dłużej niż zwykle, ale jednocześnie Ada miała nadzieję, że nigdy do dworu nie dojadą i nie będzie musiała stanąć przed dziedziczką. Niestety w końcu, pod wieczór, bryczka wjechała na dziedziniec i obie wysiadły z powozu. Na ich powitanie wybiegł Piotrek i Jadzia, oboje rzucili się Aldonie na szyję, jakby nie widzieli jej od wieków. Albo jakby się ze mną żegnali – pomyślała ze zgrozą.

Państwo oczekiwali na nich w salonie. Eufemia siedziała w fotelu z książką w dłoni i ustami zaciśniętymi w wąską szparkę. Ta mina nie wróżyła niczego dobrego. Na domiar złego Jakub stał za nią ze szklanką jakiegoś mocnego trunku w wielkim łapsku i kiwał się niczym cyrkowy niedźwiedź. Zdaje się, że był lekko pijany, co też źle się zapowiadało.

– Jest przestępczyni, która ukrywała się pod naszym dachem, by prowadzić za naszymi plecami wywrotową działalność – mruknął i spojrzał na nią przez płyn w szklance.

– Ja tylko uczyłam ubogie dzieci, nie ma w tym niczego wywrotowego – powiedziała. – Ale zdaję sobie sprawę z tego, że naraziłam was na wielkie kłopoty, i gotowa jestem ponieść wszelkie konsekwencje. Przyznam się do winy, wyznam policji, że nie byliście niczego świadomi.

– Bo nie byliśmy – powiedziała Eufemia. – Ufałam ci, Donia. Miałam cię za kogoś bliskiego, za przyjaciółkę, która dzieli się ze mną wszystkimi tajemnicami. A ty mnie zdradziłaś, naraziłaś moje dobre imię, mój majątek. Postawiłaś swoje ambicje ponad dobro moich dzieci. To ostatnie było najgorsze, bardzo się na tobie zawiodłam.

– Tak mi przykro. – Ada spuściła głowę. – Jutro pojedę do Łowicza i wszystko wyznam...

– Jeszcze czego! – huknął Jakub. – Niczego nie wyznasz, głupia gąsko. Twoje zeznania mogą naprawdę pociągnąć nas na dno. Niech zostanie tak, jak jest, całą winę weźmie na siebie ten księżulek. Nie życzę sobie, by żandarmi dalej tu węszyli i wypytywali. Udało mi się uniknąć represji po powstaniu, nie zamierzam teraz szarpać się z całym Imperium przez jedną idiotkę, której zachciało się edukować hołotę. Pakuj się, o świcie odwiozę

cię na pociąg. Pojedziesz tam, dokąd chcesz, byle jak najdalej stąd. I nikomu nic nie powiesz, jasne?

Pokiwała głową.

– Nigdy cię tu nie było, nikogo nie uczyłaś. Znikniesz z naszego życia, koniec i kropka.

Wycofała się do przedpokoju, potem pomaszerowała prosto do swojej sypialni, padła na łóżko i się rozpłakała.

* * *

Jechali w milczeniu, Ada starała się nie płakać, nawet nie pociągać nosem. Najbardziej zabolą ją rozstanie z dziećmi i szczerą rozpacz całej trójki. Jadzia uczepliła się nóg guwernantki i nie sposób było jej oderwać. To wstrząsnęło nauczycielką bardziej niż cała reszta. Dopiero wówczas zdała sobie sprawę z tego, ile znaczyli dla niej podopieczni i jak ważna była dla nich ona sama. Przez cztery lata spędzali razem dni i wytworzyła się między nimi naprawdę silna więź. Była dla nich członkiem rodziny, kimś jak starsza siostra, kimś bliskim niczym matka. Teraz cała czwórka miała złamane serca.

Nawet nie spostrzegła, kiedy Jakub obrał inną drogę i zamiast jechać traktem prosto na Bolimów, zjechał w leśny dukt. Spojrzała na wielkoluda siedzącego przed nią na zydlu i zrobiło się jej nieswojo. Las wydał się jej dziwnie cichy, a gąszcz mroczny i dziki. Gdyby człowieka ktoś zamordował i rzucił w te chaszczki, za nic nie dałoby się go znaleźć. A co, jeśli Jakub chce ją uciszyć na zawsze? Ewidentnie jej nie lubił, do tego obawiał się carskich urzędasów bardziej, niż mogła się tego po nim spodziewać. Jak lepiej się zabezpieczyć przed tym, by nie sprawiała więcej kłopotów, niż po prostu ją udusić i cisnąć w krzaki? Ciało zajmą się owady i wrony, za kilka miesięcy byłaby tylko kupką bielejących w słońcu kości. Nikt by jej nie szukał, nikt by się nie dowiedział. Zrobiło się jej gorąco.

– Dokąd jedziemy? – spytała.

– Chciałem ci po drodze pokazać jedno miejsce, nie nadłożymy wiele drogi – mruknął, nawet się nie odwracając.

Serce jej przyspieszyło, zaczęło walić jak oszalałe. Czyżby naprawdę chciał ją zamordować? Niespodziewanie zatrzymał konia przy starym rozłożystym dębie. Dopiero wówczas powoli odwrócił się do niej.

– To nie tak, że czuję do ciebie jakąś niechęć, Ado – powiedział. – Przez chwilę myślałem, że cię miłuję, ale to było tylko zauroczenie, choć do młodej ślicznej dziewczyny. Zagłuszyłem je zatem złością, wzbudziłem w sobie gniew na ciebie. Umiem żywić się złymi uczuciami, latami ćwiczyłem to na Krzysztofie. Nie jest to jednak prawdziwa złość, zresztą teraz już nie muszę jej wzbudzać. Dziś się rozstaniemy i nigdy nie spotkamy. Pora zamknąć ten rozdział, a tylko ty znasz naszą historię. Jednak nie do końca. Uznałem, że lepiej, by ta opowieść została napisana do ostatniego rozdziału. Spójrz, to ten dąb. Pod nim znajdował się nasz powstańczy obóz i tu doszło do buntu przeciw naszemu dowódcy. Krzysiek zabił tu majora Bobrowskiego, a my usiekliśmy wszystkich jego kompanów. W tym miejscu, między korzeniami, zakopaliśmy skrzynię ze skarbem zrabowanym Moskałom. Tylko ja i Krzysztof żyliśmy na tyle długo, by wydobyć te pieniądze, gdy wszystko się skończy. Opowiadałem ci, że przyszedł później do mnie i oskarżył o kradzież tych rubli, o to, że w tajemnicy przed nim wykopałem skrzynię. On chciał rozdać te pieniądze rodzinom poległych, także tym, których ubiliśmy, łącznie z Bobrowskim. Gdyby to zrobił, może Tomasz nie żywiłby do niego takiej niechęci i nie zaplanowałby zemsty? Może Krzysiek żyłby do dziś, gdyby te pieniądze nie zniknęły? – Jakub westchnął i podrapał się po brodzie.

Ada nieświadomie wstrzymała oddech.

– Nie mylił się, to ja wykopałem skarb – powiedział w końcu. – Nie zamierzałem go oddać potrzebującym. Zamiast tego, z pomocą ojca i dzięki jego kontaktom, wszystko przeznaczyłem na łapówki. Spłaciłem Rosjan, by nas nie szukali i zostawili w spokoju. Żandarmi tropiący powstańców uznali zatem oficjalnie, że wszyscy polegliśmy. Taka była prawda. Uznałem, że dobro naszych rodzin jest ważniejsze od wdów i sierot kompanów z powstania. Zadbalem o siebie i bliskich. Ech, to nie było szlachetne, ale pragmatyczne i słuszne w moim mniemaniu. Uważam, że rodzina jest najważniejsza. To dlatego tak wielce się rozgniewałem, kiedy okazało się, co zrobiłaś. Naraziłaś nas na gniew caratu, niemal zaprzepaściłaś cały mój wysiłek.

Trzasnął lejcami i konie ruszyły w dalszą drogę. Ada zaczerpnęła powietrza. Jednak jej nie zgładził. Chciał, by pojęła, co zaszło, skąd u niego te rozterki. Udało mu się, zrozumiała. Nie mówiła nic, ale chyba nie oczekiwał, by coś mu obiecywała. Zdaje się, że wyznał jej to niczym na

spowiedzi, by zrzucić z siebie ciężar i ostatecznie opowiedzieć komuś o tym, co zrobił i dlaczego. Nie chciał przebaczenia, bo uważał, że postąpił słusznie.

* * *

Wróciła do Warszawy i zatrzymała się na kilka dni u Jadzi Szczawińskiej. Czuła się przygnębiona i porzucona, niczym pies wygnany ze dworu, ale na szczęście jej sytuacja nie była aż tak straszna, jak się jej początkowo wydawało. Kiedy ochłonęła i uporządkowała emocje, zabrała się za podliczenie oszczędności, które razem z odprawą wyniosły niemal trzy tysiące rubli. Za tę kwotę mogła kupić sobie mieszkanie na własność i to w całkiem niezłej kamienicy, wcale nie jakąś norę. Dysponowała zatem solidnym majątkiem, przez jakiś czas nie musiałaby nawet pracować. Do tego miała bilecik z ofertą pracy od pani Gertrudy Plater oraz sporo znajomości w środowisku nauczycielskim. Jadzia szybko poprawiła jej humor, oświadczając, że przecież tak zdolna guwernantka doskonale sobie poradzi, poza tym będą mogły razem prowadzić Latający Uniwersytet i same w nim studiować.

Ada zaczęła zatem rozglądać się za mieszkaniem do wynajęcia i przede wszystkim rozpoczęła poszukiwania Andrzeja. Nie mogła bowiem znieść, że jej ukochany, jak zaczęła go nazywać w myślach, siedzi w zimnej celi i to za jej grzechy. Dowiedziała się, że przeniesiono go z Łowicza do aresztu śledczego w Warszawie. Wystarczyło, że przeszła się do Zarządu Warszawskich Więzień Śledczych na ulicy Dzielnej, by dowiedzieć się, że ksiądz czeka na rozprawę na Pawiaku, czyli w więzieniu na Pawiej. Udała się tam czym prędzej i zaczęła zabiegać o możliwość widzenia z osadzonym. Udało się już po kilku dniach starań i tak ostatecznie wprowadzono ją do izby widzeń.

Zamarła po wejściu, widząc siedzącego przy stoliku Andrzeja. Nie nosił już sutanny, tylko więzienny uniform, szary kaftan i za krótkie spodnie. Na jej widok zerwał się i uśmiechnął szeroko jak zawsze, łagodnie i tak, że w piersi rozlało się jej ciepło. Wybuchła płaczem, choć nigdy nie miała tendencji do popadania w dramatyzm i zbytnią rzewność. Sama nie spodziewała się po sobie takiej reakcji.

– Zgłoszę się i przyznam, że to był mój pomysł i to głównie ja uczyłam dzieci – powiedziała, pociągając nosem.

– Po co? Dlaczego miałabyś marnować sobie karierę i życie? – spytał szczerze zdziwiony. – Opatrzność za nas zdecydowała. To, że przyszli zlikwidować szkołę akurat, kiedy ciebie nie było, nie mógł być przypadek. Tak musiało być. Widocznie Bóg zaplanował dla ciebie inny los, inne zadania. Zabraniam ci robienia głupstw, zeznam w sądzie, że to wyłącznie ja i tylko ja uczyłem dzieci pisania. Są tak zawałeni robotą, że nawet im do głowy nie przyjdzie, by sprawdzić tych uczniów i ich przesłuchać. Dostanę standardowy wyrok, odsiedzę swoje i wrócę do ciebie. Może... Jeśli będziesz mnie jeszcze chciała.

– Do mnie? Ale jak, przecież nasz związek jest... Zakazany, niemożliwy, wbrew wszystkiemu, ty przecież...

– Zdejmę sutannę, już i tak zламаłem śluby, nie widzę się dalej w Kościele. Proboszcz chciał mnie zrobić następcą w Bolimowie, ale widocznie nie jest mi pisane być duchownym. – Wzruszył ramionami. – Można służyć Bogu w różny sposób, odejście z Kościoła to nie koniec świata, nie powód do rozpacz.

– Wynajmę dla ciebie adwokata, mam pieniądze.

– Nie ma takiej potrzeby, nadal jeszcze jestem duchownym, będzie reprezentował mnie jezuita z uprawnieniami adwokackimi. Nie musisz się tym martwić, najlepiej w ogóle nie zbliżaj się do sądu, lepiej byś nie ściągnęła na siebie czyjejs uwagi – powiedział i pogładził ją po policzku. –

Jesteś taka piękna... Nie wiem, na jak długo znajdę się za kratami. Hm, jednak nalegam, żebyś na mnie nie czekała i ułożyła sobie życie tak, byś była szczęśliwa i spełniona. Jeśli poznasz kogoś, kto da ci radość i miłość, nie wahaj się, po prostu o mnie zapomnij.

– Och, nie rób z siebie męczennika! – prychnęła ze złością. – Co ma znaczyć to gadanie?

– Może zaszkodzić twojej karierze fakt, że zwiążesz się z byłym księdzem, a do tego kryminalistą – powiedział. – To właściwie może całkiem przekreślić twoją przyszłość w zawodzie nauczycielki. Jaki dyrektor przyjmie do pracy osobę o wątpliwym prowadzeniu się? Jaka rodzina zatrudni kogoś z takimi koligacjami? Może lepiej, byś jednak o mnie zapomniała? Hm, powinienem był wcześniej o tym pomyśleć.

Zamiast odpowiedzieć, pocałowała go w usta. Targały nią emocje, nad którymi nie była w stanie zapanować. Chciało się jej płakać, miała ochotę okładać go pięściami za to, co mówił, ale też uwiesić mu się na szyi

i błagać, by ją przytulił. Najgorsze było to, że mówił sensownie, a z jego argumentami trudno było dyskutować. Związek z kimś o takiej historii rzeczywiście przekreślał ją towarzysko i zagrażał karierze zawodowej. Marzenia o studiach i zostaniu profesorką mogły rozwiązać się jak dym.

– Koniec widzenia! – Za jej plecami strażnik zadzwonił kluczami, po czym otworzył kratę i znacząco wskazał wyjście.

Andrzej znów ją objął i pocałował w czoło, a potem niemal wyrzucił na drugą stronę. Pchnął ją ku światłu, ku wolności i szczęśliwemu życiu. Nie potrafiła się temu oprzeć.

* * *

Końcem sierpnia do Warszawy przyjechała Ania Kęszycka. Ada odebrała ją z dworca i zaprowadziła do swojego mieszkania, zamiast jednak pójść z dziewczyną na wycieczki po mieście, obie pomaszerowały prosto na Miodową, do Warszawskiego Sądu Okręgowego. Dotarły akurat, kiedy ogłaszano wyrok w sprawie księdza Andrzeja Kossowskiego. Nie wpuszczono ich do sali choćby dlatego, że rozprawa odbywała się bez udziału publiki. Poza tym na wokandzie były tego dnia jedynie sprawy mocno polityczne, a te z daleka śmierdziały i nie przyciągały tak ciekawskich jak bardziej dramatyczne rozprawy morderców. Ada ujrzała zatem swojego ukochanego, kiedy wyprowadzano go skutego kajdankami jak pospolitego przestępcę. Mogła tylko w przelocie dotknąć jego ramienia, a i tak jeden ze strażników bez wahania brutalnie ją odepchnął.

– Dwanaście lat robót na Syberii – powiedział ponuro jego adwokat, ów jezuita, który miał zapewnić niski wyrok.

– Aż dwanaście? – jęknęła Ada.

– Ale nie ciężkich robót, nie trafi do kopalni, budowania linii kolejowych czy tartaków. Skoro wykształcony, to pewnie zrobią z niego pisarza, księgowego lub coś takiego. I nie dostał wyroku przymusowego osadnictwa, co często jest łączone z karą odsiadki. Wróci do kraju, nie ma obawy. No, chyba że na coś zachoruje, ale wszak nie znamy wyroków boskich.

Anna podtrzymała guwernantkę, bo ta zachwiała się z wrażenia. Była przekonana, że Andrzej dostanie trzy, może cztery lata odsiadki i to w jakimś więzieniu na terenie Polski. Dwanaście lat za nauczanie dzieci? Co prawda ostrzegano ją, że łamanie tego zakazu jest surowo karane, ale

nie spodziewała się, że aż tak bardzo. Przycisnęła dłoń do piersi, zrobiło się jej niedobrze. Andrzej uśmiechnął się do niej, jak to miał w zwyczaju, łagodnie i ciepło, po czym znikł w kibitce, która zawiozła go na Pragę, do punktu zbornego Zarządu Wysyłki Więźniów. Już następnego dnia miał trafić do pociągu kolei petersburskiej, która wywiezie go hen, na drugi koniec świata.

Podtrzymywana pod ramię przez zatroskaną Annę, Ada szła ulicami miasta coraz bardziej roztrzęsiona i zrozpaczona. Dziewczyna pocieszała ją, jak mogła, ale właściwie nie rozumiała, czemu jej guwernantka ubolewa aż tak bardzo. We dworze wiedziano, że zaprzyjaźniła się z księdzem Andrzejem, ale nikomu do głowy nie przyszło, że zostali kochankami. Zresztą doszło do tego tak szybko i niespodziewanie, że sama Ada nie była pewna, czy jej się to nie przyśniło. Niestety nosiła pod sercem bardzo rzeczowy dowód na to, że niczego sobie nie wymyśliła.

– Jestem w ciąży – oznajmiła pannie Kęszyckiej.

Anna stanęła jak wryta. Chwilę tylko mrugała i poruszała ustami, patrząc na nauczycielkę.

– Ale jak to? Przecież nie masz męża – jęknęła w końcu.

– Zdaje się, że nieco zaniedbaliśmy nauki przyrodnicze, szczególnie część o rozmnażaniu się ssaków. – Westchnęła Ada. – Nie trzeba mieć męża, by zajść w ciążę, ale o tym może kiedy indziej. Chodź, wejdziemy do tej kawiarni i zjemy coś cholernie słodkiego. Mam ochotę na lody, najlepiej ze śliwkami i smażonym boczkem.

– Z czym?

– Ech, to chyba przez mój stan. Jestem jakaś nadwrażliwa i mam takie dziwne zachcianki, nie zwracaj na to uwagi. – Ada pociągnęła ją do środka.

Po paru chwilach siedziały przy stoliku i czekały na swoje desery lodowe. Zdumiony kelner obiecał dodać do porcji lodów Ady kilka suszonych śliwek węgierek, ale o bekonie nie było mowy.

– No więc ojcem jest ksiądz Andrzej – wyznała szeptem guwernantka. –

Moja sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Zakochałam się w duchownym, który został zesłany na Syberię. Za kilka miesięcy będę samotną matką, ojciec mego dziecięcia jest nadal księdzem, w dodatku kryminalistą. I jak mam nie rozpaczać?

– Pomogę ci! – rzuciła dziewczynka bez zastanowienia i ucisnęła dłoń Ady. – Wszyscy będziemy ci pomagali, z Piotrem i Jadzią. Na tyle, na ile

możemy, ale o pieniądze nie będziesz się musiała martwić, załatwię, co trzeba.

– O nie, nie chcę jałmużny, poza tym mam pewne zasoby, które wystarczą mi na długo przy rozsądnym gospodarowaniu. Niestety z dzieckiem nie będę mogła pracować, to mnie martwi... Bo nie zamierzam kończyć z nauczaniem, poza tym sama chcę się uczyć.

– Coś wymyślimy. Może da się nająć piastunkę za rozsądną cenę, która będzie zajmowała się małym, gdy ty będziesz w szkole?

– Ech, jasne, dla was, bardzo młodych, nigdy nie ma żadnych przeszkód – parsknęła. – Ale dobrze, dziękuję ci za wsparcie. Jako panienka z dobrego domu powinnaś się ode mnie odwrócić. Twój ojczym zapewne uzna, że mam na ciebie zły wpływ, szczególnie kiedy dowie się o moim stanie.

– Nie dbam o jego opinię. – Wydęła usta z niechęcią. – Nie mam pojęcia, co mama widzi w tym niedźwiedziu. Kiedyś wydawał mi się wspaniały, ale okazało się, że to gbur i pijak.

– Nie oceniaj tak pochopnie. Ludzie potrafią być skomplikowani. Nie wiadomo, co zmusza go do takich postaw i zachowań. Musisz patrzeć szerzej, otworzyć umysł, nie zamykać się jedynie w swoich opiniach.

– Widzę, że nawet na chwilę nie przestajesz być nauczycielką – parsknęła dziewczynka. – O, idzie twój deser ze śliwkami.

Kelner postawił przed nimi po puchariku lodów ukręconych przed chwilą na zapleczu w specjalnej maszynie. Ada w zamyśleniu wetknęła do ust całą łyżkę przysmaku i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Nie należała do tych, które ciągle rozpaczają i dają się przytłoczyć niepowodzeniom. Potrafiła śmiało patrzeć w przyszłość, nawet kiedy rysowała się nieciekawie.

* * *

Na początku września Aldona z duszą na ramieniu udała się na wizytę do pani Plater. Spodziewała się, że wyniosła dama, kiedy tylko zobaczy jej już wyraźnie rysujący się ciążowy brzuch, każe się jej wynosić. Sprawiała wszak wrażenie posępnej i sztywnej, o z pewnością konserwatywnych poglądach. Moralność mieszczuchów uważających się za bogobojne i nieskalane etycznie osoby potrafiła być dwulicowa i zakłamana. Panna w ciąży mogła liczyć na najgorsze traktowanie i pogardę, na wykluczenie i wyszydzenie, oskarżenia o niemoralne prowadzenie się, a nawet

prostytucję. Mimo to guwernantka postanowiła zaryzykować poniżenie i pojawiła się w domu na ulicy Próżnej, ubrana w sukienkę, pod którą nie nosiła już gorsetu. Czwarty miesiąc był u niej widoczny i nie było mowy o udawaniu.

Pani Gertruda spojrzała na nią przez swoje pince-nez, a potem ponad szklami, po czym zaprosiła ją na rozmowę do salonu. Ku zaskoczeniu Ady nie zadała ani jednego pytania o prowadzenie się czy stan cywilny guwernantki, nie interesowała się jej pochodzeniem, wyznaniem ani rodziną. Zadała jej za to kilka rzeczowych pytań z literatury rosyjskiej, zaczęła mówić po francusku i łacinie, a kiedy Aldona udowodniła, że rozumie, co się do niej mówi, z zadowoleniem pokiwała głową. Potem zaprowadziła ją do pokoju przyszłych uczennic, gdzie czekały dwunastoletnie bliźniaczki: Frania i Mania. Obie sprawiały wrażenie równie sztywnych i zasadniczych jak ich matka, ale już po paru chwilach rozmowy okazało się, że są całkiem zwyczajnymi dziewczynkami. Ich starsza siostra zaczynała w tym roku liceum, a one otrzymały od matki zadanie, by przygotować się na tyle, żeby również się do niego dostać. Prócz Ady uczył je jeszcze jeden jegomość, jakiś starszy matematyk. Potrzebowały jednak nauczycielki od języków i literatury, a tę lukę miała wypełnić Ada.

– Trzy razy w tygodniu, najlepiej po całym dniu nauki – zażądała pani Gertruda. – Zapewniam w te dni obiad, rzecz jasna. Czy stan panny pozwala na tak duże obciążenie pracą?

Uniosła przy tym jedną brew, zerkając na brzuch Ady.

– Czuję się świetnie, mogę pracować do dnia porodu – odparła. – A czy panią mój stan nie obraża? Nie wywołuje niepokoju ani rozterek natury moralnej?

– Moje dziecko, a cóż w tym jest niepokojącego czy oburzającego? Nosisz nowe życie, zasługujesz na najwyższy szacunek i opiekę. Wyobraź sobie, że pierwszą córkę urodziłam, też będąc panną. Jasia jest owocem młodszej miłości i kilku chwil uniesienia, które przeżyłam w ramionach słynnego wówczas aktora Teatru Nowego. Jej ojciec, na scenie szlachetny amant, ale w życiu prywatnym drań i łajza, rozpląnął się niczym łyż w deszczu, znikł jak śnieg w czasie wiosennych roztopów. Ilem się musiała nasłuchać o swoim prowadzeniu od rodziców, wujostwa, spowiednika, sąsiadów i właściwie każdego, kto poznał moją historię. Ech,

wiem, że ludzie potrafią być okrutni wobec samotnych matek. Ja nie zamierzam nikomu zgotować losu, który mnie wówczas spotkał. Jeśli znajdujesz się w naprawdę trudnej sytuacji, mogę udzielić ci gościny pod moim dachem, możesz u mnie zamieszkać i to nieodpłatnie.

Aldona podziękowała jej najpiękniej, jak tylko umiała, łzy jej wręcz stanęły w oczach. Niezwykle się ucieszyła, że trafiła na taką rodzinę, miała wielkie szczęście, że ich znalazła. Wkrótce dowiedziała się, że pani Gertruda mieszka z córkami sama, bo jej obecny mąż, ojciec bliźniaczek, jest handlowcem i wiele podróżuje w interesach. Od kilku miesięcy przebywał w Chinach, a jako człowiek światowy i światły, który dużo widział i doświadczył, nie miałby nic przeciw guwernantce w ciąży uczącej jego córki. Ada odetchnęła z ulgą i zabrała się za pracę z dziewczynkami.

Również we wrześniu przystąpiła na całego do działalności konspiracyjnej razem z Jadzią. Właściwie została jedną z jej pomocnic, bo panna Szczawińska większość spraw organizacyjnych wzięła na siebie. To ona uparła się, by scentralizować i uporządkować wszystkie chaotycznie odbywające się wykłady i tajne spotkania z profesorami. Przystąpiła do tego zgodnie z zasadami konspiracji opracowanymi jeszcze przez powstańczą policję działającą dla Rządu Narodowego w sześćdziesiątym trzecim. Przede wszystkim Latający Uniwersytet musiał zasłużyć na swoją nazwę, a jego funkcjonowanie polegało na tym, że za każdym razem wykłady odbywały się gdzie indziej, najczęściej w mieszkaniach prywatnych, zwykle należących do studentów lub ich rodziców, ale zdarzało się, że i w piwnicach rządowych instytucji. Każdy student zobowiązany był do zachowania absolutnej tajemnicy, klasy liczyły najczęściej dziesięcioro uczniów, by grono w razie wpadki było małe i nie znało się z innymi. Grupy studenckie miały swoich skarbników zbierających opłaty na funkcjonowanie nieformalnej uczelni.

– Musimy powołać zarząd uniwersytetu – zdecydowała Jadzia. – Nie mówię tu o rektoracie z dumnymi tytułami, chodzi mi o grupę, która będzie synchronizowała działalność...

Do grudnia ukształtował się ów zarząd, a składał się on wyłącznie z dziewcząt z otoczenia Jadzi. Siłą rzeczy została wcielona do niego także Ada. Mało tego, nie wiedzieć kiedy stała się jedną z głównych bibliotekarek tajnej Czytelni Naukowej. Jej mieszkanko na poddaszu kamienicy zapełniło się książkami. Guwernantka przechadzała się po mieście z torbą pełną

podręczników i prac naukowych. Jedną ręką podtrzymywała coraz większy brzuch, drugą poprawiała pasek z torbą obciążającą ramię. Ze względu na jej widoczny stan nie zdarzyło się, by jakiś szpicel się nią zainteresował. Nawet żandarmi i policjanci co najwyżej schodzili jej z drogi lub czynili uprzejmości. Szczytem wszystkiego było, kiedy pewnego dnia stójkowi zaproponowali, że zaniosą jej toboły tam, dokąd się wybiera. I tak policja przeniosła jej całą torbę zakazanych pism i książek przemyconych z Paryża.

Co ja robię, u licha? – zastanawiała się coraz częściej. Nie była wszak kompletnie szalona, zdawała sobie sprawę z tego, jak wiele ryzykuje. I nie chodziło tylko o jej wolność i bezpieczeństwo, ale przede wszystkim o dziecko. Przypominało ono o sobie coraz częściej, czuła, jak się rusza i czasem kopie, szykuje do przyścia na świat. Co się stanie, jeśli Ada wpadnie i trafi za kraty? Dziecko urodzi się w więzieniu, zostanie jej odebrane i umieszczone w przytułku. Może się zdarzyć, że nigdy go nie zobaczy, straci na zawsze. Czy tajne nauczanie było warte aż tak wielkiego ryzyka? Czy nie powinna odpuścić?

Tyle że nie mogła, nie potrafiła. Weszła w środowisko tak głęboko, że czuła się z nim związana na dobre i złe. Poznała masę ludzi, w tym osoby ze świata kultury i nauki, które zawsze podziwiała. Czuła się wśród nich jak otoczona rodziną. Konspiracja niezwykle ich zbliżała, to nie było tylko kształcenie się, ale też walka, czasem ocieranie się o największe niebezpieczeństwo. W dodatku stała się studentką utworzonego właśnie Wydziału Nauk Społecznych. Uczestniczyła w wykładach dotyczących psychologii, etyki, filozofii, ekonomii i prawa, statystyki i socjologii. Nie wiedzieć kiedy, nieco odsunęła się od pedagogiki i zaczęła zgłębiać nauki o funkcjonowaniu społeczeństwa. Rozkwitała nie tylko fizycznie za sprawą dziecka, ale i intelektualnie.

Uznała w końcu, że warto ryzykować. Bez nauki i Latającego Uniwersytetu byłaby tylko zwykłą guwernantką, a ona pragnęła czegoś więcej. Ani się obejrzała, a nadszedł rok 1885. W styczniu dostała pierwszy list od Andrzeja. Jej ukochany został ostatecznie osadzony w Tunce, miasteczku na Syberii, w którym od czasów powstania lokowano wszystkich polskich księży skazanych za przestępstwa polityczne. Żyła ich tam grubo ponad setka, niczym w średniowiecznym zamkniętym zakonie. Andrzej pisał, że urządzili się całkiem nieźle, nie tylko wzniesli kilka budynków, ale założyli spółkę rolniczą, która przyczyniła się do rozwoju

całego regionu. Obecnie wysiewali ponad tysiąc pudów zboża rocznie, sami pracowali w polu, ale i zatrudniali dziesiątki chłopów i parobków z okolicy. Dzięki nim prowincja zapomniała o głodzie i biedzie. Andrzej studiował zatem pilnie naukę o uprawie ziemi, botanice i rolnictwie, rąbał drewno na opał i toczył filozoficzne dysputy z innymi duchownymi. Kiedy tylko puszczały lody, zamierzał, razem z braciszkami i duchownymi kilku innych obrządków, zająć się oraniem i zasiewami. Miał jeszcze tyle czasu, by napisać dla Ady kilka wierszy.

Czytała je na głos ich dziecku, które poruszało się w jej brzuchu. Gładziła go jedną ręką, starała się też nie płakać ani nie smucić. Na początku lutego poczuła się dziwnie obolała, udała się zatem na badanie do Przytułku Położniczego nr 2, którym kierowała pierwsza polska lekarka, doktor Anna Dobrska. Ta ją zbadała, a słysząc, że ma do czynienia z sierotą i do tego panną bez bliskiej rodziny, natychmiast położyła ją na jednym z wolnych łóżek. Dzień później na świat przyszedł chłopczyk, który na imię dostał Adam, tak jak jego dziadek, ojciec Ady. Maluch był zdrowy, matka też czuła się dobrze, pani doktor przekazała ich zatem w ręce Jadzi i jednego z wykładowców uniwersytetu, Jana Dawida. Ci zabrali Adę i jej synka do domu.

Rozdział 9

*Znam ja miejsce, gdzie słońce świeci niczym złoto,
Gdzie wiśnie jak śnieg biało kwitną późną wiosną,
Pod nimi najpiękniejsza rozciąga się łąka,
Na której czterolistne koniczyny rosną.
Musisz nadzieję mieć, niezłomną wiarę,
Musisz mieć w sobie miłość żarliwą i mocną.
Jeśli ciężko pracujesz i czekasz cierpliwie,
Poznasz, gdzie czterolistne koniczyny rosną.*

Ella Rhoads Higginson (1852–1909), *Czterolistna koniczyna* (tłum. Wiktor J. Darasz)

Praca, nauka, studia i synek, który rósł jak na drożdżach, w dodatku coraz bardziej przypominał Andrzeja. Wokół takich codziennych przyziemnych spraw toczyło się życie Aldony. Czas płynął jej tak szybko, że nie spostrzegła się nawet, kiedy minął rok i nadeszła kolejna wiosna, a wraz z nią egzaminy, do których przygotowywała Manię i Franię. Zdecydowała, że dobrze będzie pójść z bliźniaczkami, by dodać im otuchy, tak samo jak dwa lata wcześniej przysłała do szkoły z Anią Kęszycką. Tym razem trzymała za rączkę małego Adasia ubranego w surducik sprezentowany mu przez panią Gertrudę Plater oraz słomkowy kapelusik, który dostał od Jadzi Szczawińskiej. Zresztą chłopczyk od urodzenia obracał się w sferach naukowych, uczęszczał z mamą na Latający Uniwersytet, gdzie był przez studentów oraz wykładowców rozpieszczany i traktowany jak maskotka. Nie bał się przez to obcych ludzi, do wszystkich się garnął i chyba przez to bardzo wcześnie zaczął mówić.

– Ciocia? – to on pierwszy zauważył Anię, która szła szkolnym korytarzem ubrana w przepisową granatową sukieneczkę uczennicy z białym kołnierzykiem.

Nosiła do tego włosy zaplecione w dwa warkoczyki, przez co wyglądała właściwie niczym wzór grzecznej i, rzecz jasna, pilnej uczennicy. Adaś ją dobrze znał, bo Ania często odwiedzała ich i nawet zabierała chłopczyka na spacer, kiedy Ada była bardzo zajęta. Guwernantka pomachała swojej byłej podopiecznej, a obecnie po prostu przyjaciółce. Wstała i wzięła synka za rękę, dłużej nie musieli tu siedzieć, bo drzwi zamknęły się za zdającymi egzamin i nie otworzą wcześniej niż za dwie godziny. Już miała zapytać

Anię, czy pójdzie z nimi do parku, bo pogoda była piękna, ale wtedy do dziewczyny dołączyła – nie wiadomo skąd – jej młodsza siostra, Jadzia. Ada rozłożyła ręce, by wziąć w ramiona uczennicę, której nie widziała dwa lata. Jadzia rzuciła jej się na szyję i pocałowała w oba policzki.

Ciągle miały przez ten czas ze sobą kontakt. Mała malarka pisała do guwernantki listy, zawsze bogato zilustrowane, zwykle z dołączonymi rysunkami, szkicami i karykaturami domowników. Ada orientowała się dzięki temu, co dzieje się we dworze i jak się teraz żyje w Chojniakach. Wiedziała, że Jakub coraz częściej zagląda do kieliszka i nadal uparcie próbuje odebrać żonie władzę nad włościami i tartakami. Dzieci uczyła obecnie guwernantka sprowadzona ze Skierniewic, stara surowa dama mająca tendencję do przesadnej religijności. Jadzia i Piotr pod jej kierunkiem studiowali zatem głównie Biblię, po polsku, rosyjsku i łacinie. Z rozrzewnieniem oboje wspominali czasy, kiedy panna Donia była ich nauczycielką.

Kiedy Jadzia zakończyła powitanie i odstąpiła od Ady, by klęknąć przy Adasiu i się mu przedstawić, guwernantka stanęła twarzą w twarz ze swoją dawną pracodawczynią. Eufemia ubrana była w powłóczystą sukienkę, jedną rękę opierała na brzuchu i to akurat nie zaskoczyło Ady. Wiedziała zarówno od Ani, jak i z listów Jadzi, że będą wkrótce miały rodzeństwo. Zaskoczył ją jedynie widok twarzy dziedziczki, częściowo spuchniętej i przez to zniekształconej. Lewe oko niemal zasłaniała opuchlizna, starannie przypudrowana, by nie było widać sińca. Eufemia wpadła w ramiona Ady i się rozpłakała.

– Znam tę rzewność, sama też byłam taka delikatna i skora do wzruszeń, kiedy nosiłam Adasia. – Przytuliła i poklepała dziedziczkę po plecach.

– Och, Donio, wybacz, rzeczywiście płacz i uzalanie się nad sobą to zupełnie nie moja bajka. – Odsunęła się i chusteczką otarła oczy, przy okazji rozmazując puder. Syknęła z bólu, kiedy dotknęła opuchlizny.

– Tylko nie mów, że spadłaś ze schodów lub uderzyłaś się drzwiami. Jakub cię pobił – powiedziała Ada lodowatym tonem, po czym wycedziła słowo po słowie: – Pobił ciężarną żonę.

– I to nie pierwszy raz – dodała Jadzia. – Mnie też próbował zlać, bo chciałam bronić mamę, ale zwałam. Rzuciłam mu się między nogi i uciekłam.

Ada westchnęła ze zgrozy i zdumienia. Nie spodziewała się, że sprawy zmierzają w tę stronę. Była przekonana, że małżonkowie doszli do porozumienia i żyją we względnej zgodzie. Bicie ciężarnej? W to trudno było uwierzyć i chyba nie dałaby wiary, gdyby nie widok twarzy przyjaciółki.

– Uciekłaś? – spytała tylko. – Zaoferowałabym gościnę, ale sama gnieźdź się na poddaszu w dwóch pokojach, w większej części zawalonych książkami. Znam jednak miejsca, gdzie można wynająć mieszkania, tak zwane *chambres garnies*, umeblowane i wygodnie urządzone.

– Nie, skąd! Ja uciekać? I miałabym zostawić Chojniaki, wszystko, co było tak cenne dla Krzysztofa, w łapach jego wroga? Nigdy w życiu, zamierzam walczyć i pozbyć się tego drania.

– Walczyć? Ale jak, o co?

– Zmuszę go do rozwodu. Zaczął mnie bić jakiś czas temu, kiedy zrozumiał, że nie cofnę się ani kroku i nie ustąpię mu pola. Jakby chłanie wódki i pranie ciężarnej miało załatwić wszystkie sprawy i zniechęcić wścibską i upartą babę do prowadzenia gospodarki. Chciałby mnie zamknąć w pokoju i chyba odwiedzać jedynie po to, by ulżyć swoim chuciom. – Położyła dłoń na brzuchu.

– Zgwałcił cię? – syknęła Ada, mrużąc oczy.

– Można tak to nazwać, ale trudno, jakoś to przebolełam. Dziecko nie będzie z tego powodu cierpiało, to przecież nie jego wina. Nie chcę jednak, by było wychowywane przez takiego ojca. On nad sobą zupełnie nie panuje, dziczeje coraz bardziej. Łazi po lesie i karczmach, bije się z drwalami, wraca pijany i śmierdzący jak wieprz. Nie wiem, co się z nim dzieje...

– Zaraz, a gdzie jest Piotrek? Chyba on go nie skrzywdził?

– Wysłał Piotrusia do Petersburga, do korpusu kadetów. – Pokręciła głową. – Do szkoły wojskowej z internatem.

– Do Petersburga? Chce z chłopaka zrobić rosyjskiego oficera?

– Pozbył się go z domu i tyle, twierdził, że tylko wojsko może zmienić dziecko w mężczyznę. Wymyślił też, że wyśle Jadzię do gimnazjum i wtedy zostanie z nim sama. Wówczas zrobi ze mną, co zechce.

Ada miała ochotę rwać sobie włosy z głowy. Mąż groził Eufemii, bił ją i gwałcił. W dodatku, kiedy ochłonęła z szoku i przemyślała sprawę, dotarło

do niej, że właściwie można było się tego po nim spodziewać. Łatwo zmieniał obiekty uczuć i potrafił płynnie przejść z przyjaźni czy miłości w zapiekłą nienawiść. Tak jak kochał Krzysia, tak go potem latami nienawidził. Zdawało się, że zakochał się w Adzie, a potem ją odepchnął. Teraz to samo działo się między nim a Eufemią. Jakub miał skrzywioną psychikę, nie był zdolny do stworzenia trwałego związku, sam robił sobie krzywdę, wymyślał zale i zaczynał zwalczać obiekt uczuć. Skąd mu się to brało? Czy to uraz z dzieciństwa, z czasów powstania, a może po prostu się taki urodził?

– Musimy się nad tym zastanowić – powiedziała Ada. – Na pewno da się coś wymyślić, by ci pomóc. Dobrze, że przyjechałaś. Może znajdziemy ci dobrego adwokata?

– Już takiego szukałam, w dodatku za pośrednictwem Andrzeja Vogla. Znalazł mi świetnego mecenasa z Łodzi, osobistość ze świecznika palestry. Niestety nawet ów jegomość rozkłada ręce, bo sprawa wcale nie jest taka prosta. Nie mogę udowodnić, że jestem prześladowana i maltretowana przez męża, bo ponoć nie mam świadków. Jakub wyrzucił precz Poldka i Lolka, zastąpił ich jakimiś drabami, z którymi zresztą chla wódkę. Zastraszył kucharkę Alę tak, że kobiecina nie wychyla nosa z kuchni, odprawił też panią Lucynę i tak zostałam w domu niemal sama. Nie ma nikogo, kto mógłby zeznawać, a głosy dzieci się nie liczą. Boję się, że kiedy odprawi Jadzię i będę z nim w domu bez jakiegokolwiek wsparcia, zrobi mi krzywdę. Zabije mnie i dziecko, upozoruje wypadek albo nawet ukryje ciało.

Teraz Ada czuła, że włosy stają jej dęba ze zgrozy. Chwyciła przyjaciółkę za rękę.

– Nie możesz zatem wracać do Chojniaków!

– Ech, długie lata marzyłam o powrocie do miasta, do tego całego szumu, ruchu, świateł i hałasów. Do ludzi, teatrów, przyjaciół, by chodzić na przyjęcia, wozić się dorożką, urządzać prośzone obiady i bywać na salonach. – Eufemia machnęła na to ręką, uśmiechając się krzywo. Głównie dlatego, że bolała ją połowa twarzy. – Teraz jednak czuję, że moje serce jest na wsi, u nas we dworze, w Chojniakach. Tam jest moje życie, tam przeżyłam szczęśliwe chwile. I nie oddam tego miejsca jakiemuś zapijaczonemu draniowi! Będę o nie walczyła do samego końca.

Ada pokiwała głową ze zrozumieniem. Eufemia, choć sponiewierana i pobita, nadal pozostawała sobą, silną dziedziczką.

– Jak mogę ci pomóc?

– Wróc ze mną. – Eufemia ścisnęła jej rękę. – Wybacz mi, że pozwoliłam cię tak potraktować i wówczas uległam złości oraz rozczarowaniu. Nie powinnam była pozwolić, by cię odprawił. Przebac mi to, proszę, i wróc ze mną do Chojniaków. Wiem od dziewczynek, że ułożyłaś tu sobie życie, nie zamierzam ci go odbierać. Zaczyna się lato, przecież nie będziesz teraz uczyła. Przyjedź do mnie na dwa miesiące, tyle powinno wystarczyć.

– Na co?

– Byśmy dały sobie radę z Jakubem i uwolniły od niego dwór!

* * *

Dlaczego właściwie się zgodziła, tego nie potrafiła wyjaśnić ani sobie, ani przyjaciółkom z uniwersytetu. Szczególnie Jadzia Szczawińska nie mogła zrozumieć i próbowała Adę powstrzymać.

– Zapomnij o przeszłości, patrz wyłącznie w przyszłość i nie oglądaj się za siebie. Myśl o sobie i swoim synku, a nie o jakichś zobowiązaniach wobec dawnej szefowej! Nie jesteś jej nic winna, a już szczególnie tego, by ryzykować zdrowie i życie – piekliła się Jadzia.

– Tylko na dwa miesiące, po letniej kanikule wracam do miasta i do obowiązków – uspokajała ją Ada. – Zostawię ci klucze, byś miała dostęp do biblioteki. Tu są zeszyty z rozpiską, co kto pożyczył, a tu indeks książek i ich miejsce. W przybliżeniu, bo nie dorobiłam się ponumerowanych regałów.

– Obiecuj mi, że nie będziesz się narażała – zażądała przyjaciółka.

– I kto to mówi? – mruknęła Ada. – Zdaje się, że prowadzisz tajny uniwersytet i codziennie się narażasz.

– Ale tylko na gniew cara i uwięzienie, a nie na śmierć z ręki zapijaczego brutala!

Aldona jednak potrafiła być uparta, szczególnie jeśli na coś się zdecydowała. Przed wyjazdem odwiedziła jeszcze kilku uczestników tajnej edukacji. W pierwszej kolejności poszła do Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, gdzie w pracowni chemicznej urzędował profesor Napoleon Milicer, jeden z wykładowców Latającego Uniwersytetu. Przesiedziała u niego dobre dwie godziny. Następnie poszła do II Gimnazjum Męskiego,

gdzie poczekała na rabina Karola Hertza, profesora matematyki, którego szczególnie ceniła ze względu na analityczny i niezwykle otwarty umysł. Bez owijania w bawełnę opowiedziała mu o problemie i swoich pomysłach na jego rozwiązanie.

– Jeszcze raz, chcesz go odurzyć substancją czyniącą człeka otwartym i szczerym, po czym nakłonić do podpisania zeznań przeciw sobie i to przy świadkach? – Profesor podsumował jej plan. – Stanowczo odradzam. Jeśli nawet wam się uda, sąd z pewnością uzna wasze działanie za bezprawną prowokację i wymuszenie zeznań. Ów jegomość może wszystkiego się wyprzeć i oskarżyć cię o napaść oraz próbę oszustwa. Wybij sobie z głowy podobne pomysły, on zawsze będzie na uprzywilejowanej pozycji, a system prawny stanie po jego stronie.

Omawiali jeszcze ewentualne rozwiązania i sposoby wybrnięcia z kłopotów, ale matematyk natychmiast zbijał wszelkie jej pomysły, nad którymi głowiła się z Eufemią przez dwa dni. W końcu niezadowolona i trochę zniechęcona musiała się poddać. Nie zamierzała się jednak wycofać, piętzące się przeszkody tylko ją zmotywowały. Wsiadła do pociągu razem z dziewczynką, chociaż tym razem nie miała ze sobą jedynie podróźnej torby, ale Adasia i dwa kufry wypełnione rzeczami. I tak po dwóch latach wyruszyła w drogę powrotną do Chojniaków.

Musiały w Łowiczu zdobyć powóz, bo, rzecz jasna, nikt na nich nie czekał. Eufemia miała jednak znajomych kontrahentów, z którymi handlowała drewnem, i szybko pożyczyła od jednego jegomościa zaprzęg i wygodną bryczkę. Usiadła na zydlu i sama powoziła, zdawała się przy tym wręcz kipieć energią i gniewem. Ada czuła się raczej tak sobie, dręczyła ją myśl, że powinna zostawić synka w mieście, najlepiej pod opieką pani Gertrudy, która zajęłaby się nim z radością. Co, jeśli Jakub wpadnie w pijacki szal i ich wszystkich pozabija? Lub skrzywdzi jej dziecko? Kto właściwie wie, do czego ten człowiek był zdolny... Zabijał już ludzi, co prawda w czasie powstania, ale mordował nawet swoich kompanów. Może teraz znów marzył o przelewie krwi? Z pewnością był do niego zdolny.

– Kiedy tak bardzo się zmienił? Zaszło między wami coś szczególnie znaczącego? – spytała Eufemii, sadowiąc się obok niej na zydlu. Zostawiła Adasia pod opieką Jadzi, która bardzo chętnie bawiła się z malcem.

– Jeśli chodzi ci o jakąś wielką awanturę, to już sama nie wiem, którą liczyć jako bardziej znaczącą. – Eufemia wzruszyła ramionami. – Sama byłaś świadkiem, jak na początku nasze spory ograniczały się raczej do słodkich przekomarzanek. Przyznam ci się, że takie kłótnie podniecały nas oboje, dodawały pieprzyku, jeśli wiesz, co mam na myśli. Nie kończyły się jedynie na pocałunkach i przytulankach. Ech, potem jednak stopniowo moje stawianie na swoim zaczęło go denerwować.

– Kiedy pierwszy raz cię uderzył?

– Hm... Nie pozwoliłam mu zająć gabinetu Krzyśka. Powiedziałam, by urządził sobie własny w innym pokoju, a ten zostawię na pamiątkę. Taka izba pamięci, którą kiedyś po swoim urzędzi Piotrek, kiedy dorośnie i przejmie gospodarkę. Jak wiesz, we dworze jest sporo pomieszczeń. Dziadek Krzyśka zbudował go z myślą o naprawdę dużej rodzinie. –

– Cmoknęła na zwalnijące konie. Bryczka podskakiwała na nierównościach, szybko przemieszczając się w kierunku Bolimowa. –

Któregoś wieczoru zajrzałam do gabinetu, a Jakub siedział za biurkiem, z nogami na blacie i przeglądał jego rzeczy, notatki, jakieś dokumenty, plany i szkice. Znaczący prywatną korespondencję i osobiste drobiazgi. Wściekłam się i kazałam mu natychmiast to zostawić, szarpnęłam go chyba nawet, by wstawał z ulubionego krzesła Krzysztofa. Zerwał się, złapał mnie za gardło i uniósł, tylko nogami zadyndałam w powietrzu. Wycedził prosto w twarz, że Krzysiek ciągle tu jest i on ma tego dosyć. Wszystko, co po nim zostało, ma zniknąć lub spali to osobiście. Puścił mnie, kiedy już byłam ledwie przytomna. Zostały mi po tym siniaki na szyi i obolała krtań, dwa dni potem chrypiałam i bolało mnie przy przełykaniu. Omal mnie wówczas nie zabił, wystarczyło, by mocniej ścisnął.

– Nadal toczą go jakieś żale i kompleksy wobec Krzysia. Chyba całe życie starał mu się dorównać, a kiedy już uznał, że nawet go pokonał i zajął jego miejsce, okazało się, że Krzyś nadal żyje w twoim sercu i twojej pamięci. I jest dla ciebie ważniejszy niż Jakub – stwierdziła Ada. –

To, w połączeniu z innymi problemami natury psychologicznej, w tym także wojennymi traumami oraz alkoholizmem, wyzwoliło w nim pokłady gniewu i agresji. Oczywiście wcale go to nie usprawiedliwia, powinien postarać się to zwalczyć, poszukać jakiegoś oparcia. Tyle że mężczyźni zwykle nie są w stanie prosić o pomoc, szczególnie jeśli trapi ich słabość, którą uważają za wstydliwą.

– Co zatem proponujesz? Chcesz do niego jakoś dotrzeć?

– Nie wiem, czy jestem dobrą ku temu osobą. Myślę jednak, że trzeba spróbować wyciągnąć do niego pomocną dłoń. On jest zagubiony i chyba po prostu cierpi...

Rozmawiając, dojechały do Bolimowa, gdzie Ada poprosiła o zatrzymanie się na postój, po czym udała się sama do kościoła. Znów na plebanii powitała ją warknięciem stara Maćkowa, jadowita herod-baba. Zgodziła się łaskawie zaprowadzić ją do proboszcza, który akurat był u siebie.

– Ostatnio coraz mniej się rusza. Nie ma już sił – powiedziała, prowadząc ją do środka. – Jego obowiązki miał przejąć ksiądz Andrzej, ale namieszałaś mu w głowie, namówiłaś do złego i zniszczyłaś. Dla proboszcza był to potężny cios, po którym nie może się pozbierać. Modłę się, by spotkało cię coś złego, by Bóg srogo cię pokarał, ty rozwiązała, wstrętna wrono.

Wdawanie się w dyskusję z gospodynią nie miało sensu. Ada cierpliwie, z nieruchomą miną zniosła wyplute z nienawiścią obelgi. Wiedziała od Andrzeja, że ta starsza kobieta jest zgorzkniała i wszystkimi pogardza prócz księdza proboszcza.

– Och, to panna Burzyk – powiedział na jej widok, wcześniej założywszy okulary. – Co za niespodzianka, proszę, proszę do środka.

Siedział w fotelu z różańcem w rękę, przysunięty do okna, z którego miał widok na rynek Bolimowa. Rzeczywiście bardzo się posunął w latach, wyglądał na zasuszonego, zapadniętego staruszka. Kiedy jednak rozpoznał Adę, wstąpiło w niego życie. Podeszedł do niej i jakby zawahał się, po czym przełamał i uścisnął niczym bliską osobę.

– Wiem, że się w tobie zakochał – powiedział. – I nie winię cię, dziecko. Cóż jesteś winna, żeś młoda i piękna? Bóg cię taką stworzył, a Andrzej jest przecież obdarzony wolną wolą. Ale nie potrafił się powstrzymać, złamał śluby, za co i jego nie winię. Żałuję tylko, że tak się to skończyło. Biedaczyna zamarza hen na Syberii, okropnie się z tym czuję. Mogłem wziąć winę na siebie, powiedzieć, że to ja namówiłem go do uczenia dzieci, że tylko wykonywał moje polecenia. Może darowałiby mu winę, a mnie przecież i tak już zostało niewiele czasu... Ale dość uzalania się nad sobą i popełnionymi błędami. Powiedz, z czym przychodzisz?

Opowiedziała mu o problemach z Jakubem, o jego wybuchach i zatracaniu się w gniewie i alkoholu. Kiedy mówiła, proboszcz tylko kiwał głową i jej nie przerywał.

– Problem z przemocą wobec kobiet jest starszy ode mnie i naszej parafii.
– Westchnął tylko. – Z tego, co pamiętam, dziadek Jakuba był bardzo podobny. Prał syna, Henryka, ile wlezie, bo chciał wybić mu z głowy poezję romantyczną i wychować na twardego i prawego. Zdaje się, że uszkodził mu biodro, a kontuzja ta wróciła po latach i teraz biedny Henio kuśtyka o dwóch laskach. Cóż, mogę udać się do Chojniaków i porozmawiać z Jakubem. Pamiętam, że po powstaniu też był bardzo zagubiony i przeżywał rzeczy, które się wydarzyły. Wówczas udało mu się to jakoś przetłumaczyć. Przyjął nawet na siebie pokutę i zaopiekował się rodziną tragicznie poległego dowódcy...

Ada uniosła brwi. To, co powiedział proboszcz, uderzyło w nią niczym piorun.

– Co, proszę? Jakub opiekował się rodziną Bobrowskiego? – Złapała proboszcza za dłoń, jakby się obawiała, by nie uciekł.

– Pomagał im dyskretnie, nie chciał, by ktoś się o tym dowiedział.

Guwernantka czuła, że wypełnia ją rosnąca groza. Podziękowała staruszkowi za rozmowę, oznajmiła, że jego przybycie do Chojniaków nie będzie konieczne. Pognąła do czekającego na placu powozu i na chwilę odciągnęła Eufemię na bok od dzieci.

– Słuchaj, nie uwierzysz, co ksiądz nieopatrznie mi wypaplał. Jakub po upadku powstania pomagał Bobrowskim, dyskretnie, by nikt się nie dowiedział. Niby dlatego, by odpokutować grzechy...

– No, rzeczywiście ciekawe, nigdy mi o tym nawet nie wspomniał. – Eufemia zmarszczyła brwi. – Co to znaczy? Po co to robił?

– Ktoś powiedział Tomaszowi o tym, co zaszło, i całą winą za śmierć jego ojca obarczył Krzysztofa. To rozпалиło w leśniku nienawiść, która doprowadziła do tragedii...

– Zaraz, chcesz powiedzieć, że Jakub to zaplanował? Napuścił tego młodego chłopaka na mojego męża?

– I pozbył się Krzysztofa, zachowując czyste ręce. Może to była zemsta za to, co między nimi zaszło? Chciał odebrać mu wszystko i zająć jego miejsce? Zrobił to, szcując na Krzysia rozczarowanego, skrzywdzonego chłopca. To zadziwiające, nie spodziewałabym się takiej perfidii

i pomysłowości po tym ospałym niedźwiedziu. Przecież ten plan wymagał niebywałej cierpliwości, czekania latami... – Ada kręciła głową ze zdumieniem.

– Chyba żadna z nas dobrze go nie poznała – warknęła Eufemia, zaciskając pięści. – Cały czas udawał, potraktował mnie jako trofeum w walce z dawnym wrogiem. Tyle że trofeum nie chce się podporządkować, znudził się zabawką i dlatego mnie pierze. Ciekawe, czy wymyślił już jakąś paskudną historię i dla mnie? Czy planuje mnie zlikwidować, czy kompletnie lekceważy i będzie używał jako popychadła, aż sama się wykończę?

Ada zaczęła przechadzać się nerwowo w tę i z powrotem.

– Co zrobimy? Może trzeba powiadomić policję?

– Jeśli zdradzimy całą historię władzom, to wyjdzie na jaw, że zarówno Kęszycki, jak i Klimek byli buntownikami i mają rosyjską krew na rękach. Pierwsze, co zrobią carscy urzędnicy, to zarekwirują ich majątki w ramach nieco spóźnionych represji popowstaniowych – powiedziała Eufemia. – Straciłabym wszystko, wylądowała na bruku.

– Może to lepsze, niż pozwolić zakatować się Jakubowi? – Ada rozłożyła ręce.

– Nie namawiaj mnie do tego, by się poddać. Pomóż mi walczyć. – Głos Eufemii zaczynał się łamać.

Ada przytuliła ją do piersi i pogładziła po plecach. Oczywiście nawet przez chwilę nie chciała jej zostawić w takiej sytuacji. Tyle że teraz już rozumiała, iż walczą z nie byle jakim przeciwnikiem, ale bezwzględny i sprytnym szaleńcem. One dwie – jedna w ciąży, a druga z małym dzieckiem.

* * *

Dwór przywitał ich ciszą i bezruchem, nawet psy nie wybiegły, by powitać nadjeżdżających. Nie pojawił się żaden parobek, by zająć się końmi i bryczką, zatem Eufemia podjechała pod powozownię, po czym razem z Adą wyprzęgły konie i zaprowadziły je do stajni. Jadzia zabrała Adasia do środka, by pokazać mu domostwo. Dopiero wówczas z kuchni wyjrzała kucharka Ala i zgarnęła dzieci do siebie. Jaśnie pan ponoć dziś chodził ponury i zły, bo dopiero teraz wytrzeźwiał po dłuższym pijaństwie i zorientował się, że żony od kilku dni nie ma w domu. Ala na wszelki

wypadek nie opuszczała kuchni, a dziadek Dominik siedział w swoim pokoju uzbrojony w starą szablę i dwururkę. Dom był od tygodnia niesprzątny i niewietrzony, właściwie życie w nim zamarło. Wszyscy czekali, aż gospodarz się uspokoi lub w wybuchu szału coś rozwali. Poprzedniego wieczoru przewrócił kredens, szafę stojącą w jadalni, w której trzymano zastawę i srebra. Huk i brzęk powstał niesłychany i Ala była przekonana, że słyszano go być może nawet w Łowiczu, a już na pewno w Bolimowie.

Eufemia z Adą śmiało weszły do salonu, w którym zasłony były zaciągnięte, unosił się zapach moczu i wymiocin, a po podłodze wały się szkło i potłuczone naczynia. Ada odsłoniła kolejne okna i otworzyła dwa pierwsze na oścież. Eufemia stała z zaciśniętymi ustami pośród zniszczenia i wodziła wzrokiem po tym, co zostało z zastawy.

– Wniosłam to jako wiano Krzysiovi – mruknęła. – Miśnieńska porcelana warta tyle co folwark.

Drzwi po drugiej stronie się otworzyły i stanął w nich Jakub. Nosił na sobie tylko gacie i rozpiętą koszulę obnażającą owłosiony tors, który przecinała stara blizna po kozackiej szabli. Gębę miał zarośniętą, a oczy zapadnięte, opuchnięte i przekrwione. Wymierzył palec w Adę, która zamarła, widząc jego wykrzywioną niechęcią gębę.

– Ty! Znowu ty! – wycedził. – Pożegnaliśmy się przecież, miałem cię więcej tu nie widzieć!

– Donia jest moim gościem, sama ją tu sprowadziłam. Będzie uczyła Jadzię i pomagała mi po porodzie. Bo nie wiem, czy pamiętasz, ale niedługo zostaniesz ojcem! – wypaliła Eufemia. – Zniszczyłeś moją zastawę z porcelany! Co to za obora?! Czemu tu tak śmierdzi, a ty wyglądasz, jakbyś wypełzł z rynsztoku? Człowieku, jesteś dziedzicem na włościach, porządnym i szanowanym przedsiębiorcą i ziemianinem! Obowiązują cię pewne zasady, reprezentujesz całą rodzinę, jej historię, swoich przodków, ale pracujesz też na wizerunek przyszłych pokoleń!

– Co ty mi tu, kobieto... Czemu mi głowę suszysz o takie bzdury? Przyszłe pokolenia, przodkowie... Co oni mają do tego, że chodzą po własnym domu w samych gaciach? – Machnął ręką. – Łeb mi pęka. Niech Ala robi mi jakie śniadanie i tu ogarnie. Całe dni siedzi w kuchni, chałupa się sama nie posprząta. Idę się jeszcze zdrzemnąć, a potem muszę jechać do

tartaku. Uruchamiamy dziś sieczkarkę. A ty nie wchodź mi w drogę. Nie chcę, by siadała z nami przy stole, niech je ze służbą.

Jeszcze raz wymierzył palec w Adę. Wtedy, jak spod ziemi, wyrósł przed nim dziadek Dominik z dwururką w rękach. Nie wymierzył broni w wielkoluda, ale zrobił kwaśną minę i pokręcił głową z niesmakiem.

– Idź się lepiej połóż, chłopcze. Zostaw dom w rękach kobiet i przestań tyle pić.

– Zamknij mordę, dziadu – warknął Jakub, mierząc staruszka wściekłym wzrokiem.

Wszyscy na chwilę wstrzymali oddech, wyglądało to, jakby wielkolud zastanawiał się, czy nie zgnieść starca. Ten stał przed nim i patrzył mu bez strachu prosto w oczy. Powietrze zgęstniało od napięcia. I wtedy do jadalni wpadł z piskiem Adaś, a za nim goniąca go Jadzia. Dziewczynka złapała malca i podniosła na rękę.

– A to co za dzieciak? Wiecie, że nie znoszę wrzasku dzieci. Nie cierpię ich biegania, krzyków i śmiechów. Uciszcie go, bo...

– Bo co? – prychnęła Eufemia i oparła ręce o biodra, wypinając brzuch w przód. – Przyzwyczajaj się, bo niedługo ten dom będzie pełen wrzasku małych dzieci, w tym twojego własnego.

Ada czuła, że zamiast strachu rośnie w niej furia. Drab groził jej dziecku. Teraz było za późno, by żałować, że nie zostawiła malca w Warszawie. Teraz musiała go bronić przed pokręconym, niestabilnym emocjonalnie draniem. Przesunęła się, zasłaniając Jadzię i Adasia własnym ciałem. Jakub jednak nagle jakby zwiotczał, obrócił się i powoli wyszedł z jadalni, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

– Dość tego – szepnęła Eufemia do Ady. – Musimy z tym skończyć, tak się nie da żyć.

– Niech będzie, zrobmy to choćby dzisiaj.

Patrzyły sobie chwilę w oczy, jakby chciały się przekonać, czy decyzja jest ostateczna i nieodwołalna, po czym obie skinęły głowami.

* * *

Halę przetwórczą w tartaku wypełniał chichot rozbawionych drwali. Jakub nie lubił takich dźwięków, głośny śmiech go irytował i drażnił. Szczególnie w takie dni jak dziś, gdy łeb bolał, jakby walili w niego młotami, a w gardle suszyło. Niepotrzebnie wczoraj skusił się na namowy

dwóch dziwek z karczmy, które naciągnęły go na wódkę. Uległ im, bo po prostu chciał się upić i o wszystkim zapomnieć. O zmarnowanych szansach, ciągłym niespełnieniu i niepokojącym go wciąż sumieniu. Drażniło go ono bowiem nieustannie, kiedy chodził po dworze, patrzył na Eufemię, na Adę, na ich cholerne dzieci, a już najbardziej, kiedy natykał się na jakieś pamiątki po Krzysztofie.

Gdy wczoraj w nocy, a właściwie nad ranem, wrócił do domu i laź z świecą przez dwór, nagle ujrzał go w odbiciu, w szybie kredensu. Wrzasnął na ducha, ale nie ze strachu, tylko ze złości.

– Odejdź już, idź do piekła! Zostaw mnie w spokoju! – krzyknął i przewalił mebel, tłukąc całą jego zawartość, porcelanowe talerze, wazy i miski.

Nie pierwszy już raz nawiedzał go zmarły, ale zwykle robił to we śnie, czasem dusił go niczym zmara lub powodował, że Jakub budził się z wrzaskiem. Tylko morze wódki mogło mu przynieść ulgę i zapomnienie. Niestety łeb potem bolał i ciążył przez cały dzień, nie pozwalając zebrać myśli.

Zatrzymał się przed wejściem do hali fabrycznej i wyciągnął zza pazuchy butelkę nalewki. Dziadek Dominik dał mu ją, zanim Jakub wyruszył ze dworu. Nie miał pojęcia, dlaczego staruszek okazał mu tyle troski, nigdy wcześniej nie dawał mu alkoholu, bo sam lubił wypić. Gadał coś o tym, że chciałby, aby Jakub pogodził się z Eufemią, i liczy na jego dobrą wolę. Ten jednak słuchał starego piernika jednym uchem, nie mógł się skupić, był niewyspany i obolały. Teraz przypomniał sobie o flaszcyczce, wyciągnął zębami korek, po czym wypił duszkiem kilka łyków. Mlasnął i oblizał się z zadowoleniem. Głupi staruch potrafi nastawić dobrą naleweczkę – pomyślał.

Napój był na owocach leśnych, borówkach, malinach i jeżynach. Miło pachniał, a do tego drapał w gardło mocnym alkoholem. Niewiele się zastanawiając, Jakub znów przyssał się do szyjki i pił tak długo, aż płyn się skończył. Cisnął puste naczynie za siebie, nawet nie patrząc, gdzie poleci, beknął, otarł usta i wszedł do hali.

– Zdaje się, że wszyscy dobrze się bawią! – huknął, stając w wejściu.

Niezwykłe, ale wystarczyło się napić i wszelkie bóle oraz troski mijają. Czuł, jak alkohol rozchodzi się od żołądka i zaczyna krążyć w żyłach. Łupanie w głowie zmałało i powoli się wyciszyło. Wracały moc, pewność

siebie i furia. Zawsze ją czuł, nigdy go do końca nie opuszczała. Jakaś nieutulona wściekłość na cały świat, na wszystkich ludzi, którzy go krzywdzili.

– Jest inżynier Gajewski?

Młodzieniec, jak często miał w zwyczaju, umazany był smarem i sadzą, przez co Jakubowi w pierwszej chwili złał się z tłumkiem drwali. Wyszedł jednak naprzeciw dziedzica, wycierając dłoń w szmatę równie brudną jak on sam. Niewiele to dało, ale wyciągnął rękę na powitanie. Jakub zupełnie ten gest zignorował. Z każdą chwilą czuł się coraz silniejszy, coraz ważniejszy, większy, lepszy niż cała ta śmierdząca hołota. Spojrzał na nich z góry. Tego małego inżynierka z chęcią zgniótłby dla wprawy, złapał za głowę i zmiażdżył ją między dłońmi, aż oczy mądrali wylazłyby mu z orbit i wybuchły. Uśmiechnął się na tę myśl.

– Rozdrabniarka zainstalowana i gotowa? Dwa lata czekam na ten sprzęt, zapłaciłem za niego tysiące rubli, ile można mitrzyć z instalacją? – huknął, a Krystian od razu zrobił się mniejszy.

– Prawie gotowa, panie Klimek. Pas napędowy podłączony do maszyny parowej, sprawdziłem już wały ścierające, zespół trzech zachodzących na siebie stożków uzbrojonych w ostre jak brzytwy guzy. Perełka mechaniki, wszystko śmiga, kręci się i buczy. Trzeba tylko zamontować osłonę i barierę. To dla bezpieczeństwa pracowników...

– W dupie mam bezpieczeństwo roboli. Wystarczy, by uważali, co robią. Uruchamiał pan, chcę zobaczyć, jak to działa. Czekaj! Sam załaduję pierwszy materiał. – Rozejrzał się po hali.

W kącie leżały pieńki ze zrostami i wadami uniemożliwiającymi ich wykorzystanie. Nadawały się do połupania na opał, ale i to się nie opłacało, bo za dużo było przy tym roboty. Lepiej było zmielić na wióry, a te sprzedać do fabryki. Prasowano je i klejono w nowy materiał zwany sklejką drewnianą. To była przyszłość! Pieniądze ze śmieci, przyszłość całej tej cholernej cywilizacji. A on zarobi na tym, obłowi się po uszy. Po co? A choćby po to, by pokazać Eufemii, że jest lepszy od Krzysztofa. Choćby tylko po to.

– Uruchamiał pan – rzucił do inżyniera. – Sprawdzę, jak to ustrojstwo działa.

– Nie mogę, dopóki...

Złapał go za gardło i podniósł. Miał ochotę skrócić kark temu pokurczowi. W żyłach pulsowała mu gorąca krew, czuł, jak pali go od środka. Śmiechy drwali ucichły jak nożem uciął. Jakub zorientował się, że wszyscy na niego patrzą ze zgrozą. Zakołowało mu się w głowie, postawił na ziemi dyszącego inżynierka. Chłopak osunął się na kolana i parę chwil tylko łapał oddech. W końcu machnął ze złością na próbujących go podnieść drwali i skinął na brygadzystę.

– Włączaj pan – wychrypiał.

Wstał i zataczając się, dopadł urządzenia. Przełożył dźwignię i maszyna parowa zaczęła obracać pasem napędowym. Z hurgotem, bzyczeniem i zgrzytem bębny ścierające zaczęły się obracać coraz szybciej i szybciej. Jakub odepchnął chłopaka, złapał za jeden z krzywych konarów odrzuconych na kupę i wepchnął go w gardziel maszyny. Czuł, jak krew pulsuje mu w żyłach, jak huczy w tętnicach w rytm pracującej maszyny. W głowie mu wirowało, ale czuł się dobrze, ogarnęła go alkoholowa euforia. Stał przed maszyną i kiwał się na uginających się kolanach. Bębny miały z hukiem drewno, wyrzucały je z drugiej strony maszyny w postaci strugi wiórów.

– Dawajcie jeszcze – mruknął i uśmiechnął się z zadowoleniem.

To było coś, ta moc i potęga maszyny. Mógłby tak zmielić na wióry cały świat, kawałek po kawałku, łącznie z Eufemią i dworem, a przede wszystkim z pamiątkami po Krzyśku. Zaśmiał się i wepchnął w gardziel kolejny kawał drewna. Nagle kaszlnął i splunął różową pianą. Coś było nie tak, gorąco alkoholu za bardzo paliło w trzewiach, jakby trawiło go od środka. Pulsowanie w żyłach niemal rozsadzało mu głowę. Przymknął oczy jedynie na chwilę, ale to wystarczyło. Stracił równowagę i poleciał w przód.

– Jezu! – krzyknął tylko, próbując złapać się osłony, której nie było, bo nie pozwolił jej zamontować.

Wirujące bębny chwyciły jego ręce i zmieliły na krwawą miazgę. Chwilę później żelazne ostrza zmiażdżyły głowę Jakuba i wypluły jej resztki z drugiej strony maszyny jako fontannę krwi. Krystian doskoczył do urządzenia i wyłączył napęd awaryjnym przełącznikiem bezpieczeństwa. Drwale zamarli ze zgrozy i gapili się w oszołomieniu na podrygujące nogi i okrwawiony korpus dziedzica wystający z gardzieli maszyny.

– Trzeba słać po księdza – oznajmił brygadzysta w ciszy, jaka zapadła. – I do dworu, niech ktoś idzie i powie, co zaszło.

Nikt się jednak nie ruszył z miejsca.

* * *

Porucznik Żewłakow przyjechał do dworu konno w towarzystwie czterech żandarmów uzbrojonych w długą broń. Ada wpadła na chwilę w panikę, widząc ich na podwórku. Ochłonęła jednak szybko, wzięła się w garść. Zniszczyła buteleczkę, którą dostała od profesora Napoleona Milicera, jeszcze tego samego dnia po tragicznym wydarzeniu potłukła ją, a szkło cisnęła do pieca. Substancja, która znajdowała się w naczyniu, dobrze się rozpuściła w nalewce i nie zmieniła jej smaku, o to właśnie chodziło. Miała za zadanie podnieść ciśnienie krwi otrutego i spowodować wylew, ale chyba nawet nie zdążyła zadziałać. A może zdążyła, może to dlatego Jakub wpadł do maszyny? Tak czy inaczej, jego śmierć uznano za wypadek, kilkudziesięciu świadków widziało na własne oczy, jak pijany dziedzic wleciał do sieczkarki. Nikt nie został o nic oskarżony, nie było żadnych dowodów ani motywu. Musiała się zatem uspokoić, ochłonąć, nic złego ze strony żandarmów im nie groziło.

Eufemia, ubrana w żałobną suknię, wyszła powitać Żewłakowa. Rozmawiali na podwórzu, Ada w tym czasie zbierała się na odwagę, w końcu wyszła i dołączyła do przyjaciółki. Żandarm tylko skinął jej głową, po raz kolejny powtarzał coś wyraźnie oburzonej Eufemii.

– Proszę się nie obawiać, na pewno wszystko się wyjaśni – mówił. – Proszę współpracować i nie utrudniać nam czynności.

– Już dobrze, dobrze. – Pokiwała głową, – Niech panowie wejdą, przejdźmy do gabinetu mego męża.

Wskazała im drogę, pochyliła się do Ady i szepnęła jej na ucho:

– Przyszli po księgi rachunkowe tartaków. Jakub nie dopełnił jakichś podatkowych formalności, za to wystawiał weksle bez pokrycia. – Oczywiście miała szeroko otwarte ze strachu.

Ada odetchnęła w duchu, zatem nie chodziło o śledztwo w sprawie śmierci Jakuba, ale o jakieś jego finansowe niedopatrzienia i zaniedbania. Przynajmniej tyle, nie wylądają za kratami, choć to faktycznie one dwie go zabiły. Czy może raczej pomogły odejść mu z tego świata? Razem wsypały truciznę do alkoholu, wzięły to na własne sumienia. Ale to na szczęście nie

o to żandarmom chodziło, za to Jakub zostawił żonie na pamiątkę inną niespodziankę.

Żandarmi weszli do pokoju dziedzica i zaczęli przetrząsać biurko i regały. Ada poprosiła kucharkę, by zajęła się dziećmi, ale w drzwiach stanął dziadek Dominik, na szczęście tym razem nieuzbrojony. Marszczył groźnie brwi, patrząc, jak żołnierze otwierają sekretarzyk i wyjmują zeń dokumenty. Żewłakow na miejscu je przeglądał i co ciekawsze odkładał na osobną kupkę do zabrania. Wylądowały też na niej wspomniane księgi rachunkowe i zupełnie prywatne listy.

– Zaraz, ale to korespondencja z rodziną – zaproponowała Eufemia.

– Warto sprawdzić, czy nie wyprowadził pieniędzy między krewnych, zamiast uiścić stosowny podatek – odparł Żewłakow. – Przystępstwa gospodarcze są równie niebezpieczne co polityczne i niewiele łagodniej traktowane. Tak czy inaczej, śmierdzą kryminałem.

– Daj pan spokój, poruczniku – wtrącił dziadek. – Jakub nie był jakimś podstępny strategiem, tylko zwykłym pijakiem. Może wystawił listy zastawne i obciążył hipotekę majątku, tego bym się mógł po nim spodziewać, ale nie jakichś machlojek.

– Też mam taką nadzieję, że jedynie zagubił się przez zbytnie ciągoty do alkoholu – odparł oficer. – Wszystko się wyjaśni, proszę się nie martwić. Niestety póki co zabieram te dokumenty. Obawiam się również, że muszą państwo spodziewać się w najbliższych dniach odwiedzin komornika. Magazyny i tartaki zostaną opieczętowane i zamknięte do wyjaśnienia.

– Ale zaraz! To nas pozbawi intraty! – wybuchnął dziadek. – Fabryki muszą rznąć drewno, inaczej gównu zarobimy. A i nasi drwale nie dostaną zapłaty. Co będą żarły ich dzieciaki? Korę z drzew? Nie wolno wam zamykać tartaków!

Ada ujęła staruszka pod ramię, by w razie czego odciągnąć go od żandarma.

– Wolno nam zamykać podejrzane interesy. Wolno nam o wiele więcej i lepiej niech pan się uspokoi, chyba że chce spędzić kilka nocy w lochu. No, to dziękuję za współpracę, tyle nam chyba wystarczy.

Kiedy żandarmi wskoczyli na konie i odjechali, Eufemia poprosiła kucharkę o zrobienie mocnej kawy, bo głowa zaczynała ją boleć. Potem razem z Adą usiadły do papierów, które trzymała w swoim biurku. Na szczęście żandarmom nie przyszło do głowy, by sprawdzić buduar, nie

wiedzieli, że tartakami zajmuje się także, a może przede wszystkim, pani domu. Kto by dopuścił babę, w dodatku w ciąży, do rządzenia?

– Niech to piekło pochłonie, przez to wszystko zaniedbałam prowadzenie rachunków. Jakub uparł się, że on zajmie się podatkami. – Westchnęła, wertując książkę przychodów i strat. – Nie przyszło mi do głowy, że mogłby z tym coś namieszać, szczególnie że – jak wiesz – był nad wyraz praworządny, bał się caratu niczym ognia. Co też mu strzeliło do głowy?

– Z zapisów nic nie dasz rady wywnioskować?

– Nic tu nie widzę, ale to część, którą ja prowadziłam, a zatem poukładana i bez niespodzianek. Jakub nie odprowadzał pieniędzy z bieżących obrotów, po prostu nie zapłacił podatku. Ale jestem pewna, że pieniądze na niego wziął. Co zatem z nimi zrobił?

– Czy to duża kwota?

– Kilka tysięcy rubli.

– To raczej nie przepił, nie dałby rady. – Ada pokręciła głową. – Co robimy?

– Czeka mnie jeżdżenie po urzędach i odbijanie się od drzwi do drzwi. Zanim machina urzędnicza ruszy i odblokuje nam tartaki, mogą upłynąć miesiące. Trzeba to przyspieszyć.

– Pomogę ci, sama nie dasz rady z domem, dziećmi, interesami i carskim urzędem podatkowym – zdecydowała Ada. – Jakiś czas poradzą sobie w Warszawie beze mnie.

* * *

Pogrzeb Jakuba nie przyciągnął takich tłumów jak pochówek Krzysztofa, przyszła właściwie tylko najbliższa rodzina i garstka pracowników oraz okolicznych mieszkańców. Ada stała nad mogiłą z rosnącą niecierpliwością. Nie czuła ani żalu, ani wyrzutów sumienia, właściwie tylko ulgę, że ten koszmar zaraz minie. Gdy modły się skończyły i można było odejść, poczuła, jak spada z niej jakiś ciężar. Kiedy wyszli z cmentarza, niespodziewanie Adę otoczyła gromada dzieci. Przyzwyczajona do warszawskiego życia myślała, że to żebracy proszący o wsparcie. Ze zdumieniem zorientowała się, że wszystkich zna. To byli jej uczniowie z leśnej szkółki, pojawiło się ich tu kilkanaścioro i cała ta czereda nie kryła zachwyty, że znów widzi swoją nauczycielkę. Guwernantka miała oczy

pełne łez ze wzruszenia, pamiętała dobrze każdego z wychowanków i była zdumiona, że tak bardzo wyrosli.

– Józek i Franek poszli do gimnazjum, psze pani – tłumaczyła jej jedna z dziewczynek. – Do Łowicza, gdzie mieszkają w bursie. Parafia co miesiąc robi zrzutkę na chesne dla nich.

– A Gabryś od Plewniaków chce iść do seminarium, uczy się w szkole w Bolimowie – dodał potargany chłopak. – My też próbujemy nie zapomnieć, książki czytamy, jak się czasem jaką uda pożyczyć. Zwykle jeden czyta na głos, a reszta słucha. Z pisaniem nieco gorzej idzie, nie ma czasu, by ćwiczyć, robota czeka. No i skąd papier brać, stalówki, atrament? Ale nauka w las nie poszła, często są my jedyne w rodzinie, które potrafią czytać i się podpisać.

– Wróciła panna, by dalej nas uczyć? – dopytywała się pierwsza dziewczynka. – Teraz będziemy trzymali to w wielkiej tajemnicy, nikt się nie dowie.

– Możemy przysiąc na Boga i Święty Krzyż – dodał szczerbaty i bosy chłopaczek. – Nikt nikomu nic nie powie, a szpicli carskich my wyczuwamy na wiorstę i psami poszczujemy.

– Bardzo się cieszymy, że pani do nas wróciła. Bardzo! – wrzeszczały młodsze dzieci, podskakując z emocji i radości.

Adzie od tego gadania jedno przez drugie oraz szarpaniny, bo każdy uczeń próbował ją objąć i przytulić, zakręciło się w głowie. Eufemia obserwowała to z boku, nic nie mówiąc. Kiedy w końcu się uwolniły i wsiadły do bryczki, dzieciaki jeszcze goniły ich kawałek, wznosząc okrzyki i wiwatując na cześć Ady.

– Teraz rozumiem – powiedziała Eufemia. – Takie chwile warte są ryzyka. Wasz wysiłek, twój i Andrzeja, nie poszedł na marne. Musisz mu o tym napisać, że trud zaczyna przynosić owoce.

– Ech, owszem, bardzo to miłe, ale wolałabym, by Andrzej był tutaj, a nie tysiące wiorst stąd harował w polu. – Ada uśmiechnęła się krzywo i posadziła Adasia sobie na kolanach. – O ponownym otwieraniu szkółki oczywiście nie ma mowy. Kiedy tylko uporządkujemy twoje sprawy, wracam do miasta. Tam na mnie czekają.

Eufemia spojrzała na nią z ukosa.

– Na pewno czekają? – spytała. – Wiem, że masz tam przyjaciół, uczennice i profesorów, tajemne sprawy i doniosłe zadania, ale czy

naprawdę nie czujesz, że tu jesteś potrzebna bardziej? Tutaj twoja praca i wysiłek przyniosą więcej dobrego.

– Bierzesz mnie pod włos, co? – Ada parsknęła śmiechem, ale szybko spoważniała. – Nie zapomnij, że studiowałam psychologię i socjologię, nie tak łatwo mną manipulować. Domyślam się, że chcesz znów mnie przy sobie zatrzymać. Tylko czy jestem ci potrzebna jako asystentka, pomoc domowa, guwernantka czy jako kto właściwie? Bo nie da się ukryć, że trudno nazwać naszą relację przyjaźnią.

– Och, Donio... Tak dobrze nam się układało i wszystko się ciągle komplikowało. A to wyłącznie przez mężczyzn i nie zapominaj, że też miałaś w tym swój udział. To chyba ty uwiodłaś mi męża? Może nie celowo, może niechcący, ale dość boleśnie uderzyło to w naszą przyjaźń. Przypomnij sobie, że mimo to cię nie odtrąciłam, wręcz przeciwnie. Zawsze okazywałam ci dobrą wolę, choć nie zawsze na to zasługiwałaś.

Ada zagryzła wargę, bo niestety musiała się zgodzić z dziedziczką. Uwiodła jej męża, potem sąsiada, narażała dzieci i całą rodzinę, prowadząc za jej plecami nielegalną szkołę. Nie dało się ukryć, że była jej dłużna i powinna się jakoś odpłacić. No cóż, trwało jeszcze lato i miała wolny czas. Mogła kanikułę spędzić w Chojniakach i spróbować ułożyć swoje relacje z dziedziczką.

* * *

Pod koniec sierpnia noce i poranki zrobiły się chłodne, w powietrzu czuć już było nadciągającą jesień. Ada lubiła ten okres, choć kojarzył się nieodparcie z przemijaniem. Odchodzące lato przypominało o tym, że wszystko się kiedyś kończy, najpiękniejszy kwiat zwiędnie, a liść zżółknie i uschnie. Tak samo kiedyś musiała przeminąć i jej młodość, ale na razie niespecjalnie się tym martwiła. Miała dwadzieścia siedem lat i szmat życia przed sobą, w tym wieku mało kto myślał o przemijaniu. Jesień była dla niej zatem głównie okresem łagodnego ciepła, pięknych kolorów, złocenia się i dojrzewania.

Rankiem w dniu, kiedy miały pojechać do magistratu w Łowiczu, by wyjaśniać sprawę zaległych podatków, guwernantka obudziła się pełna energii i ochoty do życia. Ucałowała synka, który miał zostać z Jadzią i Alą we dworze, po czym wskoczyła do bryczki, w której już czekała Eufemia. Nie musiały tym razem same powozić ani wcześniej zaprzęgać koni.

Dziedziczka wyгнаła precz zapijaczonych bandziorów, których zatrudnił Jakub, i przyjęła na ich miejsce z powrotem Poldka i Lolka, zaufanych ludzi, którzy znali w gospodarstwie każdy kąt i każde zwierzę. Obaj wrócili bardzo chętnie, bo dziedziczka nie skąpiła im grosza. Szczególnie Poldek się cieszył, bo dopiero co pobrał się z podkuchenną Kachną, która już chodziła z brzuchem. W okolicy nie było lepszej roboty niż u dziedziców, chłopak ściągnął zatem ze sobą jeszcze dwóch braci Kachny, którzy najęli się jako stajenni.

Pozostawało zatrudnić dziewczęta do sprzątania, pomocy w kuchni i gospodarstwie, a dwór znów odzyska dawny blask, wypełni się śmiechem i gwarem. Eufemia nie ukrywała, że nie zamierza urządzać żadnej żałoby po drugim mężu. Chciała o nim czym prędzej zapomnieć. Jak na razie pewnego wieczoru wyniosła wszystkie jego ubrania i osobiste drobiazgi do wsi i rozdała ubogim wieśniakom. Od razu zrobiło się jej lepiej, ale droga do tego, by w pełni się uwolnić od koszmaru, była jeszcze długa. Przynajmniej zeszły jej z twarzy wszystkie sińce.

– Mam tu torbę z prowiantem na drogę wyrzucanym przez Alę. Księgę rachunkową, której nie zarekwirowali, i do tego kilka zwitków banknotów na łapówki. Chyba o niczym nie zapomniałam, prawda? No to ruszamy. Poldek, z kopyta, bo szkoda czasu – poleciła dziedziczka i oburącz chwyciła za swój naprawdę już wielki brzuch, jakby chciała go w ten sposób uchronić przed kołysaniem i wstrząsami.

Pojechali zgodnie z jej wolą szybko, byle prędzej dotrzeć do celu. Chciała zdążyć do urzędu przed przerwą obiadową. Urzędnicy bowiem pracowali tylko do południa, a potem rozchodzili się do domów na obiad, by wrócić po trzech lub czterech godzinach. Liczyła na to, że jeśli złapie ich głodnych i przyprze do biurka swoim wielkim brzuchem, uda się załatwić coś na miejscu i bez czekania na wypełnianie papierów oraz przekładanie ich z kupki na kupkę. Plan był dobry, nawet Ada musiała przyznać, że nic tak nie działa na nadętych biurokratów jak kobieta w ciąży, a jeszcze lepiej z dzieckiem na ręku. Zrobią wszystko, byle się jej jak najszybciej pozbyć, nawet pomogą załatwić to, po co przysłała, i to bez łapówki.

Bez przeszkód dojechali do Bolimowa, gdzie Poldek napoił konie i dał im chwilę odpocząć. Panie w tym czasie przeszły się wokół rynku, ale w wiosce nie było zbyt wiele atrakcji do zwiedzania, nie licząc karczmy i jednego składu towarowego. Zajrzały tylko po drodze na cmentarz, gdzie

chwilę pomodliły się nad grobem Krzysia. Kiedy wsiadały do bryczki, Eufemia jęknęła i złapała się za brzuch. Machnęła jednak ręką.

– Uch, maluch się wierci i kopie – powiedziała. – Oby tylko nie urodził mi się taki narwaniec jak jego ojciec. Jedźmy, Poldek, szkoda czasu.

Parobek zaciął konie i ruszyli z kopyta w dalszą drogę. Trakt do Łowicza nie był oczywiście utwardzony, ale przynajmniej solidnie ubity. Mimo to koła co jakiś czas trafiały w koleiny i wtedy bryczka podskakiwała. Eufemia jęknęła kilka razy, aż w końcu Ada kazała woźnicy zwolnić i jechać ostrożnie, omijając wertepy. Poldek tylko pokręcił głową, jedna chciała szybko, druga wolno i dogódź tu kobiecie, człowieku.

– Och, boli! – jęknęła nagle Eufemia i chwyciła Adę za rękę. – A niech to, boli co parę chwil. Właściwie maluch już nie kopie, to skurcze. Na litość boską, oby to nie był poród!

Ada rozejrzała się ze zgrozą. Znajdowali się na jakimś odludziu, droga prowadziła wzdłuż łąk i nieużytków, nie widać było nawet pasących się krów, nie mówiąc o ludziach czy zabudowaniach.

– Poldek, galopem do najbliższej wsi – rzuciła i chwyciła Eufemię.

Woźnica posłusznie trzasnął biczem, ale po kilku chwilach pasażerkami tak rzucało po bryczce, że musiał zwolnić. Z Eufemii lał się pot, w dodatku nagle siedzenie pod nią zrobiło się mokre.

– Wody płodowe odeszły – załkała. – Zaczyna się. Zatrzymajcie powóz, będę rodziła. Ada, odbierzesz dziecko, a teraz pomóż mi zdjąć bieliznę.

– Jezu Chryste! Najświętsza Panienko, miej nas w swojej opiece – ze zgrozą mamrotał Poldek, żegnając się zamasyście.

– Nie gap się, ustaw wóz w cieniu, tam pod drzewami. Rozejrzyj się, czy nie ma w okolicy jakiegoś strumyka, przydałaby się woda, bo mamy tylko jedną manierkę. – Ada szybko zapanowała nad paniką.

Starła się przypomnieć sobie, co wie o porodach. Sama wszak jeden miała za sobą, widziała, co robiły pielęgniarce i położna w Przytułku Położniczym, gdzie na świat przyszedł Adaś. Przede wszystkim czystość, to była podstawa, którą wpajała wszystkim pani doktor Dobrska. Musiała zatem umyć ręce i to porządnie. Przydałby się kwas karbolowy do odkażania. Zajrzała do torby, w której miały prowiant i napoje. Manierka wody i mała flaszeczka z nalewką, wiele tym nie mogła zdziałać. Zużyć wodę na mycie rąk czy zostawić dla rodzącej do picia? Po chwili namysłu napiła się nalewki i podała ją także Eufemii.

– Za bardzo bólu nie złagodzi, ale łyk czy dwa ci nie zaszkodzą – powiedziała.

Poldek ustawił bryczkę pod rozłożystą starą lipą. Eufemia podciągnęła suknię i z pomocą przyjaciółki pozbyła się bielizny, ułożyła się jak najwygodniej na siedzeniu, wbiła spojrzenie w pochylone nad nią konary. Oddychała głęboko, równomiernie.

– Co mam robić, już przeć? – spytała. – Niby urodziłam trójkę, ale w takich sytuacjach traci się głowę.

– Przyj, rytmicznie, co kilka oddechów. Spokojnie, nic złego się nie dzieje. Nasze babki i prababki tak rodziły...

– I zwykle umierały w połogu – mruknęła dziedziczka – albo niedługo po nim od posocznicy lub wycieńczenia. Dobra, nie ma co biadolić, prę. Ach!

Ada trzymała ją za ręce, sama coraz bardziej spocona i zaogniona. Eufemia ma trzydzieści sześć lat, nie jest jeszcze taka stara, przeżyje – pomyślała ze zgrozą. Tylko co będzie, jeśli dojdzie do jakiegoś powikłania lub krwotoku? Co ja wtedy zrobię? A jeśli małe ułożyło się nie tak, jak trzeba? Co robić, co robić? Zajrzała między rozłożone nogi przyjaciółki, ale główki dziecka nie było jeszcze widać. Przybiegł za to zdyszany Poldek, po czym rozłożył ręce, nie znalazł ani wody, ani ludzi. Powiedział za to, że do najbliższego sioła, gdzie mieszkają smolarze, są jakieś dwie, może trzy wiorsty.

– Rozpal ognisko – poleciła Ada. – I rozgrzej nad ogniem ostrze noża, ile się da, nawet do czerwoności. Masz chyba przy sobie nóż? No nie. Co za chłop wybiera się do miasta bez noża?

– Nożyce – wydukał. – Pod siedzeniem woźnicy jest trochę narzędzi, w tym nożyce do przycinania chwostów.

– Nadadzą się, ale muszą być porządnie umyte i wypalone ogniem. Bierz się do roboty!

Parobek od razu nabrał werwy, bo przynajmniej wiedział, co ma robić, i poczuł się do czegoś potrzebny. Ada skupiła się na rodzącej. Musiała robić to samo, co robiła położna, to nie było takie trudne, oby tylko dziecko chciało gładko wyjść. Oddychała głośno razem z Eufemią, nadając jej rytm, i co kilka chwil komenderowała parcie. Po jakimś kwadransie obie wrzeszczały, jedna z bólu, druga z emocji. Poldek zapalił z rozmachem od razu cały stos nazbieranych gałęzi, aż w powietrze wzbił się słup dymu. Może ktoś zauważy i przyjdzie im z pomocą? Trudno jednak się

spodziewać, że jak spod ziemi pojawi się akuszerka, szybciej jakiś kłusownik lub pastuch.

– Umrę, na pewno tu umrę – dyszała mokra jak mysz od potu Eufemia. –

Słuchaj, Donia! Zaopiekujesz się mymi dziećmi, obiecaj! Sprowadź Piotra z tej cholерnej akademii żołdatów, przypilnuj, by Jadzia trafiła do dobrej szkoły, najlepiej tam, gdzie Ania. A jeśli małe, które się rodzi, przeżyje, nim też się zajmij. Będiesz powiernikiem ich majątku, dopóki nie osiągną dorosłości. Taka jest moja ostatnia wola! Poldek! Jesteś świadkiem!

– Tak jest, pani dziedziczko – rzucił parobek i cisnął do huczącego ogniska kolejny konar, jakby zamierzał urządzić przy okazji stos pogrzebowy.

Ada pokręciła głową, kazała się Eufemii zamknąć i przec, ile sił.

– Równy, na trzy. Raz, dwa i trzy! Przyj!

Czas płynął, Eufemia męczyła się coraz bardziej, powoli zaczęła opadać z sił. Na szczęście w rozwarciu pojawiła się główka dziecka, to był najważniejszy moment. Ada zaczęła wrzeszczeć na rodzącą, by zmusić ją do ostatniego wysiłku. Tak się obie darły, że z pobliskiego lasu wybiegły przerażone sarny. Dziecko niespodziewanie wysliznęło się z brzucha dziedziczki wprost w czekające ręce Ady.

– Nożyce! – rzuciła do Poldka.

Ten przyniósł je z rękojeściami owiniętymi we własną koszulę, którą zdarł z grzbietu.

– Tnij! – Ada wskazała pępowinę.

– Ja?

– Zanim przekażesz mi to rozgrzane żelastwo i oboje się poparzemy, miną niepotrzebne minuty. Rób, co mówię! – ostatnie słowa wychrypiała z trudem.

Nie musiała klepać dziecka, bo zachłysnęło się pierwszym oddechem i rozdarło płaczem wniebogłosy. Ada podwiązała pępowinę, owinęła maleństwo w chustę należącą do Eufemii i podała jej niemowlę.

– Dziewczynka – wychrypiała guwernantka. – Silna i zdrowa.

Dziedziczka odetchnęła z ulgą, tuląc dziecko. Ada obserwowała ją z niepokojem, na szczęście nie doszło do krwotoku, matka, choć już nie taka młoda, zniosła poród całkiem nieźle. Ada usiadła ciężko obok niej i wypła duszkiem resztę nalewki. Chciała jeszcze powiedzieć, że zdecydowała się zostać w Chojniakach na dłużej, że chyba rzeczywiście to

jest jej miejsce, ale okazało się, że od wrzasków całkiem straciła głos.
Przytuliła się zatem do Eufemii i jej dziecka.

Rozdział 10

*Gdziekolwiek wypadnie mi żyć,
o! – być sobą wobec wydarzeń.
I stawiać czoło nocy,
burzom, głodom, śmieszności,
przypadkom i zawodom tak,
jak to czynią drzewa i zwierzęta.*

Walt Whitman (1819–1892), *Niewzruszenie* (tłum. Włodzimierz Lewik)

Piotr Kęszycki późną wiosną 1888 roku skończył szesnaście lat. Wracił do kraju koleją petersburską po raptem dwuletnim pobycie w korpusie kadetów. Z wielką ulgą zdjął uczniowski mundur i zostawił złożony na swoim łóżku w koszarach. Nie zamierzał już nigdy więcej zakładać żadnego uniformu, a szczególnie rosyjskiej armii. Wbił się w swój przymały surdut i za krótkie spodnie, ale w nosie miał to, że wygląda śmiesznie. Czuł się wolny i tylko to się liczyło. Patrzył przez okno na przesuwany się krajobraz, od czasu do czasu zasnuwany dymem wałącym z komina lokomotywy, i śmiał się do siebie w duchu na wspomnienie swoich marzeń sprzed paru lat. W głowie mu się obecnie nie mieściło, że kiedyś aż gotował się z niecierpliwości na to, by zostać żołnierzem i wyruszyć na wojenkę, po chwałę i sławę. Wystarczyły dwa lata w wojskowej szkole, dokąd wysłał go ojczym wbrew woli matki, by chłopak skutecznie wyleczył się z podobnych pragnień, i to do końca życia.

Noclegi na twardej wojskowej pryczy w zimnych koszarach, pobudki o bladym świcie i poranne rozruchy, czyli bieganie wokół pogrążonych we mgle lub skąpanych deszczem budynków. Musztry, służby wartownicze i w kuchni, wychowawcy surowi i twardzi jak rzemień, kary chłosty i klęczenia na kamieniach, nieustanny głód i chłód, poczucie osamotnienia i beznadziei, wieczne niewyspanie i wrogość kolegów, którzy mieli go za gorszego, bo pochodził z Polski. Aż dziw, że wytrzymał tak długo. W każdym razie dopiero niedawno doszło do tego, że rzucił się z pięściami na dowódcę drużyny, czyli starszego kolegę, gdy ten kazał mu szorować latrynę własną koszulą i śpiewać przy tym pieśń chwalcącą cara. Piotruś sprzął go, po czym wsadził mu głowę do dziury kloacznej i na odchodne kopnął w tyłek. Kiedy stanął przed sądem dyscyplinarnym, nie okazał

najmniejszej skruchy. Odsiedział dwa tygodnie w karczerze, a następnie został wyrzucony ze szkoły. Przyjął ten wyrok z prawdziwą ulgą.

W końcu wrócił do Polski. Kiedy wyskoczył z pociągu na warszawskiej Pradze, gdzie kolej petersburska kończyła bieg, miał ochotę ucałować ziemię. Zanim jednak zdążył wcielić w czyn ten pomysł i wykonać teatralny gest, wpadł na jakiegoś chudego jegomościa, który stał jak kołek i gapił się przed siebie w oszołomieniu czy może w niemym zachwycie. Podtrzymał go i przeprosił machinalnie, chciał też czym prędzej odejść, by uniknąć jakiegoś z nim konfliktu, i wówczas zorientował się, że zna tego człowieka.

– Ksiądz Andrzej? Ksiądz Kossowski, to pan? – spytał szczerze zdumiony.

– Piotruś? Na litość boską, urosłeś chyba o dwa łokcie, odkąd cię ostatnio widziałem! – Ksiądz wziął go w ramiona i poklepał mocno.

Chłopak ledwie go poznał, bo ksiądz nie nosił zwyczajowej sutanny, ubrany był w skromny cywilny strój, w dodatku bez kapelusza. Poza tym znikły jego gęste włosy, duchowny nosił bardzo krótką fryzurę, jak przystało na skazańca. W więzieniu takie cięcie było pragmatyczne i poza tym wymagane przez władze, bo pozwalało opanować inwazję wszy i uchronić się nieco przed epidemiami tyfusu. Poza strojem i łysą głową był bardzo wychudzony i przez to wyglądał starzej. Piotrek też w wojsku nie nabrał ciała, wręcz przeciwnie, tyle że go mocno wyciągnęło. Obaj właściwie wyglądali jak strachy na wróble.

– Zatem wypuścili księdza... – Westchnął chłopak.

– Już po czterech latach, poszczęściło mi się. To za sprawą cesarzowej, Marii Romanowej, która ma zbawienny wpływ na charakter męża i często staje w obronie represjonowanych przez niego Polaków. Wybłagała u jowo wielichestwa amnestię dla skazańców więzionych za lżejsze przestępstwa. I udało mi się do nich zaliczyć. – Andrzej rozłożył ręce. – Poza tym nie jestem już księdzem, rok temu ostatecznie wystąpiłem ze stanu duchownego.

– A ja dopiero co wystąpiłem ze stanu wojskowego – odparł Piotrek. –

Wracam do domu, ciekaw jestem, jak wygląda moja nowa siostrzyczka, Mania. Ma już dwa latka, a ja jeszcze jej nie widziałem. Pora wracać do swoich i normalnego życia. A dokąd ksiądz... Dokąd pan się wybiera?

– Dokładnie w tym samym kierunku, chcę zobaczyć swojego syna, Adasia, którego nigdy nie widziałem.

Każdy złapał za własną torbę, obie były raczej lekkie, żaden nie wiozł do bliskich skarbów ani pamiątek z podróży. Wskoczyli do tramwaju konnego jadącego na drugą stronę rzeki i wysiedli przy Dworcu Wiedeńskim. Czekaając na pociąg, który miał zawieźć ich do Łowicza, jedli kiełbaski w dworcowym barze, potem jeszcze wypili po piwie, gapiąc się na podróżnych i opowiadając sobie, co spotkało ich ostatnimi laty. Rozmawiali dalej w wagonie, a właściwie snuli plany na następne lata. Piotrek chciał pójść do jakiejś cywilnej szkoły i studiować nauki inżynieryjne przydatne w przyszłości.

– A co ksi... Co pan będzie robił? – spytał.

– Przestań mi mówić pan. Myślę, że łączy nas taka zażyłość, że możemy zwracać się do siebie po imieniu. – Wyciągnął rękę do chłopaka, by przypieczętować przejście na ty, co było nie lada wydarzeniem towarzyskim, szczególnie wobec kogoś tak młodego. – Czym się może zajmować były ksiądz? Mam przygotowanie z filozofii, teologii, logiki i retoryki. Myślę, że jednak najlepiej nadam się na rolnika. Te zdolności z seminarium na niewiele przydały mi się na Syberii, za to sporo nauczyłem się od zakonników, którzy zajmują się tam uprawą ziemi.

– Hm, mimo wszystko wydaje mi się, że kiedy człowiek starannie wykształcony zajmuje się pracą fizyczną, to całe społeczeństwo coś traci – oznajmił chłopak. – Tak jakby te lata pracy nauczycieli trafiły do kosza.

– Ależ skąd! Nauka nigdy nie idzie na marne. Poza tym nie ma nic złego w pracy organicznej, w uprawianiu ziemi czy hodowli zwierząt. Nawet człowiek starannie wykształcony powinien od czasu do czasu popracować, poczuć ból mięśni i satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. To uczy szacunku, zrozumienia dla prostego człowieka, a zatem czyni nas lepszymi.

– Jakbym słyszał pannę Donię – parsknął chłopak. – Myślicie tak samo, pasujecie do siebie.

– Myślisz, że będzie mnie jeszcze chciała? – Andrzej podrapał się po szczecinie na głowie. – Nie mam jej właściwie nic cennego do zaoferowania prócz swojej osoby. A niezbyt wytwornie wyglądam, chudzielec i ułaskawiony skazaniec, słaby ze mnie materiał na męża.

– Kto wie? Nie znam się na kobietach. Prócz siostr nie miałem bliższych znajomości, nad czym mocno ubolewam, ale z tego, co wiem, to po

kobietach można się spodziewać wszystkiego. Dosłownie wszystkiego...

Pociąg stukał rytmicznie, sapał i łomotał. Zbliżał się do Łowicza, a Andrzej czuł rosnącą tremę i niepokój.

* * *

Wiosna we dworze zawsze była okresem radosnym, a już szczególnie wówczas, kiedy rozpałała się gorącem i przechodziła w lato. Kończyła się nauka i Ada też powoli zamykała rok szkolny. Oficjalnie nadal była jedynie guwernantką u dziedziczki Eufemii *de domo* Fiszer, *primo voto* Kęszyckiej, *secundo voto* Klimkowej. Nieoficjalnie zaś znów zabrała się za tajne nauczanie, ale już nie tak amatorsko jak poprzednio. Pomna doświadczeń, które zdobyła w Latającym Uniwersytecie, urządziła coś na jego kształt, tyle że dla wiejskich dzieci.

Prowadziła zajęcia rotacyjnie, w różnych miejscach i zawsze dbała o to, by ktoś stał na czatach i obserwował okolicę. Lekcje odbywały się czasem w domku w Arkadii, ale głównie w chłopskich chałupach, w stodołach, a także zabudowaniach tartacznych, rzecz jasna, tym razem wszystko za zgodą Eufemii. Ada zawsze gotowa była zarządzić alarm, by dzieci rozbiegły się po lesie. Sama też miała w planach w razie czego zwać razem z nimi. Dla wprawy nawet od czasu do czasu ćwiczyli ewakuację. Guwernantka ogłaszała, że szpicle nadchodzą, a wówczas dzieciaki łapały zeszyty i pióra, po czym wiały, ile sił. Ada pędziła za nimi, często z kiecką zakasaną nad kolana. Śmiechu zwykle wtedy było co niemiara, a potem szukania się i zwoływania klasy. Aż pewnego razu najmłodszy uczeń schował się w koronie drzewa i nie mógł zejść. Ada musiała wezwać posiłki ze wsi i dzieciaka ściągali z góry oderwani od roboty mężczyźni.

Nikt jej jednak nie czynił wyrzutów, wśród miejscowych uchodziła za ze wszech miar zasługującą na szacunek i poważanie. Oczywiście plotkowało się, że ma dziecko z księdzem, ale wbrew pozorom nie wiązało się to z potępieniem. Na wsiach od zawsze liczone się z tym, że księdzu należy wiele wybaczyć, także spłodzenie dzieciaka tej czy owej babie. Nie było w tym nic niezwykłego, tak samo jak w tym, że panny z dzieckiem zdarzały się nader często w każdym środowisku. Adę traktowano niemal jak świętą za to, że ryzykowała tylko po to, by uczyć dzieci. Wiedziano, że wiele już złożyła na ołtarzu edukacji i poświęcała własne dobro oraz szczęście. Gadało się, że była kimś ważnym w samej Warszawie, że robiła tam karierę

naukową i znano ją w środowisku profesorów, naukowców i pisarzy. Była niewątpliwie kobietą uczoną i światową, zatem to, że chciało się jej wbijać do łbów wiejskich dzieci podstawy, zasługiwało na wielki szacunek. Tylko niektórzy gadali, że musi być szalona, a przynajmniej poważnie stuknięta, skoro zdecydowała się na coś takiego. Chłopi jednak zdejmowali przed nią czapki i kłaniali się w pas chętniej niż przed dziedzicami czy proboszczem. Dzieci przynosiły jej w imieniu rodziców różne prezenty, głównie własnego wyrobu albo upolowane, oczywiście nielegalnie, zwierzęta.

Już po przyjściu na świat Marii Klimek, kiedy musiała na jakiś czas przejąć komendę nad Chojniakami, bo Eufemia po porodzie chorowała i długo dochodziła do siebie, Ada utwierdziła się w przekonaniu, że jednak chce zostać na wsi. Kochała nadal swoją Warszawę, tęskniła za przyjaciółkami, studiami i profesorami, ale zdawała sobie sprawę z tego, że tu jest bardziej potrzebna, a jej życie pełniejsze i jaśniejsze. Pracowała zatem ciężko, uczyła, pomagała w gospodarstwie, czytała i pisała listy. I czekała. Nie wiedziała do końca na co, ale przeczuwała, że wreszcie spotka ją tu pełnia szczęścia. Zasłużyła sobie wszak na nią.

Tego dnia wracała po lekcjach do domu konno, jadąc w siodle. Nauczyła się tej sztuki dopiero rok temu, ale szło jej coraz lepiej. Kiedy wybierała się w podróż wierzchowcem, zakładała spodnie, specjalnie w tym celu uszyte bryczesy ze skórzanymi wszywkami na udach i łydkach, by się nie obcierały. Niektórym włościanom trudno było znieść widok kobiety w częściowo męskim ubraniu, ale miała to w nosie. Przywykła już, że traktowana jest czasem jak ekscentryczka, a czasem jak wariatka. Liczyły się dla niej wygoda i możliwość dotarcia do uczniów szybko i bez przeszkód. Miało to znaczenie szczególnie zimą i po roztopach. Nie chciała znów wpakować się dwukólką w jakąś legendarną kałużę ani utonąć w rozlewisku. Poza tym na koniu łatwiej było zwać przed żandarmami, szczególnie że wozila ze sobą torbę pełną podręczników i przyborów do pisania.

Teraz panowało niemal lato, o bagniste kałuże nie musiała się martwić, ale i tak nie przesiadła się do bryczki. Prócz bryczesów miała na sobie jeździeckie buty, białą koszulę i słomkowy kapelusz z szerokim rondem. Mimo że uchodziła za osobę nietuzinkową, nie szarżowała w podróży, jechała statecznie, konik kroczył stępą. Pamiętała o tragicznym losie siostry dziadka Dominika, która skręciła sobie kark, bawiąc się w galopady. Ada

miała nie tylko misję edukacyjną do wypełnienia, w domu czekał na nią przecież czteroletni synek. Adaś rósł jak na drożdżach, był ruchliwy i wszystkiego ciekawy. Zwykle sama się nim zajmowała, a kiedy uczyła, przebywał pod okiem niani zajmującej się małą Marysią.

Wyjechała z lasu na łąkę należącą do jej rodziny, jak zaczęła już myśleć o Kęszyckich, zupełnie jakby stała się częścią rodu. W oddali pasło się kilka krów, przez łąkę zaś biegła droga, która była właściwie tylko wyjeżdżonymi przez wozy pasami ziemi przecinającymi morze trawy. Środkiem dróżki, blokując guwernantce drogę, szło dwóch włóczykiów. Jeden miał nawet dobytek w postaci torby powieszanej na kij, który trzymał oparty o ramię. Na tymże drągu kiwały się także jego buty, a on sam szedł boso. Drugi oberwaniec również wyglądał na ubożego wędrowca, na obu z nich ubrania wisały jak na strachach na wróble.

Ady nie zaskoczył widok włóczęgów, do dworu trafiali tacy raz na jakiś czas. Zdarzało się, że na łące zatrzymywał się cygański tabor, przychodzili obwoźni handlarze tandetą, szlifierze noży i druciarze garnków, raz nawet dotarł do Chojniaków kataryniarz z małpką. Nie wzbudzili zatem jej zdziwienia, ale musiała mieć się na baczności. Samotna kobieta, dodatkowo w ustronnym miejscu, a do tego dwóch obdartusów – to się mogło różnorako skończyć. Zastanawiała się, czy nie minąć ich bokiem, kiedy jej konik zarżał i obaj mężczyźni się odwrócili.

Zatrzymała zwierzę w miejscu, gwałtownie ściągając wodze. Czuła, że serce zaczyna jej walić, a na policzkach wykwita rumieniec. To był on, wychudzony, ogolony niemal na łyso i w łachmanach, ale on. Pisał ostatnio dwa miesiące temu, że mówi się w obozie o amnestii załatwionej przez carycę, ale potem zamilkł. A teraz stał tam, raptem na wyciągnięcie ręki, i patrzył na nią, jakby też nie wierzył własnym oczom. W końcu rzucił tobołek na trawę i podszedł trochę niepewnie. Zsunęła się z siodła, wpadając wprost w jego ramiona. Objął ją i przycisnął mocno, pocałował go w usta. Tkwili tak na środku ukwieconej łąki wczepieni w siebie, jakby nie chcieli nigdy się puścić.

– Chyba jednak go zechce – mruknął do siebie Piotrek, który po paru chwilach zaczął się niecierpliwić.

Spojrzała na chłopaka, którego też nie widziała od czterech lat, i się roześmiała.

– Zostawiłam pulchnego chłopczyka, a tu widzę jakiegoś chudego jak kij młodzińca. Chodź, Piotrusiu, do swojej nauczycielki, nie bój się, nie zadam ci zadania z arytmetyki, chcę cię tylko dotknąć i przytulić!

Chłopak też się roześmiał i porwał ją w ramiona, po czym podniósł na chwilę i zakręcił się na pięcie. Zapiszczała ze strachu, chłopak był chudy, ale żyłasty i silny. Wojsko jednak go wyćwiczyło i przynajmniej dało tężyznę fizyczną.

Złapała Andrzeja za dłoń i ścisnęła mocno, by przypadkiem jej nie uciekł lub nie zginął. Piotrek prowadził konia za wodze, a ona swojego odzyskanego cudem mężczyznę. Przeszli tak przez łąkę i po paru minutach dotarli na tyły gospodarstwa, od strony ogrodów. Niania siedziała tu z dziećmi na kocu rozłożonym pod starą jabłonią. Na widok zbliżającej się mamy Adaś z wrzaskiem rzucił się ku niej biegiem. Mała, nieco ponad dwuletnia Mania ruszyła za nim trochę niezdarnie i od razu zostając z tyłu. Adaś zatrzymał się jednak, widząc, że Ada trzyma za rękę jakiegoś nieznanego mężczyznę.

– Chodź, nie bój się. – Machnęła do niego. – Poznaj, Adasiu, to twój tata.

Oczy chłopczyka zrobiły się wielkie i okrągłe. Tkwił w miejscu, nie mając pojęcia, jak zareagować. Obcy człowiek nadal pozostawał obcy, a słowo tata nic dla dziecka nie znaczyło. Andrzej się nie wahał, klęknął przed Adasiem i dotknął go, uśmiechając się przez łzy.

– Witaj, synku – powiedział i wziął chłopca na ręce, po czym posadził go sobie na barana.

Adaś aż westchnął z zachwytem, patrząc na świat z wysoka. Teraz już w ogóle nie bał się tego nowego pana, który nazywał go synkiem. W tym czasie Piotrek klęknął przed małą Manią i wyciągnął do niej rękę.

– Cześć, siostrzyczko – powiedział. – My się jeszcze nie znamy.

Mała pisnęła i pędem pognąła do niani. Chłopak pokręcił głową, ale uśmiechnął się krzywo.

– Wszystkie dziewczyny mnie tak traktują – mruknął.

– Wydaje mi się, że to się niedługo zmieni – pocieszyła go Ada. – Lada chwila zamienisz się w kawalera, na którego wszystkie będą zerkały.

– Wierzę na słowo, panno Donio. Pani nigdy się nie myli – odparł, po czym wszyscy poszli przywitać się z Eufemią.

* * *

Eufemia siedziała przy biurku pochylona nad papierami, z głową opartą na rękę. Drugą dłonią machinalnie przesuwiała koraliki w liczydło, ale jakby tego nie robiła i tak brakowało na spłatę zobowiązań wobec Izby Skarbowej. Kłopoty trwały od dwóch lat, odkąd okazało się, że Jakub nie odprowadził stosownych podatków. Od tamtej pory jej interesy wpadły w maszynę biurokratyczną, która międlila je i międlila, wciąż zasypując Eufemię pismami i ponagleniami. Nachodzili ją też komornicy i sekwestratorzy, czyli urzędnicy podatkowi. Już sześć razy zamykali i pieczętowali jej tartaki, jak się okazywało niepotrzebnie lub w przypływie nadmiernej służbistości. Dziedziczka musiała potem jeździć po urzędach i całować klamki kolejnych gabinetów. Skutecznie obrzydzało jej to zarządzanie interesami i psuło nastrój. Nie mówiąc o tym, że ledwo przez to spinała budżet i balansowała na granicy bankructwa, zamiast robić konkretną intratę.

Ktoś zapukał do drzwi i po chwili do gabinetu zajrzał Piotrek. Uśmiechnęła się do niego i skinieniem zaprosiła do środka. Syn wrócił kilka dni temu, ale nadal nie mogła się nim nacieszyć. Jakby odzyskała coś zagubionego, z czego stratą zdążyła już się pogodzić. Powinna dawno zabrać go z tej wojskowej szkoły, ale w listach upierał się, żeby nie ingerować. Teraz zamiast chłopca stał przed nią młody mężczyzna.

– Mamo, widzę, że strasznie cię to trapi. Cały dzień ślęczysz nad tymi papierami – powiedział. – Chodź z nami na przejażdżkę, Ania właśnie siodła konie. Pojedziemy na piknik do Arkadii, odpoczniesz i odetchniesz świeżym powietrzem.

– Coś kombinujesz, czuję to – odparła. – Teraz mam nosa do tych spraw, zbyt długo pozwalałam się wodzić mężczyznom. Mów od razu: co wymyśliłeś?

Chłopak podrapał się po głowie trochę zmieszany, w końcu wskazał palcem na leżące księgi rachunkowe.

– Pan Popowicz się zestarzał i nie masz już z niego żadnego pożytku. Szczególnie w sprawach skarbowych jest do niczego, zawsze chyba był do kitu, tak szczerze mówiąc. Potrzebujesz kogoś nowego do pomocy, ale wiem, że nie przyjmiesz jej od mężczyzny, bo za bardzo się do nich, znaczy do nas, zraziłaś. Chciałem cię zatem wywabić z gabinetu, by tym papierom pod twoją nieobecność przyjrzał się mój znajomy.

– Znajomy? Co to za pomysł, oszalałeś? Obcy człowiek miałby mieć dostęp do naszych poufnych dokumentów i myszковать mi w biurku? – Groźnie zmarszczyła brwi.

– A jaki tam obcy. Chodzi o Andrzeja. – Chłopak machnął ręką. – Uważam, że to durnota największa pozwalać mu na zajmowanie się robotą przy koniach i łązenie z chłopami po polach. Człowiek wykształcony, o światłym umyśle, najął się u nas na świniopasa i koniucha. Ledwie mi się go udało namówić, by zajrzał w te papiery, nie psuj tego, mamó.

– Ksiądz zna się niby na rachunkowości?

– Nie wiem, ale liczyć umie. Niech zerknie, co ci szkodzi?

Eufemia z trzaskiem przesunęła wszystkie koraliki w liczydło i wstała gwałtownie od stołu. Miała dosyć, może rzeczywiście niech choć przez chwilę kto inny się nad tym pogłowi. Nie spodziewała się wcale, że ksiądz ogarnie jej korespondencję z Izbą Skarbową i Kasą Okręgową, bo był to chaos i bezsens, jakich świat nie widział. Ale z drugiej strony niech były klecha ma jakieś zajęcie umysłowe. Co jej szkodzi?

– Poproś go tutaj, nie będziemy bawili się w podchody. Pokażę mu co i jak – powiedziała.

Andrzej pojawił się po paru chwilach, czekał bowiem w kuchni, gdzie w międzyczasie obierał z Alą ziemniaki. Eufemia spojrzała krytycznie na mężczyznę, który wszedł do gabinetu: wysoki chudzielec z ogoloną głową wyglądał jak zwykły kryminalista, a nie inteligent. Czuć było od niego koźmi, wcześniej widocznie pracował w stajni. Ukłonił się jej z niepewną miną. Przeszła od razu do rzeczy. Pokazała mu kupkę z listami ponagłającymi i wskazała w księdze, gdzie zapisała kwoty wypłacone urzędnikom.

– Jeśli rozwiążesz ten węzeł gordyjski, z miejsca biorę cię na rządcę majątku – powiedziała. – Ja już mam tego dosyć, carscy kałamarze mnie wykończą.

Przebrała się, zabrała Manię i Jadzię, po czym wsiadła z nimi do bryczki. Anna jechała konno, tak samo jak Piotrek. Ala dała im jeszcze kosz z prowiantem przykryty ściereczką i pachnący z daleka świeżymi bułeczkami. Eufemia sama powoziła, szło jej to już jak zawodowemu wozakowi, oto jakich niespodziewanych umiejętności może nauczyć się człowiek, kiedy jest w potrzebie.

W Arkadii czekała już na nich Ada z Adasiem. Oboje zamiatali podłogę w domku, to znaczy maluch raczej kręcił się wokół trzymanej miotły i bardziej przeszkadzał matce, niż pomagał, ale przynajmniej się starał.

– Ty też jesteś w to zamieszana? – spytała Eufemia przyjaciółkę. – W plan Piotrusia?

– Nie wiem, o czym mówisz, ale jeśli omija mnie jakaś awantura, to jestem rozczarowana – odparła Ada.

Eufemia machnęła ręką, po czym sięgnęła po kosz piknikowy. Rozłożyli się na trawie w cieniu domku. Młodsze dzieci rzuciły się w gonitwę po łące, Piotrek z Anną zajęli się rozkładaniem specjałów naszykowanych im przez kucharkę. Ala zrobiła słodkie bułeczki z twarogiem, zapakowała też kurczaka na zimno, chleb, ser, marynowane w occie śliwki, ciasto i kawałek piernika. Chyba wszystko, co się jej w kuchni nawinęło, a do tego butelkę wina z wiśni i sok malinowy. Nie zapomniała rzecz jasna o talerzykach, sztućcach ani cynowych kubeczkach na napoje. Dzieci były pełne podziwu dla zapobiegliwości kucharki. Maluchy, kiedy porządnie się zmachały w pogoni za motylami i konikami polnymi, przyszły, by się najeść. Eufemia położyła się na wznak na trawie i patrzyła na przesuwane się chmury, starała się zapomnieć choć na chwilę o kłopotach z podatkami. Nadal nie mogła zrozumieć, dlaczego Jakub nie dopatrywał czegoś tak ważnego, ale do głowy przychodziło jej tylko tyle, że widocznie za dużo pił i zwyczajnie zapomniał. Tak czy inaczej, zamiast się rozluźnić i odpocząć od kłopotów, dalej się dręczyła. W dodatku wznoszący się opodal domek skutecznie ją rozpraszał i przypominał o drugim mężu.

Od dwóch lat próbowała wyrzucić z głowy wspomnienia z nim związane, ale wracały razem z echami strachu, poniżeń i bólu, jaki sprawiał jej wielki drab. A kiedy uświadomiła sobie, że to on doprowadził do śmierci Krzysia i zdobył ją jako trofeum, aż zaczynała zgrzytać zębami ze złości. Nic przez to nie odpoczywała, wręcz przeciwnie – czuła się coraz bardziej poirytowana. Po chwili usiadła, bo Mania chciała się do niej przytulić. Wzięła ją na kolana i pocałowała. Na szczęście córka nie przypominała ojca, fizycznie podobna była raczej do Eufemii, ładna dziewczynka z pucułowatą buzią.

– Jak to właściwie było z tym domkiem? – odezwała się Jadzia. – Nie pamiętam dokładnie, czemu ojczym, czemu Jakub go zbudował. Mała byłam, pamiętam tylko, że nam go podarował...

Eufemia już miała na końcu języka prawdę, już chciała powiedzieć dziewczynce, że Jakub zbudował domek niby po to, żeby odpokutować krzywdy uczynione Krzysztofowi, a w rzeczywistości chciał tylko wkupić się w jej łaski. Jedynie udawał szlachetnego, a naprawdę pragnął ją zdobyć, by dopełnić zemsty na wrogu. Zanim jednak wyznała to córce, odezwała się Ada:

– Twój pradziadek jako pierwszy zbudował tu domek, by mieć schronienie w czasie polowań. Znajdowało się tu pomieszczenie na trofea myśliwskie, miejsce do oprawiania skór i tym podobne. Zabierał do tego domku swego wnuka, twojego ojca, Jadziu. Krzysztof wspominał to miejsce jako to, które kojarzyło mu się najbardziej ze szczęśliwym dzieciństwem. Chciał zabierać tutaj was, a potem swoje wnuki. Niestety pierwszy domek spłonął, ot, przypadek, uderzenie pioruna lub iskra, która wyskoczyła z paleniska, zdarza się. Domku nie dało się długo odbudować ze względów prawnych, a i czasu nie starczało ani okazji, ale Krzysztof zawsze chciał go tu mieć z powrotem. Jakub go w końcu zrekonstruował na pamiątkę po zmarłym tragicznie przyjacielu. Sami pomagaliście, to z pewnością pamiętasz, dekorowałaś ściany razem z siostrą.

– Tak, pamiętam. Wówczas jeszcze ojczym zachowywał się normalnie, bawił się z nami, pozwalał nam na wszystko i chyba naprawdę go to cieszyło. Potem coś mu się odmieniło i zaczął wariować. – Jadzia pokiwała głową. – Zapamiętajmy lepiej to miejsce tylko z jaśniejszej strony, nie wspominajmy, co się potem stało z Jakubem. Niech to będzie szczęśliwe miejsce, nieskalane złością. Ja, kiedy tu jestem, zawsze mam ochotę malować...

Eufemia odetchnęła, nagle cała złość jej minęła, rozplynęła się niczym zły sen. Spojrzała porozumiewawczo na Donię, a ta mrugnęła jej w odpowiedzi. Obie wiedziały, że historia domku została uładzona i upiękaszona, a to po to, by niepotrzebnie nie psuć atmosfery, nie zanieczyszczać tego miejsca złymi emocjami. Niech dla potomnych zostanie na zawsze Arkadią, miejscem szczęśliwości i zabawy. Po co dzieci mają kojarzyć ją z mrokiem? Niech cieszą się życiem, słońcem i przytulnością tego domku. Wszystko, co złe, niech rozplynie się w przeszłości, zniknie w niej na zawsze i zostanie zapomniane.

– Masz rację. – Dziedziczka szepnęła guwernantce, kiedy zostały na chwilę same. – Jeśli przekazemy dzieciom prawdę, nie będzie z tego

żadnego pożytku, nie wyniosą żadnej nauki z tego, że to miejsce było kością niezgody między dwiema rodzinami, że działały się tu też rzeczy okropne, że Jakub najpierw je zniszczył, a potem odtworzył jako część swojej zemsty. Niech nikt o tym nie wie.

– Patrzmy tylko na jasne strony – przytaknęła Ada. – Mówmy młodym o tym, co piękne. Niech mają tu swój szczęśliwy azyl, a zło niech rozplynie się w mroku i zostanie pogrzebane.

Zagoniły dzieci do bryczki, kiedy już zapadał zmrok. Eufemia w końcu odetchnęła i zupełnie zapomniała o troskach, cały dzień bawiła się z dziećmi i opowiadała im wygładzone wersje rodzinnych historii. Wiedziała już, że właśnie takie przekaze je małej Mani i Adasiowi, a potem swoim wnukom, by dla następnych pokoleń Krzyś i Kuba zostali wielkimi przyjaciółmi, ludźmi szlachetnymi, towarzyszami broni i druhami, którzy zawsze wspierali się w potrzebie. Z tego przynajmniej będzie jakieś przesłanie i nauka. A i ona sama lepiej się poczuje, malując ich takimi w swojej pamięci. Kto wie, może za kilkanaście, kilkadziesiąt lat uwierzy, że tak właśnie było naprawdę?

* * *

Andrzej nie chciał opuścić gabinetu, uparł się, że będzie w nim pracował, dopóki wszystkiego nie uporządkuje i nie rozgryzie. Labirynt pozwów, nakazów i ponagleń piętrzył się teraz na kilku stosikach, ale równo ułożonych, do tego pojawił się spis wszystkich aktów, ale eksksjardz upierał się, że jeszcze daleka droga i czeka go masa pracy.

– Jest jednak światełko w tunelu – oznajmił Eufemii. – I stopniowo się powiększa.

– Oby się nie okazało zbliżającym się pociągiem, który nas rozjedzie – mruknęła, ale pozwoliła mu robić, co chciał.

Właściwie to ulżyło jej, że kto inny się z tym męczy, a ona może na chwilę zapomnieć o troskach. Z tej okazji sięgnęła na półkę po jeden z romansów, które już zaczęły pokrywać się kurzem. Nie robiła tego od kilku lat, nie miała czasu ani ochoty na wzniosłe przeżycia i rozkoszowanie się perypetiami wymyślonych panienek, zdradzanych żon i namiętnych kochanek. Tego wieczoru poczytała sobie trochę i złapała się na tym, że kręci głową ze zdumienia i zażenowania. Jakże kiedyś mogła emocjonować się takimi bzdurami? Przygody papierowych postaci, które nie miały nic

wspólnego z prawdziwym życiem, z bólem, troskami ani autentycznymi radościami. Odstawiła książkę na miejsce, dziwiąc się sama sobie. No cóż, obecna Eufemia chyba nie dogadałaby się z tą sprzed lat.

Andrzej siedział w papierach niemal cały tydzień, ale nawet przez chwilę nie miał wrażenia, że wykonuje syzyfową pracę. Parł do przodu, kartka po kartce, i stopniowo odgruzowywał księgową ruinę rodziny. Kiedy przedstawił Eufemii wyniki tych wysiłków, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Posegregował wszystkie papiery i ułożył z nich przejrzystą historię podatkową Chojniaków.

– Tu leżą pisma bezpośrednio z Izby Skarbowej – pokazał najmniejszą z kupek. – Tu z Departamentu Kas Państwa, te są z Kas Gubernialnych, te z Kasy Obwodowej. Waszą sprawę prowadzi równolegle trzech referentów, sześciu buchalterów, jedno kolegium Izby Skarbowej i jeden kaznaczej, czyli skarbnik. Nie wymieniają oni między sobą informacji, mielą tylko to, co od pani dostają. Przynajmniej trzech z nich kilka razy się pomyliło i zgubiło pani wpłaty. Ogółem w przeciągu ostatnich dwóch lat wpłaciła pani o dwieście dwadzieścia rubli za dużo, niż należy się skarbowi.

– O rety! Jak to możliwe? Wszystko zapisywałam.

– Referenci i buchalterzy wyciągali od pani pieniądze za to samo, możliwe, że nie każdy nawet przekazywał je do kasy i księgował – odparł Andrzej. – Spokojnie, zdaje się, że wiem, jak to wyprostować, ale będę musiał osobiście przejechać się do wszystkich tych urzędów. Trzeba w każdym z nich przedstawić urzędnikowi historię wpłat i zasugerować, że o wszystkim dowiedzą się w Ministerstwie Finansów, a szczególnie o rażącej niekompetencji i zaniedbaniach tych urzędników. Delikatna groźba, że delikwent wyląduje w więzieniu, myślę, że wiele może zdziałać. Tym razem żadnych łapówek, tylko rzeczowość i chłodne przedstawianie dowodów.

Eufemia doskoczyła do niego i złapała za rękę.

– Zrobi to pan dla mnie, panie Andrzeju? Zajmie się tym do samego końca?

– Oczywiście, choć najpierw będę musiał udać się do krawca i sprawić sobie ubranie. Nie mogę chodzić po urzędach w łachmanach, bo mnie nawet do nich nie wpuszczą...

– Pokrywam wszystkie koszty! Od dziś najmuję pana jako plenipotentą. Będzie pan reprezentował moje interesy i zajmie się finansami –

oświadczyła. – Wiem, że chciał pan parać się rolnictwem, ale na tym stanowisku jest pan bardziej potrzebny. Poza tym jako głowa rodziny musisz zadbać o zarobki, by utrzymać żonę i dziecko. Bo mam nadzieję, że lada chwila pobierzecie się z Donią? Zatem lepiej dla wszystkich będzie, jak moja przyjaciółka zyska męża piastującego reprezentacyjne stanowisko, a nie jakiegoś stajennego.

– Tak, oczywiście – wymamrotał eksksiądz. – To chyba oferta pracy, której nie mogę odrzucić.

Potrząsnęła energicznie jego ręką, pieczętując umowę, i odetchnęła z ulgą w duchu. Andrzej budził jej zaufanie, czuła, że będzie mogła na nim polegać. Następnego dnia sama zawiozła go do krawca i to aż do Łowicza. Przy okazji kupiła ubrania dla młodszych dzieci, Ania bowiem zaopatrywała się już sama, i to w Warszawie.

Najstarsza córka na lato przyjechała do domu. W drzwiach stanęła osiemnastoletnia absolwentka liceum, młoda kobieta o zaciętej minie i stanowczym postanowieniu, że jednak nie zamieszka na wsi. Już pierwszego dnia po powrocie oświadczyła, że jesienią wraca do miasta, gdzie będzie studiowała na Latającym Uniwersytecie, a do tego pracowała na swoje utrzymanie, rzecz jasna jako guwernantka.

Kiedy Eufemia to usłyszała, omal nie zaczęła wrywać sobie włosów z głowy. Zastanawiała się już, gdzie tu szukać dobrej partii dla Ani, czy może wydać ją za syna jakiegoś ziemianina z sąsiedztwa, by potem móc być stosunkowo blisko córki i wnuków. Ona zaś chciała być na posadzie w mieście, jakby pochodziła z ubogiej rodziny i nie miała innego wyjścia. Praca zarobkowa panny z dobrze sytuowanego ziemiańskiego domu? Toż to wstyd i sromota dla całej rodziny. Eufemia była skłonna zgodzić się na dalszą naukę córki, nawet nielegalną. Mało tego, chciała pokryć jej koszty utrzymania w mieście na czas studiów, ale Ania uparła się, że będzie tak samodzielna, jak tylko można. Dziedziczka zerkała z ukosa na Adę, która ledwie mogła powstrzymać śmiech.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – mówiła guwernantka, rozkładając ręce. – Widocznie atmosfera wolności, swobód osobistych i przekonanie o konieczności usamodzielnienia się przeszły na współczesne panny niczym epidemia i masowo je zaraziły. Uspokój się, Eufemio, i przestań miotać. Przyjmij do wiadomości, że czas płynie i świat się zmienia. Ten, który nas wychował i ukształtował, odchodzi do lamusa. Idą nowe czasy,

w których kobiety będą miały większy wpływ na własne życie, niż my miałyśmy. Jedyne, co ci pozostaje, to wesprzeć ją na tyle, ile to możliwe. Awantury nic nie pomogą, możesz ją tylko zrazić do siebie. Jeszcze ucieknie z domu do miasta i będą kłopoty. Lepiej już się zgodzić i dyskretnie ją wspierać.

– No nie wiem. – Westchnęła Eufemia. – Pójdzie uczyć w obcych domach, zaraz ją tam oszukają, wykorzystają, uwiodą, może zgwałcą...

– Postaram się dopilnować, by trafiła do jak najlepszych domów. Zaś co do studiów, to skieruję Anię do Jadzi Szczawińskiej, już ona się nią zajmie.

– Ale nasza mała Ania jest jeszcze dzieckiem!

Ada ujęła przyjaciółkę za ramiona, jakby chciała nią potrząsnąć, ale w porę się powstrzymała. Pochyliła się tylko do niej, tak że zetknęły się czołami.

– Ania jest już dorosłą kobietą – powiedziała powoli, cedząc słowa, by ich znaczenie trafiło do świadomości dziedziczki. – Obie ją kochamy i będziemy wspierały, a nie z nią walczyły. Zresztą z młodością i tak nie da się wygrać.

Jesienią osiemnastolatka miała zatem wrócić do Warszawy, w tym czasie dziedziczka próbowała delikatnie ją urabiać, by zmienić jej decyzję i skłonić do pozostania w Chojniakach. Sama zaprowadziła ją do stajni, do jej ukochanych niegdyś koników i wspólnie wybrały się na przejażdżkę. Jeździły po włościach, łąkach i lasach, zajeżdżały do wiosek, ale tam Ania, zamiast interesować się gospodarzeniem, przepytywała dzieci z alfabetu i tabliczki mnożenia, podziwiając owoce, jakie przynosiło tajne nauczanie w wykonaniu Ady. Eufemia w końcu zrozumiała, że nic się nie da zrobić, Ania uległa fascynacji nowoczesnością, wzniosłymi ideami i miejskim życiem. Dopóki samo jej nie przejdzie, nie było co z tym walczyć. Poza tym coraz bardziej jej przypominała ją samą z dawnych czasów. Przecież i ona kochała miasto, a po ślubie z Krzysztofem i wyjeździe na wieś na długo popadła w przygnębienie. Musiała naprawdę dojrzeć, by pokochać swoje włości, dom i lasy.

Tymczasem Andrzej, odziany w nowy surdut, z melonikiem na głowie i parasolem pod pachą, wyruszył na wyprawę po Izbach Skarbowych i Kasach Okręgowych. Znikł na kilka dni, wrócił tylko, by wyprać i porządnie nakrochmalić koszule, przedstawić Eufemii pierwsze, jeszcze niezbyt znaczące, rezultaty swoich zabiegów i przyszykować się do dalszej

drogi. Co do tych koszul, Ada zabrała się za nie własnoręcznie. Chciała nawet poprosić o radę kucharkę Alę, ale uznała, że tylko naraziłaby się na śmieszność. Choć uważała się za osobę bardzo samodzielna, jakoś nigdy wcześniej nie parała się krochmaleniem, mimo że była to czynność powszechnie stosowana do zabezpieczania i odświeżania tkanin, którą każda gospodyni miała w małym palcu.

Ada namieszała zatem mąki ziemniaczanej z wodą, aż powstał gęsty glut, który wlała do balii z ciepłą wodą. Zamieszała i wrzuciła do tego roztworu koszule Andrzeja, pozwoliła im się namoczyć, po czym porządnie je wypłukała, następnie rozwiesiła do suszenia. Patrzyła na powiewające w ogrodzie pranie z dumą i zadowoleniem, bo aż błyszczało bielą i czystością. Kilka godzin później rozgrzała w piecu żelazną duszę żelazka, szczypcami włożyła ją na miejsce i starannie wyprasowała wszystkie ubrania. Materiał był gładki i wręcz lekko śliski, uznała zatem swoje dzieło za skończone i złożyła je z zadowoleniem, po czym włożyła do walizki ukochanego.

Andrzej założył jedną z koszul na drogę i zaprezentował się Adzie, a ona uznała, że wygląda naprawdę elegancko, niczym carski oficjalista, osoba poważna i schludna. Kołnierzyk był tak sztywny, że wbijał mu się w brodę, a rękawy w łokciach z trudem się zginały, ale widząc zadowoloną z siebie Adę, Andrzej powstrzymał się od krytycznych uwag. Doszedł do wniosku, że zrobiłby w ten sposób przykrość ukochanej, zacisnął zatem zęby i uśmiechnął się szeroko, walczył w milczeniu i z poświęceniem ze sztywnym pancerzem, którym okazała się koszula. Wyruszył w drogę, krocząc z wysoko uniesioną głową. Ada uznała, że to dlatego, iż poczuł się dumny i pewny siebie. On jednak tak naprawdę po prostu nie był w stanie obrócić głowy i choćby się pochylić. Odmaszerował sztywno niczym figura woskowa.

Kolejne dni w podróży męczył się i pocił w „białych zbrojach”, choć trzeba przyznać, że gładkich, czystych i miłych w dotyku. Urzędnicy przyjmowali drętwego jak kij jegomościa z mieszaniną lęku i współczucia. Ktoś, kto poruszał się niczym automat albo jakby nosił usztywniający kręgosłup gorset, był albo cierpiącym ból kaleką, albo opętanym porządkiem służbistą. Tak czy inaczej, traktowano go wszędzie bardzo oficjalnie i z respektem, proponowano herbatę i wygodne krzesło, a jeden

z buchalterów poradził mu, by na bóle w krzyżu zażywał gorących kąpeli, najlepiej „u wód”, czyli w górskich sanatoriach.

Efektom tej przypadkowej maskarady było gwałtowne posunięcie spraw do przodu, urzędnicy traktowali go jako poważnego interesanta, wkrótce też zaczęto tytułować go „panem mecenasem”, choć nigdy nie przedstawiał się jako prawnik. Dla dobra sprawy nie wyprowadzał jednak kałamarzy z błędu, kroczył sztywno korytarzami, zawsze, chcąc nie chcąc, z wysoko podniesioną głową, jakby to on był tu panem, a nie byle delikwentem. W ciągu tygodnia załatwił więcej, niż spodziewał się zdziałać przez miesiąc. Wrócił do domu z prawdziwą ulgą choćby po to, by w końcu pozbyć się tych okropnych koszul. Ani słowem nie zdradził Adzie, że przyprawiły go o tyle cierpień, podziękował jej nawet za troskę.

Kiedy zabrała się za pranie rzeczy ukochanego, sama spostrzegła, że z ubraniami jest coś nie tak. Koszule, mimo że noszone, nadal były sztywne, jakby wykonano je z utwardzonej skóry, a nie bawełny. Ostatecznie dotarło do niej, że chyba przesadziła z ilością krochmalu. Zastanawiała się, jak gładko z tego wybrnąć i czy przeproszać Andrzeja za tę pomyłkę, czy udawać, że nic się nie stało. Ostatecznie pomaszzerowała do stajni, gdzie jej dwaj chłopcy oglądali źrebaka, który przyszedł na świat dwa dni temu. Eufemia podarowała go Adasiowi i pozwoliła chłopcu nazwać zwierzę. Maluch jednak nie miał wystarczających zasobów słownictwa, by sobie poradzić z tym zadaniem. Ada zatrzymała się z tyłu i przyglądała chwilę swoim ukochanym, którzy stali w identycznych niedbałych pozach, jeden obok drugiego, i gapili się na źrebaka kołyszącego się na chwiejnych chudych nogach.

– Jędrus, jak ci się chodziło w tych koszulach? Bo zdaje się, że dowaliłam cztery razy za dużo krochmalu... – zaczęła niepewnie, ale przynajmniej bez owijania w bawełnę. – Mam nadzieję, że nie naraziłam cię przez to na jakieś nieprzyjemności.

– Ależ skąd! – Odwrócił się do niej z uśmiechem. – Przez lata nosiłem koloratki utrudniające oddychanie i sutanny krępujące ruchy, to się przyzwyczailem. Poczulem się w tych koszulach jak za dawnych seminaryjnych czasów. Ciekawe doświadczenie, ale następnym razem daj odrobinę mniej krochmalu, bardzo proszę.

– Człowiek uczy się na błędach, w dodatku przez całe życie – powiedziała i przytuliła się do niego, jednocześnie czochrając grzywkę

synka. – Tak bardzo zajęłam się nauczaniem innych, że uwierzyłam, iż pozjadałam wszystkie rozumy i sama już niczego uczyć się nie muszę. Niniejszym życiem sprowadziło mnie na ziemię. Teraz z pokorą będę pytała o radę nawet kucharkę Alę.

– Maciuś – odezwał się chłopczyk. – Konik będzie miał na imię Maciuś!

– Na pewno? To dobre imię dla kotka, ale czy dla konia? – zdziwiła się Ada.

– Niech sobie ma i Maciuś. – Andrzej wzruszył ramionami i wziął Adasia na rękę. Podtrzymał go jednym ramieniem, drugą dłoń wetknął do kieszeni i zaczął w niej grzebać. – Skoro już jesteśmy tu razem, tylko we troje, to chyba dobra okazja, by zadać ci pewne pytanie, Donio.

– A jakie? – Zatrzepotała rękami, bo poczuła, że dzieje się coś ważnego.

– Zostaniesz moją żoną? – spytał i wyciągnął złoty pierścionek błyskający czerwienią maleńkiego rubinu.

– Ach! No nie wiem, nie wiem. Chyba muszę się zastanowić – odparła, czując, że się czerwieni.

Czy naprawdę go chcę? Kocham tego drąga i chcę z nim dzielić resztę życia? Razem aż do końca, na dobre i złe? Na pewno z nim? – myśli przelatywały jej przez głowę jak stado spłoszonych gęsi. Niby zastanawiała się nad tym od dłuższego czasu, właściwie Eufemia coraz częściej wspominała o ich małżeństwie jako o czymś, co już od dawna jest postanowione. Mimo to Ada chciała zachować kontrolę nad swoim życiem, mieć ostatnie słowo i nie dopuścić, by o takich sprawach decydowano za nią.

– Tak – wypaliła po sekundzie, może dwóch, dumania. – Przyjmuję pana oświadczyny, panie Kossowski. Niestety nie mogę wnieść panu żadnego wiana do związku, poza tym pochodzę z gminu i związek ze szlachcicem będzie formą mezaliansu. Czy jest pan tego świadomy?

Uniosła jednak dłoń, a on wsunął jej na palec pierścionek i pocałował w ciagle uniesioną rękę.

– Myślę, że szlachecki klejnot mego rodu jedynie wzbogaci się, kiedy połączę się z panią więzami małżeństwa – odparł równie oficjalnie, choć oboje z trudem hamowali wybuch śmiechu. – Co do wiana, możemy uznać, że jest nim pani silna osobowość, dobroć i miłość. Niczego więcej nie oczekuję.

Pocałowali się, by przypieczętować wspólne postanowienie. Adaś patrzył na to szeroko otwartymi oczami, nie wiedział, co się właściwie dzieje. Obok, w końskim boksie, mały Maciuś nagle odkrył, że ma nogi, którymi można wierzgać, i kilka razy podskoczył komicznie, po czym trzasnął kopytkami w deski, wystraszył się i przytulił spłoszony do brzucha mamy.

* * *

W Imperium Rosyjskim nie funkcjonowała instytucja, która udzielałaby ślubu cywilnego, uznawano wyłącznie zawarcie związku małżeńskiego w religijnych obrządkach. Przez to, że Andrzej niejako zdradził Kościół katolicki, zrywając śluby kapłańskie, nie było mowy, by pobrali się w tym obrządku. To jednak nie stanowiło problemu, bo narzeczeni musieli jedynie wybrać, kto inny udzieli im sakramentu. Postanowili się z tym nie spieszyć, bo nie było dokąd. Poza tym Andrzej nadal pozostawał zawałony robotą, bo ledwie udało mu się rozwiązać sprawy podatkowe, a Eufemia zasypała go kolejnymi zleceniami i wysyłała co rusz z nowymi misjami. Okazało się bowiem, że plenipotent Kossowski ma niezwykłą łatwość w załatwianiu spraw, zdawałoby się, niemożliwych.

Jeździł zatem po izbach, kasach i magistratach, po składach z drewnem budowlanym, wytwórniach mebli, fabrykach i manufakturach, zajechał nawet do wytwórni fortepianów, powozów konnych i skutnika produkującego łodzie. Gdzie się dało, przedstawiał oferty i zostawiał próbki drewna wytwarzanego przez tartaki Eufemii. Nadal nosił się sztywno, choć już nie tak bardzo jak za pierwszym razem, bo spostrzegł, że dodaje mu to powagi i wszyscy traktują go jak kogoś ważnego. Kupił sobie nawet nowy surdut przypominający nieco uniform carskiego urzędnika. Po tym policjanci zaczęli mu się kłaniać, a wejścia do wszystkich urzędów stały otworem przed „panem mecenasem”.

Czasu na ślub jakoś nie dawało się wygospodarować aż tu, nie wiedzieć kiedy, nadeszły święta, a po nich nastał nowy rok 1889. Odłożyli uroczystość na wiosnę, bo Eufemia uparła się, że wyprawi im huczne wesele, najlepiej w ogrodach za dworem, potrzebna zatem była do tego ciepła noc, by przyjęcie się udało. Adzie wydawało się, że ma mnóstwo czasu, ale ten zdawał się jej ostatnio przyspieszyć. Tygodnie mijały jak niegdyś dni, zima się skończyła i nadeszła wiosna, a wraz z nią Wielkanoc.

Adaś lada chwila miał świętować piąte urodziny, a włosy Eufemii zrobiły się niemal zupełnie siwe, choć miała ledwie czterdzieści lat.

– To u nas rodzinne. – Machnęła ręką. – Pamiętam, że moja babcia zawsze była srebrnowłosą damą, a mamy czupryna też straciła kolor, kiedy byłam młodą dziewczyną. Nie ma się czym przejmować, to nic nie boli, za to dodaje mi dostojności. W końcu nawet drwale zaczęli traktować mnie poważnie, mogę też czasem sama starać się zawierać umowy z klientami. Dopóki wyglądałam na młodą kobietę, wszyscy traktowali mnie protekcjonalnie.

Czas zaczął, jeszcze nieznacznie i niepostrzeżenie, odciskać piętno na całej rodzinie. Najbardziej widać to było po dziadku Henryku, który zupełnie przestał chodzić, i w jego dworze, w posiadłości Klimków, musiały się nim zajmować wynajęte pielęgniarki. Eufemia pokrywała wszystkie koszty opieki nad teściem, ale odwiedzała go bardzo rzadko. Nie lubiła tego miejsca, źle się jej kojarzyło i przypominało o Jakubie. Przynajmniej dziadek Dominik często bywał u starego druha. Starsi panowie grali w szachy i kłócili się, wspominając dawne dzieje, które coraz bardziej zmieniały się w ich pamięci i ewoluowały w opowiadanych historiach. Aż któregoś dnia Dominik wrócił do Chojniaków wyraźnie przybity.

– Niech mnie kule biją. – Westchnął, siadając przed kominkiem. – Z Heńkiem dziś bardzo słabo. Pytał mnie kilka razy, kiedy przyjedzie moja siostra Konstancja i czy jeszcze jest sens starać się o jej rękę. Zapomniał, że biedaczka zginęła w wypadku, kiedy byliśmy bardzo młodzi. Tłumaczyłem mu to, nawet nie krzyczałem, ale po paru minutach znów o nią pytał. Pielęgniarka stwierdziła, że ma gorączkę i trzeba posłać po doktora. Przyjedzie jutro rankiem, ale obawiam się, że wiele nie zdziała. Henio jest gdzieś hen daleko... Jakieś pięćdziesiąt lat stąd... I już nie wróci. Ale może to lepiej? Co sądzicie, dziewczynki?

Eufemia tylko pokiwała głową, Ada uspokajała staruszka, że słabość umysłu mogła być wywołana gorączką i pewnie szybko minie wraz z przeziębieniem. Myliła się, dziadek Klimek zmarł dwa dni później, a Dominik spędził z nim ostatnie chwile.

– Widział ją, odchodząc, widział Konstancję – powiedział, kiedy wrócił do domu. – Cały się rozjaśnił, uśmiechał do niej szeroko. Już myślałem, że wstanie z łóżka. Mówił, że ona stoi w drzwiach i wyciąga do niego rękę.

Mówił, że jest tak samo piękna jak zawsze, włosy ma rozpuszczone i nosi sukienkę „grecką” z wysokim stanem. Lubiła w niej jeździć konno, bo była wygodna. Wyglądała wówczas jak prawdziwa amazonka. Ech, przyszła po niego. Wierzę, że naprawdę ją widział, że była tam, kiedy umierał. Są teraz razem, oboje młodzi i zdrowi. Pędzą konno po niebiańskich łąkach, Henio recytuje jej swoje romantyczne wiersze, a Konstancja śmieje się i mu ucieka. Hm... Kto wie, może niedługo do nich dołączę? I będzie tam też moja Joasia, mama Krzysia. Razem pójdziemy na łąkę, trzymając się za ręce.

Ada tylko ze smutnym uśmiechem pokiwała głową. Kto wie, może naprawdę ich to czeka? Spotkają się jeszcze w zaświatach?

Eufemia była bardziej pragmatyczna i romantyczne bajania nie robiły na niej żadnego wrażenia. Odziedziczyła posiadłość po zmarłym mężu, ale nie ingerowała ani nie interesowała się nią, dopóki żył Henryk. Po jego pogrzebie poprosiła Andrzeja i Adę, by po ślubie oboje tam zamieszkali.

– Oczywiście dom trzeba odnowić, pomalować, może wcześniej przebudować – mówiła. – Rzecz jasna nie wypędzam cię, Donio. Chcę jednak, byś poczuła się doceniona i mogła gospodarować na swoim. Uznam Andrzeja za rządcę całego majątku, a komuś takiemu przysługuje służbowe mieszkanie. Niech będzie nim ten dom, będę spokojna, że to właśnie wy w nim zamieszkacie i o niego zadacie. Poza tym będę miała was blisko, to tylko kwadrans drogi powozem.

Prócz organizacji nadchodzącego wesela doszły także przygotowania do przeprowadzki. Andrzej zdjął swój urzędowy surdut, zakasał rękawy i razem z kilkoma parobkami zabrał się w pierwszej kolejności za czyszczenie starego dworu. Na stos do porąbania poszły stare meble i inne graty. Potem sprowadził cieśli, by zrobili kilka napraw, szczególnie dachu, i przebudowali nieco środek. Nowy rządcą majątku pracował razem z nimi, początkowo wzbudzając nieufność, ale kiedy się okazało, że nadaje się zarówno do noszenia dech i belek, jak i rąbania siekierą, zaczęli traktować go jak swojego.

Pewnego dnia Andrzej zabrał się osobiście za zrywanie podłogi w gabinecie Henryka. Deski skrzypiały niemiłosiernie i zdecydował, że zostaną wymienione na dębowe, solidnie wysuszone i porządnie zamocowane na belkach. Zerwał raptem trzy dechy, kiedy natknął się na skrytkę, w której spoczywała blaszana skrzyneczka. Zabrał ją do

Chojniaków i wyłamał zamek dopiero w obecności Eufemii i Ady. Wewnątrz znajdowało się trochę rubli, stary skałkowy pistolet i dokumenty oraz trochę listów. Była to korespondencja Henryka z profesorem prowadzącym szpital psychiatryczny w Łodzi. Z pism wynikało, że matka Jakuba wcale nie zmarła w połogu, jak powszechnie uważano, ale oszalała i próbowała po porodzie zamordować syna. Rzuciła nim w szale, przez co doznał urazu głowy, ale pozornie nic mu się nie stało. Pani Klimkowa zaś była leczona latami, w tajemnicy i bez powodzenia. Z czasem coraz bardziej pograżała się w szaleństwie, cierpiała na niepokoje i wybuchy furii. Trzymano ją unieruchomioną, by nie zrobiła sobie krzywdy. Henryk ukrywał to nie tylko przed sąsiadami, ale też przed własnym synem.

– Zmarła całkiem niedawno, raptem dziesięć lat temu – rzekła Eufemia po lekturze pism. – Z tego, co wiem, choroby psychiczne bywają dziedziczne. Tłumaczyłoby to trawiącą Jakuba latami złość, skłonność do wybuchów i niekontrolowanej przemocy. Do tego uraz głowy, hm... To wiele wyjaśnia. Oby tylko przypadłość niekontrolowanej złości nie została odziedziczona przez Marysię.

Ada objęła przyjaciółkę i próbowała ją uspokoić.

– Wierzę, że całe zło odeszło razem z Jakubem. Poza tym powinniśmy wszyscy odetchnąć, wydało się bowiem, że właściwie nie był potworem, tylko ofiarą choroby. Jego szaleństwo powiększałoby się z czasem, mogło doprowadzić do tragedii. Mógł w szale zabić ciebie i dzieci. Całe szczęście, że... że odszedł. Zamknijmy już ten rozdział, dobrze? – Wyjęła papiery z dłoni Eufemii, po czym cisnęła je do ognia pełgającego w kominku. –

Niech zostanie to zapomniane i odejdzie od nas razem z dymem – powiedziała, jakby rzucała zaklęcie.

* * *

Na datę ślubu wybrano ostatecznie końcówkę czerwca, przypadkowo padło na dzień letniego przesilenia. Same zaślubiny odbyły się w postawionej specjalnie na tę okazję przez drwali altanie, która przypominała nieco kaplicę, tyle że pozbawioną bocznych ścian. Nie pytając nikogo o zgodę, drwale postawili nawet krzyż na czymś w rodzaju prowizorycznego ołtarza. Obrządku dopełnił pastor Kościoła anglikańskiego, który przyjechał specjalnie na tę okazję z Warszawy. Co niezwykle, w ceremonii asystował mu dyskretnie ksiądz proboszcz

z Bolimowa. Staruszek właściwie przez całą mszę siedział w fotelu i kiwał głową, ale swoją obecnością wszystkim pokazał, że pozostaje z dawnym wikarym w doskonałych stosunkach i akceptuje jego życiowy wybór.

Na uroczystość przybyli także goście zaproszeni przez Eufemię, łącznie z jej rodzicami i przyjaciółkami z Łodzi. Zjechał ciągle nieśmiało smalący do wdowy cholewki Andrzej Vogel, który nie był już tak dumnym i wyniosłym pawiem jak przed laty. Nawet otoczony przez drwali i pracowników z gospodarstwa zachowywał się zupełnie normalnie i nie okazywał wyższości.

Z Warszawy dotarło liczne grono przyjaciół Ady, łącznie z Jadzią Szczawińską, która oficjalnie była narzeczoną Janka Dawida, ich kolegi z Latającego Uniwersytetu. Nie zabrakło też działaczy społecznych i osobistości ze świata kultury, w tym samego Piotra Chmielowskiego i Stanisława Norblina. Najwięcej jednak przybyło nauczycielek i guwernantek, przyjaciółek Ady zarówno z czasów liceum, jak i późniejszych kursów. Na same zaślubiny przyszli także liczni uczniowie Ady i ich rodzice, dzieci chłopskie i włościanie z całej okolicy. Zrobiło się przez to bardzo gwaro i kolorowo, wszystkie dziewczynki nosiły bowiem bogate wianki, które – zgodnie ze zwyczajem – miały zostać tego wieczoru puszczane na wodę. Chojniaki i Klimki zapełniły się gośćmi po brzegi.

Wesele trwało przez całą noc Kupały czy też – jak kto woli – noc świętojańską. Grała orkiestra ludowa z Łowicza, okolicą wstrząsały zatem wycinane w rytm mazurków hołubce i piski obracanych w tańcu dziewcząt. Ada początkowo czuła się onieśmielona, zupełnie nie na miejscu w białej sukni panny młodej, która zresztą należała do Eufemii. Dziedziczka nalegała, by Donia zgodziła się założyć jej bogaty w falbany i koronki piękny strój, bo „po co ma bezużytecznie sterczeć w szafie”. Ada zatem płynęła przez ogrody w sukni ze stelażem niczym dawna krynolina, nadęta jak ogromny weselny tort. Dopiero kiedy atmosfera się rozluźniła, udała się do dworu i szybko przebrała w jasną kieckę. Zachowała tylko wieniec z welonem, by nadal można było w niej z daleka rozpoznać pannę młodą.

Większość panów oczywiście uznała za konieczność zatańczyć choć raz z Donią, a jako że ludowe tańce były energiczne i pełne przytupów oraz obrotów, Ada już po dwóch godzinach zabawy była ledwie żywa z wyczerpania. Andrzej w porę to spostrzegł i porwał żonę na bok, odprowadził kawałek w głąb ogrodów, poza obręb latarni i lampionów,

które dekorowały część wyznaczoną przez Eufemię do zabawy. Tu z kolei nowożeńcy natknęli się na trzy panienki żywo dyskutujące pod starą lipą.

– Czemu się nie bawicie, tylko ukrywacie w krzakach? – spytał Andrzej, zaskakując je, zachodząc od tyłu.

– Ach, wujku, to z przyzwyczajenia – odparła Ania Kęszycka, bo to właśnie ona prowadziła rozmowę. – Przywykłyśmy, że jeśli chcemy swobodnie rozmawiać, to trzeba ukryć się przed oczami ciekawskich...

– I poza zasięgiem słuchu przypadkowych przechodniów – dodała jej przyjaciółka, niewysoka, drobna blondynka.

To była, rzecz jasna, także guwernantka, Maria Skłodowska, która razem z Anią studiowała na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Latającego Uniwersytetu. Trzecia z dziewcząt, Bronia Gutmanówna, również należała do nauczycielskiego grona. Każda z pańienek, a właściwie młodych kobiet, miała nieco inne upodobania naukowe. Spierały się o swoją dalszą ścieżkę kariery. Marysia chciała studiować chemię lub fizykę, najlepiej w Paryżu, gdzie była już jej siostra. Bronia lubiła współczesne nauki przyrodnicze i szczególnie fascynowała ją mikrobiologia, świat, który niedawno odkryto.

– Przekonuję Anię, by wyjechała ze mną do Zurichu lub Bazylei. Te szwajcarskie ośrodki akademickie chętnie przyjmują kobiety. W Imperium Romanów możemy nigdy nie doczekać takiego postępu – oznajmiła Adzie.

– A co ty byś chciała studiować, Aniu? – Donia zwróciła się wprost do dawnej uczennicy.

– Weterynarię – oświadczyła dziewczyna. – Ze szczególnym naciskiem na specjalizację w chorobach koni.

– Ach, jasne... – Westchnęła Aldona. – Eufemia będzie miała ciężki orzech do zgryzienia. Córka chce zostać doktorem od koni. Tego jeszcze w rodzinie nie było.

– No właśnie. Ale będzie – oznajmiła Ania z mocą. – Zastanawiam się tylko, czy jechać z Marysią do Paryża, czy z Bronią do Bazylei. Pora wyruszyć w świat!

Adzie nie pozostało nic innego, jak obiecać, że postara się, aby Eufemia najpierw oswoiła się, a potem pogodziła z tą myślą. Zapowiadała się coraz większa rewolucja w życiu rodziny Kęszyckich, ale – zdaniem wszystkich rozmawiających – konieczna i nieodzowna, która wyjdzie im tylko na dobre.

Koło północy weselnicy ruszyli szpalerem nad rzeczkę Rawkę. Panny przy akompaniamencie śpiewów i chichotów puszczały wianki na wodę. Większość została zaopatrzona w zapalone świece, przez co rzeczulka wypełniała się masą migoczących światełek. Mocno podpity Poldek z pluskiem wpadł do wody, a za nim dwóch stajennych, którzy próbowali mu pomóc z wyjściem na nieco grząski brzeg. Panny aż przewracały się ze śmiechu, widząc taplających się w błocie kawalerów. W zamieszaniu i atmosferze zabawy kilka par wybrało się na poszukiwania kwiatu paproci i znikło w lesie. Już wkrótce po polankach niosły się westchnienia i szepty, miłosne wyznania i jęknięcia rozkoszy. Nawet Ada miała ochotę urwać się z Andrzejem, pobiec gdzieś w głąb lasu i zerwać z siebie sukienkę w tę ciepłą, jasną noc, ale niestety państwa młodych ciągle otaczało zbyt wiele osób.

Eufemia ze zgrozą spostrzegła swojego syna, Piotrusia, jak wychodzi z krzaków, trzymając za rękę podkuchenną Mariolkę, dziewczkę z pospólstwa, która pomagała Ali w prowadzeniu kuchni. Dziewczyna była rozogniona i zarumieniona, a sukienkę miała wygniecioną, chłopak zaś gapił się na nią jak na obrazek i szedł z krzywo zapiętą w pośpiechu koszulą. Dziedziczka omal nie zemdląła, ale zanim zdążyła zrobić awanturę, Andrzej Vogel porwał ją do tańca.

Ada podejrzewała, że Eufemia już nigdy nie urządzi tak dużego przyjęcia na swoich włościach. Na domiar złego po powrocie do ogrodów zastali ganiające z zapalonymi lampionami dzieci, które dawno powinny spać, ale uciekły niani. Uciekinierom przewodził mały Adaś, który wymachiwał światełkiem, trzymając za rączkę kompletnie rozespaną, ale roześmianą Marysię. Nianię znaleziono potem chrapiącą w ramionach Lolka ze stajni, oboje byli zalani w pestkę. Eufemia nie ukarała jej tylko ze względu na stanowczą obronę Ady, która starała się załagodzić wszystkie skandale, do jakich doszło tej nocy, a do rana miało wydarzyć się ich jeszcze kilka.

Pastor Kościoła anglikańskiego pokłócił się z brygadzystą z tartaku, z wyznania kalwinistą. Spór miał podłoże okołoreligijne i dotyczył bałwochwalstwa, a konkretnie ozdabiania świętymi obrazami kościołów przez protestantów anglikańskich, co wykpiwali kalwiniści. Niepozorny z wyglądu pastor wyzwał brygadzystę na pijacki pojedynek i przez dwie godziny panowie na wyścigi wlewali w siebie gorzałę. Brygadzysta, choć chłop jak dąb, spadł z łomotem pod stół, milcząco uznając swoją porażkę,

za to pastor dopiero się rozkręcił. Wspiął się na drzewo i zaczął śpiewać psalmy, w dodatku po angielsku. Drwale i intelektualiści z Warszawy musieli wleźć w kilku za nim i ściągać go siłą na ziemię, by przypadkiem nie spadł i się nie zabił.

Następnie jedna z guwernantek z Warszawy, Wiesia Chlebowska, pokłóciła się z koleżanką, Teresą Nałkowską, o literaturę, szczególnie tę lubianą przez kobiety. Pierwsza twierdziła, że tak zwane powieści francuskie, czyli romanse, to coś potrzebnego duszy jak chleb ciału. Druga utrzymywała, że tak zwana lekka literatura to papka zamulająca mózg i czyniąca z kobiet rozbeczane idiotki, które wzruszają się perypetiami miłosnymi wymyślonych damulek i są przez to oderwane od rzeczywistości. Dziewczęta tak się okopały na swoich pozycjach i zaciętrzewiły, że w końcu złapały za włosy i zaczęły tarzać po trawie. Próby rozdzielenia ich przez literatów z miasta spełzły na niczym i dopiero kiedy kucharka Ala wylała na guwernantki wiadro wody, te ochłonęły. Rankiem trzeba było jednej i drugiej pudrować siniaki i zadrapania na twarzy oraz zszywać podartą garderobę. Tak się skończyło starcie literackie, na szczęście jedyne tej nocy.

Pozostałe skandale były na tyle mało znaczące lub towarzysko niewygodne, że czym prędzej puszczono je w niepamięć. Szczególnie to, kto zwymiotował i spadł z ławy lub w czasie tańców wylądował na głowie, która panna znikła z którym kawalerem oraz kto rankiem obudził się w chlewiku przytulony do maciory i jej prosiąt. Były to rzeczy normalne na weselach, tak samo jak bójki, których kilka miało miejsce między drwalami, ale traktowano je jako zwyczajową rozrywkę i coś nieszkodliwego.

Mimo wszystko wesele uznano za uroczystość niezwykłą, pełną atrakcji i wspaniałości. Było też kolejną próbą zbratania stanów: bawili się wszak na nim przedstawiciele całego społeczeństwa, zarówno prości wieśniacy, robotnicy, nauczycielki, jak i inteligenci oraz przemysłowcy. Gadało się o nim tak na salonach w Łodzi i Warszawy, jak też w chłopskich chałupach rozsianych po całym regionie. Długo je pamiętano i wspomniano także po latach. Jak to zwykle bywa w opowieściach, robiło się coraz większe i bardziej huczne, ponoć w trakcie tej świętojańskiej nocy na polankach i w krzakach spłodzono dziesiątki dzieci, choć oczywiście były to liczby przesadzone. Tak czy inaczej, słynna leśna nauczycielka i były ksiądz stali

się w tych historiach postaciami niemal bajkowymi i wyidealizowanymi. Wiele lat później nie było w okolicy staruszka, który – opowiadając o tym weselisku – nie twierdziłby, że „i ja tam byłem, miód i wino piłem”.

Rozdział 11

*Siedzę przy ogniu i dumam
O tym, w co pamięć bogata.
O kwiatach polnych, motylach
W dawnych, minionych latach.
O listkach żółtych i nitkach
Jesiennych, lekkich pajęczyn.
O mgłach, o słońcu, o wietrze,
Co włos na głowie mi piętrzył...
Siedzę przy ogniu i dumam –
Czy też tu będzie inaczej,
Gdy zima przyjdzie bez wiosny –
I czy to kiedy zobaczę.
Boć rzeczy wiele jest w świecie,
A jam ich widział niewiele...
Na przykład w lesie co wiosny
Coraz to inna jest zieleń.
Siedzę przy ogniu i dumam
O dawnych i przyszłych ludach
I wiem – świat nowy zobaczą,
A mnie się to już nie uda.
Lecz cóż... wciąż siedzę i myślę
O czasach, które już przeszły...
Słucham znajomych mi kroków
I głosów słucham zamierzchłych.*

J.R.R. Tolkien (1892–1973), *I sit beside the fire and think* (tłum. Maria Skibniewska)

W roku 1919 działo się tyle ciekawego, że Ada przegapiła swoje sześćdziesiąte urodziny, czego zresztą nawet nie żałowała. Ani jej w głowie było urządzenie benefisów, liczenie dni i lat, rozczulanie się nad sobą i rozrachunki z przeszłością. Nie czuła się staro, nie miała czasu na wpatrywanie się w lustro, liczenie zmarszczek ani pudrowanie przebarwień na skórze. Uważała takie zachowanie za nieprzystojące powadze nauczycielki z jej dorobkiem i świadczące o płochości oraz naiwności. Bo czymże innym niż naiwnością były próby oszukiwania natury i udawania, że czas nas nie dotyka? Młodość już dawno przeminęła, a teraz

w czasie rozplýwały się resztki niegdysiejszej urody. Taka była kolej rzeczy, okłamywanie siebie i udawanie młodszej niczego nie zmieniało. Ważne było, jak czuła się w głębi serca i ile sił jej zostało, a zostało jeszcze całkiem sporo.

Tymczasem roboty było dużo, kraj ciągle zbierał się po wielkiej wojnie, tworzył od zera struktury państwowe po ponad stu dwudziestu latach niewoli. Jakby tego było mało, ludzkość ledwie otrząsnęła się ze straszliwej epidemii grypy hiszpanki, która zabiła ponad dwadzieścia milionów ludzi. W Polsce panowała przejmująca powojenna bieda, poza tym kraj był ubogi, młody i chwiejny. Tworzyły się jednak nowe struktury, także w szkolnictwie. Ada wstąpiła jeszcze przed wojną do Stowarzyszenia Nauczycielstwa Polskiego, ale wyglądało na to, że nie dane jej będzie nauczać legalnie w prawdziwej polskiej szkole. Jej czas zawodowej aktywności przeminął, spędziła go w całości, oddając się tajnemu nauczaniu. Niby powinna być z tego dumna, ale czuła pewien niedosyt.

Wzięła udział w zjeździe Ligi Kobiet Polskich, razem z kilkoma aktywnymi jeszcze przyjaciółkami z dawnych czasów. Otoczona młodymi, pełnymi zapału dziewczętami poczuła się silna i chętna do pracy. Żałowała, że Jadzia Szczawińska tego nie doczekała. Główna założycielka Latającego Uniwersytetu, zmarginalizowana przez współpracowników i zmęczona nieustanną walką o byt, wpadła w depresję, z której się nie podniosła, i pewnego dnia, kilka lat wcześniej, skończyła ze sobą. Wiele dziewcząt jednak przetrwało ciężkie czasy i tak jak Ada uniknęło zatargów z władzami, biedy i poniżeń. Ona sama zdawała sobie sprawę z tego, że ma wielkie szczęście. Nie tylko nigdy nie cierpiała nauczycielskiej nędzy, ale do tego Andrzej okazał się dobrym człowiekiem i nigdy nie zawiódł jej ani jako mąż, ani jako przyjaciel. To już było wielkim sukcesem i wdzięczna była losowi, że tak dobrze trafiła.

Nie mieszkała dłużej we dworze w Klimkach, dekadę wcześniej przeniosła się razem z mężem do małego domku na uroczej leśnej polanie. Eufemia podarowała jej Arkadię wraz z domkiem myśliwskim w prezencie na pięćdziesiąte urodziny. Nadal głównie po to, by nie tylko uhonorować przyjaciółkę, ale mieć ją blisko. Siłą rzeczy Ada często bywała w Chojniakach, ale kiedy nie pracowała, najbardziej lubiła przesiadywać na ganku uroczej chatki otoczonej gąszczem ziół i kwiatów. Andrzej siadał obok i palił fajkę, oboje czytali przy świetle lamp i słuchali świerszczy oraz

rechotu żab. Dni przemijały w spokoju, zupełnie niezakłócone przez huk wielkiego przemysłu, wojny, biedę, zarazy czy inne dole i niedole ciągle zmieniającego się świata.

Były ksiądz nadal wyruszał od czasu do czasu w interesach, choć już od dawna nie działał jako rządca Chojniaków. Został jeszcze przed końcem wojny powołany przez Radę Regencyjną na komisarza do spraw gospodarki leśnej. Obecnie pracował dla Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Państwowych, opiniując, radząc i wypowiadając się na temat lasów oraz pozyskiwania drewna. Wyjeżdżał w związku z tym zarówno do Warszawy, jak i w objazdy po lasach na terenie całego kraju. Czuł się potrzebny, poza tym zarabiał wystarczająco, by żyło im się spokojnie i bez kłopotania się o sprawy doczesne. Ada nie miała nic przeciw jego aktywności, wręcz przeciwnie, dopóki był spełniony, czuła się równie szczęśliwa co mąż.

Nastał ciepły letni wieczór, kiedy sama usiadła przed domkiem, by popatrzeć na zachodzące słońce. Pszczoły bzyczały jeszcze w kwiatkach, choć już wracały na noc do uli stojących pod lasem. Gdzieś w pobliżu w drzewo uparcie stukał dzięcioł. Pora zagonić kury do kurnika i kolejny dzień można uznać za zakończony. Jutro czekało ją spotkanie w Bolimowie z sołtysem, który zaprosił ją na rozmowę o powstającej szkółce elementarnej. Wypadałoby, żeby przygotowała sobie garderobę. Już miała wstawać, kiedy z lasu wyszedł jakiś człowiek.

Pies – pomyślała, czując niepokój. – Przydałby mi się pies.

Wojna i bieda przyczyniły się do znacznego zwiększenia liczby włóczęgów, maruderów i żebraków, którzy snuli się po kraju w poszukiwaniu zajęcia lub zdobyczy. Policja nowo powstałego państwa nie radziła sobie z falami przemocy i zbrodni, nie było co na nią liczyć. Obywatele musieli bronić się sami. Niestety z Andrzejem zupełnie zaniedbali ostrożność, a to przez to, że latami nic złego ich nie spotkało. Arkadia leżała na takim uboczu, że żebracy nigdy tam nie docierali.

– Szczęść Boże, pani Burzyk! – Intruz pomachał jej z daleka.

Znał ją, nie był to zatem przypadkowy bandzior ani inny nieszczęśnik szukający łatwego zarobku. Tyle tylko, że nazwał ją panińskim nazwiskiem. Od trzydziestu lat oficjalnie występowała wszędzie jako pani Kossowska. Z drugiej strony ów wędrowiec wyglądał na zmęczonego życiem starca. Nie był ani niebezpieczny, ani agresywny. Uznała, że to

zapewne ktoś z okolic, kto pamięta ją jeszcze z dawnych czasów. Odetchnęła z ulgą i skinęła głową przybyszowi.

– Witajcie, łaskawy panie – odparła. – Skąd my to się znamy, przypomnicie?

– Pewno, że przypomnę. – Starzec zdjął kapelusz i ukłonił się niedbale. – O ile zechcecie mnie ugościć i poświęcić czas na kwadrans rozmowy.

Wzruszyła ramionami. Czemu nie? I tak nie miała dziś nic dramatycznie pilnego do roboty. Przybysz, brodaty, a do tego chudy, wyglądał na głodnego. Ubrany był w zniszczoną i pocerowaną marynarkę ze starannie przyszytymi łatami na łokciach, do tego schludną i czystą. Ubierał się jak wielu, co popadło w nędzę, ale starało się trzymać tak, by w biedzie ocalić resztki godności. Żał się jej go zrobiło, wykonała zatem zapraszający gest, wskazując drzwi domku.

– Zapraszam pana, panie nieznajomy, na potrawkę warzywną z kurczakiem. Nigdy nie umiałam dobrze gotować, kucharzenie to nie moja domena, ale coś tam czasem upichcę dla męża. Proszę, śmiało, może ma pan ochotę skosztować?

– Bardzo chętnie! – odparł przybysz, gniotąc rondo kapelusza w dłoniach.

Weszli do środka, Ada od razu skierowała się do kuchni, pomieszczenia małego i przytulnego. Sięgnęła po garnek stojący na żeliwnej płycie. Był jeszcze ciepły, zatem nałożyła z niego porcję do głębokiego talerza i razem z łyżką podsunęła gościowi, który nieśmiało usiadł przy stole.

– Proszę jeść, na zdrowie – powiedziała i usiadła po drugiej stronie. – I zdradzi mi pan w końcu, skąd się właściwie znamy?

– Z dawnych czasów, kiedy pracowałem dla pewnej fabryki maszyn żelaznych z Łodzi. Przyjeżdżałem do waszych tartaków na konserwacje i instalacje. Inżynier Krystian Gajewski, może mnie pani jeszcze kojarzy...

Ada uniosła brwi, szczerze zaskoczona. Zapomniała o istnieniu tego człowieka, ale teraz doskonale go sobie przypomniała. Wszak był nawet taki moment, kiedy młody inżynier umazany smarami, ale zawsze elegancki, zalecał się do niej. I tyle z niego zostało... Biedny starzec, ale chociaż nadal dbający o strój. Aż zaczęła ją palić ciekawość, co też się stało, że popadł w taką nędzę. Był przecież świetnie zapowiadającym się fachowcem, mistrzem w swojej dziedzinie. Maszyny parowe do tej pory świetnie się sprawdzały i nadal spece od nich byli w cenie. Musiało spotkać

go coś katastrofalnego, skoro tak mizernie skończył. Wojna? Może epidemia hiszpanki? Co też mogło się stać?

– Teraz pana poznaję, ten uśmiech i błysk w oku się nie zmieniły – powiedziała, uśmiechając się krzepiąco. – Nie widzieliśmy się od wielu lat... Co pana tu sprowadza po tak długim czasie, panie Krystianie?

– Przejeżdżałem w pobliżu i nagle przypomniało mi się co nieco. To były jednak takie piękne czasy, byliśmy tacy młodzi, pełni zapału, nadziei, wiary... I gdzie to wszystko się podziało, he? We wsi powiedzieli mi, gdzie teraz mieszka ta piękna panna guwernantka...

– Która już nie jest ani piękna, ani panna, ani guwernantka – zauważyła Ada. – Potrawka smakuje?

– Wyborna! Prawdziwe dzieło sztuki kulinarnej – powiedział po przełknięciu kolejnego kęsa. – Proszę wybaczyć, że spożywam tak łąpczywie, ale to mój pierwszy posiłek dzisiaj i z całą pewnością ostatni.

Patrzyła w milczeniu, jak je, właściwie wcale nie łąpczywie, ale bardzo dokładnie, tak by nie uronić ani drobinki. Zaproponowała dokładkę, ale podziękował. Żołądek miał już nie taki jak kiedyś i nie był w stanie przyjąć zbyt dużo naraz, szczególnie po głódówce. Nastawiła zatem czajniczek na herbatę, zerkając przy tym przez ramię na siedzącego chudego nędzarza.

– Szuka pan pracy? Podróżuje w interesach? – spytała, choć od razu zrobiło się jej głupio. W jakich interesach mógł się pałętać ten oberwaniec?

– Wędruję śladem wspomnień, zamykam niedokończone sprawy, spłacam długi i... odbieram niespłacone należności.

Uniosła pytająco brwi.

– To brzmi, jakby rozliczał się pan z przeszłością.

– W istocie, piękna panno Aldono. Czy też Donio, bo i tak do pani mówiono, prawda? – Rozparł się wygodnie i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Wydobył z niej papierośnicę, srebrną i z pewnością cenną. Spojrzał na nią, pytając milcząco o pozwolenie. Skinęła twierdząco, bo Andrzej też palił fajkę w domu i wszystko dawno przesiąkło tytoniowym dymem.

– Zaczynam podejrzewać, że ta wizyta nie jest przypadkowa. Ma pan ze mną jakieś porachunki, prawda, Krystianie?

Domyślała się jakie. Młody inżynier podkochiwał się w niej wiele lat temu. Może teraz, kiedy postanowił rozprawić się z przeszłością, przyszedł,

by wyznać jej miłość? Spełnić to, czego nie dał rady zrobić wówczas? Uśmiechnęła się do niego łagodnie, jakby chciała mu dodać otuchy.

– Pozwolisz mi mówić sobie po imieniu? – Zapalił papierosa i zaciągnął się mocno. – Pamiętasz, Ado, z pewnością tragiczne wydarzenie trzydzieści kilka lat temu. Dziedzic Klimek przyszedł do tartaku, kiedy kończyliśmy instalować maszynę do rozdrabniania drewna. Od początku zachowywał się dziwnie, był zdenerwowany i czymś rozzłoszczony. Zanim wszedł do hali, wypił całą butelkę jakiegoś płynu. Widziałem to, bo wrota były uchylone, a dziedzic miał rozmiary nie byle jakie i rzucał się w oczy. Wszedł do hali, kazał uruchomić maszynę. Nie zgodziłem się, wówczas zademonstrował na mnie niedźwiedzią siłę. Kiedy wkładał pierwszy kawałek drewna do sieczkarki, zaczął zachowywać się dziwnie. Wcale nie wyglądał na pijanego, raczej odurzonego...

Ada poczuła, że krew odpływa jej z twarzy i robi się jej niedobrze. Musiała przytrzymać się stołu, bo się zachwiała. Krystian wcale nie przyszedł wyznawać jej miłości. On wiedział o tym, że Jakub został otruty.

– Co sugerujesz? – spytała. – Po co opowiadasz o tych okropnych wydarzeniach?

– Już mówiłem, rozliczam przeszłość, a to wydarzenie było znaczące dla całego mego dalszego życia – powiedział. – Prawda jest taka, dziedzic Klimek był potworem, który pastwił się nad żoną i terroryzował całą okolicę. Wszyscy się go bali i nienawidzili, kwestią czasu było, aż ktoś po ciemku pchnie go nożem w plecy lub pijanego zepchnie ze schodów. Doszło jednak do czegoś bardziej wyrafinowanego, wręcz subtelnego. Jakub został dyskretnie odurzony i sam wpakował głowę w maszynę. Kto mógł podać mu truciznę, którą tak chętnie wypił? Kto spośród jego bliskich był na tyle inteligentny, wykształcony, pomysłowy?

– Chyba nie chcesz oskarżyć mnie o morderstwo? Przyszedłeś tu, by mnie szantażować? – Złapała za rączkę czajnika. W razie czego była gotowa wałnąć tego chudego dziadygę prosto w łeb. – Zdajesz sobie sprawę z tego, że istnieje coś takiego jak przedawnienie przestępstwa? Policja nie ma czasu ani możliwości, by rozwiązywać zagadki sprzed trzydziestu kilku lat, nikogo to już zresztą nie obchodzi.

– Nie chcę cię szantażować, szukać sprawiedliwości. Gdybym chciał, zrobiłbym to wówczas – odparł i zaciągnął się papierosem. Po wypuszczeniu dymu rozkaszał się i to tak, że aż zgiął się wpół,

wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zasłonił usta. Chwilę dochodził do siebie, Ada odstawiła czajnik z powrotem na rozgrzewającą się płytę. – Dziedzic raczył zmiażdżyć sobie głowę, otruty lub pijany, to nieistotne. Ważne, że to mnie firma uznała za winnego wypadku. Nie zamontowałem osłon i pozwoliłem użytkownikowi uruchomić sprzęt. Na nic zdały się moje wyjaśnienia, że zostałem zmuszony przemocą, że klient mnie uniósł i groził skrzyżowaniem karku. Firma musiała zabrać maszynę i ją zdemontować, jakimś cudem dziedziczka nie pozwała ich do sądu o odszkodowanie, ale strat finansowych i tak nie dało się uniknąć. Na domiar złego fabryka straciła wizerunkowo, co odbiło się na zamówieniach. Wyleciałem na zbity pysk, w dodatku z łatką winnego zaniedbań. To było niczym wilczy bilet, nikt nie chciał mnie przyjąć do pracy w całym zaborze. Jak każde środowisko fachowców w danej dziedzinie, to też jest dość hermetyczne. Mówiąc wprost, musiałem zmienić specjalizację. Niestety nigdzie nie czułem się tak dobrze jak w maszynach, a do nich już nie miałem powrotu. Jakiś czas piłem z rozpaczą, stoczyłem się na dno. Nie wiem właściwie, dlaczego wówczas ze sobą nie skończyłem. Może byłem zbyt tchórzliwy? Obudziłem się któregoś dnia w rynsztoku w Gdańsku, całkiem blisko portu. Zaciągnąłem się na statek rybacki jako mechanik pokładowy. Przynajmniej byłem z daleka od gorzały, w huczącej maszynowni, pośród poruszających się tłoków, w tumanach pary i sadzy. Tam jakoś się odnalazłem i powoli doszedłem do siebie. Pływałem przez całe życie na najróżniejszych krypach, długo by opowiadać...

Woda zaczęła się gotować, Ada zalała liście herbaty w imbryczku. Krystian zgasił papierosa i znów się rozkaszał. Oddychał ciężko, długo odzyskując siły.

– Zatem tragiczna śmierć Jakuba zmarnowała ci życie? – spytała spokojnie.

– Nie zmarnowała, po prostu zmieniła moją życiową drogę, zepchnęła mnie gdzieś na boczny kurs. Nie mam do nikogo o nic pretensji. –

Wzruszył ramionami. – Widocznie tak musiało być. Załóżmy, że zeznałbym wówczas, że dziedzic został otruty, ale to przecież niczego by nie zmieniło. Długo o tym myślałem, ale scenariusze zawsze były takie same. Co z tego, że pewna guwernantka poszłaby do więzienia za spowodowanie tragicznego wypadku? Zniszczyłbym jej życie, ale nie ocalił swojego. I tak skończyłbym na bruku. Żyłem zatem w przeświadczeniu, że

kryjąc was, bo domyślałam się, że obie byłyście zamieszane w ten wypadek, robię coś słusznego. Nie, nie chcę żadnej nagrody. Żadnych pieniędzy. Do niczego nie są mi potrzebne. Umieram. Widzisz przecież, że trawi mnie choroba. Doktorzy mówią, że zostało mi naprawdę niewiele czasu.

Ada pokiwała głową.

– Czego zatem chcesz? Żebym się przyznała?

– Nie musisz. Po prostu opowiedz mi o swoim życiu. Chcę usłyszeć, że było szczęśliwe. Że żyłaś w dostatku i radości, a moje milczenie nie było nadaremne. Chcę odejść z poczuciem, że postąpiłem słusznie i wszystko to miało sens.

Ada odetchnęła. Chwilę myślała, a potem naląła im po filiżance herbaty.

– Miało sens – powiedziała. – Postąpiłeś jak dobry człowiek, pomogłeś chronić dręczoną kobietę i jej dzieci, dałeś także mi długie szczęśliwe życie.

Opowiedziała o tym, jak nieopatrznie zakochała się w duchownym, który pomagał jej prowadzić tajną szkołę. O tym, że go uwięziono, a ona sama wychowywała małego synka. Wszystko jednak dobrze się skończyło, Andrzej wrócił i wziął ją za żonę. Mieli tylko jedno dziecko, ale żyli w spokoju i spełnieniu w pięknym miejscu. Ich syn, Adam, skończył Akademię Medyko-Chirurgiczną w Petersburgu i został lekarzem. Mieszkał niedaleko, pracował w szpitalu w Łowiczu i prowadził małą klinikę dla ubogich w Klimkach, gdzie przyjmował często za darmo okolicznych chłopów i drwali. Dał Adzie aż czworo wnuków.

– Ciekawys, kim jest jego żona, moja synowa? – Uśmiechnęła się sama do siebie. – To Marysia Klimek, najmłodsza córka Eufemii. Dzieci razem się chowały, przyjaźniły od małego i wszyscy myśleli, że łączy je miłość niczym rodzeństwo. Kiedy oboje wyjechali na studia, Marysia do Paryża, a on do Petersburga, strasznie do siebie tęsknili i pisali masę listów. Każdy z nas wiedział, że kiedy tylko wracali na lato do domu, całe dni spędzali razem. Mimo to, gdy w pewne wakacje, jeszcze przed ukończeniem studiów, przyszli po nasze błogosławieństwo, byliśmy zaskoczeni. Teraz mieszkają we dworze w Klimkach, w posiadłości, którą Marysia odziedziczyła po Jakubie i dziadku Henryku.

– A dzieci Eufemii? Co z nimi? – dopytywał ciekawie. – Pamiętam, że miała jeszcze trójkę.

– Ania studiowała weterynarię w Bazylei. Przywiozła do domu nie tylko wiedzę o końskiej anatomii, ale i męża, pewnego przystojnego Helwetę. Mieszkają oboje w Chojniakach i prowadzą stadninę. Mają trójkę dzieci, chyba ze czterdzieści koni, dwa tuziny kotów i tyle samo psów, nie licząc całej reszty: kur, kaczek, gęsi, świnek, kóz i krów. Prawdziwy zwierzyniec. Gdybyś tam zaszedł, poczułbyś się niczym na arce Noego. Eufemia momentami znosi to naprawdę boleśnie, ale myślę, że w głębi serca jest szczęśliwa, iż otacza ją masa ludzi, życia, gwaru, że nie jest na starość sama. Poza tym nadzoruje jeszcze ostatni, działający na pół gwizdka, tartak. Pozostałe zamknęła, bo już nie ma do tego siły. I co się dziwić, stuknęła jej siedemdziesiątka. – Ada pokręciła głową. – Co do Piotrusia zaś, to ostatecznie nie skończył żadnej wyższej uczelni, trochę za młodu rozrabiał, ale tylko w sensie miłosnym. Był prawdziwym przystojniakiem i wdawał się w kolejne romanse, aż ostatecznie usidliła go jedna panna z Łodzi, córka pewnego potentata włókienniczego. Teraz chłopak jest u jej ojca dyrektorem fabryki, prowadzi wielkomięjskie życie. Jadzia Kęszycka próbowała studiować w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, ale jako że nie przyjmują tam do dziś kobiet, robiła to jakiś czas, podając się za mężczyznę. Rozpoznano w niej jednak piękną, młodą dziewczynę i musiała uciekać z Austro-Węgier, by za oszustwo nie wylądować w lochu. Prawdziwa artystka o niezwyklej fantazji, odwadze, szalona i nieokiełznana. Kiedy dziadek Dominik jeszcze żył, świeć Panie nad jego duszą, twierdził, że wyrosła na kopię jego siostry, Konstancji. Ostatecznie osiadła w Paryżu, gdzie para się malarstwem. Żyje w wolnym związku. Wiesz, co to znaczy? Że na kocią łapę, jak u nas się mówi. Z jednym Francuzem, rzeźbiarzem i miłośnikiem absyntu, morfiny oraz eteru. Pijak i narkoman, ale ponoć szalenie ją kocha. Wszyscy się boimy, co z tego będzie, lecz dziewczyna jest chyba szczęśliwa. Właściwie to już nie taka dziewczyna, tylko starsza dama, ma czterdzieści pięć lat. Ech, jak ten czas leci... W salonie na ścianie ciągle są jeszcze motylki, które namalowała, kiedy Jakub budował tę chatkę. Ona jako jedyna nie zdecydowała się na dziecko, ale w sumie ja i Eufemia mamy aż dziewięcioro wnucząt, z czego cztery wspólne...

Krystian zaśmiał się, kiwając głową.

– To dobrze. Tyle dzieci, tyle wnuków. Masa życia, szczęścia, ale i zwykłego, codziennego znoju – powiedział. – Cieszę się, że tak wyszło, że

tak się ułożyły wszystkie rozdziały tej historii. Dobrze zrobiłem, że zachowałem wówczas dyskrecję i pozwoliłem wam żyć po swojemu. Teraz mogę czuć się w pełni spełniony. Och, nadchodzi noc, zbliża się koniec, muszę iść...

– Ale dokąd? Będziesz wędrował po ciemku przez las? W twoim stanie?

– Tak, czekają na mnie jeszcze ostatnie sprawy. Noc jest ciepła i jasna, przyjemnie w nią wędrować – powiedział i wstał od stołu.

Ucałował jej ręce, a ona pożegnała go znakiem krzyża. Odszedł w mrok i rozpląnął się w nim, zanim doszedł do końca polany.

* * *

Okazji do zjazdów rodzinnych było aż nadto, jubileusze i kolejne rocznice członków rodziny przypadały co kilka dni i na upartego w Chojniakach można by świętować na okrągło. Eufemia jednak nie przepadała za dużymi uroczystościami, od czasu pamiętnego wesela Ady organizowała tylko rodzinną Wielkanoc i Boże Narodzenie. Dwór pękał w szwach zatem jedynie dwa razy do roku. Codziennie jednak było w nim głośno i gwarnie za sprawą Ani i jej dzieci oraz całej sfory zwierząt. Eufemię cieszyło to otaczające ją życie, lubiła siedzieć w ogrodzie i patrzeć na wnuki uganiające się za psami, noszące małe kózki lub jeżdżące na oklep na koniach. Coraz mniej też wtrącała się w gospodarzenie Ani, powoli usuwała się w cień, ustępowała miejsca młodym.

Latem zamknęła działalność ostatniego tartaku. Finalnym poleceniem była rozbiórka hal magazynowych i zalesienie całego terenu oraz karczowisk. Za kilkanaście lat, kiedy jej już być może na świecie nie będzie, cała okolica porośnie lasem, który zatrze pamięć o gospodarujących tu ludziach. Krzyś cieszyłby się taką wielką knieją. Miałyby gdzie wędrować, oj włóczyłby się całymi dniami. Byleby nie musieć patrzeć, jak się nudzę, i się ze mną kłócić... Choć nie, miałam nie myśleć źle o tych, co odeszli, ani o tym, co było – Eufemia upomniała się w myślach. Zdawała sobie sprawę z tego, że czasem pogrąża się we wspomnieniach, choć wcale nie miała na nie ochoty, właściwie nigdy nie była z usposobienia przesadnie melancholijna. Wróciło jej za to upodobanie do czytania i zagłębiania się w książkach. Teraz znów nie musiała mieć wszystkiego na oku, martwić się o wyręby, zbyt drewna, bilans zysków i strat, o to, czy będzie intrata, czy do tartaków będzie trzeba dopłacać. Odzyskała czas, który mogła poświęcić

tylko sobie, i siłą rzeczy znów sięgnęła do zakurzonej biblioteki. Kiedy wnuki szalały po okolicy, ona siadała w wiklinowym fotelu pod drzewem i czytała, dopóki komary nie zaczynały ciąć i nie zapadał zmrok.

Kolejny rok minąłby jej niepostrzeżenie, kolejne lato odeszłoby w przeszłość, gdyby pewnego z takich leniwych popołudni z książką nie przerwał przyjazd Ady. Eufemia z podziwem patrzyła na młodszą przyjaciółkę. Ta wszak też miała swoje lata, ale zachowywała się i trzymała niemal tak jak w dniu, kiedy przed blisko czterdziestu laty przyjechała do Chojniaków. Ona zaś ostatnimi czasy odnosiła wrażenie, że kurczy się coraz szybciej, jak wysychająca na piecu śliwka. Wiedziała, że wygląda niczym babcia. Poderwała się jednak żwawo, by powitać przybyłą.

– Nie uwierzysz, czego się dowiedziałam i co wymyśliłam! – oznajmiła bez wstępów.

– Już się boję. – Westchnęła Eufemia.

– Andrzej przysłał telegram z Gdańska. Jest tam teraz w związku ze spalaniem drewna Wisłą i jakimiś problemami, które robią Niemcy. Mniejsza z tym, chodzi o to, kogo tam przypadkowo spotkał. Otóż nie zgadniesz, kto zszedł po trapie ze statku, który przypłynął prosto z Hawru.

– Jadzia?

Adzie mina zrzędła. Eufemia zrozumiała, że zgadła i chyba popsuka przyjaciółce zabawę.

– Skąd wiedziałaś, u licha? Jadzia ponoć przyjeżdża w całkowitej tajemnicy, chce zrobić ci niespodziankę.

– Ta tajemnica chyba już jest mało tajemnicza. A tak w ogóle, to kto inny mógłby przypłynąć z Francji, kogo los by mnie zainteresował? Jadzia jest jedyną osobą z tego kraju, którą znam.

– No tak, logika. To była zawsze twoja mocna strona – przyznała Ada. –

Pomyślałam sobie, że taka niespodzianka i tak nie wzbudzi w tobie jakiegoś wielkiego entuzjazmu, ale gdyby zaskoczyć Jadzię i urządzić dla niej powitalne przyjęcie? Coś małego, ale miłego, żadnego rozpasania i hulanki, powiedzmy raczej rodzinne spotkanie. Ściągnęłybyśmy Piotra z rodziną, dzieci spotkałyby się znów w domu, wszystkie. Kto wie, czy to nie ostatnia taka okazja...

Eufemia westchnęła ciężko.

– Ostatnia okazja przed czym? A może ostatnia dla kogo? Masz na myśli mnie, prawda? Myślisz, że mój koniec powoli się zbliża i chcesz mi zrobić

przyjemność. Ta niespodzianka tak naprawdę nadal ma być głównie dla mnie?

– Och, przestań marudzić – prychnęła Ada. – Ostatnie dni lata, ostatnia być może dla nas obu rodzinna okazja. Szkoda byłoby nie skorzystać i nie pobyć znów razem. Zgodzisz się zatem?

– Masz taką minę, iż podejrzewam, że gdybym się nie zgodziła, złamałabym ci serce.

– Co najwyżej zepsuła dzień, ale przecież nie zrobiłabyś tego najlepszej przyjaciółce.

Eufemia machnęła niecierpliwie ręką.

– Ale żadnej orkiestry, gości z uniwersytetów, przemówień, wystąpień i tłumy gapiów. Tylko rodzinna impreza, obiecaj!

Ada uniosła dwa palce.

– Obiecuję.

* * *

Kiedy Jadzia wysiadła z pociągu w Łowiczu, taszcząc ciężką jak dzwon walizę, przywitał ją tylko ulewny deszcz i kanciasty starzec z parasolem. Podejrzewała, że spotkany w Gdańsku Andrzej powiadomi o jej przyjeździe żonę, ale nie spodziewała się, że Eufemia wyśle po nią powóz. Szkoda tylko, że czekający stangret wyglądał jak upiór, wysoki i posepny, nosił sięgający ziemi płaszcz i wysoki kapelusz.

– Panienska Jadzia? Dawno panienski nie widziałem – wychrypiał krzepki starzec.

– Poldek! – Aż wypuściła walizę. – Nie widziałam cię chyba ze dwadzieścia lat!

Wpadli sobie w ramiona. Najstarszy parobek we dworze nadal pracował, choć najczęściej jako woźnica. Kiedy wioził panienską Jadzię do Chojniaków, całą drogę opowiadał jej, co się zmieniło podczas jej nieobecności. Nie podobało mu się, że pani Anna tak się szarogęsi.

– Odkąd zaprowadziła swoje rządy, wszędzie łązą zwierzaki i wszystko śmierdzi końskim łajnem – mruknął. – Za dawnych czasów nie do pomyslenia było, by do dworu ktoś wpakował się prosto ze stajni, nie oczyszczeni pierwsi buciurów. Teraz potrafi tuzin psów wbiec na pokoje razem z brudnymi dziećmi. Psy na pokojach. Imaginuje to sobie

panienka? Stary dziedzic, pan Dominik, chyba by je normalnie powystrzelał.

– Dziadek lubił psy, ale rzeczywiście był starej daty. Ania za to zawsze kochała zwierzęta, nie dziwię się jej, że wprowadziła swoje, bardziej liberalne, rządy. Nie narzekaj jednak, bo pracowałeś pod komendą mojej mamy trzydzieści lat.

– Pani Eufemia to co innego – odparł. – Przynajmniej dawała mi normalnie pracować, zaś pani Anna nie pozwalała nawet włączyć do stajni. Od tego ma młodszych... Ale trzeba młodej pani przyznać, że nie wyrzuciła mnie na zbity pysk. Takie staruchy jak ja w dawnych czasach kończyły jako proszalne dziady pod kościołami, a ja eligancko, w nowiuśkim płaszczu jadę sobie niczym panisko. Narzekam tylko z przyzwyczajenia, jak każdy staruch, który tęskni do dawnych czasów. Wie panienka, do czego my tak naprawdę tęsknimy? Do młodości. Do tego, co i tak już nie wróci. Dlatego nam tak żal i dlatego jesteśmy tacy zgorzkniali.

Jadzia słuchała go, kiwając głową. Delektowała się brzmieniem i barwami języka polskiego, na co dzień nie uświadamiała sobie nawet, jak bardzo go jej brakuje. W Paryżu nie utrzymywała kontaktów z Polonią, zresztą ta najlepiej zorganizowana i skupiona przez cały wiek XIX przy hotelu Lambert po odzyskaniu niepodległości właściwie straciła rację bytu i rozplynęła się bez śladu. Panna Kęszycka praktycznie latami nie rozmawiała w rodzimym języku i gdyby nie książki i listy, pewnie by go zapomniała. Rodzina jednak zasypywała ją korespondencją i jej związek z krajem nigdy przez to nie wygasł.

Ciekawa była przeogromnie, jak wygląda teraz dwór i gospodarstwo. Gdy się zbliżali, zaczęła wiercić się niecierpliwie. Dotarli do celu późnym popołudniem, kiedy prace gospodarcze powinny się kończyć. Liczyła na to, że zastanie domowników we dworze, ale to, co zobaczyła, gdy zatrzymali się na dziedzińcu, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Dwór wyglądał dokładnie tak samo, jak go zapamiętała, tyle że oświetlały go lampiony, identyczne jak te, których użyto podczas wesela Ady. Czekala zaś na nich grupa dzieciaków, jak się domyśliła – jej siostrzeńcy. Po chwili z domu wyszła Eufemia, a na jej widok Jadzię aż coś ścisnęło w gardle. Jest taka maleńka i siwiuteńka – pomyślała. Och, zupełnie inaczej ją zapamiętałam.

Podziękowała Poldkowi i wysiadła z bryczki, po chwili znalazła się w ramionach matki. Pojawiła się też Ada, która uścisnęła ją i przyjrzała się

jej z bliska.

– Moja uczennica przyjeżdża z samego Paryża – powiedziała. – Jestem dumna, mała Jadziu. To co, idziemy do ogrodów? Zjemy kolację, a potem może narysujesz nam motylki?

Zaśmiały się obie. Jadwiga jako malarka obecnie przeżywała fascynację ekspresjonizmem i malowała najczęściej kolorowe, zdeformowane i przerysowane postaci ludzkie. Nie miała jednak nic przeciw temu, by porysować dla dzieci, nawet i barwne motylki. Po chwili zresztą Ada zaczęła jej przedstawiać swoje wnuki, dzieci Ani i Piotra, w sumie dziewięcioro dzieciaków w wieku od sześciu do dwunastu lat.

– To Piotr też jest? – Jadzia szczerze się ucieszyła.

Jej brat, choć mocno czupryna mu się przerzedziła i pojawił wydatny, dyrektorski brzuszek, wiele się nie zmienił. Dalej był przystojnym, tyle że już nie chłopcem, a mężczyzną w sile wieku. Jego żona, prawdziwa dama, nie okazywała entuzjazmu z racji pobytu na wsi, ale naprawdę starała się być miła i nawet na powitanie trzy razy cmoknęła Jadzię w policzki. Do tego starszą siostrę wyściskała Marysia i jej mąż, Adaś. Oboje w jej pamięci nadal byli brzdącami ganiającymi się po ogrodach, przez co omal się nie rozpląkała ze wzruszenia.

– No i jak ci się podoba niespodzianka? – Ada szturchnęła ją po sztubacku. – Nie spodziewałaś się całej rodziny, prawda?

– Donio, kochana, nie wiem, jak ci dziękować. Nie sądziłam, że uda mi się ich wszystkich zobaczyć. – Wierzchem dłoni otarła łzy.

– Teraz zjemy, a potem pogadamy – zakomenderowała Ada, ujęła ją pod ramię i poprowadziła do ogrodów.

Ustawiono tam dwa podłużne stoły, przy których cała rodzina swobodnie się zmieściła. Kucharka Kachna, dawna podkuchenna, która zastąpiła Alę, naszykowała pieczonych kurcząt, sałatki z pomidorów, duszonej kapusty, klusków i kompotu z jabłek. Do tego rozpalono ognisko, na drzewach zawieszono lampiony. Eufemia nie musiała się denerwować, że dojdzie do jakiegoś skandalu, nie było ani alkoholu, ani orkiestry. Tylko dzieci, jak to dzieci, hałasowały jak opętane, ale to babci nie przeszkadzało.

– Przenieśmy się bliżej ogniska – zarządziła, kiedy wszyscy zjedli i się nagadali jeden przez drugiego. – Dzieci się zmachały i w końcu zatrzymały w miejscu, to może co nieco powspominamy, Donio?

– Koniecznie – przytaknęła Ada. – Choć z doświadczenia wiem, że brzdąców akurat gładzenie staruszek niewiele obchodzi. Ale możemy powspominać chociaż dla siebie, prawda?

* * *

Dzieci naprawdę zmachały się bieganiną, bo wszystkie jak na rozkaz opadły z sił i rozsiadły się wokół ogniska. Może nie okazywały entuzjazmu, ale słuchały opowieści obu babć, szczególnie że te mówiły chętnie i były swoimi historiami szczerze rozbawione.

– Wasz pradziadek Dominik, kiedy był małym chłopcem, uratował w czasie powodzi niedźwiadka. Wykarmił go razem ze swoją siostrą Konstancją i swoim przyjacielem, a waszym drugim pradziadkiem, Henrykiem. Potem misiem... Ech, jak on się właściwie nazywał, Donio?

– Jakoś po staroświecku... Krzesimir, Konceusz, Korbinian? Chyba Korbinian.

– To nie jest dobre imię dla misia – odezwała się mała Hania, córka Marysi i Adasia. – Mój miś nazywa się Kamyczek. Ma takie oczka z paciorków jak kamyczki.

– Ale to był prawdziwy niedźwiedź, a nie pluszowy miś, prawda, babciu? – wtrącił się starszy brat, Leszek. – Trzymali go we dworze?

– Tak, mieszkał tu, w Chojniakach. Dopóki mieścił się w łóżku, spał z dziećmi, potem zrobił się ogromny, wielki jak góra i prapradziadek zbudował mu kojec w szopie. Bardzo się polubili i jeździli razem powozem, objeżdżali włości i tartaki, zaglądali do Bolimowa. Miś Korbinian był bardzo słynny w okolicy. Odstraszał bandytów, kłusowników i złodziei, żył w tym dworze długo i szczęśliwie.

– Wolę wojenne opowieści. Niech babcia powie, jak dziadek Krzyś bił się z Moskalami – zażądał Leszek. – Już to słyszałem, ale to dopiero jest historia.

– Właściwie to dwóch waszych dziadków, Krzyś i Jakub, walczyło w powstaniu – tym razem przemówiła Ada. – Byli bardzo dzielni i szlachetni. Krzyś dowodził oddziałem młodzieńców straceńców, a Kuba był jego adiutantem. Urządzali zasadzki i rajdy na rosyjskie posterunki, uciekali przed Kozakami i bili się w wielu potyczkach. Któregoś razu urządzili najazd na konwój i zabrali Moskałom skrzynię pełną skarbów. Mnóstwo złotych i srebrnych monet, które musieli ukryć w lesie...

– Ojej! I co się stało z tym skarbem? Zakopali go i możemy tę skrzynię odnaleźć? – zainteresował się przysypiający dotychczas Grześ, synek Piotra.

– Tak, ale zaraz po wojnie odkopali – wtrąciła Eufemia. – Postanowili, że wszystkie pieniądze rozdadzą pokrzywdzonym w powstaniu, rodzinom poległych przyjaciół, wdowom i sierotom po towarzyszach broni. Tak też się stało i w całej okolicy ci dwaj słynęli jako szlachetni i niezłomni bohaterowie. Dziadek Jakub został ranny, Kozak ciął go szablą w pierś. Krzyś uratował go, wyciągnął z zalewu, nad brzegiem którego toczyła się bitwa, po czym na plecach zaniósł przez cały las do domu. Obaj znani byli ze swojej przyjaźni i wzajemnej miłości oraz skłonności do poświęceń. Wasi dziadkowie byli nie tylko szlachetnymi żołnierzami, ale prawdziwymi bohaterami.

– Ale dziadek Krzyś został zabity, tak było? – dopytywał Leszek.

– Niestety postrzelił go kłusownik, ale to było wiele lat po powstaniu – odpowiedziała Ada.

Spojrzały na siebie z Eufemią porozumiewawczo. Jadzia ściągnęła brwi, bo wiele jej w tych babcynych historiach nie pasowało. Nie odezwała się jednak, spojrzała na Annę i Piotra, którzy również milczeli i patrzyli w ogień. Zrozumiała, że tak właśnie ma być, taka opowieść ma zostać zapamiętana przez dzieci.

– Na szczęście dziadek Jakub z troską zajął się mną, wdową po Krzysiu – powiedziała Eufemia. – Zbudował dla waszych rodziców domek w lesie, ten, w którym obecnie mieszka Ada. Bardzo się wszyscy kochaliśmy i przyjaźniliśmy. Żyliśmy sobie szczęśliwie, aż dziadkowi przydarzył się wypadek w tartaku. Na szczęście mieliśmy siebie, zawsze mogliśmy się z babcią Donią wspierać i sobie pomagać. I wy też tak musicie. Nie wiadomo bowiem, co was czeka...

– Historia nigdy się nie kończy – dodała Ada. – Teraz jesteśmy razem, zdrowi i szczęśliwi, ale kiedyś mogą nadejść złe czasy. Wojny i zarazy, bieda i nieszczęścia przytrafiają się każdej rodzinie. Musicie wówczas pamiętać o waszych przodkach, że nigdy się nie poddawali, nie kłócili, za to zawsze mogli na siebie liczyć i wspierali się w potrzebie. Cieszyli się życiem, pomagali słabszym, kiedy trzeba było, dzielnie walczyli i ciężko pracowali, ale zawsze pamiętali o bliskich i przyjaciółach.

Ada kłamała gładko i bez zająknięcia, właściwie to sama święcie wierzyła w to, co mówi. Doświadczenie w roli nauczycielki pozwalało jej tak modulować głos i dobierać słowa, by dzieci słuchały z otwartymi ustami. Cóż z tego, że mijała się z prawdą i ubarwiała? Liczyła się tylko opowiadana historia i jej przesłanie. Jako dobry pedagog nie mogła pozwolić na to, by niewygodna prawda zepsuła jej opowieść. Kłamała dla wyższego celu i wiedziała, że robi dobrze. Musiała po prostu zamknąć ten rozdział, dopisać epilog do pouczającej historii. Wszyscy obecni dorośli to rozumieli i nikt nie przerywał ani jej, ani Eufemii. Patrzyli w ogień, milczeniem pieczętując tę „prawdę” po wsze czasy.

* * *

Następnego dnia Piotr musiał się zbierać do drogi powrotnej do Łodzi. Właściwie to niespecjalnie musiał, ale jego żona nalegała. Dwa dni spędzone na wsi były dla niej stanowczo wystarczające i strasznie się męczyła bez wielkomiejskich dźwięków, zapachów i swego telefonu na korbę, dzięki któremu miała stały kontakt z przyjaciółkami. Jej dzieci bardzo chciały zostać i w końcu Jadzia obiecała, że się nimi zajmie, a za kilka dni osobiście odwiezie do Łodzi. Na razie jednak, kiedy całe towarzystwo zebrało się w południe na obiad, zaprosiła ich wszystkich do ogrodu.

– Każde z was chciałabym namalować, ale nie mam przyborów ani tyle czasu – oświadczyła. – Mam za to co innego...

Ze swojej wielkiej walizy wyciągnęła czarną skrzynkę, przekreśliła w niej korbkę i oto z jednej ze ścianek skrzyneczki wysunął się obiektyw na harmonijce. Był to aparat fotograficzny firmy Kodak, nowoczesny, już nie na szklane płyty pokryte światłoczułym materiałem, ale na błonę zwaną kliszą, zwiniętą w rulon. Jadzia ustawiła aparat na zaimprovizowanym z pozbijanych desek statywie i zaczęła ustawianie rodziny do wspólnej fotografii. Dzieci rozbiegły się kilka razy, Marysia goniła je w tę i z powrotem niczym stado gęsi. Anna nie mogła zdecydować się, w jakim wystąpić stroju: w męskim, w jakim pracowała przy koniach, czy założyć sukienkę. Któreś z maluchów wspięło się na jabłoń, mała Hania przyniosła swego pluszowego misia, który był niemal tak duży jak ona, a Grześ przyciągnął za uzdę upatrzonego w stajni kucyka, chciał bowiem pozować, siedząc mu na grzbiecie. Kucyk ugryzł Andrzeja, próbując mu znaleźć coś

ciekawego w kieszeni marynarki, a na to wszystko poważny dyrektor Piotr Kęszycki dostał takiego ataku śmiechu, że musiał usiąść.

Ada i Eufemia usadowiły się w dwóch bliźniaczych fotelach z wikliny i obserwowały zamieszanie z cierpliwością i spokojem. Obie promieniały miłością i pobłazaniem, nigdzie już nie musiały się spieszyć i o nic walczyć, roztaczały wokół siebie aurę opanowania. Chyba ich spokój zaczął udzielać się pozostałym, rodzina ustawiała się zgodnie z zaleceniem Jadzi obserwującej scenę przez przeziernik aparatu. W końcu poprosiła jednego ze stajennych, by na jej sygnał nacisnął przycisk wężyka spustowego, po czym sama zajęła miejsce z rodziną. Na jej polecenie zrobiono kilka zdjęć, dla pewności, by nie okazało się, że ktoś zamknął oczy lub się poruszył. Artystka sprawiała wrażenie zadowolonej i obiecała, że każdy członek rodziny dostanie swoją, oprawioną w ramkę, odbitkę.

– I co na to powiesz, Donio? Tyle po nas zostanie, cienie na fotograficznym papierze? Niewyraźny wizerunek, który z czasem wyblaknie i zżółknie? – Westchnęła Eufemia.

– To i tak wiele. – Ada nie miała nastroju melancholijnego. – Może kiedyś dorosłe już wnuki wezmą te wyblakłe zdjęcia, posadzą na kolanach swoje wnuki i będą snuły opowieści o dawnych czasach. I znów odżyjemy, my i Krzyś, dziadek Dominik i niedźwiedź Korbinian, romantyczny Henryk i szalona Konstancja, nawet Jakub – i to nie ten prawdziwy, szalony i zatruty nienawiścią, ale wyidealizowany, dzielny i szlachetny. Zostaną po nas piękne opowieści, mówię ci. Cieszymy się z tego, bo jest z czego. Zanim rozpłyniemy się w przeszłości, możemy sprawić tym, co nadejdą, choć odrobinę radości. A może i nauki?

Eufemia pokiwała głową z zadowoleniem. Niebo zaczynało się chmurzyć, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Czekały przecież kolejne, z pewnością piękne dni.